

Christine Grän

Hochstaplerka

Przełożył z niemieckiego Ireneusz Maślarz

Tytuł oryginału *Die Hochstaplerin*



ROZDZIAŁ 1

Żądza była fundamentem, nad którym wysklepiała się hochsztaplerska konwersacja. Jego *żądza*: złowić mnie, przelecieć, pozbyć się. Typ myśliwego i kolekcjonera wywijający maczugą uroczych słów. W jego jaskini lał się szampan z dobrego rocznika, serwowany przez uprzejmych pingwinów, których przebrano za kelnerów. Robili wrażenie melancholijnych, być może dlatego, że byli upadłymi na duchu rewolucjonistami, co pogardzali wytworną hołotą. Wyobrażałam sobie, że lewą rękę, którą zgiętą skrywali za plecami, mają zaciśniętą w pięść. Hołota parskła przytłumionym śmiechem i po każdym kęsie dotykała lekko ust białymi płóciennymi serwetkami; zostawała na nich ślina, resztki jedzenia i szminka. Mój ślad miał kolor wiśniowoczerwony.

Jego twarz była okrągła i blada jak księżyc Baala, a z ust płynęły oklepane frazesy. Wszyscy mężczyźni są niedoszłymi rajdowcami, łowcami grubego zwierza, lotnikami kamikadze, wojownikami-samurajami, chrześcijańskimi męczennikami. Wszystko, co da się powiedzieć o życiu, ktoś taki jak on sprowadza do maksymalizacji zysku i przyjemności. Podobni jemu siedzą w szefowskich fotelach, zarządach, zrzeczeniach gospodarczych, gremiach partyjnych. Czytają bilanse i sprawozdania, magazyny dla menedżerów i „Bild-Zeitung”. Wiedzą, ile w Szanghaju kosztują dziwki. Są pełni uroku nasyczonego arogancją i przekonaniem o zależności zasad moralnych od ekonomii. Uczciwi golcy lubią takich jak oni wyzywać od łajdaków, a przecież w ich świecie być i mieć jest najważniejsze. Czyż nie stanowią podpory społeczeństwa? Kręgosłupa gospodarki? Elity? Oni nie piją puszkowego piwa, brzydzą się poliestrowymi dresami i rykiem na piłkarskich stadionach. Zaliczają się do ludzi z określonym smakiem, wykwintnymi manierami przy stole i kulturalnymi ambicjami. Są wierzchołkiem góry lodowej, a więc zgodnie z naturą – słońcu najbliżsi.

Tak mówił Johannes Brenner, a ja przysłuchiwałam się uważnie, jak przystało osobie biorącej. W końcu to on finansował szampana i ostrygi, a także w pewnym stopniu personel świątyni, w której siedzieliśmy, pianistę, przybranie stołu, koszty prądu i rachunek za konsumpcję. Johannes Brenner należał do grona będących ze sobą na „ty” stałych klientów, do tych, co nigdy nie mlaskają i nie chlipią, nigdy nie odczuwają głodu i dlatego zawsze pozostają niezależni, niekiedy przesyleni i z tego powodu odczuwający nudę, co stwarza

rodzaj aksamitnie fiołkowego nastroju bądź efektu cieplarnianego z nalotem szronu. Ciężar pieniędzy zawsze ogromnie przytłacza, nawet gdy są wprasowane w plastikowe karty, uwiecznione w wysadzanych diamentami zegarkach, uelastycznione w robionych na miarę butach.

– Pieniądze nie czynią człowieka szczęśliwym – rzekł Johannes Brenner, a ja odparłam, że istotnie jego pieniądze nie uszczęśliwiają mnie. Wygodne kłamstwo, które przyjął, gdyż należał do mężczyzn, co z kobietami prowadzi monologi. Uznał, że jestem odświeżająca (tak powiedział), ja zaś odwzajemniłam się komplementem o zabarwieniu męskim, nazywając go bardzo interesującym mężczyzną.

Johannes uśmiechnął się. Wargi miał grube, ale uzębienie doskonałe. Za dużą twarz dla małych przebiegłych oczu. Zastanawiałam się, czy siwe pasma w kasztanowych włosach są dziełem fryzjera. Jednodniowy zarost połyskiwał niebieskawo – takie milimetrowe pędy delikatnej dekadencji wskazujące, że on może sobie pozwolić na wyłamanie się z konwencji. Nosił czarną jedwabną koszulę do włoskiego jedwabnego garnituru, a kiedy szedł do toalety, kołysał nieznacznie biodrami. Były wąskie i wyglądały zgrabnie. Trochę uwydatniał się brzuch, szampański brzuch opięty jedwabiem.

Johannes wracając, wycierał ręce, jakby chciał mi pokazać, że po owej intymnej czynności umył je mydłem. Popatrz, mówił gest, jestem porządnym i dbającym o higienę człowiekiem, ktoś taki jak ja nie cierpi na choroby zakaźne, to przytrafia się tylko ludziom perwersyjnym i przegrany. Odświeżony, przyjemnie pachnący, apetyczny mężczyzna, na którego szerokim czole było wypisane niewidzialnymi literami: Jestem zwycięzcą.

Ani mi się śniło temu zaprzeczać. Nigdy w sprawach miłości nie mówiłam prawdy. Bo i cóż by to dało? Najwyżej narcystyczną urazę, całkowite porzucenie, odczarowanie iluzji, że dwoje ludzi jest stworzonych dla siebie... Byliśmy niejako parą doskonałą, ponieważ chcieliśmy jedno od drugiego czegoś, co nie wymagało harmonii uczuć. Johannes miał zamiar zakończyć ten kosztowny wieczór seksem. Mężczyźni z forszą inwestują z zasady w oczekiwaniu ekwiwalentu, przy czym mój partner samą fazę polowania poczytywał za niezmiernie pociągającą. Zwycięstwem była erotyka, seks tylko zamknięciem. Ale do niego było jeszcze daleko, Johannes kazał więc nalewać i nadmienił, że ceni kobiety mające mocną głowę.

Ostrygi to śmieszny podkład dla dwu butelek szampana, lecz Brenner miał pod tym względem rację. Byłam dobra w picciu, chociaż wolałam wino bądź whisky z lodowatą wodą. Do dziwnych przesądów na temat kobiet, jakim hołdują mężczyźni, należy przekonanie, że lubimy szampana. Jakby podniecenie brało się z języka. Każda zawodowa prostytutka

poruszając słomką, usuwa z napoju dwutlenek węgla, aby uniknąć wiatrów.

Ssało mnie w żołądku, ale włoski kelner zaserwował tylko dwa talerze wariacji deserowych, które przypominały, że tutaj nie przychodzi się po to, by się najeść. Flakon drogich perfum w damskiej toalecie przymocowano łańcuszkiem, co pozwalało wnioskować, że właściciel umie ocenić swoich gości. Rzeczą kosztowną należy rozkoszować się po kropelce, oznajmiał pozłacany łańcuch, a przecież mogłabym te perfumy wylać i zapach przemienić w nieznośny odór i kto by mi w tym przeszkodził? Powstrzymał mnie mój respekt dla pieniędzy, wszystkie niszczycielskie instynkty podporządkowały się dyktatowi czystego rozumu. Pieniądz oznacza, że ma się wybór. Pieniądz otwiera drzwi i ściele ciepłe łóżka, napycha żołądek, zmysłom zapewnia estetyczne przeżycia. Ubiór. Sztuka. Obszerne pomieszczenia z dużą ilością światła. Zachody słońca na Bora-Bora. Pieniądz przemienia ludzi w miłe usługowe istoty. Trzyma resztę świata na dystans. Miałam trzydzieści trzy lata i wiedziałam, w co opłaca się wierzyć.

Architekt wewnątrz polecił zawiesić w lokalu wielkie lustro, tak że dziełami sztuki na ścianach byliśmy my, odtwórcy dobrego życia. Moje odbicie w lustrze ukazywało kobietę, która udawała, że jest młodzieńczą pięknnością – twarz jak maska dla Johannesena Brennera, gładkie czarne włosy do ramion, biała suknia niewinności. To, co człowiek stracił, okazuje się godne pożądania wtedy tylko, kiedy spojrzysz wstecz. Nigdy nie pragnęłam powrotu do dzieciństwa, prób chodzenia na wysokich obcasach, skoków w dal i śmiesznych upadków, uczuciowych wahań między świetnością i nędzą ludzkiej egzystencji. Pewnego dnia znów zobaczę Leonarda Cohena i zamieszkać z nim na jakiejś greckiej wyspie, w białym domu nad błękitnym morzem, a on będzie dla mnie komponował pieśni i zaspokajał mój głód oliwkami.

*Chciałbym dyrekcji
zwrócić uwagę na to
że drinki są wodniste
a szatniarka
ma syfilis
zespół zaś tworzą
byle esesmańskie monstra
Skoro jednak
jest wieczór sylwestrowy*

*a ja mam raka na wargach
wcisnę
papierowy kapelusz na swój
wstrząs mózgu i będę tańczył*

- Szczęśliwego nowego roku – powiedział Johannes Brenner, ponieważ wybiła północ i stary rok zamienił się w przeszłość.

Johannes pocałował mnie, wpychając mi język do ust. Wszyscy całowali się na stojąco, właściciel lokalu obcałowywał gości. Tylko kelnerów pominięto. Oni rzucali konfetti i podawali szampana. Na koszt firmy. Pojawili się trzej kobziarze w szkockich spódniczkach, zbyt młodzi, aby przyznać rację Cohenowi, zbyt późno, by otrzymać pełną gażę za występ o północy. Zatrzymał ich nieszczęśliwy wypadek – jednemu urwało rękę przy odpalaniu fajerwerków. Wesoło się zaczął nowy rok. Kobziarze tłumaczyli, że w grę weszła siła wyższa.

– Nowy rok trzeba zaczynać z nowymi kobietami – rzekł Johannes, gdy cofnął język, a potem opróżnił kieliszek i rzucił za siebie.

Pocałunki dają prawo do przejścia na „ty”. Ty i ja. Dwie równoległe, które nie spotkają się w nieskończoności. Włoska renomowana restauracja, gdzie goście rzucają kieliszkami, uznając to za szalenie komiczne. Jeden z kelnerów miał zakrwawioną rękę i został dyskretnie oddalony. Lekkie skaleczenia osładzano napiwkami. Kobiety na sztywnych nogach, chichocząc, przekraczały skorupy. Mężczyźni śmiali się. Wesoły nowy rok. Byłam optymistką i powiedziałam Johannesowi, że powinniśmy jeść wieprzowinę i kiszoną kapustę, symbole szczęścia i pieniędzy. Czy jestem zabobonna? Tylko w odniesieniu do szczęścia, odparłam. Słowo „szczęście” miało dobrą koniunkturę, wszyscy czuliśmy się szczęśliwi, gdyż kobziarze zamilkli i zaczął się nowy rok, a my nadal żyliśmy, byliśmy pijani, siostry i bracia w bizantyjskim humorze, wszystkie zaś poranki wszystkich lat, wszelkie przebudzenia w jaskrawym świetle były daleko, każdy ból utopią, każda śmierć nonsensem.

Na dworze strzelano, jednakże goście zrezygnowali tego wieczoru z ogni sztucznych, aby wesprzeć jakiś zbożny cel. Chleb zamiast fajerwerków. Kieszonkowe w miejsce proletariackich zabaw z petardami. Trochę dobroci nie mogło wyrządzić szkody. A potem piliśmy z właścicielem udającym dobrego gospodarza, który od każdego stołu inkasował sto marek współczucia. *And a happy New Year for everybody.*

Pojawił się kelner ze srebrną tacą, na której królował gotowany świński łeb otoczony kiszoną kapustą doprawioną szampanem. Każdemu wolno było odciąć kawałek szczęścia.

Świnia wyglądała smutno, a ja wyobraziłam sobie głowę Johanna na tej srebrnej tacy, z listkiem koniczyny z marcepana w ustach. Okrutne córki królewskie prawie wymarły. Johannes oświadczył, że jestem najpiękniejszą kobietą wieczoru. Odebrałam to jak śpiew mistrza, który nieco wcześniej pewną fabrykę zabawek o rocznym obrocie czterech miliardów marek nazwał swoją.

Spotkałam Johanna przed jednym ze sklepów jubilerskich w Düsseldorfie. Zagadnął mnie, bo poszukiwał prezentu gwiazdkowego dla superklienta.

– Wie pani, chodzi o mężczyznę, który ma wszystko i przed świętami staje się dla mnie zmorą. Kobiety łatwiej jest obdarować – dodał, śledząc moje spojrzenie skierowane ku platynowym kolczykom. Doradziłam mu srebrną skrobaczkę do trufli, podczas gdy szacowałam jego wartość: buty, zegarek, ubranie.

Rozpoznaje się ją po butach, prawie bezbłędnie. Kaszmirowy płaszcz czy ubranie od znanego projektanta mody mogą pochodzić z wyprzedaży, a zegarek być podróbką z warsztatu w Hongkongu. Buty przeciwnie, są niezawodnym świadectwem prawdziwej elegancji bądź hołdu dla sztuki, dlatego w przypadku mężczyzn zawsze patrzę tam, gdzie obunóż stoją mocno na ziemi.

Nie mam nic przeciw brązowym skórzonym sandałom. Są z pewnością kobiety, które ów twór na stopie uważają za praktyczny, przewiewny i naturalny, a należących do niego mężczyzn za godnych pożądania, mimo że taki sandał jest znakiem dyskredytującego ich braku pieniędzy lub gustu. Mężczyźni nawet w czerwonych, zielonych czy białych półbutach z gumowymi podeszwami, w domowych pantoflach czy w butach kowbojskich mają prawo do tego, by być kochani. Ale nie przeze mnie.

Buty Johanna były czarne, błyszczące, wykonane ręcznie, na zamówienie. Powiedział, że jestem jego gwiazdkowym aniołem, kupił skrobaczkę do trufli, a mnie małego złotego aniołka, taki breloczek do kluczy. Żadne tam platynowe kolczyki. Nie był idiotą. Zaproponował espresso u „Tina” i tam opowiedział mi o swoich pieniądzach. O pieniądzach z zabawek. Niemieckich zabawek *made in Czech Republic i Poland, Laos i Vietnam*. Niskie koszty produkcji, chociaż ktoś taki jak on płaci uczciwie. Cokolwiek to znaczyło. Johannes Brenner był przemysłowcem w drugim pokoleniu i zdawał sobie sprawę ze swej odpowiedzialności za powiększanie majątku rodziny. Pięćdziesięciodwuletni bezdzielny wdowiec. Poszukujący kobiety do współżycia, jak to śmiało sformułował. To że jeszcze jej nie znalazł, było oczywiście winą kobiet. Zaczęło się wszystko od Ewy i właśnie

matki ukształtowały u mężczyzn obraz kobiety. Nie było zatem żadnego początku ani końca, tylko odwieczny łańcuch nieporozumień. Mężczyzn to jakby mniej poruszało niż kobiety.

Bogatyh mężczyzn spotyka się podczas przelotu biznesklasą, w barach pięciogwiazdkowych hoteli, na wernisażach, polach golfowych, w salonach sprzedaży samochodów ekskluzywnych marek, a także wśród Włochów z wyższych sfer. I przed sklepami jubilerskimi. Przedstawiłam się jako Fiona Lenzen, z zawodu złotnik – zacne, aczkolwiek nie tak lukratywne zajęcie jak produkcja zabawek. Złotnictwo ma w sobie coś z arcyzmu, a mężczyźni lubią to u kobiet. Johannes Brenner ucałował moją rzemieślniczą dłoń i napomknął, mrużąc oczy, że mógłby być moim ojcem.

Odparłam, że to mało prawdopodobne, lecz niewykluczone, ponieważ nigdy nie znałam ojca. Nazwał mnie poważną osobą. Podziwiałam jego buty, które kazał zrobić w Budapeszcie. Zapytał, jak wyglądają moje zarobki. Odpowiedziałam, że pracuję jako wolny strzelec dla kilku jubilerów w Niemczech. Że dopiero niedawno sprowadziłam się do Düsseldorfu i znam tutaj bardzo niewiele osób. Musiał odnieść wrażenie, że źle mi się powodzi, i zaprosił mnie na obiad. Odmówiłam, przyjął jednak jego wizytówkę, na której nagryzł numer swojej komórki, tajny kod zastrzeżony dla wybranych. Gdy na pożegnanie podałam mu rękę, czytałam w jego myślach: kobiety takie jak ja są łatwą zdobyczą, to gazy, które pozwalają się oślepić reflektorami porsche i drżą przy wystrzałach korków od szampana. Powiedział:

– Dwudziestego ósmego wracam z Zermattu. Proszę się odezwać jeszcze w tym roku. Znam tutaj paru dobrych jubilerów, być może mógłbym dla pani coś zrobić.

Wabiący zew dla Fiony Lenzen, złotnika. Uśmiechnęłam się niepewnie i przed rozstaniem położyłam na stole złotego aniołka. Drobnych upominków nie przyjmuję nigdy. Potem, nie oglądając się, wyszłam na chłód zimowego przedpołudnia. Całkowicie z siebie zadowolona, drżąc jednak z zimna, gdyż marzną niezwykle łatwo. Pracujące na własną rękę kobiety z branży złotniczej nie noszą futer. Königsallee, najbogatsza ulica tego miasta, była oblamowana otulonymi w nurki blondynkami, co poszukiwały skrobaczek do trufli. Brudny śnieg chlupał pod moimi skórzanymi podszewami, które nie sprostały wilgoci. W oknach wystawowych migotały lampkami choinki otoczone pięknymi, bezużytecznymi rzeczami, ale ja uważałam je zawsze za urzekające. Do hotelu miałam niedaleko. W hotelu zaś było ciepło, recepcjonistka dała mi klucz do pokoju, obdarzając mnie owym pięciogwiazdkowym uśmiechem, który tak lubiłam. Upewniłam się, że Johannes Brenner nie poszedł za mną.

Zadzwoiłam do niego trzydziestego grudnia, po okresie oczekiwania wystarczającym dla zwątpienia i nadziei. Z komórki na komórkę, słowo do słowa: wywrócił swoje plany

sylwestrowe i zaprosił mnie do lokalu wedle własnego wyboru. Uznał za oryginalne wejście w nowy rok z nieznaną, więc ja też zmieniłam plany, bo wydałam dużo pieniędzy na zabawki i potrzebny mi był przemysłowiec.

W lokalu wybranym przez Brennera nastrój eskalował ku rozpaczy, czego nie zauważano. Jakaś baba zaproponowała kobziarzowi pięćset marek za podniesienie spódniczki. Gdy chłopak się ociągał, mąż czy kochanek tej damy podwyższył stawkę do tysiąca marek, a towarzystwo wrzeszczało: „Rozbierać się! Rozbierać się!”, ponieważ teraz, skoro już nic się nie działo, pijacki nastrój domagał się nowych podniet. Więcej seksu dla oziębłych, więcej pieniędzy dla biednych. Nosiciel szkockiej spódniczki uśmiechał się zażenowany. Wszyscy wiedzieliśmy, że zrobi to za tę bądź wyższą cenę. Również on to wiedział i znał upokorzenie, które było prawdziwą erotyką. Johannes obserwował mnie.

– Chciałabyś podnieść stawkę? – spytał.

– Jego fiut mnie nie interesuje. – Musiałam to powiedzieć. Trochę rubasności dla Johanna, gdyż ktoś taki jak on ceni w nas nie dające się pogodzić przeciwieństwa: święta matka, bezecna kobieta, niewinne dziecko. Stawka była warta gry, toteż kobziarz spełnił swą rolę i podniósł spódniczkę, pod którą miał białe kalesony, odpowiadające w swej estetycznej wymowie brązowym sandałom, siatkowym podkoszulkom i skórzanym kapeluszkom. Kilka kobiet zaczęło histerycznie chichotać, mężczyźni zaś w swych markowych slipach zawtórowali śmiechem. „Oszust!”, krzyknął ktoś. Inicjatorka spektaklu podniosła spódnicę i zawołała: „Moje są piękniejsze!” Odsłoniła czarną koronkę na ciele z fitness klubu, a mąż czy kochanek wsunął jej do majtek banknot tysiącmarkowy. Przez dobrą chwilę spoglądała na niego jakby z nienawiścią – możliwe, że ten gest o czymś jej przypominał, o czymś, co próbowała wymazać z pamięci. Potem roześmiała się, wyciągnęła banknot i rzuciła kobziarzowi. Pieniądze wylądowały na podłodze, a ja zapragnęłam, żeby ich nie podnosił choćby przez sekundę, i nim to zrobił, rozumiałam go i kochałam jak siebie samą. Byliśmy siostrami i braćmi, dumnymi rycerzami rozbójnikami i nędznymi złodziejaskami, na szarym końcu łańcucha pokarmowego, zawsze gotowi jeść ostrygi tamtych i w zamian znosić ich śmiech.

Kobziarz był ładny i młody, może właśnie za to go nienawidzili. Szydercze wycie towarzyszyło pospiesznemu odejściu chłopaka. Johannes powiedział, że ten nadprogramowy *show* jest już doprawdy trzeciej kategorii. Włoski zespół, który teraz wystąpił, również nie znalazł uznania Brennera. Wyglądał na znudzonego. Zaproponowałam, żebyśmy wyszli,

ponieważ muzyka jest za głośna, a taniec to śmieszne ćwiczenie ciała. Wiele obiecujący uśmiech. Spojrzenie. Moja ręka na jego ręce, ledwie muśnięcie. Zerknął na moje piersi. Sto razy grane. Obcy na mojej obcej skórze. Dziwne słowa, które do mnie w ogóle nie dotarły. *Czy pani wie, co to znaczy być samotnym, bez jajek na miękko w srebrnych kubkach?*

Johannes odesłał kierowcę do domu, był dobrym człowiekiem. Pojechaliśmy taksówką do jego apartamentu w centrum miasta. W czasie krótkiej drogi kilku przechodniów, porykując, wchodziło chwiejnym krokiem w nowy rok. Mój oddech zaparował szybko. Johannes milczał podczas jazdy, oceniłam stan jego nietrzeźwości jako nieznaczący. Ktoś taki jak on nie może tracić nad sobą kontroli. Dał taksówkarzowi markę napiwku i otworzył drzwi domu za pomocą kodu. Apartament odpowiadał moim oczekiwaniom: obszerny, nowoczesny, prawdziwe dzieło sztuki jakiegoś architekta wewnątrz. Wydawało mi się, że wyłowiliśmy wzrokiem Kokoszkę, i pogratulowałam Johannesowi smaku. Jeden z dowodów bogactwa Brennera znajdował się też na wielkiej ponad miarę sofie: stare lalki, usadzone szeregami porcelanowe istoty z wytrzeszczonymi oczyma, starannie ułożonymi lokami, w drapowanych koronkowych sukniach. Osobliwa kolekcja, o której powiedział, że jest bezcenna. Lalkowe kobiety dla Johanna; nieprzemijającej urody, bo podlegającej naprawie. Nieme, sterylne, wartościowe. Wolałam misie, nigdy nie bawiłam się chętnie lalkami.

„Nie dotykaj”, krzyknął, gdy chciałam sięgnąć po którąś z porcelanowych istot. To była świętość i zrozumiałam, że ten stary dzieciak nie jest tak nieskomplikowany, jak się wydawało. Dłonią musnęłam tylko białą koronkę. Dokuczało mi zimno, marzną niezwykle łatwo, a w tym pomieszczeniu nie było się przy czym ogrzać.

W mieszkaniu Johanna panowały biele i żółcie. Usiadłam na białym krześle, gdy on tymczasem poszedł do kuchni po szampana. Sto razy grane. Rok miał dwie godziny, ja byłam trzeźwa i zastanawiałam się, które ze swych cennych rzeczy właściciel przebolałby najłatwiej. Przypuszczalnie pieniądze, to rozumiałe, ale Kokoschka pociągał mnie tak samo jak nefrytowy Budda, który lubieżnie szczyrzył do mnie zęby. Próbowałam oszacować jego wartość, nie byłam jednak ekspertem w dziedzinie figurek nefrytowych. I wciąż się jeszcze nie zdecydowałam, jaką metodę powinnam zastosować. Brennera wyszukałam niestarannie, prawie niedbale. Co częściowo wzięło się stąd, że początkowo miałam na celowniku innego mężczyznę. Również pora roku była winna pewnemu lenistwu, które mi nie pozwoliło przestudiować wnikliwie osoby przeznaczonej do ustrzelenia. Około Bożego Narodzenia włóczyłam się po ulicach ogarnięta żądzą oglądania, posiadania, kupowania. Na święta chciałam mieć wszystko, co wabi sroki, iskrzy się i migocze oraz wydziela ciepło. We mnie, bo marzną niezwykle łatwo.

Johannes Brenner wrócił z kuchni z tacą. Swoich pracowników traktował przyzwoicie, jak dobry pan. Nie lubił sprzeciwów i nieporządku. Jego sprzątaczką, kiedy ją zapytałam, nazwała go pedantem, a ja tę opinię mogłam potwierdzić. Mężczyzna z uregulowanym czasem pracy i zmiennymi sprawami. Po rozwodzie nie związany na dłużej z żadną przyjaciółką; rozwód kosztował go wiele pieniędzy i musiało go to mocno zboleć. Brenner inwestował w piękne przedmioty, w jedzenie i picie, w swoją kolekcję lalek, lecz nie był marnotrawcą w wielkim stylu. I w drobiazgach, na przykład w napiwkach, był nawet skąpy. Nie mogłam żądać zbyt mało.

Mój nowy znajomy okazał się człowiekiem próżnym, ale to nie stanowiło niezwyklej cechy u mężczyzny w jego wieku i o jego dochodach. Potrzebował publiczności i traktował kobiety uprzejmie, lecz zarazem nieco protekcyjnie. Nie wydawały mu się równorzędnymi przeciwnikami. Johannesowi świat jawił się jako arena, na której mężczyźni w najprzeróżniejszy sposób, choć z podobnych pobudek, występują przeciwko sobie. Kobiety rzucają koronkowe chusteczki i oddają się zwycięzcy. Są niedoskonałymi dziełami sztuki w jego zbiorze. Pozostawało pytanie, czy Johannes umie przegrywać. Tchórzostwo lub odwaga u kogoś takiego jak on tak blisko sąsiadują ze sobą, że tego oszacowania, niezwykle ważnego dla wyboru odpowiedniej metody, nie chciałam jeszcze czynić. Na to lub inne podprowadzające pytanie odpowiadał wymijająco. Jego wizerunek miał wiele luk, musiałam więc improwizować, co było pociągające, ale nie całkiem bezpieczne.

Brenner siedział obok mnie na białej sofie, kryjąc coś za plecami. Jakiś klejnot dla kobiety złotnika?

– Fiona to przepiękne imię – odezwał się.

Dlatego je wybrałam. Wyboru imion i nazwisk starałam się zawsze dokonywać skrupulatnie. Chciałam dać dowcipną odpowiedź, lecz gdy spojrzałam na niego, przeraziłam się. Jego oczy! Oczy lalki, zbyt małe, zbyt niebieskie, zbyt nieruchome. Wytrzymały moje spojrzenie, uśmiechnął się, ja zaś poczułam na rękach zimny metal i usłyszałam trzask sekundę po tym, jak złączył moje dłonie niczym w modlitewnym geście. Mając przed sobą wyraźny cel, zrobił to tak szybko i przebiegle, że na moment odwrócił moją uwagę. Trik magika, aby założyć kobiecie kajdanki. Byłam pewna, że stosował go nie po raz pierwszy.

Myśl, że wpadłam w ręce tajnego funkcjonariusza policji kryminalnej, odrzuciłam natychmiast. Oni nie zadawaliby sobie trudu z zastawianiem tak skomplikowanej pułapki. Uniosłam wzrok z moich skutych rąk na pełną, księżycową twarz Johanna. Przyjazny księżyc czy nie nadająca się do zamieszkania planeta?

– Czy mam rozumieć, że jestem aresztowana?

Jego śmiech zabrzmiał zbyt przeraźliwie, aby mnie pocieszyć. Dotąd nie odczuwałam strachu wobec mężczyzn, ale w tym momencie zdałam sobie sprawę, że gra wymknęła mi się z rąk, nie tylko w przenośni. Że popełniłam fatalny błąd, spotykając się z Brennerem bez należytego przygotowania. Wciąż jeszcze zaśmiewał się, miał poczucie humoru nie znające litości. I skłonność do grubiańskich niespodzianek. Nie chciałam zastanawiać się nad tym, co zamierza. Teraz należało opanować strach i jasno myśleć. To wszystko było zupełnie normalne. Siedziałam z nieznanym w jego mieszkaniu na dwunastym piętrze. Lalki wlepiły we mnie oczy. Na stole stała butelka szampana i dwa napełnione kieliszki.

– Chciałabyś się napić?

Skinęłam głową, wręczył mi zatem kieliszek, który ujęłam oburącz, ponieważ nie mogłam inaczej, i oburącz podniosłam do ust, podczas gdy kajdanki wrzynały mi się w skórę. *Mój przyjaciel F. zwykł mawiać na swój frywolny sposób: Musimy się uczyć, jak ładnie utrzymywać się na powierzchni. Musimy się uczyć, jak kochać zewnętrzne zjawiska. F. zmarł w wyłożonej gumą celi, jego mózg zgnił z nadmiaru brudnego seksu.*

– Jak myślisz, co zamierzam z tobą zrobić w ten pierwszy przepiękny dzień nowego roku?

Czy chciałam wiedzieć? Wypowiadać swoje domysły? Nie, pragnęłam być nieustraszona, frywolna i ładnie utrzymywać się na powierzchni. I żyć na jakiejś greckiej wyspie z kimś, kto jest zwariowany, lecz na swój sposób bardzo łagodny i poetycki. Poeci torturują się słowami, ale one są nieszkodliwe. Johannes Brenner wyglądał teraz inaczej i mówił inaczej niż w restauracji. Większość mężczyzn nigdy nie zdejmuje swych masek, za co należy być im wdzięcznym. Mój sukces zawsze opierał się na tym, że panowałam nad sytuacją i zachowywałam zimną krew. Ale teraz naprawdę ciarki przeszły mi po plecach.

– Nie mówiliśmy jeszcze o tym, czy jestem masochistką. Sądząc po sytuacji, powinnam się określić, toteż informuję: nie jestem, to wiem na pewno.

Johannes uśmiechnął się, jakby był kompletnie obłąkany. Może przez cały wieczór tak się uśmiechał, a ja tego nie dostrzegałam na skutek zbytnej arogancji wobec swej potencjalnej ofiary. Kajdanki nie były tak straszliwe jak te porcelanowe oczy, które powiedziały mi, że do Brennera nie przemówię ani ja, ani nikt inny. Że nie mają do niego dostępu takie uczucia, jak sympatia, dobroć, współczucie. Przekroczyłam w swoim życiu wiele granic, ale tej nigdy. Do diabła, to było czyste szaleństwo. Zawsze dotąd działałam racjonalnie. Jeśli raniłam swe ofiary, to w ich dumie, próżności, przywiązaniu do pieniędzy. Nigdy nie targnęłam się na kobietę i rzadko myślałam się w wyborze mężczyzn. Do dziś...

Spoglądając na kajdanki, które nie wyglądały jak zabawka, powiedział:

– Jesteśmy małą grzeczną dziewczynką, co? I taką ładną... Uczciwie mówiąc, mnie to bawi o wiele bardziej, jeśli ciebie nie bawi. Jeśli będziesz skamlać ze strachu i krzyczeć z bólu. To mnie podnieca, Fiono, nie wspomniałem ci o tym w starym roku?

Nie, ty sukinsynie. Znajdę sposób, aby wszystko przetrzymać. Dostanę cię, chociaż teraz jest to twoja zabawa. I nie będę krzyczeć. I nie pokażę ci, że umieram ze strachu.

– Czy matka cię molestowała, a ojciec był oprawcą? Czy też jesteś po prostu zwyczajnym sadystą, który żyje w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu? – Boże, jak mi było zimno. Koncentrowałam się z całej siły na tym, żeby nie drzeć.

Brenner ani na sekundę nie spuszczał mnie z oczu, obserwując efekt swoich słów:

– Przywiążę cię do łóżka, Fiono, i potem będę łaskotał nożem, trochę tu, trochę tam... Urozmaicam tę grę od czasu do czasu. Ale ponieważ ona mnie podnieca, rozumiesz, nie mogę się powstrzymać, żeby trochę nie pociąć. Krew jest taka piękna, ma niebiański kolor... Doprowadza mnie do takiego szaleństwa, że pragnę czegoś więcej. I bardzo lubię krzyk. Mam tylko nadzieję, że nie wypilem zbyt dużo, bo wtedy dłużej dochodzę do szczytu. Niektóre tego nie wytrzymują.

Cóż za dystyngowany opis torturowania! Wydawało się, że już samo opowiadanie sprawia mu nieskończoną przyjemność. A ostatnie zdanie malowało na ścianie śmierć, na białej ścianie z delikatnymi żółtymi prążkami, które wyglądały jak stylizowana krata. Łatwiej mi było zachować kontrolę, gdy na niego nie patrzyłam. Niech mi ktoś namaluje na ścianie znak, jak zatrzymać tego obłąkańca. Nie chcę umierać, nie tak szybko, nie w ten sposób. Bez krwawych nagłówków. Jestem mistrzynią przeżycia, Johannesie Brenner, ale boję się bólu, który można mi zadać. Jestem winowajczynią, Johannesie, ale to wszystko jest straszliwą pomyłką. I nie zaniecham walki.

– Nie boisz się AIDS? Zapomniałam ci powiedzieć, że złapałam HIV.

Cios wierzchem dłoni w twarz sprawił mi ból, a głowa od impetu uderzenia poleciała do tyłu. Brenner stanął przede mną i przywarł do moich kolan, tak że nie mogłam się ruszyć. Wściekłość wzięła górę nad strachem, co było komiczne. Nie była jednak komiczna krew w ustach, którą przełknęłam, moja krew, gdy on tymczasem przyglądał się swojej dłoni, dłoni oprawcy. Ujął nią mój podbródek i zmusił mnie, bym spojrzała w jego straszliwe oczy.

– Kłamiesz. Wy, pizdy, zawsze kłamiacie. A nawet gdyby tak było, moja droga Fiono, nie ma to żadnego znaczenia. Noszę rękawiczki. I nie zamierzam ci wtykać. Ja tego nie potrzebuję. Ale mój nóż... Czasem robi, co chce, rozumiesz, wtedy tracę nad wszystkim kontrolę...

Puścił mnie. Wcale się nie uspokoiłam. Bolał mnie policzek. Byłam jednym wielkim

bólem i walczyłam słowami przeciwko obcej mi formie przemocy, którą jak mi się zdawało, zostawiłam już za sobą. Zawsze walczyłam o zwycięstwo słowami, no, prawie zawsze, i ufałam, że są bardzo skuteczną bronią.

– Czy już kiedyś kogoś zabiłeś? – zapytałam.

Uśmiechnął się i powiedział, że to przecież tylko gra. Wytwórca zabawek wyprodukował władzę w jej najczystszej formie: władzę nad życiem. Jego gra, moje życie. Jego reguły, mój strach. Brenner patrzył na mnie, wcale mnie nie widząc. I gdy myślałam o tym, że może jednak powinnam przeraźliwie krzyknąć, aby go szybko zadowolić, skoro już się zdradziłam przed swoim katem, nagle oświadczyłam mu, że się w nim zakochałam. Opowiedziałam historie, które opowiadałam wielu mężczyznom, rzucałam swoje słowa na pozarcie, zdania zmyślane dla jego niepokojów, arogancji, samotności, żądz i niezdolności, by żyć uczuciami. Te słowa nie miały naturalnie nic wspólnego z prawdą, lecz raz wypowiedziane, nie dały się już wymazać. Nie oszczędziłam mu niczego: moja młodość w domu dziecka, siostra z chorobą nowotworową, moja heroiczna walka przeciw złemu światu, w którym niczego nie dawano za darmo i nic się nie udawało, jeśli człowiek nie wierzył w siebie. I w cud. Cud nawrócenia się Johannaesa. Byłam dobra, naprawdę dobra, i przez chwilę wierzyłam, że mi się przysłuchuje. Wtedy powiedział:

– Właściwie jesteś bardzo miła.

„Właściwie” jest słowem, które nigdy nie sprowadza cudu. Jednakże wyciągnęłam do Johannaesa swoje skute ręce. Możliwe, że drżały. A może był to wyraz mojego poddania się, który go podniecił i zgasił jego wątpliwości.

– Nie zmienia to jednak niczego w naszej małej wyprawie dla przyjemności, Fiono. Powlokłem łóżko gumowym prześcieradłem. Krew by mi potem przeszkadzała. Wszystko przygotowane, moja droga. Powinniśmy zaczynać.

Podniósł mnie z tapczanu za skute ręce i rozsunął zamek błyskawiczny mojej białej sukni. Trzeba wierzyć, że świat jest zły i bez żalu nas pożegna. Tylko głupiec może sądzić, że suknia opadnie przez skute kajdankami ręce. Szarpnął ją i rozerwał. Ileż to lat temu kobieta w czarnej koronkowej bieliźnie stała na stole, a ja przez kilka sekund kochałam pewnego kobziarza? Johannes, rzeźnik mojego ciała, przypatrywał mu się z uznaniem. Ręce miał zimne, a mnie chłód przenikał na wskroś.

Skierował się w stronę oszklonej szafki – moja ofiara, mój oprawca. Mężczyzna, którego sama sobie wyszukałam. Przecięłam zuchwale drogę tak wielu mężczyznom, a nigdy nie pomyślałam o tym, że spotkam zło niezwykłe. Psychopatę. Kogoś, kto z rozkoszą zadaje męczarnie. Ile obcej rozkoszy da się wytrzymać? Gdzie leży punkt, w którym strach przed

śmiercią zmienia się w tęsknotę za nią?

Brenner podszedł do mnie z nożem w ręce. Zabytkowy egzemplarz, bardzo piękny, długi i wąski, z ostrym spiczastym końcem skierowanym ku mnie. Dotknęło mnie to, czego się zawsze obawiałam: utrata kontroli nad własnym życiem. W osobie fabrykanta zabawek, genetycznego potwora, który grał rolę bogatego kulturalnego mężczyzny. Powinno się spalić jego lalki na stosie razem z nim. Ale teraz należało podjąć jeszcze jedną próbę, by zaniechał swych zamiarów. Nogi miałam swobodne, mogłam biec, mogłam kopać. Nie chciałam umierać. I przysięgałam Bogu, w którego nie wierzyłam, że nigdy więcej nie użyję żadnej ze swych metod oskubywania mężczyzn z pieniędzy. Jeśli ten koszmar przeżyję, zmienię swoje życie. Pomóż mi, Leonardzie. Zapłacę każdą cenę. Nawet cenę prawdy. *I oto wtargnęłaś do matematycznego działu swojej duszy, a przecież twierdziłaś, że nie masz żadnej. Zakładam, że to, plus złamane serce, pozwoli ci uwierzyć, iż słusznie byś teraz uczyniła, wyruszając na poskromienie sadystów.*

ROZDZIAŁ 2

Mając piętnaście lat pojęłam, że żyjemy w jakimś nierzeczywistym świecie, w którym niepewność stanowi wielkość najpewniejszą. W moim otoczeniu nikt nie był taki, jakim się wydawał. Nawet Claire, nasza gospodyni, która naprawdę miała na imię Klara i pochodziła z Lipska. Claire... Klara była aktorką i komunistką i cytowała Brechta, gdy niedbałą ręką wzbijała kurz, który przy akompaniamencie słów Baala opadał na podłogę. Klara wierzyła, że biedni są lepszymi ludźmi. Karmiła mnie Brechtem, a obie nas żywił mój ojciec, czerpiąc sporadyczne zyski ze swego kapitalistycznego domku z kart. Postawiona przed wyborem, czy być uczciwym człowiekiem w rozumieniu Klary, czy jeść ostrygi, zdecydowałam się na to ostatnie. A może po prostu okoliczności wpłynęły na mój wybór. Albo dosadne stwierdzenie pana B., że przed moralnością idzie żarcie.

Klara oddałaby duszę za angaż poza naszym domem, nie było jednak na widoku żadnego faustowskiego uwodziciela z wyjątkiem mego ojca, który obiecując wizyty znanych reżyserów, kusił ją, by pozostała. Ci odkrywcy Claire nie zjawili się nigdy, lecz Klara nie przestawała wierzyć, bo ojciec był dobrym aktorem. Kiedy kłamał, głos mu nie drżał, toteż długo byłam przekonana, że jego zdolność oszukiwania poradzi sobie z każdym wykrywaczem kłamstw. Sugestywny, arogancki, ujmujący sposób mówienia ojca przywodził na myśl Oscara Wenera. Tak jak on ojciec nie był wysoki – napoleońskiej postury, nosił ciemnopopielaty kaszmirowy garnitur i zielone lub niebieskie krawaty. Tylko w gorące letnie dni zdejmował przy jedzeniu marynarkę. Gdy miałam czternaście lat, powiedziałam do Klary, że tato nawet w piekle nie będzie się pocił, a ona odparła, że piekło jest klerykalno-kapitalistycznym wymysłem mającym sterroryzować proletariat. Lubiłam pompatyczne stwierdzenia Klary, chociaż nie zawsze je rozumiałam. Ojca chyba bawiły, tak że czasem, kiedy był w wyjątkowo dobrym nastroju, dyskutował z nią o problemach walki klas i zawsze był górą, niemniej wszystkie kwestie i tak pozostawały otwarte.

Klara i ja byliśmy jego rodziną, lojalnym sztafajem, ale niewiele znaczącą publicznością, której potrzebował, aby odpowiednio żyć. Hubert Wondraschek, urodzony w Brnie, był kapitalistą bez kapitału. Oszustem w nomenklaturze wymiaru sprawiedliwości. Miał w sobie coś z Robin Hooda – tak objaśniła mnie Klara, gdy byłam dostatecznie duża,

żeby zapytać o podstawę naszej egzystencji. Nim skończyłam piętnasty rok życia, przeprowadzaliśmy się przeszło czterdzieści razy, wędrując wzdłuż i wszerz kraju. Mieszkałam w pałacach, willach i bungalowach, w luksusowych hotelach i niestety również w nędznych pensjonatach.

„Człowiek nie musi mieć domu, to potrzebne tylko mieszczuchom”, mówił ojciec, kiedy znowu siedzieliśmy na walizkach, i naturalnie mówił za siebie, Klara bowiem nienawidziła przeprowadzek, które nieodmiennie odsłaniały śmieci za szafami, kurz na ramach obrazów, krótko mówiąc – ślady jej niedokładnego działania w naszym gospodarstwie. Klara zawsze płakała, gdy za ostatnim pakowaczem z ostatnim pudłem opuszczaliśmy kolejny dom, i dygotała na całym ciele, a ojciec rozdzielał hojne napiwki. Już w samochodzie oglądała się za siebie raz po raz, ścisnęła moją dłoń i cytowała Szen Te, póki ojciec jej nie powiedział, że nie ma talentu do roli dobrego człowieka z Seczuanu. Uznałam to za bardzo niesprawiedliwe, ponieważ Klara, bardziej czy mniej, troszczyła się o mnie, odkąd moja matka się wyprowadziła; tak ojciec określał porzucenie nas przez nią, gdy miałam cztery lata.

Matka opuściła dom, bo pokochała innego mężczyznę. Długo nie rozumiałam tego, co intuicyjnie wiedzą dzieci o uczuciach dorosłych, jednakże w wieku piętnastu lat już wystarczająco długo mieszkałam z ojcem, aby jej wybaczyć. Nie całkiem, nigdy do końca, ale jak mogła „kobieta z dobrego domu”, co ojciec ciągle podkreślał, jak mogła znosić ucieczki, zmiany skóry, wszystkie te kłamstwa, z którymi splatała się nasza egzystencja? Przez długi czas byłam dzieckiem, Klara zaś sentymentalną komunistką; dla mnie świat ojca był początkowo miejscem pełnej przygód zabawy, natomiast dla Klary zawsze naturalnym nieporządkiem rzeczy pod księżycem Alabamy.

Inne miasto, inny dom, inne nazwisko. Wkrótce po moich szesnastych urodzinach przeprowadziliśmy się do Hamburga, do stojącej nad Łabą willi, która w całym swym przepychu i okazałości chyliła się ku upadkowi. „Potrzebna niewielka renowacja”, powiedział ojciec, który wynajął willę od pewnej starej damy mieszkającej w domu seniora. Dama uznała Huberta Wondraschka – w owym czasie ojciec nazywał się doktor Harald Werner – za czarującego człowieka. Wiele wynajmowanych przez nas domów należało do niemłodych już kobiet. Ojciec osłepiał je kurtuazją, swym tytułem i zawodem. Usidlał lewentyńskim urokiem. Całował je w rękę i mimochodem wspominał o swym majątku, stosunkach towarzyskich i innych pod każdym względem znakomitych cechach długoterminowego najemcy zbyt drogo wycenionego obiektu.

„Trzeba wyszukiwać domy trudne do zbycia, wówczas właścicielki są gotowe

uwierzyć we wszystko”, mówił ojciec, a rezultaty, jakie osiągał, potwierdzały słuszność tych wywodów. Jeśli jakaś siedziba pojawiała się w ogłoszeniach przez dwa, trzy tygodnie, dzwonił do pośrednika albo do właściciela. Dawał pierwszeństwo umeblowanym nieruchomościom i starszym paniom, a kiedy trafiał na osobę zbyt dociekliwą lub nieufną, przerywał rozmowy pod pretekstem, że obiekt nie przypadł mu do gustu. Zdarzało się to, choć niezbyt często, ponieważ właściciele ułatwiali ojcu zadanie. Był taki miły!...

W stosunku do mnie również był zawsze miły, pełen uprzedzającej grzeczności, która nie dopuszczała niepożądanych uczuć. Lekki pocałunek w czoło na dobranoc. Mało znaczące pytania o moje samopoczucie. Żarty, z których się śmiałam także wówczas, gdy byłam smutna. Kobiety, które dawały mi cukierki, a następnie z nim wychodziły. Goście, których obsługiwałam w białym fartuszkach z falbanką, gdy byłam już wystarczająco duża, aby wystąpić jako służąca. Ojciec był wspaniałomyślnym, zawsze pogodnym mężczyzną, wymagającym od Klary i ode mnie tylko wesołego współnictwa, niczego więcej.

Nie uważam swego dzieciństwa za nieszczęśliwe, chociaż Klara czasami używała wobec mnie okropnego słowa „pólsierota”. „Mama nie umarła”, mówiłam wtedy i wzbraniałam się przed rozważaniem rzeczywistej różnicy między zmarłym i nieobecnym. Ona po prostu pewnego dnia zniknęła, chociaż w moim wyobrażeniu musiał to być potwornie skomplikowany, straszliwy krok. Wyszła z pałacu z białą skórzaną walizką (ten szczegół wydawał się ojcu ważny) i nigdy więcej nie dała znaku życia. Nie zostawiła mi nic oprócz kilku zdjęć, na których z pozoru szczęśliwa matka trzyma na ręku dziecko. Ojcu, który twierdził, że kochał ją tak, jak nie kochał później żadnej kobiety – a twierdzenie było bogate w treść, bo miał po niej wiele kobiet – nie zostawiła nic oprócz kilku kapeluszy i płyt. Tyle że on nie umiał się smucić. W moich wspomnieniach nie ma żadnej rodzinnej tragedii, jest tylko pustka, którą wypełniał ojciec i Klara prowadząca już wtedy nasze domowe sprawy.

Później, kiedy byłam większa, opowiedział mi o kochanku matki, śpiewaku, „długowłosym bardzie”, jak doprecyzował. „Była zbyt romantycznie usposobiona jak na małżeństwo”, skwitował i tym samym zrzucił z siebie wszelką winę. Nigdy wszakże nie mówił o matce źle. Jedyne zarzut dotyczył tego, że opuściła go wtedy akurat, gdy był panem na zamku. „Przedtem okoliczności powodowały, że całymi tygodniami mieszkaliśmy w jakimś pensjonacie, w jednym pokoju, w wielkiej ciasnocie z małym dzieckiem, a potem znalazłem ten pałac, Felicitas, stosowną oprawę dla twojej matki. To był bajeczny dom, pamiętasz? Park, podjazd, antyczne meble... Mogłaś, pedałując, jeździć autkiem przez amfiladę pokoi. I twoja mama wszystko to porzuciła, ponieważ uznała, że jest śmiertelnie zakochana.”

Pamiętam ten czerwony samochodzik na pedały. Ale pałacu już nie, ponieważ amfilad, parków i ogrodów nie da się zachować w pamięci na zawsze. Podobnie jak Klara, chociaż z innych powodów, w pewnym momencie zniechęciłam się do przeprowadzki, również z nędznych pokoi w podupadających pensjonatach, będących tylko „prowizorką”, jak powiadał ojciec, do pałaców. Prawdę mówiąc wszystko w naszym życiu wydawało mi się tymczasowe.

Oczywiście na widok nowego domu wydawałam radosne okrzyki, jak ojciec oczekiwał. A kiedyśmy znowu wyjeżdżali do innego miasta, podnosił mnie i promieniejąc zapewniał, że nowe miejsce jest o wiele piękniejsze i wspanialsze. Wierzyłam mu, ponieważ nie miałam innego wyboru, ponieważ nie dopuszczał niezadowolenia bądź łez, ponieważ nie cierpiał „złych nastrojów”. Był niepoprawnym optymistą. Klownem. Hochsztaplerem. Miał dar oczarowywania ludzi na chwilę, po czym sprawiał zawód. Inaczej nie potrafił. Jakżeby miał nie sprawiać zawodu, skoro żył w świecie, na który nie było go stać?

„Zły jest człowiek, jak zły był, więc go po łbie wal co sił.” Klara śpiewała piosenkę Peachum podczas oględzin domu przy Elbchaussee. Opanowała wszystkie role z „Opery za trzy grosze”, odkąd zagrała Polly na prowincjonalnej scenie „lepszych” Niemiec, które nie były w stanie spełnić ani jej artystycznych, ani politycznych marzeń. Uciekła podkopem w drugim roku po wybudowaniu muru berlińskiego, natomiast jej ówczesnego narzeczonego w czasie ucieczki zastrzelono. Klara nazywała to okrutną ironią losu, gdyż on uciekał tylko z jej powodu, z miłości, która tłumaczy nawet najgłupsze postęпки. Tak mówiła Klara, która od tamtego czasu nazywała się Claire i dążyła do zrobienia kariery aktorskiej, a doszła do rangi zgłodniałej statystki i w końcu wpadła w ręce mego ojca. Zaproponował jej rolę gospodyni i zastępczej matki. Matki Courage, bo i tę rolę Klara kochała, a ja kochałam ją, nawet jeśli nas wciąż zapewniała, że odejdzie, skoro tylko otrzyma przyzwoity angaż.

Trzy razy spełniła swoją groźbę, ostatni raz gdy miałam dwanaście lat, wróciła wtedy dopiero po czterech tygodniach. Nie zwierzała się, co robiła w tym czasie, ojciec jednak przypuszczał, że dała się nabrać pewnemu producentowi pornosów. „Claire uwielbia brechtowskie kurwy”, powiedział, „ale do niuansów tej profesji nie nadaje się, jak zresztą większość kobiet”. Wówczas nie zrozumiałam go do końca, ale sądziłam, że ojciec zna się na kobietach – może z wyjątkiem mojej matki. Na zdjęciach przechowywanych w pudełku po pralinkach jawiła mi się jako istota niezmiernie piękna, całkiem inna niż Klara. Tę od biedy można było nazwać ładną, często zmieniała kolor włosów i poddawała się każdemu kapryswi mody, oczywiście jeśli ojciec mógł jej wypłacić wynagrodzenie. Kiedy zaś brakowało mu pieniędzy, zachowywał się wobec Klary szczególnie szarmancko, czarował producentami i rolami ze swego cylindra kłamstw. Claire natomiast grała rolę lojalnej

wspólniczki, która także nie daje się zastraszyć ponurym czasom. Wydawało mi się, że ona niezwykle lubi nasze kryzysowe dni, wtedy bowiem ojciec suflerował jej, że jest bohaterką proletariatu, co było mocno naciągane, ponieważ wojna ojca przeciw kapitalizmowi była czystą wyprawą po łup. Jednakże Klara wierzyła również w to, że sztuka realistyczna jest sztuką bohaterską. W dniach kryzysu Claire odbierała telefony i pozbywała się wierzycieli; kłamała w drzwiach domu i naruszała swoje konto, aby nas utrzymać. W owym czasie była wcieleniem wszystkich bohaterek Brechta i nikt nie pytał o kurz na szafach i brudne naczynia. Wiedzieliśmy, że trzeba przetrzymać oblężenie; ojciec był strategiem, Claire zaś bastionem i chodziło o to, by wytargować honorową kapitulację. Póki nie obudziłam się z dziecięcych snów, ta gra wydawała mi się emocjonująca; później odczuwałam strach i wstyd, które próbowałam ukryć, gdyż takie uczucia nie były w domu mile widziane.

Po każdej zmianie lokum miałam prawo pierwsza wybrać sobie pokój w nowym domu. To był mój przywilej, przeprowadzkowy cukierek od ojca. W wymagającej odnowienia willi przy Elbchaussee wybrałam poddasze, ponieważ znajdowało się daleko od domowych czynności Klary i reprezentacyjnych pomieszczeń ojca. Tapety dawno wyblakły, lecz drewniana podłoga skrzypiała podniecająco, a widok na rzekę i statki był rekompensatą za wygląd mebli, które właścicielka przeznaczała chyba niegdyś dla służby.

Nie miałam wiele do rozpakowywania; w przeciwieństwie do wielu dziewcząt w moim wieku nie kolekcjonowałam niczego. Wyrzucałam rzeczy, ich przechowywanie wydawało mi się absurdem przy naszym trybie życia, przy naszych wędrówkach, które miały jeden cel: żyć na koszt innych. Zabawki, odzież, kasety – wszystko, co ojciec kupował w nadmiarze, kiedy dysponował pieniędzmi, pozostawiałam przy przeprowadzkach, wiedziałam bowiem, że z lekkim bagażem podróżuje się wygodniej. Klara besztła mnie z tego powodu i przypominała o głodujących, pozbawionych zabawek dzieciach z krajów Trzeciego Świata. Była dobrym człowiekiem, ale niekiedy działała mi na nerwy; była moją najlepszą, moją jedyną przyjaciółką. Claire jednak ze swoim wiecznym pragnieniem, by stanąć na scenie, budziła we mnie mieszane uczucia. Kiedy byłam mała, pytałam ją co wieczór, czy nazajutrz jeszcze u nas będzie. I gdy kiwała głową, nie wierzyłam jej. A jeśli wzruszała ramionami, wierzyłam. Każdego ranka budziłam się ze strachem, że odeszła.

„Nie wolno przeceniać wartości jednostki”, mówiła Klara i nawet jako dziecko rozumiałam, że to twierdzenie jest niezwykle głupie. Przecież wartości, jaką miała dla mnie, nie mogłam ani zmierzyć, ani wycenić. Klara odrealniała rzeczywistość, stwarzając teatralne ramy dla nieodwzajemnionych uczuć. Moich. Swoich. A jakie uczucia żywił ojciec dla mojej matki, dla mnie, dla Klary, dla kobiet pojawiających się w domu? Te, które mogłam

zauważyć, były blade, falujące i ulotne jak dym jego hawańskich cygar. Hubert Wondraschek *alias* dr Harald Werner zabierał to co najlepsze. Jeśli mógł.

Klara nienawidziła domu nad rzeką, ponieważ był z rodzaju tych, które dla utrzymania czystości wymagają całego zastępu służby. Woląла nowo budowane bungalowy z nowoczesnymi małymi kuchniami, flizowymi posadzkami, funkcjonalnymi, wbudowanymi szafami i dającymi się ogarnąć wzrokiem ogródkami przed domem. Wymyślała na burżuazyjne sklepy ze starzyzną, gdy nadzorowała robotników rozpakowujących po przeprowadzce skrzynie z naszymi rzeczami. Nie ufała mężczyznom o zgrubiałych, spracowanych dłoniach, a swoje poczucie winy niwelowała nadzwyczajną uprzejmością, co w połączeniu z jej energicznym działaniem prowadziło czasem do nieporozumień i niewinnych seksualnych dwuznaczności. Na walkę płci Klara patrzyła bardzo pragmatycznie. „Mężczyźni pragną seksu”, mówiła, „natomiast kobiety romantyzmu i bezpieczeństwa. Dlatego zawiera się umowy nazywane miłością lub małżeństwem: aby połączyć przeciwieństwa. Kobiety płacą za to, że stale ignorują zapisy, które w umowach zamieszcza się drobnym drukiem.” Klara lubiła działać na męskie zmysły, ale nie lubiła mężczyzn. Z jednym wyjątkiem: mojego ojca. Mając szesnaście lat, sądziłam, że dla niego zaakceptowałyby to, co widniało w umowach drobnym drukiem. Jednakże Wondraschek, kobieciarz, wielki uwodziciel młodych i starych kobiet, był ślepy na miłość Klary. Obrażał ją swymi romansami i lekceważeniem jej wielkiego uczucia. Pozostała u nas, bo lubiła tragiczne role, na przykład nieodkrytej aktorki i potencjalnej kochanki.

Hubert Wondraschek *vel* dr Harald Werner stał na tarasie i otwierał butelkę szampana, jak zawsze gdy przybywaliśmy na nowe miejsce, i pił z nami za nowy dom, za wiele obiecujący początek, za sukces. Ojciec nie obawiał się wielkich słów. A my, Klara i ja, chciałyśmy wierzyć, że być może tym razem sprawy ułożą się dobrze. Kobiety mają zdolność wierzenia w to co niemożliwe. Mężczyźni natomiast wierzą, że potrafią dokonać tego co niemożliwe. Przynajmniej mój ojciec wierzył. Był zresztą jedynym człowiekiem, którego trochę znałam, to znaczy trochę lepiej niż szybko zmieniających się szoferów i ogrodników, pakowaczy mebli, kierowców autobusów, konduktorów, nauczycieli, uczniów. W jednym czy drugim podkochiwałam się po dziewczęcemu, lecz wszelki rozwój uczucia czy okazji do utraty dziewictwa niweczyły częste przeprowadzki. Tryb życia ojca był moim pasem cnoty, chociaż włoski szofer w Stuttgarcie prawie osiągnął cel na tylnym siedzeniu mercedesa. Enrico, rozbierając mnie, zapomniał jednak o hamulcu ręcznym. I to był błąd, bo kiedy wóz na skutek huśtania ruszył, mój niedoszły kochanek z opuszczonymi spodniami rzucił się szczupakiem do przodu w skomplikowanym akrobatycznym saltie, które omal się powiodło.

Niestety, nim Enrico dosięgnął hamulca, już jedno z aut parkujących na lekko spadzistej Waldstrasse zadziało jak kozioł oporowy. Rozległ się głośny trzask i zatrzymaliśmy się, szofer cisnął włoskie przekleństwo, a ja zapięłam dzinsy i wysiadłam. Oddaliłam się, pozostawiając mężczyźnie o elokwentnym łakomym języku powstały kram. Była to moja pierwsza próba eleganckiego odejścia – skuteczna. Enrica natychmiast zwolniono, aczkolwiek wiele nie stracił, ponieważ my i tak cztery tygodnie później opuściliśmy Stuttgart, aby pociągnąć do Innsbrucku, stamtąd zaś dalej, do Bregencji, Salzburga i Wiednia, aż tajny radca doktor Weissmann (tak nazywał się ojciec w Austrii) zdecydował się rozbić obóz na północy. Karawana pociągnęła z nim, szemrając, ponieważ Klara spodziewała się w Wiedniu angażu, a ja zakochałam się w nauczycielu niemieckiego i wyjątkowo przynosiłam do domu dobre noty, co zaowocowało kupnem wierzchowca, którego mogłam zatrzymać aż przez dziewięć tygodni – póki starczało pieniędzy na ekstrawagancje. Tajny radca obiecał mi nowego, o wiele piękniejszego konia i nie rozumiał, dlaczego płaczę. Klara śpiewała przy pakowaniu pieśń o seksualnym niewolnictwie. Właścicielka domu w okolicy Schönbrunnu przeżegnała się, gdyśmy wreszcie wyruszyli.

Ojciec z promiennym uśmiechem zwycięzcy po raz kolejny otwierał szampana. Osiedliśmy w Hamburgu, skąd do Waterloo było jeszcze dość daleko. Słońce świeciło, grzejąc w plecy. Klara miała na sobie zieloną suknię harmonizującą z jej rudymi włosami, Wondraschek występował w jednym ze swych szarych dwurzędowych garniturów, ja natomiast byłam w dzinsach i pulowerze, czyli w stroju, którego ojciec nie znosił, uważając, że jest po prostu nędzny. Ja zaś w tym wieku sposób ubierania się ojca uznawałam za mieszczański. Z drugiej strony jednak wiedziałam, że Hubert żyje pozorami, że potrzebuje uniformu jak kapitan z Köpenick, ten bohater sztuki teatralnej, że my też jako hochsztaplerska rodzina musimy pod presją kapitału nosić odpowiednie kostiumy. Sceneria była wspaniała, lecz mury i kamienne posągi ukazywały pęknięcia świadczące o postępującym procesie rozpadu. Dom poddawał się nieuchronnemu wpływowi czasu i aury z godnością. Ojciec rozwodził się nad urokami starych patrycjuszowskich kamienic, chwalił solidną i pełną rozmachu architekturę, przyjazne szczegóły. Długo potrafił przysłuchiwać się własnym wywodom, święcie wierząc w każde swoje słowo.

„Musisz uwierzyć w siebie, Felicitas, wówczas świat padnie ci do nóg”, usłyszałam.

Powiedziałam mu, że chcę przerwać naukę, ponieważ i tak nie mam szansy na zrobienie małej matury.

Klara, zerkając na kręcących się robotników, mocno trzymała kieliszek. Ojciec opróżnił swój i postawił ostrożnie na marmurowym cokole. Rozmów o szkole nie cierpiał, jak

wszystkich tematów konkretnych, czyli nieprzyjemnych – na przykład choroby czy śmierci. Moja niechęć jest nietaktowna, on wie najlepiej, że tytuł akademicki działa uwodzicielsko i przynosi korzyści. A może jestem za głupia do nauki? Za miękka, by zmienić szkołę? Nie, jestem inteligentna, lecz leniwa, a powinnam się wiele jeszcze nauczyć, by przetrwać we wrogim świecie. W świecie, który wokół mnie stworzył, nie omieszkał dodać, spoglądając na mnie wzrokiem, jakim roztopiał serca wierzących. Rozczarowany, obrażony ojciec – to nie była żadna z jego ulubionych ról, opanował ją jednak i odgrywał z owym minimum wiarygodności, która mnie wciąż zmuszała do skromnego aplauzu.

„Wiedza to władza”, uzupełniła dyskusję Klara, po swojemu mistrzowsko posługując się frazesem bądź cytatem. Usiłowałam wyjaśnić, że wiedza, którą mi próbowano przekazać w ponad tuzinie szkół, nie ma nic wspólnego z władzą. Na dodatek dwa razy repetowałam. Umiałam czytać, pisać i liczyć. Wiedziałam, jak się je homary i dekantuje czerwone wino. Potrafiłam odróżnić kawior irański od rosyjskiego, a moje maniery przy stole były bez zarzutu. Opanowałam sztukę mówienia o niczym i nieco brechtowskiej dialektyki. Byłam istotą o absurdalnym, pełnym luk wykształceniu, ale w wieku szesnastu lat nie miałam o tym pojęcia. Jak wszystkie nastolatki nie wiedziałam prawie nic, lecz wierzyłam, że świat leży u moich stóp.

Ojciec zapytał mnie, czy chciałabym może pracować. To słowo zabrzmiało nieprzyzwoicie w jego ustach. Tworzyliśmy wprawdzie nieprzyzwoitą rodzinę, lecz w budowlu kłamstw ojca każde słowo prawdy prowadziło do katastrofy.

– Myślałam, że może zatrudnię się gdzieś jako praktykantka. Kelnerka czy coś w tym rodzaju. Szkoła mnie już nie interesuje.

– Zwariowała – powiedział ojciec do Klary, a ta spytała:

– Dlaczego nie zostaniesz aktorką?

– Uruchomię jeden czy drugi kontakt. Na pewno znajdzie się coś odpowiedniego dla mojej córki.

Gdy byliśmy we troje, ojciec rozmawiał czasem z Klarą ponad moją głową, czego nienawidziłam. Nie znosiłam też, gdy próbował nas zwodzić – obie przecież wiedziałyśmy, że jego znajomości są krótkotrwałe i kończą się dla jego partnerów bolesnym rozczarowaniem. Nienawidziłam ojca za to, że go kochałam. Uczucia szesnastolatki rzadko bywają oryginalne, są natomiast nacechowane pełnym bólu przebudzeniem z dziecięcych snów. Jeśli była prawdą opowieść Klary o umowie, którą w miłości należało zawrzeć, to ojciec ją sporządził na swoich warunkach i ja jej dotrzymywałam, ponieważ byłam zdana na jego łaskę. Miłość wymaga podziwu albo przynajmniej szacunku, a ja, inaczej niż Klara, nie widziałam w ojcu

ofiary systemu, szlachetnego anarchisty, rewolucjonisty, który zwalcza system od wewnątrz. Ostatecznie we wszystko można uwierzyć, wszystko zanegować, wszystko zaakceptować i wszystko zwalczać. Wondraschek był oszustem. Mnie oszukał w miłości.

Na zewnątrz, przy drzwiach, rzemieślnicy przytwierdzili szyld, na którym widniało fałszywe nazwisko ojca, a pod nim to, co określał jako swój zawód: „Doradca majątkowy”. Doktor Harald Werner doradzał ludziom, jak ulokować majątek w taki sposób, by przynosił straty, na przykład w papierach wartościowych, które nie były nic warte, w akcjach fikcyjnych firm lub w planowanych inwestycjach, które się nigdy nie materializowały. Duże pieniądze szukały sobie drogi z ominięciem podatku, za to z obietnicą wysokiego oprocentowania. Wszystko, co obiecywało zysk powyżej dziesięciu procent, było nęcące, a wszystko poniżej osiemnastu procent było wiarygodne. Tak mówił ojciec. Duże pieniądze pragną jeszcze większych. Doradca majątkowy drukował drogie broszury, by zwabić chciwych, a gdy miał ich na wędce, kazał złotym rybkom długo czekać, ba! kazał się wręcz prosić o dopuszczenie do tajemnic swego rzekomego pomnażania pieniędzy. A oni wierzyli komuś, kto w trakcie spotkania rozmawiał przez telefon z przewodniczącym zarządu Deutsche Bank, choć w rzeczywistości była to poczciwa Claire, która zmieniwszy głos wykonywała te telefony, aby zaimponować klienteli ojca. Nabierali się na podrabiane listy i sfigowane orzeczenia, ponieważ chcieli wierzyć. Wszystko było grą pozorów, pieniądze zaś lśniły, oślepiały, skłaniały do ulegania iluzji, którą kuglarz podtrzymywał, dopóki się wiodło.

Dopóki się wiodło, płacił też oprocentowanie z przychodu z odsetek i nowych lokat. Jak długo system śnieżnej kuli funkcjonował, ojciec wierzył w kopalnię szmaragdów w Zambii, pola naftowe w Wenezueli, firmę recyklingową w Czeczenii. Wierzył, że coś, co wykreował, musi się urzeczywistnić, ponieważ dokonał cudu, aby innych o tym przekonać. Wierzył, że jest bogiem.

Klara zaś wierzyła w anarchistów i rewolucjonistów, w mesjaszy wśród komunistów, zanim ci stali się funkcjonariuszami nowej wiary: syci, dogmatyczni, dzierżący władzę. Ojciec karmił Klarę słowami, których łaknęła, toteż włączyła go w swój obraz świata cudów, gdzie ktoś taki jak Wondraschek uczył kapitalistów rezonu. Claire stała się jego jedyną współpracowniczką, gdyż nie ufał chciwości żadnego partnera w biznesie zbudowanym właśnie na chciwości. Claire należała do rodziny, ojciec więc na swojej osobliwej liście priorytetów musiał założyć, że osoba, której oddał pod opiekę jedyne dziecko, nie zawiedzie również w interesach. A ona brała udział w grze, ponieważ temu bogu zawierzyła. Mnie przypadała zawsze rola statystki, istoty żyjącej w cieplarnianych warunkach. Kiedy interesy kwitły, wiedliśmy wystawne życie. Zatrudniano sprzątaczkę, kucharkę, ogrodników. Organizowano

przyjęcia i wydawano kolacje, Claire kupowała sobie suknie, ojciec nową limuzynę. Mnie obsypywał prezentami robiącymi wielkie wrażenie na szkolnych koleżankach, które nigdy nie zostawały moimi przyjaciółkami, nie dawano mi bowiem dość czasu w żadnym mieście, w żadnej szkole, w żadnym domu.

Wiodło się nam dobrze tak długo, jak długo finansowali nas nowi inwestorzy: zamożne wdowy, którym wydawało się, że ich szwajcarskie konta przynoszą zbyt małe zyski, lekarze i aptekarze, rzemieślnicy i drobni przedsiębiorcy. Doradca majątkowy nie ogłaszał się w gazetach, lecz opierał się na ustnej reklamie, co wydawało mu się dyskretniejsze i bezpieczniejsze, utrzymywał jednakże ograniczony krąg klientów. A gdy krąg się zamykał, rozpoczynał się zmierzch naszego boga. Ojciec nie miał już co wypłacać, odwlekał więc klęskę, zmyślając historie o spóźnionych transferach, pomyłkach bankowych, eksplodujących szybach naftowych bądź politycznych intrygach w Czeczenii. Im bardziej historia była nieprawdopodobna, tym chętniej mu wierzono.

On natomiast uświadamiał sobie, że nie jest żadnym bogiem, i zawierał pakt z diabłem. Trzy miesiące, niekiedy nawet pięć, przetrzymywał stan oblężenia, pocieszał, obiecywał, uruchamiał wszystkie rejestry swego kunsztu zwodzenia. W tym czasie zaciągał kredyty w różnych bankach, aż w końcu wchodziła w życie faza trzecia: padnięcie na kolana rzekomo oszukanego oszusta.

Doradca majątkowy odwiedzał swych klientów i mówił im to, co już podejrzewali lub wiedzieli: że stali się bankrutami. Oczywiście nie on był winien, lecz jego zagraniczni partnerzy. On, który działał w dobrej wierze, próbuje teraz ratować, co jest do uratowania. Ze względów etycznych i żeby oczyścić swoje nazwisko. Opowieści zmieniały się, ale nie w punkcie zasadniczym – proponował kompromis, polubowne, ba! niemal łaskawe pojednanie, oferując zwrócenie w gotówce części wpłaconych pieniędzy. Tutaj, proszę bardzo, można rzucić okiem na wartość jego majątku. Jeżeli on, jak sprawiedliwość nakazuje, ma zaspokoić żądania wszystkich klientów, to muszą zredukować swoje roszczenia. O trzydzieści do siedemdziesięciu procent. Targował się, żebrał, groził. Odmalowywał następstwa ewentualnej denuncjacji, która jego klientom sprowadziłaby do domu kontrolę podatkową. Przykładał sobie pistolet do skroni. Była to tylko zabawka, ale grał przekonująco rolę zrujnowanego, oszukanego potencjalnego samobójcy. I ci, którzy ponownie zostali oszukani, grali wraz z nim dalej.

W trzeciej fazie, gdy szło o jego skórę, ojciec przechodził samego siebie. Stworzony przez niego system miał tylko jedną wadę: na końcu, kiedy wszystko było uregulowane, zostawaliśmy z pustymi rękami, często z długiem. Personel, wzięty w leasing luksusowy

samochód, pożyczone wyposażenie biura, wszystko rozpływało się w nicość. Ponieważ w odróżnieniu od rzeczywiście wielkich oszustów inwestycyjnych Wondraschek prowadził swoją grę w ściśle określonych granicach, nie zostawiał za sobą spalonej ziemi, lecz zaledwie tłące się pożary. Ludzie, którzy ulokowali u niego pieniądze, sami ratowali, co się da, nie wzywając straży pożarnej. Ojciec był bardzo dumny z tego, że tylko raz w swojej karierze doświadczył donosu, którego efektem była wysoka grzywna.

System pozwalał memu ojcu wierzyć, że nie jest żadnym oszustem, lecz człowiekiem interesu. Doradca inwestycyjny, wynalazca, iluzjonista, aktor, anarchista... Występował pod wieloma postaciami, ale w końcu nie pozostawało mu nic oprócz satysfakcji, że znowu będzie miał co robić. Kiedy gra dobiegała końca i wypalony wycofywał się do swego biura, aby wykombinować coś nowego, często nie mogliśmy już zapłacić czynszu i zaczynała się druga faza obłączenia, w której nasz bohater określał stosunki własnościowe jako korzenie wszelkiego zła. Właściciele patrzyli na sprawę inaczej i bez skrupułów potwierdzali uprzedzenia Klary wobec klasy posiadającej. Za nimi stało państwo prawa. Teoretycznie zezwalało wynajmującemu wyrzucić bez ceregieli lokatora za drzwi, skoro nie zapłacił. W praktyce jednak właściciel musiał mieć pretekst, aby przeprowadzić eksmisję, a dowiedzenie tego mogło trwać na drodze sądowej nawet pół roku albo i dłużej. Wyjątkowo, tak mówiła Klara, prawo chroniło słabszego przed silniejszym. My byliśmy słabi, co wydawało mi się czasem komiczne, a czasem znów nie. My, słabi, mieszkaliśmy w pierwszorzędnym domach i Klara groziła upartym właścicielom wandalizmem. Gotowała zupę kartoflaną z parówkami i pisała do adwokatów, że zgodnie z prawem chroniącym lokatorów ich mocodawcom nie wolno wyłączać prądu czy ogrzewania.

W owych czasach przejściowej biedy Klara rozkwitała w pełni jako walcząca klasowo istota. Ojciec rozmyślał nad nowym projektem, dyskutował z Claire o problemach filozoficzno-politycznych i pozostawiał na jej głowie pozbywanie się właścicieli posesji i regulowanie zaległych rachunków. A ja żyłam w strachu. Rankiem wymykałam się z domu i szłam na wagary, bo wiedziałam, że i tak wkrótce opuszczę szkołę i że nic, czego dorośli mnie nauczą, nie może równać się z rzeczywistością.

Z ogólniaka spadłam do liceum zawodowego, a potem jeszcze niżej, do zawodówki. Dokonywało się to równoległe z kolejnymi przeprowadzkami. Byłam złą uczennicą; niektórzy nauczyciele uważali, że jestem wybitnie zdolną, nie spełniającą oczekiwań jednostką, inni nie zadawali sobie trudu, by zapytać o przyczynę braku szkolnych osiągnięć. Wobec panującej ideologii wydało mi się ważne stwierdzenie Brechta: Jeden nie jest równy jednemu, aby działać w taki sam sposób.

W dniu naszego przyjazdu do Hamburga postanowiłam rzucić szkołę i wyprowadzić się, jak tylko znajdę pracę. Ogłosiłam jedynie pierwszą część mojej decyzji, co wynikało z tchórzostwa. Ojciec, jak zawsze w nowym mieście, był w promiennym nastroju. Klara jak zawsze promieniała razem z nim. Ja przeżywałam trzydzieste przedstawienie, w którym Napoleon uwodził Matkę Courage. Ona nie potrafiła obronić swoich dzieci. Klara tego nawet nie spróbowała.

ROZDZIAŁ 3

Kompleks wypoczynkowy na kenijskim wybrzeżu, włącznie z polem golfowym, wzbogacił konto Wondraschka o pięć milionów marek. Kelnerka w hamburskiej restauracji portowej drugiej kategorii zarabiała razem z napiwkami półtora tysiąca marek na miesiąc. Wolna od podatku, nieubezpieczona, byłam uwięziona w sześciodniowym truchcie od kuchni do pomieszczeń restauracyjnych i z powrotem. Klara wahała się między podziwem dla mojej determinacji a uzasadnionym gniewem na mechanizmy wyzysku restauracyjnego kapitału. Ufarbowała się na bardzo jasny blond i sprawiła sobie bliźniacze sweterki ze sznurem pereł do fałdowanej spódnicy z kaszmiru, to znaczy strój hanzeatycki noszony przez wyższe klasy. Moja robocza spódnica pod czerwonym fartuchem była z wełny, a pulower z głębokim dekoltem drapał, co zawsze było jednak lepsze niż pocenie się w jakimś syntetycznym ciuchu.

Byłam biedna, więc nieszczęśliwa, toteż uradowało mnie cierpienie Klary wywołane pojawieniem się aktorki, która aktualnie cieszyła się seksualnymi względami ojca. Beata, jeszcze jaśniejsza blondynka niż Klara i zrozumiła jak mało kto, przewyższała swego partnera o głowę. Dawałam jej czterdziestkę, a ona odgrywała trzydziestolatkę mającą Marlenę Dietrich za swoją nędzną kopię. Beata, również zdaniem Klary, przywodziła na myśl galeonową figurę, stanowiła wytwór przemysłu kosmetycznego – zawsze tak doskonale umalowana, że jej twarz była właściwie niewidzialna. Takie twarze nie znają żadnych zmarszczek, żadnych mimicznych wykolejeń, żadnego wyrazu cierpienia czy radości. Kiedy Beata się śmiała, przysłaniała usta dłonią.

Claire nienawidziła Beaty, tak jak nienawidziła wszystkich kobiet, które ojciec przyprowadzał do domu, wszystkich bez wyjątku pięknych, ale nienaturalnych stworzeń. „Jeśli chodzi o kobiety, ma bardzo prosty gust”, powtarzała Claire (jeśli w domu byli obcy, imię Klara stanowiło tabu). I znów parafrazując Brechta, dodawała: „Sztuką mężczyzn jest: pieprzyć albo myśleć”.

„Napoleon” Wondraschek miał czas dla kobiet tylko w okresach prosperity, gdyż według niego kobiety były uwieńczeniem sukcesu, i nie martwiło go wcale, że Klara, Claire, jego zaufany człowiek cierpi z tego powodu. „Kto się uwikła w swoje uczucia, zostaje na szlaku”, mówił ojciec, który w swe boskie dni w pogodnym nastroju nieomal przepływał

przez pokoje, zostawiając za sobą woń hawańskich cygar, Claire obdarowywał zachęcającym uśmiechem, a mnie wtykał do torebki banknoty tysiącmarkowe. Czy można się skarżyć na takiego ojca?

Mój „flirt z klasą pracującą” skwitował życzliwą kpina. Kiedyś także pracował w hotelarstwie, ale jak powiedział, nie była mu przeznaczona kariera Feliksa Krulla, tego hochsztaplera.

– To był kiepski hotel w Brnie, moje dziecko, z kiepskimi gośćmi, którzy jeszcze gorzej cuchnęli, pomieszkawszy u nas. Taszczyłem ich wytarte walizy i czekałem na nędzny napiwek jak pies merdający ogonem. A gdy nic nie dawali, kłaniałem się z bezczelnością, której nie dostrzegali, i tego właśnie nie mogłem znieść.

– Tato, ja nie noszę żadnych walizek.

– Z pewnością. Ale też wystarczająco cuchniesz, jeśli mi wolno zauważyć. Jak czarująca handlarczka z targu rybnego.

Ciekawe, że Wondraschek w młodości dawał się ponosić emocjom. Teraz gdy wszystko, co z nim się wiązało, było ulizane, jego teksty starannie przemyślane i ślady wszystkich przyszłych kroków przewidziane, tajemnice jego życia pozostawały już tylko anegdotami, którymi raczył przy każdej sposobności Klarę i mnie, opowiadając o nich tak, jakby dotyczyły godnego podziwu nieznanego.

– A potem? Co robiłeś potem?

Claire w odświeżonym kostiumie przyniosła na taras herbatę. Wprawdzie było zbyt wietrznie, aby siedzieć na dworze, jednakże ceremoniału należało przestrzegać. Wytworni hanzeaci pili niedzielną herbatę, rozkoszując się widokiem na Łabę. Claire przysiadła się do nas z pełnym wyrzutem spojrzeniem, które dotyczyło nieczułości ojca. Wiedziałam, co myśli: że go opuści, definitywnie, i że tym razem zdarzy się cud i otrzyma angaż w teatrze, bo skoro Beata, taka bez wyrazu, może tutaj występować, to Hamburg musi być idealnym miejscem dla aktorek.

– Pochlebia mi, że córka jest ciekawa mojej przeszłości – powiedział ojciec do Claire i wiedziałam, że już zastanawia się nad upiększonymi wersjami swoich przeżyć, podanymi być może z odrobiną komizmu, a przynajmniej zabawnie; życie jako sztuka bulwarowa, nigdy jako dramat.

– Wypiąłem się na ojczyznę i uciekłem do Niemiec. Wschód był zawsze nieelegancką kupą gnoju, a do brutalnej kariery się nie nadawałem. Kiedyś pracowałem krótko u pewnego przedsiębiorcy pogrzebowego i tam odkryłem swój talent do manipulowania ludźmi. Staruszka, która swoje ostatnie oszczędności inwestuje w mahoniową trumnę... to wymaga

wyjątkowej zręczności, moja kochana. Kto umie przekonywać ludzi, jest artystą, prorokiem, mesjaszem...

Słowa „bóg” nie odważył się wypowiedzieć, pomyślałam. Claire zawisła wzrokiem na ustach ojca. Być może marzyła o tym, że przekona go pewnego dnia do tego, by rozpętał światową rewolucję. Claire pozostałaby, przetrwałaby Beatę i osłoniłaby go, gdyby nadciągnął huragan. To było jej przeznaczenie, rola jej życia, i cieszyłam się, że istnieje ktoś taki jak Klara, inaczej bowiem nie mogłabym opuścić ojca, tego magika od zamków na lodzie, człowieka, który odbierał mi powietrze. Miałam wrażenie, że uduszę się jego kłamstwami, gdy już je rozpoznałam. Miłość Klary była innego gatunku. Bezkrytyczna i bezwarunkowa. Trzy próby ucieczki okazały się daremne. Na wzór Brechtowskiej Ruth Berlau Klara przywłaszczyła sobie życie ojca, tak jakby można wyrzec się własnego, nie pozostawiając śladów.

Ojciec pogłaskał rękę Klary – miał w zwyczaju zastępować uczucia gestami. Zdaniem Wondraschka życie nie jest niczym więcej jak improwizowanym teatrem i im wnikliwiej analizuje się jakiś jego fragment, tym bardziej nieprawdopodobne są niespodziewane zwroty.

– Sprzedawałem encyklopedie, auta, ubezpieczenia na życie, właściwie wszystko, czego człowiek nie potrzebuje. Aż wreszcie postanowiłem nie trwonić swoich talentów dla korzyści innych ludzi i uczynić niezależnym siebie. Tak naprawdę to żaden spektakularny życiorys – zakończył zwierzenia z fałszywą skromnością.

Klara bąknęła coś o redystrybucji kapitału. Na tarasowym stoliku leżał prospekt „Hacienda Sunshine”, wielobarwny i błyszczący. Wieczyste prawo do zamieszkania w kompleksie wspaniałych willi między polem golfowym i piaszczystą plażą. Korzyści podatkowe, możliwości odpisów, oprocentowanie w wysokości czternastu procent, gwarantowana wypłata zysku. Kenijski partner uśmiechał się promiennie z okładki prospektu. Ojciec uważał, że powinniśmy tam spędzić najbliższe wakacje, chociaż nigdy nie pojechaliśmy nigdzie na urlop, gdyż Wondraschek pocztywał to za całkowicie zbyteczne, nienawidził uciążliwości podróży i z zasady nie wsiadał do samolotu. Przeprowadzki odbywały się autem. A ja miałam absolutną pewność, że „Hacienda Sunshine” jest bezwartościowym kawałkiem ziemi, który ojciec odkupił od jakiegoś kenijskiego oszusta. Że nie istnieją ani plany budowy, ani firma budowlana. Zdjęcia w broszurze robiły wrażenie, były chyba jednak fałszywe, podobnie jak nazwiska udziałowców i kolumny liczb obiecujące szczęście w formie pieniędzy.

Klara ucieszyła się:

– Cudowna myśl. Jeszcze nigdy nie byłam w Afryce.

Ojciec opowiadał o Kenii, jakby spędził tam połowę życia, i to stanowiło dla mnie zagadkę. Jego opowieści brzmiały tak autentycznie, że musiał je usłyszeć od kogoś, kto tam mieszkał. Czegoś takiego nie da się zmyślić, przemknęło mi przez głowę, gdy opowiadał o spotkaniu z lekarzem, który na północy zaopatrywał Masajów, i startował swoim dwupłatowcem tylko w stanie nietrzeźwym, ponieważ bał się latania. Albo o irlandzkim księdzu, finansującym budowę kościoła ze sprzedaży „Playboya” przemycanego jako „lektura biblijna”. To były historie o białych ludziach szukających przygód na cudownym Czarnym Lądzie, o dumnych Masajach wojownikach, nieskończoności gwiazdzistego nieba, o dziwnych chorobach i skorumpowanych urzędnikach, i o daremności wszelkich wysiłków, aby między wczorajszą i jutrzejszą Afryką odnaleźć dzisiejszą. W Kenii Wondrashek organizował safari dla bogatych turystów i handlował kością słoniową. Mówił i mówił, a ja nie wierzyłam w ani jedno jego słowo, pragnąc równocześnie, żeby to była prawda i żebyśmy obie, matka i ja, mieszkały z nim w Kenii, na farmie do nas należącej, i jako całkiem zwyczajna rodzina chodzili co niedzielę do kościoła, aby się wypowiadać z grzechów powszednich.

Klara wtrąciła, że chciałyby także zwiedzić Tanzanię, aby zobaczyć z bliska socjalistyczny eksperyment Juliusza Nyerere. Ojciec uśmiechnął się dobrotliwie i uznał wszystkie socjalistyczne eksperymenty w Afryce za poronione. Uroił sobie, że jest w posiadaniu wszystkich prawd, i być może dlatego tak bardzo kochał kłamstwo. W jego rozumieniu to instrument wykluczający dysonanse, pierwsze skrzypce we wszystkich występach dotyczących pieniędzy i miłości.

Claire najwyraźniej nie była w nastroju do spierania się o kondycję afrykańskiego socjalizmu. Zapytała o moją pracę, a ja odparłam, że sprawia mi wielką frajdę. Mili ludzie, oznajmiłam i opowiedziałam coś wesołego o kuchni i kelnerach, nie wspomniałam jednak, jak bardzo brzydzę się zapachu ryb czy właściciela, który w repertuarze upokorzeń przerzuca się od fałszywie łagodnego uroku do rażącego okazywania swej władzy, bez żadnego uprzedzenia, tak że z trudem udaje mi się za nim nadażyć. Moje koleżanki potrafiły się bronić; nie żyły tak jak ja w wieży z kości słoniowej i wiedziały, jak się obchodzić z kimś, kto władcze maniery okazuje na poziomie śledzia. Czyniłam próby przystosowania i modliłam się o pokorę, by dzięki niej jakoś przetrwać. Byłam tam obca, na domiar złego nieobeznana z robotą, oni jednak potrzebowali mnie, aby rozwinąć kolektywną świadomość klasową. Przypadały mi najgorsze stoły, najbardziej nieprzyjemne zmiany, a uprawianie dialektyki wobec nieprzyjaznego nastawienia większości okazywało się niewdzięcznym zadaniem. Mężczyźni w kuchni, afrykańscy zmywacze, słoweński kucharz, praktykanci, wszyscy

ograniczali się do rubasznych dowcipów i seksualnych docinków. Życie ludzi pracy, znane mi zaledwie od dwu miesięcy, było wesołe i zwyczajne, a także bolesne – dla nóg; zaczynałam pojmować tęsknotę za kanonierkami i nieokreśloną, niewyżytą wściekłość tych, co byli na dole. Tylko nie wobec Wondraschka; jego wykluczałam. Mając siedemnaście lat oczekuje się doskonałości od tych, których się kocha. Ale gdy on tak sobie siedział pełen nieskazitelnego samozadowolenia, nieco już otyły od dostatniego życia, lecz wciąż jeszcze interesujący mężczyzna, gdy tak sobie siedział z cygarem w zębach i wzrokiem skierowanym ku Łabie, gdy tak sobie siedział, kiwając czarnymi wyglansowanymi butami i uważając, że wszystko jest w porządku, (tak jak zawsze uważał, że wszystko jest w porządku) miałam ochotę wyrwać mu to cygaro z ust i zgasić na jego czole. Za wszystkich, których oszukał, za matkę i Klarę, a przede wszystkim za siebie.

Wyobrazenie było tak żywe, że prawie czułam swąd przypalanego ciała, i uśmiechnęłam się błogo, co wywołało pytanie Claire, czy tu, na tarasie, nie jest piękniej niż w porcie, w dusznym pokoju nad restauracyjną kuchnią. A właściwie za przepierzeniem z łóżkiem, na które padałam po nocnej zmianie i natychmiast zasypiałam, śniąc o tańczących na talerzach rybach i o mnie lawirującej między stołami, by wszystko donieść cało i na czas, bo goście już czekali z otwartymi ustami i ustawionymi na sztorc nożami.

Słowo „goście” było co najmniej dziwnym określeniem ludzi, którzy odwiedzali restaurację, gdzie pracowałam. Zająwszy stolki czy miejsca przy barze, przeistaczali się we władców. Przychodzili tam rybacy, sprzedawcy ryb, sutenerzy, prostytutki, portierzy, turyści i włóczędzy, hamburska mieszanina portowa, nieokrzesa i jowialna, pijana, skacowana, agresywna, która za swoje ciężko zarobione pieniądze żądała tego, co najlepsze – jak najmiłszego uśmiechu, szybko podanej wódki, doskonałego beczkowego piwa i „trzygwiazdkowej” flądry. Ci, co osiadali na mieliźnie „Pod Wielorybem”, nie mieli powodów, by uważać życie za cudowne bądź wymieniać uprzejmości z personelem. W godzinach między północą a świtem, w odorze ryb i frytek, w oparach dymu tytoniowego i alkoholu, melancholii i zmęczenia królowała zwalista oślizgła masa. Wykrzykująca za mną „lala”, gdy doskwierał głód czy pragnienie; stali goście nazywali mnie czarodziejką, wielu miało spragnione nie tylko gardła, ci jednak dawali hojne napiwki, gdy tymczasem turyści byli skąpi i próbowali oszukiwać, ze sportowej ambicji lub z przekonania, że ktoś taki jak ja na nic lepszego nie zasługuje.

W pierwszym tygodniu pracy dwaj naciągacze pozbawili mnie zarobku, co nauczyło mnie trafniej oceniać gości, po napiwkach, pijaństwie, kłótności i natręctwie słownym i namacalnym. prostytutki były sympatyczne, gdyż szukały tylko ciepłego kąta i spokoju oraz

jedzenia i picia. Alfonsów uważałam za głupich i niestety miałam się przekonać, jak bardzo się co do nich myliłam. Poznawałam mężczyzn zupełnie innych niż mój ojciec, ponieważ nie opanowali subtelności kamuflażu. Koleżanki mówiły, że jestem zbyt wolna w unikach bądź zbyt prowokująca w zachowaniu. Szło o to, że byłam najmłodsza i najładniejsza, świeże mięso dla wygłodniałych, i te świny to czuły, miały świński nos do słabości, świńskie oczka, które się do człowieka kleiły, świńskie łapy, które musiały trzymać kufel albo papierosa, albo poklepać to, co w kobietach uznawały za podniecające. Na ich zeszpeconych alkoholem twarzach malowała się żądza. Nie, ci ludzie nie mieli złych zamiarów, większość z nich to ojcowie rodzin i dziadkowie, ciężko pracujący robotnicy, związkowcy, jednym słowem materiał, z którego była utkana proletariacka bohaterska klasa Klary. Zachodzili też do nas przegrani, bezrobotni, a nawet włóczędzy z roszczeniami do przyjemności, która nic nie kosztowała. Po prostu mężczyźni. A ja nie byłam wtedy kobietą, tylko kelnerką, istotą usługującą, przyjmującą i realizującą zamówienia, wycierającą stoły i opróżniającą popielniczki. To interesujące doświadczenie, powiedziałam ojcu, którego tysiącmarkowy banknot dołożyłam w willi pod materac do dwudziestu tysięcy marek, grosza odłożonego na czarną godzinę, na czas wolności, czas gdy Wondraschek ruszy w obchód po domach wierzycieli, ponieważ w imię swej wolności będzie musiał się z nimi układać. Dwa razy w tygodniu spałam w willi, nie znosiłam bowiem korzystania ze wspólnej łazienki dla personelu, która nigdy nie grzeszyła czystością. Kolektywny brud stanowił nieustanny powód kłótni między kelnerkami mieszkającymi na miejscu, gdyż z natury były to kobiety przynależne do błota. Gdy ktoś odważył się rozdrażnić słoweńskiego kucharza, który cierpiał na jakieś schorzenie skóry i wypadały mu włosy, także pod prysznicem, odpokutowywał to szykanami przy posiłkach dla personelu bądź opóźnieniem przy wydawaniu zamówień, co z kolei prowadziło do sprzeczek z gośćmi. W kuchni królował Vinko, a my byliśmy jego gośćmi, którym jako dostawcom złego lub zimnego jedzenia słowami ucinano głowy. Kucharza, którego sztuka kulinarna zmieniała się w zależności od jego nastroju, cechowało ponadto szczególne upodobanie do grubiańskiego humoru. Kiedy z okienka do wydawania potraw ryczał: „Marynarski labskaus dla tego szczura lądowego przy siódmym stoliku”, stali klienci śmiali się, natomiast turyści uśmiechali się z zażenowaniem. Mieli nas za egzotycznych, a my pogardzaliśmy nimi za to, że byli inni.

– Świetnie się bawimy – powiedziałam do ojca, który jeszcze nigdy nie zawitał „Pod Wieloryba”, uważał bowiem moje środowiskowe zabłąkanie za śmieszny wybryk. Wondraschek jadał obiady w „Restauracji Portu Rybołówstwa” albo w „Dworku Scherrera”, gdzie zniewagi bądź sprośności ubierano w subtelne, puste słowa, gdzie nie chodziło o sto

marek, lecz o sto tysięcy, ryba zaś nie cuchnęła, tylko pachniała. Ponieważ byłam ładna, a także niegłupia, ojciec zaproponował, że załatwi mi posadę praktykantki w jakimś eleganckim lokalu, co naturalnie odrzuciłam.

– Ona chce stanąć na własnych nogach – wyjaśniła Klara, do której w naszych trójstronnych stosunkach należało artykułowanie tego, czego ojciec i ja nie chcieliśmy głośno powiedzieć. Stwierdzenie Klary nie całkiem odpowiadało rzeczywistości, ponieważ wciąż jeszcze nie przecięłam pępownicy: potrzebowałam łazienki przynajmniej dwa razy w tygodniu i brałam od ojca pieniądze, pochodzące z oszustwa banknoty o wysokich nominałach, gdyż aprobując świat takim, jaki jest, nie umiałam jeszcze wzgardzić całkowicie tym, co go napędzało i poruszało.

Pieniądze, seks i władza to tematy pojawiające się wówczas, gdy głód i pragnienie są zaspokojone. Do tego się to sprowadza i tak rozumiałam oba moje światy, nawet jeśli Klara niezupełnie się z tym zgadzała. Klara kochała i usługiwała, lecz była bezsilna, chociaż nie w słowach i marzeniach. „Pod Wielorybem” także marzono, ale o mniejszych sprawach. Niezameżne kelnerki mówiły o miłości, o rycerzu na białym koniu lub w najgorszym wypadku o przyzwoitym kandydacie do małżeństwa. Perspektywa troski o męża, mieszkanie, dzieci była alternatywą dla nocnych zmian i biletem do raju; małą częścią tego – urlop na Amerongen. Na razie zabiegały o przychyłność szefa, niedobrego człowieka, albo Vinka, choleryka z zanikającym wianuszkim włosów, ponieważ dążyły do niezależności, do zdobycia niewielkiej władzy nad kapitałem, do własnego lokalu, który by je (w ich przekonaniu) nobilitował. Malowały się i pochylały nad swymi marzeniami, każda dla siebie i przeciwko reszcie świata. Były pełne cynizmu, nim się zestarzały. Cyniczne, gdyż wiedziały, że każdy uśmiech pod szminką jest daremny, być może wystarczy do ołtarza, do chrzcin i do następnych, ale potem już nic nie może się zdarzyć. To studziło zapał i wytrącało broń z ręki.

Mąż Heidi okazał się alkoholikiem; Monikę pobił narzeczony; córka Elfie została narkomanką i skończyła na ulicy. Inne zaprzyjaźnione kobiety szeptały o jeszcze błahszych dramatach. Szef nazywał swoją żonę, która prowadziła salon fryzjerski przy St. Pauli, starą kurwą. Dla Vinka kobiety były „pizdami”, a mimo to praktykantki przypochebiały mu się, ponieważ je przerażał. Przysłuchiwałam się im. Język, pozbawiony uprzejmej, literackiej zakrywającej maski, świętował popielec skacowanych uczuć. Dla kogoś takiego jak ja, kto wychował się w klimacie niedomówień, cytatów z prozy i poezji, ten język był w równej mierze odpychający i fascynujący. Jego grubiaństwo napawało mnie strachem. Jego uczciwość wprawiała w zdumienie. Właśnie język mnie od nich dzielił i nic, co powiedziałam lub zrobiłam podobnie, nie mogło ich zmylić. Nie lubiły mnie. Nazywały „luksusową

dziwką”. One były przyzwoitymi kobietami i nawet gdy wiodło im się gorzej, zawsze znalazły się dzięki Bogu inne, w jeszcze gorszym położeniu, kurwy z brutalnymi alfonsami, ćpunkki oddające się za prochy, cudzoziemki o migdałowych oczach i bez paszportu. W dzielnicy portowej zawsze znalazło się nieszczęście jeszcze większe, co można było również odczuwać jako szczęście.

Uczyłam się, ale nie dość szybko, i one z góry przewidziały to, co przytrafiło mi się po czterech miesiącach. Felicitas Wondraschek była zbyt młoda, zbyt ładna, zbyt naiwna, aby bez uszczerbku zanurzyć się w nowy dla mnie świat.

– Jak można być tak głupią, żeby o czwartej rano wyjść samej przed drzwi? – zapytała później Elfie. No cóż, ja byłam tak głupia, ponieważ chciałam zaczerpnąć powietrza po nocnej zmianie, bo cuchnęłam papierosami, alkoholem i rybą, a nie byłam dostatecznie zmęczona, aby się wycofać za swoje przepierzenie. Rozliczyłam się, ustawiłam krzesła na stołach, zamknęłam drzwi za ostatnimi gośćmi i zignorowałam pytanie szefa, czybym się z nim nie napiła gdzieś szampana; „gdzieś” to było tylne siedzenie jego amerykańskiej bryki, co wiedziałam od koleżanek.

Świecił księżyc i paliły się portowe latarnie, a przed „Wielorybem” stało jeszcze parę osób, które zwlekały z powrotem do domu: para turystów z Nadrenii, dwie prostytutki szukające złota o porannej godzinie, wykidajło z baru obok, praktykant z kuchni zerkający ukradkiem na dziewczyny w lakierkach i chyba zastanawiający się, czy o tej porze dają rabat. Ponadto przed drzwiami z wygaszonym już neonem sterczał Alfred, włóczęga; wyżebrał u turystów na piwo i w zamian udawał Hansa Albersa. Zauważyłam też dwu Greków, których nigdy nie widziałam „Pod Wielorybem”.

Mój szef wsiadając do auta, na pożegnanie krzyknął do mnie, że jestem głupią kurwą, a ja pokazałam mu wyprostowany środkowy palec, ponieważ dla starych, wulgarnych i prostackich typów nie istniała lepsza odpowiedź. Zastanawiałam się, czy nie powinnam pojechać taksówką do domu i wziąć kąpiel, by zmyć wszystkie zapachy i wszystkie słowa tej nocy.

Atak nieznajomych, tych Greków, nastąpił niespodziewanie. Najpierw prowokacyjnie potracili mnie, tak że torebka wypadła mi z ręki. Potem jeden złapał mnie od tyłu, przytrzymał mocno za piersi. Krzyknęłam i szarpnęłam się w stronę drugiego, który stanął przede mną i obscenicznie poruszał językiem, wrzeszczałam, żeby mnie sukinsyny zostawili w spokoju. Wtedy ten z tyłu szepnął mi do ucha, że ma dobry towar w samochodzie, dobry towar i dobry ogon. Odwróciłam głowę i plunęłam mu w gębę, a on uderzył mnie w twarz.

Przypadkowi świadkowie zdarzenia cofnęli się niezainteresowani. Zobaczyłam, że mój

szef przez chwilę obserwował scenę, a potem z piskiem opon odjechał. Skamlałam i krzyczałam o pomoc. Obie prostytutki zabrały się i poszły. W St. Pauli formuła na przeżycie brzmiała: „Nie mieszać się”. Jednakże w prawdziwych sytuacjach wszystkie zasady zostają wystawione na próbę, o czym w pierwszych sekundach napadu intensywnie myślałam. Inni przyglądali się, także praktykant, wszyscy milcząc patrzyli, jak próbowałam napastnika ugodzić kolanem między nogi, trzymana mocno od tyłu, jak zrobił unik i pięścią rąbnął mnie w twarz.

– Kończ z tym i bierzmy pizdę do auta – powiedział ten z tyłu. Miałam pękniętą wargę, krew ciekła mi po brodzie. Żakiet się rozsunął i Alfred, zapity wólczygą, gapił się na moje piersi.

– Obrzydliwe – stwierdziła kobieta z Nadrenii.

Księżyc był błydy i niezwykle odległy, a ja raz po raz wołałam: „Nie!”, kiedy dwóch zaczęli mnie ciągnąć w stronę samochodu. Nie błagałam już o pomoc, drapałam i kopałam, przestałam się bać i byłam wściekła jak jeszcze nigdy w życiu. Tylko nie do auta – to była panująca nad wszystkim myśl, silniejsza niż strach.

– Czy nie powinno się wezwać policji? – usłyszałam, gdy napastnicy raptem puścili mnie i upadłam.

– Zostawcie dziewczynę w spokoju.

Leżałam na ziemi; spojrzałam w górę, by zobaczyć mówiącego. Był to wykidajło z sąsiedniego lokalu zwany King Kongiem, trochę niedorozwinięty, ale nie z całkowitym fiołem w zbyt małej głowie tkwiącej na potężnym karku. Twarz King Konga nawet nie drgnęła, gdy jednym z napastników najpierw mocno potrząsnął, a potem go cisnął na drugiego, który tymczasem wyciągnął nóż. Skuliłam się, kiedy ten typ jak wór przelatywał nade mną. Runął na kumpla uzbrojonego w nóż i obu rozpląszczyło o karoserię wozu. Wykrzywiona bólem twarz rzuconego, który nadział się biodrem na ostrze, stanowiła dla mnie niezwykle piękny widok. Mężczyzna zaklął i z jękiem osunął się na ziemię, drugi zaś w milczeniu, osłupiały i niedowierzający, spoglądał na swoją dłoń z zakrwawionym nożem.

– Trzeba wezwać policję. – To jakiś głos w tle.

– Zabij go. – To mój głos.

King Kong ujął mnie za rękę i pomógł mi wstać, nie spuszczał jednak z oka mężczyzny z nożem. Był zupełnie spokojny. Ja dygotałam i nie mogłam opanować szcęknięcia zębami. Księżyc wciąż świecił, ludzie nadal gapili się. Mężczyzna na ziemi jęczał z bólu. Czułam, że zdrętwiały mi wargi i policzki. Kiedy upadłam na ziemię, zraniłam się w kolano. Jeden but gdzieś przepadł. Zdjęłam z nogi drugiego i z całej siły rąbnęłam nim w

podbrzusze faceta opierającego się o samochód. Teraz wrzasnął również on, a ja przestałam drzeć. Odskokczyłam, zanim się na mnie rzucił, co i tak było utrudnione, gdyż między nami leżał jego krwawiący przyjaciel.

– Idziemy – powiedział King Kong, obejmując mnie ramieniem.

Hałas przyciągnął sporo ludzi, stali w bezpiecznej odległości i gdyśmy przechodzili obok, popatrzyłam na nich, na praktykanta i Alfreda, i na parę turystów, a kiedy mężczyzna powiedział: „Przecież nie możecie tak po prostu odejść”, splunęłam w jego stronę. Twarz mnie zaboląła, lecz trafiłam w but i to mnie ucieszyło. Czułam się lekka, chłód ziemi pod bosymi stopami wcale mi nie przeszkadzał. Praktykant wyciągnął rękę z moim butem, drugiego jednak brakowało, przeszłam więc bez słowa.

Ramię King Konga było mocne i ciepłe. Kiedy odeszliśmy dostatecznie daleko, zapytałam, jak się nazywa.

– Heinrich Globbe.

– Dziękuję, Heinrich.

Heinrich Wielki uśmiechnął się. Głowę miał rzeczywiście małą, oczy osadzone zbyt blisko siebie. Usta były w porządku, ktoś natomiast złamał mu kiedyś nos. Wyglądał jak zbyt wyrosnięte, opóźnione w rozwoju dziecko. Mimo że nie należałam do osób niskich, sięgałam mu zaledwie do szerokich ramion. Nie wiedziałam, dokąd idziemy, bez obaw jednak pozwoliłam się prowadzić. Chociaż często bywał „Pod Wielorybem”, nie interesowałam się nim specjalnie, ponieważ był spokojniejszy niż inni, nie prowokował bezczelnymi, obraźliwymi odezwaniem czy nieprzyzwoitymi chwytami i nie proponował, że postawi mi wódkę. Być może zachowywał się tak, by nie zwracać na siebie uwagi, wyglądał jak olbrzym, monstrum przy ludziach przeciętnego wzrostu. W domu przy Elbchaussee sąsiedzi mieli dogę; pewnego dnia zobaczyłam, jak oszczekiwał go pewien yorkshire terier. Atakowany dog po prostu stał i patrzył zdumiony, jednak nieporuszony tym śmiesznym wystąpieniem przeceniającego się karzełka. Yorkshire teriery trzymali wcześniej brytyjscy robotnicy, gdyż były duże i silne, a w robotniczych mieszkaniach mogły do woli polować na szczury i pożerać je, przynajmniej dopóki hodowcy nie zaczęli terierów coraz bardziej pomniejszać, pod gusta ludzi; głupie psy nigdy nie pojęły, co się z nimi stało, i czuły się nadal gigantami. Patrząc na to z punktu widzenia zwierząt, zwycięstwo odniosły szczury.

– Dokąd idziemy?

– Do mnie. Będziesz się mogła wykąpać, a ja przyszykuję śniadanie. To tylko jeszcze jedna przecznica. – Popatrzył na moje gołe stopy, potem wziął mnie na ręce i poniósł przez ostatni kawałek drogi, a jakaś kurwa, opierająca się o drzwi domu, obok którego

przechodziliśmy, zawołała:

– Spójrzcie, King Kong złowił białą kobietę.

Drgnął, poczułam to, nie odezwał się jednak, ja zaś byłam zadowolona, że mnie niesie. Port budził się do życia z całym swoim zgiełkiem i wszystkimi zapachami. Zatrzymaliśmy się przed starą kamienicą i Heinrich otworzył drzwi, nie opuszczając mnie na ziemię. Jego lokum mieściło się na parterze – dwa pokoje z kuchnią i łazienką, mieszkanie niezbyt duże, ale o wiele ładniejsze niż można by przypuszczać po wyglądzie budynku. Prowadził mnie przez nie z dumą, podczas gdy ja myślałam, że żyje tutaj sam i nieczęsto przyjmuje gości. W pokoju przylegającym do małej kuchni znajdował się tapczan, fotel, stół i krzesło. Ściany były oblepione portretami bokserów, cała galeria zmaltretowanych twarzy, wśród których widniała również twarz Heinricha. Trudno było ocenić jego wiek – trzydzieści, może czterdzieści lat – w rysach zachowała się pewna dziecięca naiwność, u dorosłego mężczyzny takich rozmiarów robiąca groteskowe wrażenie. Potęgował to wrażenie jego sposób mówienia, nazbyt powolny, jak gdyby musiał szukać słów, które go męczyły, kiedy je wypowiadał.

– Byłeś bokserem?

Rzucił mi parę wełnianych skarpet. – Tak, tak. Dawniej. Byłem dobry, ale ten drugi był zły. Oszukują. Chodzi tylko o pieniądze.

Heinrich pomyślał też o tym, by podnieść z ulicy moją torebkę. Położył ją teraz na stole obok stosu „Playboyów”, których nie sprzątnął pośpiesznie jak czynią inni, lecz pozostawił w spokoju.

– Możesz się wykapać – dodał. – Zrobię tymczasem kawę i przyniosę świeże bułki. W szafce łazienkowej jest jodyna i plaster.

Przebywanie z kimś, kto mówi tylko to co niezbędne, działało kojąco. Heinrich puścił wodę do wanny, dał mi ręcznik i płaszcz kąpielowy, a potem zniknął w kuchni. Zamykał za sobą drzwi, gdy zaczęłam się rozbierać. Wanna była duża, staromodna – w takiej można się swobodnie wyciągnąć. W lustrze zobaczyłam bladą twarz z wielkimi oczyma i pękniętą dolną wargą, która już nie krwawiła. Czarne włosy miałam sklezione, pewnie upadłam w błoto. Zajodnowałam wargę i skaleczone kolano. Zabolało, ale mogło skończyć się gorzej, jak powiadano w porcie, gdy ktoś wdepnął w gówno. Ojciec sformułował to właściwie: do kariery „po trupach” Wondraschkowie się nie nadają. Leżał teraz w satynowej pościeli i miał spokojne sumienie. Szło przecież tylko o pieniądze. Wślizgnęłam się do wanny i rozkoszowałam gorącą wodą. Łazienka lśniła białymi kafelkami, czysta i ciepła. Dom, pomyślałam, żadna tam wynajęta willa czy przepierzenie z toaletą na zewnątrz. Mydło pachniało cytryną, a na ścianie wisiał poster z krajobrazem Toskanii. Nie byłam jeszcze nigdy

we Włoszech, nie byłam w żadnym kraju poza Niemcami i Austrią. Obraz mi się podobał, piękny i spokojny, bez ludzi. Kelnerka to nie zawód dla mnie, tym razem musiałam przyznać rację ojcu, który wszystko wiedział lepiej, a mimo to popełniał wiele błędów. Czułam się zmęczona, lecz całkiem wybita ze snu, kolano piekło w gorącej wodzie. Usłyszałam, że otwierają się drzwi i do kuchni kierują ostrożne kroki. Zanurzyłam się w wodzie.

Płaszcz kąpielowy Heinricha był na mnie za duży. Stół natomiast za mały dla tej ilości wędliny, sera, chleba i marmolady, ryb i pasztetów, które Heinrich na nim rozłożył; zapas naczyń mojego gospodarza ograniczał się do dwu talerzy, dwu filiżanek i tyłuż kompletów sztućców. „Rzadko kogoś przyjmuję”, powiedział, a i to była na pewno przesada. Pomyślałam o kuchennej filozofii Klary, aby dzień rozpoczynać dobrym śniadaniem, czego ojciec i ja nigdyśmy się nie trzymali. Heinrich nalał kawy i przyglądał mi się, jak smaruję bułkę masłem i marmoladą. On zaś palcami wyjął z puszki sardelę i zacisnął między dwoma kawałkami bułki, tak że gdy ugryzł, oliwa pociekła mu na brodę. Wyglądało to obrzydliwie.

– Nie chciałam, żebyś ich zabijał. Chociaż w tamtej chwili tak pomyślałam.

– Już dobrze. – Heinrich sięgnął po drugą bułkę i obłożył ją śledziem.

– Nie sądziłam, że mi się coś takiego przytrafi.

– Przytrafiło się. – Uśmiechnął się do mnie. Wyglądał jak szczęśliwe, prostoduszne dziecko z takimi manierami przy stole, że nawet na krótko były trudne do zniesienia. Na trzecią bułkę położył krewetki, posmarował majonezem, przyprawił wszystko tabasco i ugryzł tak, że wytrysnęło białe na brzegach. Zrobiło mi się niedobrze i zerwałam się, aby pobiec do łazienki. Mimo mego przeczącego ruchu ręką (mówić już nie mogłam) poszedł za mną i przytrzymał mi głowę, gdy wymiotowałam do muszli. Zrobił to bardzo łagodnie, a po wszystkim wytarł mi twarz mokrym ręcznikiem.

– Idiota ze mnie – powiedział i dodał: – Teraz lepiej prześpij się.

Nie chciało mi się spać, byłam jednak bardzo zmęczona, usiadłam więc na podłodze sypialni, on tymczasem zmieniał bieliznę pościelową. Pomyślałam, że mogłabym go kochać, gdyby był głodomorem. Kiedy łóżko było gotowe, zdjęłam płaszcz kąpielowy, bo cóż miałabym jeszcze ukrywać? Heinrich chciał odejść, jak już leżałam w łóżku, lecz wzięłam go za rękę i poprosiłam, żeby się koło mnie położył. Byłam mała, on był szczęśliwym dzieckiem, dużym i tak zdumiewająco łagodnym; a ja chciałam mieć to za sobą – właściwie czemu nie z jakimś komicznym facetem, który pomaga kobiecie, przyprawia o mdłości i podczas wymiotowania trzyma za głowę?

Heinrich uśmiechnął się, gdy przyłożyłam jego dużą dłoń do swego biustu, jakiś czas pieścił moje piersi, a kiedy zamknęłam oczy, poczułam na sobie bardzo uspokajający,

opiekuńczy ciężar. Heinrich nie mówił nic, tylko całował mnie po całym ciele tak długo, aż wzięłam jego członek i wprowadziłam w jedyne w tej sytuacji odpowiednie miejsce. Ból okazał się dużo mniejszy, niż oczekiwałam, ale Heinrich przestraszył się i wycofał. Równocześnie poczułam wilgoć na udach – stały się mokre i kleiste. „O Boże”, powiedział, a ja pomyślałam o ojcu, który z pewnością zganiłby wybór mego pierwszego kochanka. To nie miało jednak znaczenia, ponieważ teraz byłam dorosła i wiedziałam co dobre, a co złe. Heinrich wyglądał na tak zmieszanego, że przycisnęłam jego głowę do swoich piersi i pogłaskałam po najeżonych jasnych włosach.

– Wszystko w porządku – powiedziałam sennie – ojciec nie może nam nic zrobić.

Kiedy byłam dzieckiem i nie mogłam zasnąć, Klara deklamowała mi wiersz o śliwie. Drzewko było tak małe, że osłaniano je kratą. Było tak małe, bo światło słońca nie padało na nie, dlatego nie miało śliwek i można je było rozpoznać tylko po liściach. Nie potrzebowałam już Klary, tu i teraz nie potrzebowałam nikogo oprócz Heinricha, który płakał na mojej piersi i którego kochałam, póki nie zasnęłam.

ROZDZIAŁ 4

Moje imię obiecywało szczęście, ale ja nie wierzyłam, że mu sprostam albo że ktoś ma prawo tego ode mnie oczekiwać. Heinrich uczynił mnie szczęśliwą; sprawił to w swojej dziecięcej wierze w siłę uczucia. I przez jedną chwilę, przez jedną piękną chwilę podzielaliśmy złudzenie. Była to prawie niema, łagodna, opiekuńcza miłość, w której zawarliśmy wszystko, czym nie byliśmy.

Heinrich nie był idiotą, myślał tylko wolniej niż inni i nigdy nie mówił wyłącznie po to, aby wypełnić ciszę. Okazał się bokserem także w mówieniu: wyczekać, zrobić unik, wykorzystać szansę, wyprowadzić właściwy cios. Ataki słowne przetrzymywał niewzruszony, wiele z nich go nie dosięgało. Wydawało się, że między sobą a światem ustawił worek treningowy, który przechwytuje słowa i przemienia je w milczenie. Heinrich miał świadomość swej siły fizycznej i korzystał z niej ostrożnie.

– Często wystarczy, jak na nich spojrzysz, gdy poczują, że ktoś czuje, że nie boisz się walki. Jeżeli się nie da inaczej, musisz uderzyć pierwsza, ale celnie. Nie dostaniesz drugiej szansy, jeśli nie jesteś dość szybka.

Na osiemnaste urodziny Heinrich podarował mi rękawice bokserskie i trenowaliśmy w jego pokoju, ponieważ w szkole bokserskiej ludzie go irytowali; nie potrzebował więcej niż jednego przeciwnika – siebie. I kogoś, kogo mógł kochać. Nie pytałam o inne kobiety, o jego przeszłość, a on nie wydawał się interesować tym, skąd ja przychodzę i kim jestem. „Teraz” było znakiem naszego związku: jedzenie, picie, kochanie się. Boksowanie. Chętnie mu się wtedy przyglądałam, gdyż stając do treningu, zmieniał się zupełnie. Pozbywał się swej niezdarności jak fragmentu odzieży, który mu zawadzał. Jako bokser był szybkim, skoncentrowanym, inteligentnym mężczyzną. Jako bramkarz i wykidajło nazywał się King Kong. Znosił cierpliwie to imię, podobnie jak wystawanie przed barem, docinki, kłótnie i swój dozowany fizyczny wkład w poskramianie opornych gości. Musiał pracować i zarabiać pieniądze, aby żyć. One zaspokajały jego skromne potrzeby i nic więcej.

Heinrich nie miał samochodu, telewizora ani wieży stereo, miał jedynie stare radio. Nosił wytarte kordowe spodnie, kraciaste koszule, pulowery oraz obuwie sportowe, które wymieniał dopiero wtedy, gdy odpadały zelówki. Był nie posiadającym niczego

ekscentrykiem, idiotą w oczach innych. Krążyły o nas dowcipy, o King Kongu i Jane lub o Pięknej i Bestii, a Heinrich pozwalał, by spływały po nim niczym krople potu podczas boksowania. Ta obojętność irytowała mnie, podobnie jak jego chlupanie i mlaskanie przy jedzeniu, chociaż już nie wymiotowałam, gdy patrzyłam na niego przy posiłkach.

Znakomity był tylko, kiedy boksował, i pomyślałam, że aby przetrwać, należy się w życiu koncentrować na jednym, na talencie dominującym. Tylko że niestety nie miałam żadnego, byłam po prostu młodą zgrabną dziewczyną o szarych oczach i czarnych włosach oraz twarzy, którą uważano za ładną. Heinrich utrzymywał, że jestem piękna. Kiedy stawiał mnie na cokole podziwu, wzmacniał moją pewność siebie, a sam się pomniejszał. Mój bokser nie rozwinął w miłości żadnej taktyki i było do przewidzenia, że ja przy lepszej gardzie wyprowadzę końcowy cios.

„Pod Wielorybem” nikt już nie odważył się mnie zaczepiać, zwłaszcza że Heinrich odprowadzał mnie każdego wieczoru i rana i szybko rozniosło się, że mam opiekuna. Moi napastnicy, jak słyszałam, po przybyciu policji opowiedzieli o małej sprzeczce i nieszczęśliwym wypadku z nożem. Świadkowie nie zaprzeczali. Mężczyźni nie byli zresztą Grekami, jak przypuszczałam, lecz Albańczykami, handlarzami narkotyków na dokładkę. Kłutą ranę opatrzył sanitariusz z wezwanego ambulansu, a ja ubolewałam nad błahością obrażeń. Ludzie opowiadali, że tamci poprzysięgli zemstę i czekają tylko na okazję, by King Kongowi odplacić. „Pod Wielorybem” było jednak wiele takich historii, męskich spraw o gwałt i pieniądze, babskich o gwałt, miłość i pieniądze, i tylko tchórzliwi dawali się nastraszyć słowom.

W porcie wiedziano wszystko o wszystkich. Elfie opowiedziała mi, że Heinrich swą podobną do komety karierę bokerską gwałtownie zakończył, gdy pobity przez niego pewien menedżer z branży trafił do szpitala.

– King Kong nie kapował, o co idzie w tym interesie – powiedziała Elfie i popukała się w czoło. – Ale za to wiadomo, że ci niespełna rozumu są nadzwyczaj jurni.

– Robimy to dwanaście razy na dzień – nie omieszkałam oznajmić, kiedy przetykałyśmy solniczki wykałaczkami.

– Nie gadaj!

– Naprawdę – potwierdziłam. – On po prostu nie może przestać. I zakłada kondomy w kształcie rękawic bokerskich.

Pewnego dnia najchętniej nie wystawiłabym nosa z pościeli, ale w końcu wstałam późnym popołudniem po którymś z kolei stosunku bez kondoma i śniadaniu w łóżku. Bokser leżał ciężko na mnie, już się do tego przyzwyczyłam. Jego opieka stała się dla mnie

uciążliwa, a milczenie oskarżające. Niejasno zdawałam sobie sprawę, że w naszym związku ja sprawuję władzę, raniąc bezkarnie Heinricha słowami lub odmową. Nie mając takiego zamiaru, przesądzałam o humorze King Konga. Na dworze zaciął hamburski deszcz, który jak się wydawało, nigdy nie zamierzał ustać. Heinrich trzymał parasol jak tarczę, odprowadzając mnie do pracy, choć ja wcale się nie bałam, że zostanę zabita przez jakąś kroplę deszczu.

To był jeden z tych dni, kiedy „Pod Wielorybem” brał górę rozdrażniony nastrój, wszyscy się kłócili, a jedzenie było równie obrzydliwe jak goście, którzy się na nie skarżyli. Gdy ktoś podstawił mi nogę, o którą się oczywiście potknęłam i poleciałam do przodu z wyładowaną tacą, towarzystwo zaś gruchnęło śmiechem na ten widok, szef przypisał winę mnie. Na horyzoncie nie było odvodu w postaci kanonierek, wstałam więc i oświadczyłam: „W tym gównianym lokalu nie zostanę ani minuty dłużej”. Wtedy przestali się śmiać. Właściciel usilnie mnie nakłaniał do zmiany decyzji, lecz pozostałam na to głucha i wyszłam.

Wróciłam do mieszkania Heinricha, który był w swoim miejscu pracy, gdzie otępiełe kobiety igrały z erotycznymi fantazjami mężczyzn, za co prowadzący ten interes człowiek inkasował główną część ich dochodów. Bokser bardzo niechętnie zabierał mnie do baru, lecz ja wciąż tam przychodziłam, najpierw ze zwykłej ciekawości, potem z autentycznego zainteresowania, ponieważ z półmroku mojego miejsca tuż obok reflektora dawało się szczególnie dobrze obserwować mężczyzn. Striptiz na scenie przebiegał równolegle do obnażania męskich twarzy; one odkrywały prawdę o męskiej pożądlivości, kobiety tymczasem grały, zwodziły, niektóre lepiej, inne gorzej, w mimice nigdy nie prezentując erotyzmu, ale któż by tam patrzył na twarz striptizerki, jeśli dziewczyna faluje biustem i przesuwa pieszczotliwie rękami po całym ciele?

Poza elementem socjotechnicznym zajmowała mnie kwestia, czy kontrola nad żądzą bardziej jest warta starania niż doświadczenie jej, czy pozycja kobiet jest lepsza czy gorsza od pozycji mężczyzn, i doszłam do wniosku, że kobietom do wyraźnego zwycięstwa brakuje siły dysponowania własnym kapitałem. Jak długo nie złączą działań wedle swoich reguł i na swoich warunkach, właściciele i sutenerzy zaś będą zagarniać lwią część ich zarobków, tak długo zmysłowa przewaga kobiet nie będzie nic warta. Kiedy towar się zużywa, gdy robią się stare i otyle, przechodzą do znajdującego się obok „S&M-Club”, gdzie wciskają się w skóry i okładają biczami jęczących z podniecenia mężczyzn, a czynią to z równie obojętnymi twarzami i rozpaczliwymi myślami. Tam gdzie można się tylko stoczyć, oszukuje się bez kozery, również siebie. To nie jest kariera, do której warto dążyć, tak samo jak praca kelnerki; zajęcie w usługach, obojętne w jakiej formie, stawia człowieka na straconej pozycji – bez

prawa decydowania o sobie. Faktycznie: byt określa świadomość. Nie chciałam być taka jak Klara lub ojciec, jak kelnerki „Pod Wielorybem” albo striptizerki i prostytutki w porcie. Jak bokser, który się uodpornił na świat, głupio, uległe i mocno. Nie miałam tego rodzaju siły; on nauczył mnie tylko precyzyjnie uderzać, robić zręczne uniki i znosić cierpliwie to, czego się nie da uniknąć.

Gdy w mieszkaniu Heinricha spakowałam walizkę, zaczęłam walić w worek treningowy, płacząc i wściekając się, bo nie zamierzałam zranić tego mężczyzny, a jednak robiłam to. Potem położyłam na stole rękawice bokserskie. Wiedziałam, że Heinrich trzyma w przysłowiowej skarpecie kilka tysięcy i owładnęła mną na krótko gwałtowna pokusa, lecz zdołałam się jej oprzeć. Napisałam na kartce, że powinien wreszcie zanieść pieniądze do banku i że ja wyliczyłam go w nierównej walce, czego żałuję, ale nie da się tego zmienić. Napisałam to drukowanymi literami, Heinrich bowiem miał trudności z czytaniem.

Pojechałam taksówką do willi, gdzie Klara otworzyła mi drzwi. Po jej pogodnej twarzy poznałam, że sprawy wzięły zły obrót.

– Jest w swoim gabinecie, lepiej mu teraz nie przeszkadzać – szepnęła, biorąc ode mnie walizkę, i poszła przede mną do mojego pokoju, w którym nic się nie zmieniło.

Nie zdziwiło mnie, że nie spytała, co się ze mną działo przez ostatnie cztery miesiące.

– Nigdy ojcu nie przeszkadzałam – stwierdziłam, gdy postawiła walizkę. – On przecież by na to nie pozwolił. Jak wyglądają finanse?

– Nie najlepiej. – Klara uśmiechnęła się. – Nie ma już nowych klientów, za to starzy chcą być obsłużeni. Jesteśmy w fazie konsolidacji. Tym razem rzeczywiście powstał mały problem.

Położyłam się na swoim łóżku, łóżku tylko dla mnie. Nie mam nic przeciw seksowi, ale powtórki nie czynią go lepszym. Ani nie pomniejszają ciężaru mężczyzn, jeśli są na górze. Przy Heinrichu nic nie było lekkie, ale jeszcze gorsza była lekkość moich uczuć. Chętnie porozmawiałabym z Klarą o bokserze, ona jednak chciała mówić o ojcu.

– Ma zmartwienie z Beatą? Chce ją może poślubić?

– Ależ nie. To już dawno skończone. Daj spokój, taka zdzira. Nasz problem to pewna pani z Monachium, która ulokowała u nas pieniądze i teraz dopomina się o swoje. Chodzi o trzysta tysięcy marek. Jej eks-mąż jest grubą rybą w biznesie budowlanym i był w Kenii. Dzisiaj do mnie zadzwonił i groził, że powiadomi policję. Naprawdę nieładnie z jego strony.

– Sądzisz, że obejrzał ten kompleks wakacyjny, który nie istnieje?

Klara układała moje ubrania w szafie. Na meblach leżała cieniutka warstewka kurzu, również wskazująca na to, że nasze akcje idą w dół.

– No cóż – powiedziała Klara – są opóźnienia z powodu braku zezwolenia na budowę, próbowałam mu to wyjaśnić. Przy projekcie na tę skalę trzeba liczyć się z opóźnieniami, nawet dziecko by to zrozumiało.

– Czyżby ci nie uwierzył?

Na ironię Klara była uodporniona.

– Doktor Freiser chce przyjechać do Hamburga i odebrać wkład w gotówce, oczywiście z oprocentowaniem. Wydaje mi się, że jest zimnym jak lód rekinem finansowym.

Było to komiczne, lecz humor także nie zaliczał się do mocnych stron Klary.

– Ojciec już coś od niego wytarguje. To przecież nic nowego. Kłopotliwi udziałowcy istnieli zawsze.

– Ale tym razem jest inaczej – uśmiechnęła się. – Twój ojciec spekulował na giełdzie. To miał być naprawdę wielki interes. Chciał mi kupić mały teatr, dasz wiarę?

Nie dałam. Było to i tak nieistotne, gdyż Klara wyjaśniła mi, że ojciec zamiast wielkiego zysku poniósł znaczącą stratę. Według Klary na kontach zostało jeszcze tylko dwieście pięćdziesiąt tysięcy marek: bóg splajtował. Nie zbankrutował, tak jak wielu ludzi w porcie, lecz jeśli nie miał żadnych asów w rękawie, aby z ludźmi, którzy powierzyli mu pieniądze, pertraktować o polubownym uregulowaniu sprawy, sytuacja była poważna. Zestarzał się, pomyślałam, a może chciał po superprzedsięwzięciu przejść na hołsztaplorską emeryturę. Dla naprawdę wielkiego interesu Wondraschek okazał się za mały.

Nie będzie żadnego teatru; może faktycznie myślał o jakiejś hojnej odprawie dla Klary, aby się wreszcie jej pozbyć. Nie będzie luksusowego zacisza nad jeziorem Starnberger. Nie będzie wieczorków myśliwskich i nie będzie młodych kobiet, które znajdują upodobanie w hojności starszych panów. Klara, pogodna i opanowana, paliła cuchnącego papierosa bez filtra i zdawała się nie doceniać powagi sytuacji.

– Co zamierzacie teraz zrobić? – spytałam.

– Twój ojciec zamknął się w gabinecie i pije koniak. Wiesz, co to oznacza. Na pewno wpadnie na jakiś pomysł.

– Bieda jest karana śmiercią, Klaro – powiedziałam, bo „Mahagonny” była jedną z jej ulubionych sztuk, natomiast ja wołałam „Baala”; nad wszystkie postacie Brechta przedkładałam Baala, gwałtownego w słowach, nieustraszonego zdeprawowanego anarchistę.

Klara stwierdziła, że jestem bez serca.

– Lepiej nie mieć żadnego, niż mieć twoje, Claire. Ono bije zawsze dla beznadziejnej sprawy. Nie będzie zwycięstwa proletariatu. Ty nie zrobisz kariery jako aktorka. A ojciec nigdy cię nie poślubi.

W tym ostatnim się myliłam. Ojciec poślubił Klarę, kiedy siedział w więzieniu, skazany na sześć i pół roku za oszustwa inwestycyjne. Chociaż przed sądem przedstawił swoją sprawę wspaniale, w sposób sprawiający dużo większe wrażenie niż wystąpienie nijakiego obrońcy z urzędu, wyrok był nie do uniknięcia, w końcu szło o duże pieniądze, a w sprawach finansowych wymiar sprawiedliwości nie pozwala z siebie żartować. W uzasadnieniu wyroku sędzia powiedział, że oskarżony jest notorycznym oszustem, który nie okazuje żadnej skruchy; ta charakterystyka była bardzo precyzyjna, lecz sędzia nie rozumiał, że Wondraschek uważa się czasem za boga i stąd wywodzi autonomię swego działania.

Podczas procesu skorzystałam z prawa do odmowy zeznań, Klara niestety nie i jako świadek obrony była katastrofą. Marksistowska dialektyka okazała się w świetle oskarżenia chybnym monologiem, a Klara, której wystąpienie wypadło bardzo dramatycznie, nie zauważyła, jak skutecznie prokurator prowadził ją pytaniami w pożądanym przez siebie kierunku. Że obwiniony niekiedy uśmiechał się z rozbawieniem, nie zostało zinterpretowane na jego korzyść. Ojciec w szykownym granatowym garniturze wydawał się niezwykle szczupły na ławie oskarżonych. Grał swoją upokarzającą rolę brawurowo, byłam o tym przekonana, gdy uśmiechałam się do niego dla dodania mu otuchy. Wondraschek zachowywał godną postawę także wtedy, kiedy publicznie roztrząsano i osądzano jego motyw i postępek, kiedy rozbierano go słowami do naga, po czym strojono w barchanowe łachmany, które jego wydelikaczonej starczej skórze mogły tylko zaszkodzić. Jest godne pożałowania, że na rozprawie nie było mowy o naszym milczeniu od osiemnastu lat, o wspaniałomyślności ojca, która nie rozgraniczała tego co twoje i moje, i o wcale nie udawanej wierze Wondraschka w cud rozmnożenia pieniędzy. O ileż łatwiej zauważyć to wszystko u innych – sprawiedliwość sędziów wydała mi się faryzeuszowska, a ich wyrok nieproporcjonalny do winy. Kochałam ojca, gdy stał przed sądem, i wierzyłam, że po raz pierwszy umiał ocenić lojalność moją i Klary. Kiedy go wyprowadzano po wyroku, uściśnął mnie i szepnął: „Felicitas, cokolwiek czynisz, nie daj się przyłapać.”

Klara Wondraschek znalazła pracę jako kasjerka w teatrze i wyprowadziła się z willi dopiero wtedy, gdy właścicielka pozwała ją do sądu. Raz w tygodniu odwiedzała ojca w więzieniu, zanosila mu papierosy i coś ekstra do jedzenia, a mnie opowiadała przez telefon, że Wondraschek zajmuje się w zakładzie karnym przyjmowaniem zakładów. Powodzi mu się dobrze, z poprawką na okoliczności, na szczęście jest człowiekiem, który potrafi dostosować się do warunków. Ja widziałam to inaczej, chociaż bywałam u niego nieregularnie. Ojciec kurczył się, za każdym razem wydawał się nieco mniejszy, jak gdyby postanowił milimetr po milimetrze uwalniać się od życia, które mu już nie pozostawiło wyboru, czy być bogiem czy

diabłem. Jak jest przyjęte przy wizytach w szpitalu, nie mówiliśmy o śmierci. Tematy były starannie dobierane, neutralne, nikomu nie sprawiające bólu. Oczywiście byłam szczęśliwa, że poślubił Klarę, on zaś nie sprzeciwiał się mojej przeprowadzce do Monachium, do willi doktora Geralda Freisera.

Przedsiębiorstwo budowlane, uważał ojciec, to niepewny, wszelako bardzo lukratywny interes. Opowiedziałam mu, że chodzę na kursy angielskiego i francuskiego, interesuję się sztuką i antykami i jestem bardzo szczęśliwa. „Konsumpcja odbiera człowiekowi duszę”, powiedział ojciec i roześmialiśmy się zgodnie.

Tak się zdarzyło, że po raz drugi zakochałam się z wdzięczności, tylko jeszcze gwałtowniej i wytrwalej, namiętniej i bardziej nierozsądnie. Od pierwszego wejrzenia. Kiedy otworzyłam drzwi, ponieważ Klara poszła na pocztę, ojciec zaś tak jak przedtem nie opuszczał swego biura, kiedy więc wściekając się na niemilknący dzwonek, uchyliłam drzwi, a on wstawił w szparę stopę, kiedy na mnie spojrział, nic nie mówiąc, kiedy je otwarłam szerzej, dobrowolnie, w tej samej chwili wpuściłam go do środka. W siebie. Może sprawił to jego uśmiech lub refleks słońca na rudych włosach. Piegi wokół ładnego nosa. Nie istniał ani jeden rozsądny powód do miłości. Żadne wyjaśnienie dla wzniosłości idiotyzmu, aby się zdać całkowicie na łaskę obcego człowieka. Wiedziałam, kim jest, gdyż Klara ostrzegła mnie przed nieprzyjacielem: Gerald Freiser przyjechał, aby odebrać pieniądze, pieniądze swojej byłej żony, które rzekomo coś jeszcze dla niego znaczyły.

– Ojca nie ma.

Wiedział, że kłamię. Cofnęłam się. Wszedł za mną do holu i oświadczył:

– To nic nie szkodzi.

Był wysoki i bardzo rudy. Z uśmiechem, który wydał mi się promienny. Klara opisała Freisera jako kapitalistycznego obrzydliwca. Jak zawsze nieprecyzyjnie sformułowała swój sąd; miałam nadzieję, że długo będzie załatwiać sprawy na pocztę. Stojący zegar tykał za głośno. Dywan, na którym staliśmy, był zakurzony, co mnie zawstydziło. Miłość musi mieć idealną oprawę, nie znosi bylejakości w swych raptownych początkach. Gerald Freiser powiedział:

– Piękny dom. Pasuje do pani.

Mógł mówić wszystko, co chciał, zabrałam go na taras, zaproponowałam drinka, zmusiłam do zostania. Był to jeden z owych słonecznych dni, które przemieniają Hamburg w Wenecję. Freiser siedział w fotelu ojca, pił dżin z tonikiem i przyglądał mi się. Kochankowie odczuwają przemożną potrzebę zwierzeń.

– Nie sądzę, żeby pan otrzymał te trzysta tysięcy. To trudne w tej chwili – odezwałam

się.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Tak. Poza tym moja była żona to hiena ze zbyt dużymi pieniędzmi i zbyt małym rozumem. Moje współczucie dla niej ma swoje granice.

To mnie ucieszyło.

– Klara mówi, że pan złoży doniesienie na ojca.

– Nie zamierzam. Nic by to nie dało, gdyby doprowadzić go do bankructwa. Czy Klara to ta pani, z którą rozmawiałem przez telefon?

– Tak. Ona jest kimś w rodzaju... sekretarki. Właściwie robi tu wszystko. Jest bardzo dzielna.

– W to wierzę. Ale co ma wspólnego Marks z interesami pani ojca?

Zaczęłam się śmiać, on śmiał się także, harmonijny duet, symfonia szczęścia, histeryczny chichot szalonych. I wtedy opowiedziałam mu o Klarze. I o sobie. Czegóż się nie opowiada, jeśli ktoś chce się spodobać za wszelką cenę, nawet za cenę kłamstwa... Ojca oszczędzałam, to przyszło później, gdy byliśmy z Freiserem na Sylcie i „Pod Plażową Kopułą” piliśmy mocnego, korzennego bommerlundera ze śliwką, łązili pod wiatr, tańczyli w „Pony”, pili dalej i z czystej przyjemności odsuwali chwilę powrotu, ponieważ to już nigdy nie miało się powtórzyć: nigdy tak wielkie oczekiwanie, tak bezmierna ciekawość, tak silna żądza spełnienia.

Gerald Freiser, trzydziestosześcioletni mężczyzna, rozwiedziony, kochał Felicitas Wondraschek. Tak oświadczył i wierzyłam mu, podobnie jak on wierzył mnie. Pozostaliśmy na Sylcie dwa dni, pojechaliśmy tam autem Geralda, nim Klara wróciła do domu; zostawiłam jej tylko karteczkę, na której napisałam, że sprawą doktora Freisera nie musi się już martwić. Gerald roześmiał się, gdy przeczytał moją wiadomość. Uważałam jednak, że powinnam go zapewnić, iż jest pierwszym wierzycielem, z którym nawiązałam bliższy kontakt. Powiedziałam mu, że z interesami ojca nigdy nie miałam nic wspólnego – byłam tylko kaprysem jego natury, sporadycznym gościem w domu, niewinnym i bez gotówki. Przysłuchiwałam się swemu skomlaniu i spodziewałam łaski, przede wszystkim dla siebie. Później przyznał się, że mi nie ufał, ale mężczyźni tacy jak on mają skłonność do ryzyka, także w odniesieniu do kobiet.

Przedstawiałam dla niego wartość trzystu tysięcy marek, które należały do jego eks-żony. Uznał, że ona przeboleje te pieniądze, a ja na Sylcie okazałam się na tyle uczciwa, by mu powiedzieć, że przypuszczalnie nie ma znaczenia, który z wierzycieli ojca pchnie kamień

powodujący lawinę. System się załamał. Byłam córką zbankrutowanego oszusta, a to niedobra trampolina do skoku w szczęście, lecz Gerald rzucił mi koło ratunkowe. Zapytał, czy nie zechciałabym przenieść się do niego, do Monachium. I zaoferował się pomóc ojcu w załatwieniu kredytu. Nie wyjaśniłam tego, o czym również Gerald musiał wiedzieć: że respirator zaledwie przedłużył agonię. Jednakże mój kochanek, który wierzył w siłę milionów, obudził w Wondraschku nadzieję na nowy cud. Gdyby Wondraschek dzięki wypłatom powstrzymał żądną pieniędzy zgraję, zaczerpnąłby powietrza, rozwinąłby nowy projekt. Wiatraki na Saharze. Pola naftowe na Syberii. Sieć fast foodów na Węgrzech. Ojciec znów oczarowywał, a Klara opowiadała przez telefon bajki, aby powstrzymać wierzących.

Milionowy kredyt był prawie załatwiony w jednym z monachijskich banków, gdy w pewien poniedziałkowy rano zjawiała się policja, by przeszukać dom nad Łabą. Funkcjonariusze byli bardzo grzeczni, lecz zabrali ze sobą wszystko, także twardy dysk z komputera. Klara wyzwalała ich od „nazistowskich świń”, ale ojciec przywołał ją do porządku i przeprosił „panów, którzy wykonują tylko swój obowiązek”. Wiedział, kiedy przegrywał.

Dzień później informacje o „oszuście inwestycyjnym” pojawiły się w hamburskich dziennikach, potem również w gazetach ogólnokrajowych. Jeden z poważnych klientów, ze stawką pół miliona w grze, w rozmowie telefonicznej źle zrozumiał Klarę i przyjął, że ojciec ma jakoby zamiar osiąść w Kenii. Wtedy udał się na policję i właśnie jego doniesienie wywołało lawinę, której już nie dało się zatrzymać. Kiedy ojca zabrano, Klara i ja oszańcowaliśmy się w domu. Gerald był jedynym człowiekiem, któremu otwierałyśmy drzwi, a gdy na zmianę podchodziłyśmy do telefonu, wymyślano nam od „kurew oszusta”; wytworni klienci w oczekiwaniu bolesnych strat nie przebierali w słowach. To był smutny czas, rozjaśniany tylko sporadycznymi wizytami Geralda. Nalegał, żebym wyjechała do Monachium, i rok później, kiedy ojca skazano, przystałam na to.

Być może miłość jest niczym innym jak tylko ciekawością, chęcią zbadania do gruntu i zrozumienia drugiego człowieka. A także próbą, by stać się jednością cielesnie i duchowo, rozpuścić się w kimś i przez kogoś innego zostać wziętym w posiadanie. Próba skazana na niepowodzenie, kończąca się przyjaźnią albo wrogością, przyzwyczajeniem albo poddaniem się, erotycznym umiarkowaniem albo seksualnym niedostatkiem. Gdy ciekawość jest zaspokojona, następuje czas krytycznej rewizji, emocjonalnego definiowania, manifestowania stosunków władzy, zdecydowania się na coś zwyczajnego bądź na nic. „W ten sposób miłość wydaje się kochankom czymś trwałym”, napisał Brecht w jednym ze swych najpiękniejszych wierszy, ponieważ w sprawach miłości był poetą realistycznym.

Brecht nie cieszył się popularnością w monachijskich kręgach Geralda. Rodacy Franza

Josefa Straussa nie uprawiali gruszek na wierzbie – zajmowali się uprawianiem interesów, seksu służącego interesom, ćwiczeń służących seksowi. Kulinarne i kulturalne imprezy podporządkowane były jednemu świętemu celowi: robieniu pieniędzy. A wokół monetarnych królów gromadził się dwór: kłowni, żebracy, metresy i dobosze znoszący wieści. Gerald Freiser, przedsiębiorca budowlany, był serdecznym przyjacielem wśród serdecznych przyjaciół, panem spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, właścicielem posiadłości w Monachium, a dokładnie w Bogenhausen. Był moim kochankiem. Kochałam go przez jakiś czas. Zachowywał się wobec mnie bez zarzutu. Mogłam z nim chodzić i rozmawiać, wydawać jego pieniądze, masować mu plecy, leżeć na nim, pod nim i obok niego, organizować przyjęcia, zamawiać stolik u Käfera. Jego przyjaciele, a miał ich wielu, nazywali mnie „piękną czarodziejką”. I tak toczyło się życie będące czystą przyjemnością, gotowe spełniać nasze zachcianki. Czuliśmy, że istniejemy dla siebie nawzajem, gdy leżałam między jego nogami, nacierałam go wonnym olejkiem, a także gdy uśmiechałam się dla niego, udając, że nie zauważam, iż pewien partyjny bonza zatapia pożądliwe spojrzenie w moim dekolcie. Nosiałam kupione przez niego futro, podarowaną przez niego biżuterię, wybraną przez niego koronkową bieliznę. On ustalał, gdzie zaspokoimy głód. Kochał mnie, gdy wypił za dużo lub stracił sporo w kasynie gry. Życie przypominało wielką zabawę, dopóki toczyła się bila, banki dawały kredyty, a domy rosły, aby przynosić dochód. Jeden obiekt finansował następne – tak toczyła się gra. Serdeczni przyjaciele dawali zlecenia i ułatwiali finansowanie, rozumie się niebezinteresownie, ponieważ ręka rękę myje albo ją oplaca. Franz Josef Strauss jeździł w tym czasie do NRD, aby udzielić miliardowych kredytów, i szeptano, że zainkasował miliony prowizji. Krążyły plotki o pieniądzach i seksie. Świat stał się sklepem samoobsługowym, a kto niczego nie bierze, sam sobie jest winien. Dziennikarze wiedzieli prawie wszystko, ale pisali niewiele. A dałoby się bez trudu udowodnić, że postęпки niektórych graniczyły z przestępstwem. Zapomniałam o Brehcie. Łatwiej jest zapomnieć, niż sobie przypomnieć. Łatwiej pozwolić się nieść prądowi, niż płynąć przeciw niemu. Łatwiej być niczym, niczym dobrym i niczym złym.

– Skorumpowane bagno – powiedział Gerald o swoim ukochanym Monachium. To, że on był jego częścią, w żadnym wypadku nie zmieniało mojego statusu córki uwięzionego oszusta. Nie wytknął mi tego nigdy, jednakże ta sprawa istniała niewypowiedziana między nami. Kiedy ktoś się dopytywał, co zdarzało się rzadko, gdyż mój status przyjaciółki Freisera większości wystarczyło, wtedy Gerald spoglądał na mnie, umyślnie trochę się ociągając, aby potem odpowiedzieć, że jestem córką kenijskiego właściciela wielkiej posiadłości ziemskiej. Rozpoznawałam ironię, ale naturalnie również okrucieństwo. Mój kochanek chętnie się śmiał,

śmiechem dobrodusznym, lecz przeważnie odbywało się to kosztem innych. Błazny dworskie bawiły jemu podobnych: artyści i kucharze, asystenci i donosiciele mieli obowiązek potęgować dobry nastrój, ponieważ kto się nie bawił, popełniał grzech.

Wiele osób brało kokainę, aby siebie i innych utrzymać w należytym humorze. Gerald zażywanie narkotyków miał pod kontrolą, obawiał się bowiem, że popadnie w nałóg i przekroczy ową niewidzialną granicę między zwycięzcą i przegranym. Ja sporadycznie sięgałam po kokę, żeby stać się beztroską w tym beztroskim świecie, ale wołałam alkohol – małą legalną ucieczkę przed trzeźwymi myślami. Czasem tęskniłam za portem, za treningami i rękawicami bokerskimi Heinricha. Za spotkaniami, które nie zaczynały się od cmoknięcia w oba policzki, za rozmowami, które nie ograniczały się do pięciu zdań, za ludźmi, którzy mi się przysłuchiwali, zamiast śledzić ponad moją głowę, czy nie przeoczyli kogoś ważniejszego. Niekiedy brakowało mi po prostu milczenia.

Czułam się szczęśliwa. Gerald mnie kochał i nie skąpił mi pieniędzy. Ale był też zazdrosny i zawsze chciał wiedzieć, gdzie się podziewałam i co robiłam. Należałam do niego – nie, należałam się jemu. Podczas gdy on zarabiał pieniądze, ja chodziłam na kursy, bo nie miał nic przeciw mojemu doksztalcaniu się. Mogłam jego kartą robić zakupy na Maximilianstrasse, utrzymywać formę w siłowniach i brać lekcje golfa. Moje wizyty w Hamburgu budziły jego niechęć, nie przyszło mu nigdy na myśl, by odwiedzić mego ojca w więzieniu.

– Nie gniewaj się, skarbie, ale dostałbym tam klaustrofobii – powiedział i nie gniewałam się, chociaż od czasu do czasu porównywałam go do ojca.

Pod koniec drugiego roku weszłam w fazę krytycznej obserwacji. Przypuszczalnie u Geralda przebiegało to podobnie, lecz nie rozmawialiśmy o tym. Mówiliśmy: *Kocham cię. Zrobisz mi drinka? Gdzie pójdziemy coś zjeść? Dobrze wyglądasz. Kocham cię. Jakie nudne to party. Ina wyglądała przed liftingiem lepiej. Czy mamy także kupić dom w Toskanii? Zdrowie, skarbie. Kocham cię. Jak się czujesz? Takie spędzanie czasu jest przecież znacznym stresem, również emocjonalnym. Wszystko w porządku, kochanie. Jedź jednak do Bachmair na kilka dni, aby odpocząć. Kocham cię. Ja ciebie też kocham. Wobec tego wszystko w porządku. Naturalnie, wszystko jest w porządku. Potem możesz pomasować mi kark, czarodziejko, miałem zły dzień.*

Pogłoski o budowie nowego portu lotniczego zelektryzowały przedsiębiorców budowlanych, pośredników nieruchomości i wszystkich, co spekulowali gruntami. Cieszył się każdy, kto miał informatorów w kancelarii rządu, wysokich rangą gadułów liczących na własne korzyści oraz podwładnych donosicieli, których dzięki zaproszeniom i drobnym

upominkom utrzymywał w przychylności. Asystenci ministrów i dobrze poinformowani dziennikarze byli ozdobnikami w kolekcji Geralda, lecz nawet wysocy rangą dygnitarze nie pozostawali obojętni na pochlebstwa i cichy udział w lukratywnych interesach. Informacje były na wagę złota. Szeptano o Erdingu i wyrojono się, by oglądać soczyste łąki i pastwiska i nakłaniać właścicieli do ich sprzedaży. Te grunty nie miały jeszcze dużej wartości – oczywiście dopóty, dopóki nie przeciekły informacje. Toteż Gerald pożyczął w bankach pieniądze i kupował, ile się dało.

W tym czasie stałam się na papierze właścicielką jednej z jego spółek. Gerald kazał mi podpisać dokumenty, których nawet nie przeczytałam, i żartowaliśmy, że on teraz robi interesy moimi pieniędzmi. Na dwudzieste pierwsze urodziny podarował mi pierścień z soliterem, a znajome, które nazywałam przyjaciółkami, wydawały urywane, piskliwe okrzyki podziwu. Wieczorem w dniu urodzin Gerald zdradził mnie z Moną, ciemnowłosą piękną, żoną pewnego muzyka, kokainisty. Gerald i Mona kopulowali w naszej garderobie, gdyż widocznie nie zdążyli do sypialni. Mona wydawała urywane piskliwe okrzyki, które słyszałam przedtem w innym kontekście, a Gerald kilkakrotnie uderzył nią o bielizniarkę. Na twarzy Mony nie widziałam namiętności, raczej triumf, oczy miała otwarte i taksowała moje suknie, wiszące naprzeciwko na obciążonych aksamitem wieszakach. Gerald lubił światło przy spółkowaniu, jednakże na krótko przed orgazmem zamknął oczy, aby się skoncentrować. Nie spostrzegł mnie, natomiast Mona tak, nawet uśmiechnęła się do mnie. Poczucie wspólnoty płci przyprawione odcieniem satysfakcji; jej uśmiech mówił, że mężczyźni, wszyscy bez wyjątku, to idioci i gdy przychodzą, należy ich przyjmować dla pieniędzy, władzy, zabawy lub miłości, lecz nigdy dlatego, że kobietom potrzebny jest seks.

Hochsztaplerki uśmiechnęły się do siebie. Nienawidziłam Mony. Gerald był pijany, co go wprawdzie nie usprawiedliwiało, ale bądź co bądź było jakimś wyjaśnieniem. W ostatnich tygodniach pił dużo. Stał się rozdrażniony i nerwowy, tłumaczył to stresem powodowanym interesami. Siedział na swoich parcelach, płacił wysokie odsetki amortyzacyjne i z jakimś biurem w śródmieściu miał problemy, których mi bliżej nie chciał objaśniać. Mona wzmagała wydawane dźwięki i sprężyste ruchy podbrzusza. Wyszłam tak cicho, jak się zjawiłam. Na schodach usłyszałam coś, co przypominało krzyk towarzyszący orgazmowi. Może ugryzł ją w pierś, co niekiedy robił, gdy swój finał chciał uszlachetnić tchnieniem bólu.

Moje przyjęcie urodzinowe nadal było głośnie i wesołe. Piękne młode dziewczęta prezentowały swe ciała na parkiecie, a w holu starsi panowie lustrowali je, stojąc przy bufecie. Mówili o pieniądzach i myśleli o seksie. Mówili o polityce i myśleli o władzy. Wzięłam szklanek whisky i zaczęłam rozmawiać z synem pewnego bawarskiego bonzy;

synalek wyglądał jak świnia i przypuszczalnie nią był. Chwalił moją srebrną suknię i dzielność w interesach mojego małżonka, a ja zwróciłam mu uwagę na to, że Gerald i ja żyjemy w grzechu. Oświadczył, że natychmiast może mnie poślubić, a ja nie uznałam tej propozycji za niemiłą, mimo że jego ojcu przypisywano zabicie majątku drogą korupcji. „Proszę mi tylko wskazać czas i miejsce”, powiedziałam, „a stawię się na pewno”.

Moja gotowość przestraszyła go, poznałam to po jego twarzy. Oni nie lubili, by ich gierki słowne brać serio. Także najmniejsza forma prawdopodobności wzbudzała panikę. Rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy i dostrzegł wybitnego reżysera, którego wylewnie przywitał. Ja poszłam dalej, rozdzielając słowa i tłumiąc wściekłość. To, co tamci robili teraz w garderobie, szło zdecydowanie za daleko. Zagotowało się we mnie na myśl, że po seksie jeszcze sobie rozmawiają.

Muzyk Mony siedział na schodach i wyraźnie przeżywał męki z powodu braku narkotycznych wizji. Byłby atrakcyjny, gdyby nie miał wypisanego na twarzy obrzydzenia. Życie budziło w nim wstręt, nasze towarzystwo także, potrzebował go jednak, aby mieć dojście do narkotyków, do kobiet i sponsorów.

– Ta orkiestra jest okropna – stwierdził, kiedy się do niego przysiadłam.

– Ale bardzo lubiana. Poza tym do twojej muzyki nie da się tańczyć – zaczęłam i dokończyłam jednym tchem: – Mona i Gerald pieprzą się na górze w garderobie. – Chciałam zobaczyć, jak cierpi, lecz brak kokainy chyba bardziej go poruszał niż brak wierności, to słowo i tak brzmiało dziwnie w naszym środowisku, w tym centrum przyjemności, w którym nie uznawano powagi wobec niczego.

– Przyjrzałaś się im? Mona ma wspaniałe ciało, ale niewiele rozumu. I wiesz, to ją boli, więc swoje kompleksy kompensuje podbojami seksualnymi. Nie należy tego brać poważnie. Życie, moja czarodziejko, żąda zbyt wiele nawet od maluczkich. Nie macie w domu koki?

Potrząsnęłam głową i zaproponowałam mu swoją whisky, którą wypił z wyraźną odrazą.

– Gówniana impreza – powiedział i wyjątkowo przyznałam mu rację.

Miałam dwadzieścia jeden lat, a moje urodziny były wszystkim zupełnie obojętne, także Geraldowi. Nikt tu nie troszczył się o nikogo, o martwe homary, które tak groteskowo wyglądały na bufecie, o dwieście przepiórek, które klnąc nafaszerowali kucharze, o pocących się kelnerów, o nieobecność gospodarza. Życie było niekończącym się Oktoberfest w namiocie Käfera, a ja siedziałam przy drzwiach. Przejął mnie chłód, po raz pierwszy, i miałam przecucie, że zimno będzie mi długo towarzyszyć.

Mona zeszła po schodach.

– Masz szalowe ciuchy – powiedziała do mnie, zupełnie ignorując muzyka, który nie zapelniał tak obficie jej garderoby i co gorsza swoje gaże inwestował w kokainę, a teraz przyglądał się ponuro pięknemu, kołyszącemu się ciału żony.

– Powinna za to brać pieniądze – oświadczył, a ja wstałam, żeby napełnić sobie szklankę. Alkohol, wielki znieczulacz, stał się moim bliskim towarzyszem, rozgrzewał i pozbawiał wszystko ostrości, twarze wokół mnie zrobiły się wkrótce łagodniejsze, a rozmowy poufalsze. Tańczyłam ze świńskim tłuszciochem, którego główne zajęcie polegało na tym, że był synem swego ojca i pozwoliłam jego rękom wędrować po swoich nagich plecach. Nie dlatego, że był ważny w Geraldowej kolekcji przydatnych ludzi, lecz dlatego że potrzebowałam ciepła. Mona opanowała parkiet, wijąc się niczym wąż. Trudno było wyobrazić ją sobie w charakterze worka treningowego, jednakże kiedy zamknęłam oczy i zacisnęłam pięści, udało mi się to. Tłuszcioch zrozumiał to opacznie jako erotyczną podniecię, i wsunął mi kolano między nogi. Miał tłuste kolano. Byliśmy rozwieżli i diabelnie bezbożni.

Jakaś część mojego jestestwa była zupełnie trzeźwa, obserwowała mnie oraz innych i rejestrowała strach. *Wytapetowani wewnątrz zimnymi frazesami*. Strach przed niepokojącymi myślami. Przed samotnością zaczynającą się w momencie opuszczenia zalanego światłem holu i pogrążenia się w ciemnościach nocy. Strach przed zmyciem makijażu z tego, co dotąd było piękne, beztroskie i próżne. Myślałam o Wondraschku przeprowadzonym przez gabinet luster aż na koniec długiego korytarza do pomieszczenia bez wyjścia. O Klarze, która sprzedawała bilety do teatru i mieszkała w wynajętym pokoju; z Claire pożegnała się bez bólu. Poprzeczki własnej gotowości do cierpienia nie ustawiałam zbyt wysoko, jednakże należało nauczyć się zbliżać do niej po omacku. Potem pojawił się Gerald, piłam z nim i usiłowałam przypomnieć sobie mężczyznę, którego kochałam.

Uważasz to więc za niesmaczne. Dlatego że zdarzyło się w twoje urodziny czy w ogóle? Jedno i drugie. To było tak upokarzające, nie rozumiesz tego. Jesteś jeszcze dzieckiem, czarodziejko. Sądziś, że to zabawne spać zjedną i tą samą kobietą przez trzy lata? Nie kochasz mnie już! Dlaczego nie powiesz tego wprost? Nienawidzę dramatów, czarodziejko, i dialogów takich jak ten. Nienawidzisz wszystkiego, co nie przynosi pieniędzy lub nie sprawia przyjemności. No i co? Żyjesz przecież nieźle z moich priorytetów. Twoje priorytety, ty to powiedziałaś. Przebywam w twoim świecie sporadycznie. Kiedyś było inaczej, Geraldzie. Boże mój, jestem zmęczony. Ty kiedyś byłaś także zabawniejsza. Tak jak Mona? Mona traktuje wszystko bardzo lekko. Oceniała moje kiecki, kiedy ty ją obrabiałaś jak bezmyślny buhaj. Ach tak? Ale ona jest niezwykle sexy. Wobec tego sprowadź ją sobie do domu, ty

obrzydliwa kupo gówna. Ja odchodzę. To sobie idź. Do swego debilnego boksera albo do dobrej Klary. Ale zostaw pierścień, czarodziejko, który był inwestycją handlową, nie prezentem. Możesz zatrzymać swój głupi pierścień i futra, i pozostałe klejnoty. Mogę też zostawić suknie, żeby Monie podczas uprawiania seksu z tobą nie pozwalały zasnąć. Dobrze, dobrze, czy mogę teraz iść spać? Jestem śmiertelnie zmęczony. Śmierć byłaby lepsza. Pistolet jest w nocnej szafce, czarodziejko. Może dadzą ci wtedy celę obok oszusta: byłoby to przecież mile rodzinne połączenie. Jesteś wstrętny. Mogę sobie na to pozwolić. Ludzie tacy jak ty mają być mili. I pokorni. Nie jestem przecież twoim kłownem. A jednak, moja kochana, właśnie nim jesteś. I jeśli tego nie pojmujesz, powinnaś zmienić zawód. Dobranoc, Felicitas.

Zmieniłam zawód następnego dnia, gdy Gerald był w biurze. Spakowałam walizki i zabrałam wszystko, co mi kiedykolwiek podarował, także pierścień. Pozostawiłam tylko karty kredytowe, bo i tak kazałby je zablokować. Miałam kilkaset marek na swoim koncie z czasów hamburskich. Pojechałam na dworzec i stanęłam na chwilę przed tablicą z rozkładem jazdy. Najbliższy pociąg jechał do Frankfurtu i do niego wsiadłam.

Portier we „Frankfurter Hof” był bardzo grzeczny, a pokój prawie za mały dla przewiezionych przeze mnie walizek. Zadzwoiłam do Klary, która powiedziała mi, że ojciec leży w więziennym szpitalu, ma zapalenie płuc. Była zatroskana, nakłoniłam więc stówką portiera, by przechował moje rzeczy. Nazajutrz wybrałam się do Hamburga.

Klara wyszła po mnie na dworzec i wzięłyśmy taksówkę do więzienia. Byłam zbyt wygodna, aby być biedną, chociaż Klara mnie zwymyślała, że trwonię pieniądze. W aucie zapytała o Geralda. Opowiedziałam jej krótką historię o zawiedzionej miłości.

– Dzwonił – powiedziała Klara – i zażądał zwrotu pierścienia. Był wściekły, czarodziejko. Oddaj mu diament, wtedy zostawi ci inne kosztowności. Powiedział mi też, że go okradłaś.

– W sejfie nie było żadnych pieniędzy. Niczego nie wzięłam, tylko prezenty od niego. To świnia, Klaro. Od kiedy boisz się takich ludzi?

– Nauczyłam się pływać na wznak. Wszystko wydaje się większe, gdy patrzysz z dołu do góry.

Klara postarzała się, niestety. Od kiedy przestała cokolwiek udawać, obywała się bez makijażu i zadowalała niedbałym strojem. Nie miała już nikogo, przed kim musiałaby coś odgrywać, oprócz męża raz w tygodniu przez godzinę. Ta pływaczka stylem grzbietowym jeszcze tylko w niektórych rysach przypominała mi Claire, Klarę, tę niezłomną. Marniała wraz z Wondraschkiem, a pod nieobecność boga wszystkie rewolucje odsunęły się na dalszy plan.

Ojciec ledwie nas dostrzegł, gdy stanęliśmy przy jego łóżku, wydał mi się drobny pod szarym przykryciem w szarym pomieszczeniu. Dawny uśmiech Wondraschka, owo promienne, przelotne, nic nie znaczące uniesienie kącików ust przypominało teraz grymas. Zdawało mi się, że poczułam śmierć i zadrzałam, chociaż w izbie szpitalnej było gorąco. Ojciec ujął moją rękę, i przytrzymał krótką chwilę. Chciał mi powiedzieć coś, czego nie wyznał przez dwadzieścia jeden lat, lecz i tym razem mu się nie udało: był zbyt słaby, aby mówić, i ja też milczałam, tylko Klara usiłowała go pocieszać, z prawdziwym uczuciem i fałszywymi słowami. Lekarz powiedział nam, że pacjent się poddał – takie ładne określenie własnej bezradności. Właściwie dlaczego nie, pomyślałam, i przyszło mi do głowy, że są formy istnienia zawsze noszące w sobie ostateczne pożegnanie. Klara cierpiała bardziej niż ja, co wynikało, jak wiedziałyśmy, z mojej nieczułości, o której zresztą nigdy więcej nie wspomniała. Jej wiara w nieomylność ojca, w jego nieśmiertelność była zbyt wielka. A moja zbyt mała. I w ten sposób nasz dobry człowiek z Brna odchodził, zwyciężony przez swoją żądzę.

Kiedy wreszcie zasnął, Klara przed wyjściem z sali położyła na stoliku nocnym cygaro. Był to najbardziej bezsensowny gest, jaki kiedykolwiek widziałam.

Nie pozwolili mu jeszcze umrzeć, więc wróciłam do Frankfurtu, aby poszukać mieszkania i pracy. Znalazłam brzydki pokój przy pięknej ulicy frankfurckiego West Endu i zdałam egzamin z elementarnej znajomości miasta, aby zostać taksówkarzem. Jeździłam nocami, ponieważ to przynosiło więcej pieniędzy, a ponadto wołałam miasto w ciemności i neonowym oświetleniu niż w zimnym świetle dnia. Rano, po powrocie z pracy, nim poszłam spać, ćwiczyłam boksowanie. Popołudniami uprawiałam jogging. Kiedyś tam jadłam. Również ten, kto nie ma celu, winien pozostać w ruchu. Biegałam zbyt szybko, by dostrzegać innych, a z pasażerami mówiłam tylko o tym co konieczne. Wszystko pozostawało obce, bo tak chciałam.

Adwokat Geralda ścigał mnie za pośrednictwem Klary, śląc na jej adres doskonale sformułowane od strony prawniczej groźby i żądania, bym zwróciła pierścień z soliterem. Ignorowałam jego listy aż do dnia, gdy nadeszło pismo, wraz z którym Gerald w koszmarny sposób wrócił do mojego życia.

Przypomniałam sobie wtedy mgliście ów papier, który mi dawno temu podsunął do podpisu, przypomniałam sobie, jak uznałam za fakt bez znaczenia to, że stałam się właścicielką jednej z jego spółek. „Formalność przynosząca korzyści podatkowe”, powiedział Gerald, a głupia gęś chwytiała za pióro raz po raz. Nigdy niczego nie czytała, nigdy nie dopytywała się o nic. Ufa się tym, których się kocha. Dopóki się kocha.

Gerald ma kłopoty finansowe, donosił adwokat, i chwilowo przebywa za granicą. Proces z powodu odwlekania ogłoszenia upadłości jest całkiem możliwy, a moja (!) spółka budowlana dłużna jest bankowi blisko trzy miliony marek. Czy zamierzam wywiązać się ze swoich zobowiązań i w jaki sposób? W załączeniu przesyła podpisaną przeze mnie umowę kredytową. Przeczytałam ją uważnie, siedząc w taksówce i czekając na pasażera. Ktoś zastukał w szybę, a ja wrzasnęłam, żeby poszedł do diabła. Właściwie nie chciałam tego zrobić. Człowiek stał w zamieci śnieżnej i klął. Zrobiło mi się go żal, otwarłam drzwi samochodu i powiedziałam, że mogę go zabrać za trzy miliony.

ROZDZIAŁ 5

Większość ludzi spędza czas na starzeniu się. Mężczyźni według reguł płci męskiej, kobiety według swojej, a kto przy tym nie oszukuje, jest oszukiwany, kto zaś się nie broni, zostaje pokonany. Maski przyrastają do twarzy i są już nie do zdjęcia. Myśl, aby nosić maskę na masce, stała mi się bliższa wobec katastrofalnego zwrotu, jaki przybrało moje życie. Nie dało się już tak dalej funkcjonować.

„Nie daj się przyłapać”, powiedział ojciec. Nie daj się przyłapać, nie dopuść do tego, żeby stać się biedną, samotną, zrozpaczoną. Zabij się, ale nie naprzykrzaj światu swoimi troskami. Umrzyj, nim doczekasz się niemiłego upadku. Nie oczekuj, że wybaczą ci inscenizację drugorzędnej tragedii.

„Głowa do góry”, pocieszyła mnie Klara przez telefon i niosłam głowę wysoko, gdyż także ci, którzy ją stracili, muszą ją trzymać wysoko i mieć nadzieję, że nie zostaną przyłapani na tym, iż są bez głowy.

Mój adwokat poradził mi, żebym złożyła zaręczenie z mocą przysięgi o braku majątku, a w przyszłości zarabiała tylko tyle, by nie przekroczyć ustalonego minimum socjalnego. Podpisy są niebezpiecznymi świadkami głupoty. „Jak pani mogła?”, spytał i stuknął palcem w monachijskie umowy, gdy tymczasem ja rozmyślałam o swoim minimum socjalnym oraz o tym, jak wiele tysięcy kursów taksówką przybliżyłoby mnie do sumy trzech milionów marek.

„Nagiej kobiecie nie można przecież sięgnąć do kieszeni”, powiedział adwokat, przenikając na wskroś mój kostium. Zwykły mężczyzna, który upodobał sobie rolę uwodziciela. Niezbyt skutecznego, co było widać między innymi po jego butach. Adwokat Geralda kupował buty w Londynie. Bogatym życie oferuje amortyzatory i prawo jest na ogół po ich stronie. Widziałam, że na moim adwokacie zrobił wrażenie nagłówek listu jego przeciwnika i że dalej rozmyśla nad tym, jak wyglądałabym rozebrana.

Obróciłam pierścień tak, że kamień znalazł się wewnątrz dłoni. Nagiej kobiecie nie można zabrać niczego. Z brylantem nigdy nie zamierzałam się rozstać, nigdy. Kochałam jego zimne światło, które mogło stać się ogniem, nieprzemijalność piękna i aroganckie, niezagrożone iskrzenie się jego egzystencji. Ten kamień przemienił mnie w srokę i ktoś musiał za to zapłacić.

– Czy to znaczy, że do końca życia jestem zrujnowana?

– Wierzyście uzyskają tytuł do roszczeń przeciwko pani, a roszczenia utrzymają się w mocy przez trzydzieści lat.

Trzy miliony, trzydzieści lat, czego można sobie więcej życzyć od przyszłości? Adwokat wyjaśnił mi, używając wielu niezrozumiałych słów, że wielkość moich zobowiązań zależy od wielkości masy upadłościowej. Od wielu niewymiernych rzeczy, między innymi od tego, czy doktor Gerald Freiser wypełni swoje zobowiązania, co znowu zależy od pozostałych mu aktywów i jego osobistego pojawienia się w Niemczech. Życzyłam Geraldowi, gdziekolwiek się znajdował, żeby krokodyle wciągnęły go pod wodę, żeby go powoli pożarły hieny lub stratowało stado słoni. W gazetach pisano, że udał się w niewiadomym kierunku, a ja pomyślałam o Afryce Wschodniej, gdzie miał przyjaciół, serdecznych przyjaciół w interesach, którzy go być może przyjęli, ponieważ zabrał ze sobą pieniądze. Osoba podróżująca z milionami znajdzie przyjaciół wszędzie na świecie. Osoba mająca milionowe długi korzysta z adwokata, którego nie może opłacić. Zapytana o wysokość dochodów wyjaśniłam, że wystarczają na czynsz i prąd, na jedzenie i picie. Na dzinsy i skórzaną kurtkę, papierosy, kilka książek i magnetofon kasetowy, przejazdy do Hamburga pierwszą klasą, ponieważ moje stopy kierują się automatycznie tam, gdzie jest drożej. W stalowych skorupach przewożących mieszkańców miast wciąż jeszcze wołałam miękkie siedzenia, a przy poziomie temperatury tego zimnego społeczeństwa – ogrzewane przedziały. Marzłam od frankfurckiego wiatru i w swoim pokoju, niewiele większym od łazienki w domu Geralda, nosiłam nurki, które w czasie prowadzenia taksówki przechowywałam w bagażniku. Bo kto da napiwek kobiecie w nurkach? Pasażerowie skarżyli się na „afrykańskie upały” w samochodzie, a kiedy im temperatura odpowiadała, ja marzłam. Zimna jak lód, mówili o mnie koledzy. Takie prostackie drwiny, lecz niezbyt przykre, a dopóki tkwiłam w kolejce, czekając na klientów, i szanowałam reguły obowiązujące w zawodzie, taksówkarze uprawiali pewną formę solidarności, która szybko zniknęła przy walce o lepsze miejsca na postoju. Tu łokci nie okrywał kaszmir, jak w świecie Geralda. I to była cała różnica.

Adwokat pożegnał mnie słowami, że dobra rada jest droga. Żartownisi W Monachium śmiałam się tak wiele, że moje poczucie humoru zostało nieco nadwyreżone. Jeżdżenie taksówką nie należało do zabawnych zajęć. To zawód, w którym spotyka się ludzi. Milczących, gadatliwych, pijanych, trzeźwych, ładnie pachnących, cuchnących, hojnych, skąpych, a przede wszystkim ludzi spieszących się. Mężczyzn z charakterystycznymi walizeczkami na dokumenty. Mężczyzn w kamizelkach z dziesiątkiem kieszonek. Mężczyzn w skórzanych kurtkach. Kobiety żujące gumę. Mój taksometr cykał, a ich drogocenny czas

uciekał, gdy sygnalizacja świetlna zmieniała kolory, a ja wciskałam pedały, automatycznie, mechanicznie, bezmyślnie – jeżdżenie jest bowiem monotonią, obsługiwaniem maszyny, pracą taśmową.

Gdy siedzieli z tyłu, czułam, jak ich spojrzenia palą mnie w kark, naprawdę wydawało mi się, że to czuję, niekiedy odbierałam ich milczenie jako groźne. Kiedy jazda trwała dłużej, zastanawiałam się nad nazwiskiem i zawodem pasażera i nad tym, czego oczekuje u celu, szczęścia czy nieszczęścia, czy może okrucieństwa nicości. Strach w czasie nocnych jazd był wiernym towarzyszem, a scyzoryk w skrytce na rękawiczki kiepskim żartem, z którego serdecznie by się uśmieł każdy gwałciciel i bandyta.

Nie boi się pani jeździć nocą? Nie, dlaczego miałabym się bać? No, jakże, taka ładna młoda kobieta. Ufam w dobroć ludzi. Jest pani studentką? Nie. Ale nie wygląda pani na taksówkarza. A jak wyglądają taksówkarze? No cóż, nie wiem. Ma pani czasem wolne? Tak, wtedy śpię. Sama? Nie. Mam przyjaciela, boksera. Wagi ciężkiej. Ach tak. Czy nie można trochę szybciej, to trwa przecież wieczność. Proszę mi dać trzy miliony, a przejadę na czerwonym świetle.

Mnie chodziły po głowie miliony, oni natomiast dawali napiwki od trzydziestu fenigów do trzech marek. Markus Fest był pierwszym hojnym pasażerem. Dobry człowiek, pożyteczny członek społeczeństwa, mężczyzna, który stał się moim drogowskazem i położył kres tułaczkom. Dzięki niemu poznałam, że kłamstwa mogą uprościć rzeczywistość, że są cudowną bronią przeciwko życiu. Powiedźcie brzydkiej kobiecie, że jest piękna. Podrzednemu oberżycie, że jego jedzenie smakuje bosko. Matce szpetnego dziecka, że urodziła aniołka. Grubiańskiemu policjantowi, że jeszcze nigdy nie spotkaliście tak miłego funkcjonariusza. Mówcie mężczyznom same kłamstwa, a będą was za to kochali. Prawda jest nudna i głupia, to zamaskowane lustro życia, w którym niechętnie się oglądamy. Byłam nieodrodną córką swego ojca i więcej się od niego nauczyłam, niż chciałam przyznać.

Markus Fest wszedł do mojej taksówki, aby z dworca pojechać do Wiesbaden. Był przemarznięty, co stwierdziłam z zadowoleniem i nie skarżył się na podkreścone ogrzewanie. Spytał, czy wolno zapalić, przyjemnym głosem, w którym nie brzmiał pośpiech. Siedzieliśmy w ciepłe, a na dworze uliczne latarnie odbijały się w zamarzającej wilgoci. Jechałam powoli i myślałam o Geraldzie, który przebywał w Afryce, gdzie miał należycie uregulowaną temperaturę dzięki urządzeniom klimatyzacyjnym, gdy ja tymczasem życzyłam mu naprzemiennych kąpieli z ognia piekielnego i arktycznego zimna. On nie wróci, aby zmierzyć się z bankrutem, z procesem, z urywkami prawdy, ze wzruszeniem ramion i odwróceniem się serdecznych przyjaciół, którzy nie tolerowali przegranych w swoim środowisku. On nie

wróci, aby mnie ratować, ponieważ jeśli nawet kochał przez pewien czas na swój sposób, nie było to na dobre i na złe, kiedy zaś szło o ratowanie skóry, liczyła się tylko jego skóra. Możliwe, że zabrał ze sobą Monę, aby mu umilała czas na wygnaniu, to mnie w ogóle nie bolało w porównaniu z tym, jak bezlitośnie wykorzystał moją naiwność. Cóż, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Z Geraldem wiele przeżyłam i w końcu zrozumiałam, że nie można na niego liczyć, bo nie na każdym, z kim się człowiek położył, można polegać.

– Jak się pani nazywa?

– Wondraschek. Felicitas Wondraschek.

– Myślę, że jestem ze czterdzieści lat starszy od pani, ale chciałbym jeszcze trochę pożyć. Jedź pani za szybko. Na drodze jest ślisko.

Dystyngowany głos obywatela klasy wyższej, trochę ochrypy od palenia i wieku. Nienawidziłam, gdy krytykowano mój styl jazdy. Czas to pieniądz, to musiał przecież wiedzieć. Aby go ukarać, nacisnęłam hamulec, zbyt gwałtownie, gdyż na autostradzie było rzeczywiście ślisko, nawierzchnia pokryta lodem, i samochód zakołysał się jak statek na wzburzonych falach. Odbiłam w przeciwną stronę, nie gorączkowo, całkowicie pod kontrolą, jednakże to wcale nie pomogło: koła zablokowały się i auto zaczęło sunąć w zwolnionym tempie ku barierze ochronnej, nieczułe na moje szoferskie sztuczki, na wszelką manipulację. Poddalam się losowi z przekleństwem na ustach i wydawało mi się, że za plecami usłyszałam westchnienie.

Człowiek, który spowodował mój idiotyczny manewr, nie odezwał się ani słowem. Byłam spokojna, bo nie dało się już nic zrobić, tylko czekać na spotkanie blachy z blachą, na charakterystyczny łoskot w nocnej ciszy, prawie jak wybawienie po sekundach ogromnego strachu. Pas bezpieczeństwa nie pozwolił mi polecieć do przodu. Czy pasażer był zapięty? Nie należało tak hamować. Ja przeżyłam.

– Czy pan żyje?

– Myślę, że tak.

Dobrze było usłyszeć jego głos, który zresztą nie brzmiał histerycznie. Odwróciłam się. Zamierzał właśnie zapalić papierosa, typowy stresowy palacz.

– Niech pan to zostawi. Możemy wylecieć w powietrze. Poza tym to pan jest winien.

Schował zapalniczkę.

– A to dlaczego?

– Powiedział pan, że jadę za szybko, więc zahamowałam. No i wpadliśmy w poślizg. I rąbnęliśmy w barierę.

– Czy to dialektyka taksówkarza czy kobieca logika?

– Jedno i drugie. Jak się pan nazywa?

– Markus Fest. Emerytowany sekretarz stanu.

Uwaga o czterdziestu latach, które nas dzielą, wydała mi się trafna. Emerytowany sekretarz stanu był nietknięty, tylko okulary trochę mu zaparowały.

– Miałby pan piękny nekrolog we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Ja niestety nie.

Emerytowany sekretarz stanu powiedział, że powinnam zameldować o wypadku w centrali i zamówić nową taksówkę, co uznałam za dość obcesowe. Radiotelefon działał, choć spotkanie z barierą ochronną zamieniło przód samochodu w kupę złomu. Wysiedliśmy i stanęli przed wrakiem, z którego unosił się lekki obłoczek dymu. Mój pasażer uspokoił mnie, że nie ma zagrożenia wybuchem – typowa męska opinia, której w żadnym razie nie ufałam. Zaczęłam marznąć, toteż emerytowany sekretarz stanu zarzucił mi na ramiona swój płaszcz; kogoś takiego jak on przenikało wewnętrzne ciepło, którego źródłem, jak przypuszczałam, był bezkrytyczny stosunek wobec siebie.

– Powinna pani zmienić zawód – oznajmił, przyniósłszy z bagażnika trójkąt ostrzegawczy, a także moje nurki, dzięki którym odzyskał płaszcz.

– A pan nie powinien tyle palić. W pańskim wieku należy uważać na zdrowie.

– Och, serdecznie dziękuję. – Sekretarz, tak go nazywałam w skrócie, kiedy już się lepiej poznaliśmy, żuł niezapalonego papierosa, póki nie przybyła policja i pomoc drogowa. Miał bardzo ładne zęby i siwe krótkie włosy strzyżone na jeża, twarz pomarszczoną i arogancką; nigdy nie pożegnał się z władzą. Policjanci, przestudiowawszy nasze dokumenty, jego traktowali inaczej niż mnie. Zwracali się doń, tytułując go sekretarzem stanu i chyba mu się to podobało. Mnie pouczyli, że hamowanie w takich warunkach nie było zbyt mądre, i wtedy mój wysoki rangą pasażer wziął mnie w obronę, stwierdzając, że to siła wyższa, nie błąd kierowcy, a ponieważ on to powiedział, nikt się nie sprzeciwiał. Na tym polegało działanie siły wyższej, ja zaś zrozumiałam nie po raz pierwszy, że moja pozycja zalicza się do niskich.

Sekretarz traktował policjantów jak natrętnych podwładnych, ja natomiast czułam się winna, a więc słabsza i zależna od nich; nawiasem mówiąc przez całe życie widok przedstawicieli władzy budził we mnie strach. Sekretarz nie bał się niczego z wyjątkiem śmierci, co było naturalnie oznaką głupoty. Męska pewność siebie, jej specyficznie płciowa maska emocjonalnej odporności wydawała się godna naśladowania.

Zaproponował, że zabierze mnie z sobą – może dlatego, że tak się trzęsłam, bądź też dlatego, że byłam młoda i ładna i przypominałam mu córkę. A może chciał mnie uwieść. Wsiadłam do jego taksówki, gdy tymczasem pomoc drogowa zabierała wrak mojej, i

pojechaliśmy do domu w eleganckiej dzielnicy mieszkaniowej Wiesbaden, do jednego z owych budynków w stylu willowym, które jak sklonowane ustawily się rzędem z bramami z kutego żelaza, rabatami róż i systemami alarmowymi. Masywne budowle w złym guście z podwójnymi garażami, zamki warowne burżuazji, odlane w betonie manifesty więzów rodzinnych. Przez bardzo długi czas pragnęłam stałej rodzinnej siedziby zamiast ciągle zmieniających się domów, które tak naprawdę nigdy domami nie były. Teraz zaczęłam się przekonywać, że rzecz ma się odwrotnie. Posiadłość emerytowanego sekretarza stanu była także jego więzieniem, ograniczeniem jego marzeń, końcem wszelkiej swobody.

Wplątałam go w kłopoty, a on przyniósł mi herbatę z rumem i cukrem i siedzieliśmy w pokoju, którego umeblowanie stanowiło mieszaninę bogactwa i drobnomieszczaństwa. Nad głową kryształowy żyrandol, pod nogami dywany perskie na błyszczącym parkiecie. Wazon z kwiatami na fortepianie, książki na dębowych regałach. Koronkowa serweta na dostawnym stoliku, olejny portret zmarłej żony. Komplet wypoczynkowy do siedzenia w stylu biedermeierowskim i miśnieńska porcelana w oszklonej szafce. Ten kto wkracza na obcy teren, czyni to w milczeniu pełnym czci bądź szyderczym. Co by się ze mną stało, gdybym wychowała się w tym domu? Odpowiedziałam sobie: ukształtowałby się zakotwiczony człowiek, studentka z samochodem małowitrazowym, pianistka, osoba pijąca sherry, wykształcona obywatelka, która czytała Tomasza Manna.

Sekretarz promieniał dumą posiadacza. Policzki zarumieniły mu się, gdy piliśmy herbatę, rozluźnił krawat i nie pojmował, że mnie wciąż jest zimno i dlatego nie chcę zdjąć futra. „Marznę, bo doskwiera mi smutek”, powiedziałam. To wymagało objaśnienia, a ja chciałam się przed moim gospodarzem wyświadczyć ze swego życia, na nowo zdefiniowanego, gdyż tamto, poprzednie, było zbyt nikczemne, zbyt prostackie dla wykształconego obywatela w biedermeierowskim pałacyku, dla człowieka, który miał piękne ręce ze starczymi plamami i roztaczał aurę niezwycięzonego.

Grzałam ręce o filiżankę z herbatą, choć skuteczniejszy byłby kubek z grubego fajansu.

– Mam nadzieję, że nie sprawiam panu kłopotu. Nie ma pan żony, rodziny? – zapytałam.

Sekretarz wyjaśnił, że jest wdowcem, a dorosły syn dawno opuścił dom. Wdowiec – to brzmiało dobrze, obdarzyłam go więc nieśmiałym, dodającym odwagi uśmiechem, na wskroś smutnym, bo smutna była moja historia:

Felicitas Wondraschek, urodzona na dzikim Wschodzie, rodzice zginęli w czasie ucieczki, sierota, która w Niemczech, pomimo niełatwego życia w ojczyźnie, zrobiła jednak

maturę (dzielność i siła przetrwania). Zaczęła studia ekonomiczne, spotkała godnego szacunku człowieka, pokochała go i poślubiła (przyzwoitość). Straciła dziecko (niezasłużone nieszczęście) i przeżyła małżeńską tragedię, ponieważ mąż okazał się graczem. Żona stanęła u jego boku, chciała mu pomóc (wierność i lojalność). Sypiała nawet z pewnym wierzycielem, aby umorzyć długi (gotowość do poniesienia ofiary i seks). Wszystko jednak na próżno: gracz zastrzelił się i pozostawił żonie górę długów.

– W dzień sprzątam, a nocami jeżdżę taksówką, ale nigdy nie będę mogła zwrócić pieniędzy. I zimno mnie nie opuszcza – dokończyłam.

Pięknie to opowiedziałam, z krótkimi pauzami jakby wahania się, życie jak tania powieść, takie jest przecież każde, jeśli się zgarnie tragiczne i szczęśliwe chwile i wymaże to co banalne. Nie patrzyłam na sekretarza w czasie swego monologu, lecz na kominek ze sztucznym ogniem, znakomicie pasujący do tego pokoju i płonący tak samo sztucznie jak moja historia, która wywołała parę sekund milczenia. Dziecko mogłam sobie wprawdzie darować, rozbudować zaś wierzyciela bez sumienia, ale wszystko razem wzięwszy, uznałam swą tragiczną drogę życiową za piękną. Nie bardzo wiedziałam, dokąd to powinno prowadzić, lecz na razie upajałam się kreowaniem rzeczywistości. Bo kogo obchodzi córka oszusta, co rzuciła szkołę, eks-kochanka pewnego eks-rekina budowlanego, obarczona trzema milionami długu kobieta taksówkarz, która rozbiła samochód o barierę?

Markus Fest był wzruszony. Ujął moją rękę, obrócił pierścień i zobaczył brylant. Patrzył na niego i zastanawiał się, jak taki klejnot może pasować do mojej historii. Jego niedowierzenie zainspirowało mnie do uzupełnienia budowli kłamstwa.

– Mąż wygrał dużo tego dnia, kiedy się zabił, czy to nie ironia losu? Za wygraną kupił ten pierścień i położył go na pożegnalnym liście. Napisał, że chce pierwszy i ostatni raz podziękować mi za wszystko, co dla niego zrobiłam. Nie zdobyłam się na to, aby pierścień sprzedać, rozumie pan? Pokryłby i tak tylko jedną dziesiątą długów...

Czy istnieje rzeczywistość, która oprze się takiej bajce? Zaczęłam swego męża, gracza, pośmiertnie kochać. Tym gestem uszlachetnił swoje szubrawe odejście, wymazał gorycz i wymógł wybaczenie. Stało się dla mnie jasne, że sztuka polega na tym, żeby się nie pogubić w detalach i pozostać przy klarownej linii, jednakże ładne drobne szczegóły oraz improwizacje bardzo mi się spodobały.

Kłamstwa rozgrzały mnie, zdjęłam futro. Sekretarz ocenił moje długi jako wysokie. Kąćki ust mu drżały.

– Powinnam także sprzedać futro. Ale przecież stale marznę.

Kobietom wolno popadać w sprzeczność. Nie sądziłam, by miał duże doświadczenie z

młodymi kobietami. Na biurku stało oprawne w srebrną ramkę rodzinne zdjęcie z żoną i synem.

– Nie powinnam pana obarczać swoimi kłopotami.

Ależ tak, powinnam. On bowiem nie miał innych zmartwień oprócz takich, że mróz zniszczy jego róże albo że grób małżonki nie będzie należycie przyozdobiony. Syn był bankierem, miał żonę i udaną trzyletnią córeczkę. Sam sekretarz działał w trzech radach nadzorczych i pobierał emeryturę przysługującą jego byłemu stanowisku. Miał sześćdziesiąt sześć lat, żył bez szaleństw, ostrożnie inwestował w akcje i zarządzał skromnym majątkiem, z podatkowego punktu widzenia korzystnie ulokowanym. Biografia banalnie prosta, którą w stosownym czasie zakończy śmierć, ona go przerażała, jej się bał, o niej myślał nocami, które były za długie dla człowieka w jego wieku. Aż mi go było żal. Opowiedział mi o swoich obawach przed alzheimerem, ponieważ jego małżonka zmarła cierpiąc na pewne otępienie umysłu, nad czym rodzina bardzo ubolewała.

A kto się będzie użalał nad nim, troszczył o niego, jeśli to zajdzie tak daleko? Trzeba mieć przynajmniej jednego takiego człowieka na świecie, powiedział, a ja odparłam, że to wygórowane życzenie, nie do spełnienia. Sieroty i wdowy mogą sobie pozwolić na cynizm. Sekretarz wyraził współczucie dla mojego gorzkiego losu, więcej po trzech godzinach nie należało oczekiwać.

– Czy zabrałbyś mnie z sobą, gdybym była stara i brzydka?

Zapewnił, że tak, i było to gładkie kłamstwo pozbawione krzty elegancji. Dobry obywatel i gorliwy protestant może żyć z wieloma kłamstwami, nie dociekając ich podstaw. Motywy ma zawsze szlachetne, jak na dobrego chrześcijanina przystało, uczynki zaś są jak należy, w pół drogi między ciepłem myśli a lodowatym dążeniem do osobistej doskonałości. *Humanitas* było słowem, którego mój nowy znajomy często używał, kochał Tomasza Manna i Immanuela Kanta, Bacha i Beethovena. Swoją wnuczkę. Róże. Wędrówki po Taunusie, które nie trwały dłużej niż dwie godziny. Wino z Iphofen, pite z umiarem, i dobry stary koniak. Dwa razy w roku składał datek na „Chleb dla świata”, czytał „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i miał abonament na premiery w operze frankfurckiej. Mercedes stał w garażu, bo stresowało go prowadzenie auta. Dożył wieku, kiedy człowiek obawia się śmierci i unika wszelkich dających się przewidzieć niebezpieczeństw. Miał dobrych lekarzy i mocne serce. Był smutnym człowiekiem, lecz tego nie wiedział.

Pokój gościnny wytapetowano na ciemnoróżowo z niebieskawym odcieniem. Sekretarz nim wyszedł, pocałował mnie w rękę.

Firma taksówkowa nie wyrzuciła mnie, chociaż zostałam zganiona za brak wycucia

przy prowadzeniu samochodu w złych warunkach atmosferycznych. Przeszłam na dzienną zmianę, gdyż mój niefortunny pasażer zatrudnił mnie w charakterze jakby osobistego kierowcy, coraz częściej korzystał z moich usług i roztoczył nade mną ojcowską pieczę, przesadną i zakłamaną. Jeśli widział we mnie córkę, groziło mu kazirodztwo. Miał jednak mocno wpojoną zdolność do samooszukiwania się; przytrzymywał moją rękę nieco za długo, gdy ją na pożegnanie całował, i ukradkiem dawał mi za jazdę sto marek napiwku niczym zapłatę za miłość. Był dla mnie dobry, ale na Boga, należało mu za to dziękować. Zapraszał mnie na obiad i do opery. Żywił nadzieję, że jestem jego dziełem, jego dobrym uczynkiem, tym jedynym człowiekiem, na którego każdy zasługuje, a ja utwierdzałam go w tym przekonaniu komplementami i podziwem. Tak wyglądały nasze stosunki i jeśli ludziom się to nie podobało, uśmiechaliśmy się – on mile połechtany, ja rozbawiona, chociaż wszystko, co robiłam czy mówiłam, miało swój cel. Wdowa po graczu potrzebowała pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy, nawet jeśli mój adwokat się nie odzywał, co przyjmowałam za dobry znak.

Sekretarz stanu często mówił o czasach, kiedy był ważnym człowiekiem, człowiekiem w ministerstwie, kimś, kto mógł podpisywać zielonym atramentem ważne projekty i miał dostęp do ministra, który był trochę ważniejszy, jednakże nie tak zasobny w wiadomości, ponieważ właściwe decyzje przedkładano mu gotowe do podpisu. Sekretarze stanu określali politykę resortu, mówił były sekretarz stanu, podczas gdy ministrowie przychodzili i odchodzili, wiedzieli niewiele i douczali się tylko tego co najniezbędniejsze, głównie zaś tego, czego potrzebowali dla mediów, by wykazać się znajomością sprawy. Polityka, mówił sekretarz, polega na rządzeniu i umiejętności przetrwania, ponieważ w pluralistycznym społeczeństwie z rzadka porusza coś, co by nie obrażało interesów określonych grup. *Humanitas*. Sprawował swój urząd wedle najlepszej wiedzy i sumienia, dla dobra wspólnoty, i w ambitnych dążeniach był stale wierny podstawowej zasadzie humanitaryzmu. Czasami nie dało się go słuchać, gdyż były to tylko górnolotne frazesy, wszystko starannie przemyślane, ale nic nie sprowadzone do punktu, w którym etyka krzyżowałaby się z osobą Markusa Festa, z jego obawami i żądzami, przywarami i uchybieniami. Jego rozum, jakby pod kloszem, nie dopuszczał w życiu niczego nieporządnego, niezrozumiałego, groźnego. Niestety spotkał mnie. Kobietę, której uśmiech jest zawsze trochę fałszywy. Która milczy, kiedy powinna się sprzeciwić, i mówi, kiedy nie ma nic do powiedzenia. Która jego stumarkowe banknoty przyjmuje jak kurwa od klienta i wtyka do kieszeni bez podziękowania. Sprawiało mu to przykrość, wsuwał mi je zawsze ukradkiem i patrzył w bok, gdy pieniądze zmieniały właściciela. Niekiedy mówił: „Sądzę, że ci się przydadzą.” Z całą pewnością myślał o seksie, *humanitas* jednak nie pozwalała mu tak po prostu przespać się z wdową o tragicznej

przeszłości. Sekretarz traktował kobiety z respektem, tak mówił, ale przypuszczalnie jego cielesna powściągliwość brała się ze strachu, że nie sprosta moim oczekiwaniom. Jego uwieczniona na fotografiach i obrazach olejnych małżonka nie wyglądała na żyzny plac ćwiczeń. Pomyślałam, że Markus Fest swoje fantazje przeżywał tylko w ciemności i samotnie. Z ochotą i wstydem, lubieżnie i bogobojnie. I tych sprzeczności poznać i zespolić nie potrafił. I chociaż tego kalwińskiego hipokrytę jakoś lubiłam, pogardzałam nim także, co nie było wcale paradoksem – mając dwadzieścia trzy lata, tak traktowałam mężczyzn. Emerytowany sekretarz stanu nie był jedyny, istniał jeszcze Lutz, dentysta, i Paul, dziennikarz, no i naturalnie Leonard Cohen, ponieważ musi także istnieć ktoś, kogo się kocha beznadziejnie, mężczyzna dla serca i dla bólu, w pełnych błękitu dniach, w których można nie powiedzieć „nie” i trochę sobą pogardzać – ale tylko trochę.

ROZDZIAŁ 6

Nie był Carusem. Był szczuplejszy i smutniejszy, a jego głos ginął w tekstach o daremnej miłości i nieudanych rewolucjach. Zakochałam się w Cohenie bez pamięci. (A Gerald? Zapomniałam o nim, gdy skończyły się miliony.) Rząd trzeci, środek, na wypełnionym do ostatniego miejsca koncercie we Frankfurcie: przy mnie siedział Paul, dziennikarz, lecz cóż znaczył Paul, krytyk muzyczny lubiący whisky, człowiek, który coś tam odziedziczył na rynku budowlanym i po orgazmie miał zwyczaj płakać.

Songs of love and hate. Piosenki o miłości i nienawiści. Leonard Cohen, rocznik 34, siedział zagubiony na zbyt dużej dla niego scenie. Nosił cienki czarny płaszcz i bał się publiczności. Być może dlatego, że nie ufał swemu głosowi, który jak gwóźdź przenikał mi przez skórę. *I have tried in my way to be free.* Próbowiałem na swój sposób być wolnym.

Poeta, który musiał śpiewać dla chleba, dla kobiet – tych, co miał, i tych, co jeszcze chciał mieć – i dla wolności, nieosiągalnej bez pieniędzy.

I met a man who lost his mind in some lost place. I had to find. „Follow me”, the wise man said. But he walked behind.

– Dlaczego on śpiewa? – spytał mnie Paul. Szturchnęłam go łokciem w bok.

Był najbardziej niemuzykalnym krytykiem muzycznym, jakiego znałam, i płakał równie niemelodyjnie. Miał wszelkie powody do płaczu, bo seks w jego wydaniu prezentował się żałośnie, dawał się porównać z silnikiem, który gaśnie natychmiast po uruchomieniu. Akt płciowy trwał zaledwie kilka sekund, a przyczyna tkwiła w tym (jak twierdził terapeuta), że Paul w czasie stosunku myślał o swojej siostrze; kazirodcze fantazje okazywały się tak podniecające, że od razu następował wytrysk i po nim wycie w poduszkę. Nie miałam nic przeciw płaczącym mężczyznom, nawet ich podziwiałam za odwagę, ale Paul miał pewien mały problem: była nim nużąca powtarzalność, rytuał tragizmu i śmieszności, co przypuszczalnie zaczynało nudzić również jego psychoanalityka. Gdy pytałam Paula, czy nie mógłby podczas stosunku myśleć o czymś innym, także płakał.

Słuchając pieśni Cohena, pozostał opanowany, mnie tymczasem łzy płynęły po policzkach. Cohen znał moje marzenia. Śpiewał dla mnie. Kobiety siedzące przede mną, obok mnie i za mną stanowiły jedynie sztafaż. Śpiewał dla mnie, a ja podzielałam jego piękną

melancholię oraz ironiczny stosunek do wszystkich wielkich uczuć. Ulegałam jego słowom, głosowi, postaci. Kobiety kochają bohaterów i pięknych przegranych, ponieważ są romantyczkami i wstydzą się tego. Prawdziwe namiętności, te rodzące się w głowie, prowadzą do najlepszych orgazmów. Paul zerkał na mnie ukradkiem. Jego rynek budowlany nie wystarczał dla mojej miłości. *And I am crazy for love, but I am not coming on*, tak bardzo zależy mi na miłości, lecz nie staram się dość. Wiedziałam, że Cohena przepęłniała poezja, kiedy kochał jakąś kobietę. Że był doskonały w swoich słabościach. Wiedziałam też, że umrę, gdy zejdzie ze sceny.

Cohen tego nie wiedział, gdyż po aplauzie za „Żegnaj, Marianne” uklonił się, wstydliwie, lecz z triumfującym uśmiechem, a potem szybkim krokiem odszedł za kulisy. Siedziałam skamieniała, nie klaskając, i czekałam na to, żeby mi serce pękło.

– Wszystko w porządku? – spytał Paul, który nie zauważył, że jestem umierająca.

Aplauz nie cichł, piosenkarz nie pojawił się jednak. W moim przekonaniu serca były szklane, nie stanowiły wcale surowej niekształtnej masy tłoczącej w ciele krew. Zawsze brzydziłam się krwią. Każde jej pobranie, każde głębsze zadrapanie wywoływało omdlenia. Nie mogłam nawet bez drżenia patrzeć na „krwawą Mary”. Moje szklane serce nie było posłuszne mej woli, toteż Paul pociągnął mnie za rękaw, zwracając uwagę, że powinniśmy wyjść, zanim ten typ pojawi się znowu. Z reguły nie klaskał, ponieważ był krytykiem, a bisy odrzucał, uznawał bowiem takie przekomarzenie artysty z publicznością za upakarzające.

Nie chciałam wracać do świata Paula, dlatego w przeciwieństwie do tłumu zmierzającego do wyjścia zaczęłam się przepychać w kierunku sceny. Była to bolesna próba płynięcia pod prąd. Bardzo wolno przesuwalam się do przodu, ale dotarłam do wejścia na scenę, gdzie zatrzymał mnie porządkowy – to znaczy próbował zatrzymać, ponieważ odepchnęłam go i ruszyłam pędem. Biegłam jaskrawo oświetlonym korytarzem, stojący tam ludzie spoglądali na mnie przestraszeni, usuwali się z drogi, mówili coś, czego nie słyszałam. Byłam dobrze wytrenowaną biegaczką, zadawałam sobie jednak gorączkowo pytanie, za którymi drzwiami mogę znaleźć bohatera. Biegnie się zawsze zbyt szybko i tak łatwo jest minąć cel, nieumyślnie, słowo klucz dla wszystkich fałszywych dróg i decyzji. Zaczęłam otwierać kolejne drzwi, skąd wytrzeszczały na mnie oczy obce twarze. Nie miałam czasu, by usprawiedliwiać swoje zachowanie, otwierałam drzwi gwałtownie i natychmiast zatrzaśkiwałam, nie znalazłszy tego, kogo szukałam. To było jak sen, który się później powtarzał w moich marzeniach i kończył tam, gdzie bohaterskie historie znajdują naturalny koniec: w toalecie.

Dokładnie mówiąc przed męską toaletą: Leonard Cohen otworzył drzwi, nim ja

zdążyłam to zrobić, stanął na korytarzu i zasunął zamek błyskawiczny kordowych spodni. Największe chwile w życiu nie zawsze są pełne godności. Przystanąłam. Zrozumiałam też, dlaczego Cohen odmówił bisów – bynajmniej nie dlatego, że chciał mnie znaleźć, nim opuszczę salę. Staliśmy zaledwie dwa metry od siebie, lecz nie potrafiłam dojrzeć jego oczu, ukrytych za ciemnymi szklami okularów. Makijaż mi się rozmażał, poczułam się obnażona i pewnie dyszałam z emocji. Wiedziałam, że mi się przygląda przez te czarne szkła ślepeca. Wszystko było możliwe w tych sekundach, które mogły zmienić życie. Wydał mi się niezwykle piękny – niestety ja, jego fanka, nie byłam dość blond. Właściwie nie wiem, jak on mnie postrzegał. W filmach, szczególnie w starych filmach miłosnych, które pochłaniałam z fałszywym sentymentalizmem i prawdziwymi łzami, zawsze istniało magiczne słowo lub gest, które wszystko obracały ku dobremu. *Please find me. I am almost thirty.* Odnajdź mnie, proszę. Dobiegam trzydziestki.

Może to tylko wyszeptalam. Albo nie byłam dostatecznie blond, albo nie byłam ulubienicą losu, w przeciwnym razie jakże z drzwi naprzeciwko mogłaby wyjść wysoka kobieta o bardzo długich jasnych włosach i zawołać piosenkarza po imieniu? Cohen zawahał się na moment, na sekundę pełną niezamierzonej złośliwości, nim odwrócił się z przelotnym uśmiechem i odszedł z tamtą. Obok mnie, w górę korytarza, którym tu biegłam. Zostałam przed męską toaletą. Nieodnaleziona.

Paul czekał na mnie przy samochodzie. Miał wiele błahych cnót, między innymi cierpliwości i łatwowierności. Dla niego byłam córką ojca tyrana, emerytowanego sekretarza stanu, zamieszkałą w Wiesbaden, studentką matematyki na uniwersytecie we Frankfurcie. Matematyka to dziedzina, przy której najmniej ludzi stawia pytania, a większość stwierdza, że to niezwykle zainteresowanie u kobiety. Paul miał w swojej z wolna łysiejącej głowie szereg kobiecych szablonów, które powielaly cechy jego matki i siostry i z trudem dopuszczały jakieś odstępstwa. Znalazł mnie, kiedy odpowiedziałam na jego niespecjalnie oryginalne ogłoszenie matrymonialne we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Wprawdzie Paul pracował dla konkurencji, jednakże gdy szło o zawiadomienia o ślubach i nekrologi, w grę wchodziła tylko jedna gazeta, ponieważ w kwestiach egzystencjalnych był konserwatystą, chociaż głosował na zielonych i wspierał darowiznami Greenpeace. Swój nekrolog już naszkicował, znajdował się w nim cytat z Seneki; określił także testamentem szczegóły uroczystości żałobnej: „Requiem” Mozarta, ekologiczna trumna i lilie na wieńcach. Po naszej pierwszej nocy Paul ustanowił mnie główną spadkobierczynią, tak że do idealnego układu brakowało już tylko zwłok.

W drodze do Kilianstätten wyjaśniłam Paulowi, że musiałam pilnie poszukać toalety,

co uznał za wystarczające wytłumaczenie. Spieraliśmy się o koncert Cohena, oświadczyłam, że wszystkie teksty oper Wagnera to faszystowskie bzdury. Paul kochał Wagnera i Mozarta oraz Elvisa Presleya; każdej innej muzyki słuchał z pełnym dystansu wstrętem wegetarianina wobec potraw mięsnych. Pisał zjadliwe, naszpikowane obcymi słowami recenzje, co jego gazeta uważała za właściwe, i choć ryczałtowe honorarium z trudem mu wystarczyło na utrzymanie porsche, żył sobie całkiem przyjemnie z dochodów z rynku budowlanego i kilku domów czynszowych na frankfurckim West Endzie. Również bungalow nieopodal Frankfurtu, w Kilianstätten, którym się chełpił, stanowił część spadku; rodzina Paula, rodzice i siostra, zginęli w katastrofie samolotowej.

Paul żył przeszłością niczym podróżny, który się nie chce pozbyć ciężkiego bagażu. Myślałam o kobiecie z jasnymi włosami i o tym, co mogło się zdarzyć: o rozmowie, seksie, jedzeniu, nocy, weekendzie w Montrealu, Nowym Jorku czy Los Angeles. Albo i jeszcze więcej. Felicitas Wondraschek medytująca z Leonardem Cohenem w klasztorze zen. Tam wolno palić, tyle wiedziałam, a ja poszłabym za swoim guru jak w dym. Cięcie. Diaboliczny reżyser wprowadził do kadru blondynę i zepsuł film.

– Płaczesz – powiedział Paul z wyrzutem. Rościł sobie pretensje do swego rodzaju monopolu na nieszczęście, mnie zaś kochał, bo występowałam w roli pocieszycielki i wolno mu było bezwstydnie szlochać na mojej piersi, podczas gdy zapewniałam, jaki ten seks z nim jest piękny mimo wszystko: Paul, to było piękne, nie potrzebuję więcej niż parę sekund, by dojść do szczytu, jestem wcieleniem samozaparcia, natchnioną hipokrytką, żądną pieniędzy bestią, wszystkim, na co zasłużyłeś. Miłość jest iluzją, Paul, a ja urzeczywistniam ją dla ciebie.

– Paul – poskarżyłam się – on mnie uderzył. Po naszym ostatnim spotkaniu czekał, aż wrócę, spoliczkował mnie. Nienawidzę go! Nienawidzę, chociaż to mój ojciec.

O, taką nienawiść moglibyśmy dzielić, gdyby była prawdą. Paul też nienawidził ojca, ponieważ przypisywał mu winę za rodzinną tragedię i ponieważ było to jedyne uczucie, jakie znał. Dzieciństwo miał takie jak opera Wagnera: za głośne, za długie i ze śmiercią na końcu.

Paul kończył dwadzieścia sześć lat i studiował z łaski ojca, kiedy stary odkrywszy w sobie miłość do latania, zaczął nadmiernie terroryzować nią rodzinę. Weekendy spędzali na lotniskach, ojciec bowiem zrobił licencję pilota i z samolotu machał ręką najbliższym. Później nabył dwupłatowiec, wehikuł, który całą rodzinę unosił w powietrze, nie przybliżając jej bynajmniej do nieba. Matka, Paul i jego siostra panicznie bali się latania, ale i tak wsiadali do maszyny, aby pilotowi głośno wyrażać uznanie, przez długie pięć lat, aż pewnego bardzo mglistego jesiennego dnia, lecąc nad Pustacią Lüneburską, ojciec zawadził o słup linii

wysokiego napięcia i maszyna runęła na ziemię. Błąd człowieka, stwierdzono, według Paula – morderstwo. W ów dzień, w tamtą niedzielę, namówił siostrę, żeby poleciała zamiast niego, bo sam nie miał najmniejszej ochoty, chciał dłużej pospać, a siostra kochała starszego brata i robiła dla niego prawie wszystko. Tamten dzień zapoczątkował poczucie winy, które przewyższyło dawne kazirodcze uczucia, gdyż Paul nie mógł znieść myśli, że z czystego lenistwa wysłał dziewczynę na śmierć. Tako rzecze terapeuta.

Paul stworzył skomplikowaną konstrukcję myślową. Gdyby uwiódł siostrę, o czym często marzył, znaleźliby jakiś sposób, aby tamtą niedzielę spędzić w domu razem bez świadków. W takim przypadku zginęliby tylko rodzice, co ograniczyłoby rozmiar tragedii i jego siostrze uratowało życie. Innym wariantem była wspólna śmierć pary kochanków, ostatni pocałunek w płomiennym żarze i... jazda do piekła z incestem na koncie. Gdyby poleciał zamiast siostry, sam odpokutowałby za grzeszną fantazję. Albo wariant bez kazirodztwa: jej życie było warte więcej niż jego, ona więc w żadnym wypadku nie powinna była lecieć. Bagaż przy siodle Paula był obciążony trybem warunkowym. Po sekundowej jeździe i dziesięciominutowym łkaniu rzucał mi te wyznania pod nogi.

Jednakże jak nikt inny rozumiał, że nienawidzę ojca, od którego jestem finansowo zależna. Z biednego emerytowanego sekretarza stanu zrobiłam wyjątkowo perfidnego potwora, który ograniczał moje swobody, na przykład tę, aby całą noc spędzić u Paula. Mój kochanek przypisywał nieludzkiej surowości mego wymyślonemu ojcu motywy seksualne, a ja nie zaprzeczałam. Ażeby mógł mnie kochać, musiał karmić swoją wyobraźnię tym, że ja także jestem ofiarą rodzinnych stosunków. Kochał mnie, nigdy jednak nie pomyślał o małżeństwie, o spotkaniu z następnym ojcem, z reprezentantem władzy, którego na równi bał się i nienawidził.

Uderzył cię, ponieważ, cię pożąda, czarodziejko, i za to właśnie nienawidzi. Sama myśl, że jesteś z innym mężczyzną, doprowadza go do szału. Musisz go opuścić. Natychmiast. Nim zdarzy się nieszczęście. Nie mogę, Paul. Nie mam pieniędzy, ani feniga. Czy mam przerwać studia i jeździć taksówką? Jak sobie to wyobrażasz? A gdybyś się przeprowadziła do mnie i ja bym cię utrzymywał? Zabiłby mnie, Paul, albo ciebie. Albo nas oboje. Jeśli odejdę, muszę odejść daleko, gdzieś, gdzie mnie nie znajdzie. Mogłabym studiować w jakimś innym mieście. I ty byś mnie odwiedzał. Tak, to byłoby możliwe. Gdybym miała pieniądze, Paul, byłabym wolna.

Pieniądze nie mają dla niego znaczenia. Tak powiedział. Leżeliśmy na japońskim łóżku w sypialni, którą zdominowało urządzenie stereo z potężnymi głośnikami. Tutaj Paul słuchał Wagnera, Mozarta lub Presleya, odpowiednio do nastroju, aby potem stwierdzić, że

nie ma żadnej innej muzyki, której warto by słuchać. Był miłośnikiem Wagnera i pielgrzymował do Bayreuth, mimo że określił „Lohengrina” jako wzniosłą operetkę, akcję zaś „Holendra Tułacza” przedstawił mi następująco: pewna historyczna krowa zakochała się w zaczarowanym facecie, aż oboje (po wielu ariach) wspólnie znaleźli śmierć. Richard Wagner węszył w świecie legend jak dzik za truflami i całość garniował nutami. Tak mówił Paul i kochał Wagnera, gdyż tylu jego bohaterów umierało, a muzyka była nadęta zupełnie jak Paul. Z jego imponującej kolekcji płyt najbardziej lubiłam tę z Anną Russell, bo w cudowny sposób natrzasała się z Wagnera. Rekord Paula w słuchaniu „Pierścienia Nibelunga” wynosił dwadzieścia godzin; była to opowieść o upadku rodu bogów, maraton masochizmu z towarzyszeniem orkiestry, który z muzyki przeniósł się na dom. Trąciło tu nieopisanym patosem tekstów Wagnerowskich oper i wpływami niegustownej inscenizacji „Tannhäusera”. Paul poruszał się w tych wnętrzach jak pełen czci turysta; z pomieszczeń innych niż łazienka i kuchnia ledwie korzystał, były rodzajem rodzinnej świątyni z niezliczonymi fotografiami i przedmiotami, które przypominały o hobby poszczególnych członków rodziny: modele samolotów, porcelanowe koty i sprzęt do uprawiania fitnessu. W piwnicy znajdowała się sauna, bar i kręgielnia. Biurko Paula stało w sypialni, żył jak lokator w domu o dziesięciu pokojach albo jak więzień wspomnień. Jako obrońca środowiska cierpiał również dlatego, że jego ojciec zużył ogromnie dużo drewna przy budowie – istna orgia belkowanych sufitów oraz wykładanych boazerią ścian. Mieszkał w zrąbanym lesie, w którym kukułka na metalowym pręciku wyskakiwała ze swego zegarowego domku.

Paul wybrał mnie spośród trzydziestu sześciu kandydatek, bo załączyłam najładniejsze zdjęcie. Chciał mądrej kobiety, która by go rozumiała, zносиła bezboleśnie jego muzykę i analizowała z nim rodzinne cierpienia. Napisał trzydzieści pięć odpowiedzi odmownych, nim spotkaliśmy się po raz pierwszy w „Piwnicy przy Moście”, jednakże wpiął listy do segregatora, który stał w sypialni. Archiwum na wszelki wypadek. Na razie miał mnie, pokrewną duszę, a ja nie przyznawałam się nigdy, jak bardzo cierpię z powodu Wagnera czy upodobania Paula do samodzielnego przyrządzania peklowanej łopatki spożywanej w łóżku, czy też od tego, co nazywał grą wstępną, czyli niezręcznego dotyknięcia moich miejsc intymnych w powiązaniu z powtarzaniem pytaniem, czy mnie to podnieca. „Tak, Paul, tak, tak, rób tak dalej, to jest cudowne; proszę, Paul...” proszę, zamknij się, abym mogła myśleć o Cohenie, gdy zamykam oczy. *You call it love, I call it roomservice*. Ty nazywałeś to miłością, ja – obsługą. Orgazm rodzi się w głowie, tego nie zrozumiesz nigdy z tą swoją głupią gadaniną. Zrób to szybko, Paul, wetknij go i pomyśl o swojej siostrze, a potem stocz się ze mnie, bo jesteś ciężki, a twoja skóra wydaje się w dotyku gąbczasta od kwarcówki, której

zbyt często używasz. Ja jestem blada, Paul, moja skóra jest biała jak śnieg i tak zimna i gładka jak moje serce.

Och, tak mi przykro, czarodziejko. Jest dobrze, kochanie, mnie jest dobrze. Prawie w ogóle nie myślałem o Caroli, zauważyłaś? No pewnie, byłeś taki jurny, taki twardy, Paul. Terapeuta mówi, że powinienem z tobą rozmawiać, kiedy to robimy, powinienem świntuszyć, aby nie myśleć o siostrze, i spróbowałem tego. Uważasz, że to podniecające? Nieprawdopodobne, Paul, nie czuleś, jak to odbierałam?

Gdyby wszystkie kłamstwa wszystkich kobiet wypowiedziane w trakcie spółkowania spotkały się we wszechświecie, nastąpiłaby eksplozja, która wstrząsnęłaby Ziemią. I wielkimi ognistymi literami wypisano by na niebie: *fellatio* to żadna przyjemność, lecz środek na wymioty.”

Powiedziałam Paulowi, że jestem w ciąży – w chwili olśnienia aby skrócić jego postcoitalne szloch i skierować rozmowę na temat pieniędzy. Natychmiast przestał płakać i spojrzał na mnie swymi sarnimi oczyma, które zawsze wydawały się trochę wilgotne. „O Boże”, powiedział. Bóg zabiera, Bóg daje. Paul został wychowany po katolicku i przenikało go poczucie winy, której także jako człowiek dorosły i ateista nie umiał się pozbyć. Bez tej winy byłby spokojnym sierotą, przeciętnym krytykiem muzycznym, mężczyzną o rzadkich włosach i uległym spojrzeniu, nieciekawym ekscentrykiem i kochankiem nie do zniesienia. Nie wierzyłam, że terapeuta powiedział mu, iż to nic szczególnego nienawidzić dominującego ojca i w okresie dojrzewania pożądać ładnej siostry. Paul celebrował swoje poczucie winy jak tragiczny bohater Wagnerowskiej opery. Ciężarnych kobiet nie przewidywał, dlatego zirytował się w najwyższym stopniu i chwycił butelkę whisky. Pił zawsze irlandzką, czystą i bez lodu. Z każdym łykiem stawał się smutniejszy, aż w końcu popadał w melancholię, a potem chrapiąc zasypiał.

Poinformowałam go, że nawet nie chcę myśleć o skrobance. To co zrobiłam w Monachium, to przeszłość, moje prywatne piekło, które zawsze było lepsze niż dziecko Geralda, tego oszusta. Od tamtego czasu bronię się przed bólem tego rodzaju, o tym jednak Paul nie mógł wiedzieć, a w jego erotycznych fantazjach kondomy i spirale nie występowały.

– Musimy się pobrać.

– Niekoniecznie. – Wzięłam jego prawie łysą, spoconą, zapłakaną głowę w ręce i zaczęłam go hipnotyzować. – Ty jeszcze do tego nie dojrzałeś, Paul, zapytaj swego terapeuta. Znajdziemy inne rozwiązanie.

– Twój ojciec nas zabije.

Mój ojciec był umierający, już od bardzo dawna, a przyglądająca się temu Klara czuła

się coraz bardziej zmęczona. Miłość czasem umiera, przeważnie popełnia samobójstwo, ale w przypadku Klary była to choroba przewlekła, Claire zaś cierpiąc trzymała się życia mocno, jak przystało na bojowniczkę.

– Muszę się przenieść do innego miasta, Paul, gdzie będziemy mogli żyć w spokoju, ja i moje dziecko, nasze dziecko.

Wzbudzenie w kimś takim jak Paul poczucia winy szło jak z płatka, bez mała wstydziłam się, że tak łatwo skłamałam. Bez mała. Z drugiej strony uważałam wymyśloną ciężę za genialny pomysł. Paul rozważał swoje obawy: tę przed szalejącym ojcem, przed kobietą z wielkim brzuchem i przed wrzeszczącym bachorem, którego nie da się wyłączyć jak wieży stereo. Och! To że miał do segregowania odpadków pięć kontenerów, w których na pewno znalazłoby się także miejsce na pieluszki, nie stanowiło żadnego argumentu przemawiającego za dzieckiem. – Musiałbym oddać kota – powiedział Paul, miłośnik kotów.

– Nie musisz ponosić żadnej ofiary, kochanie. Sprawę rozwiąże trochę pieniędzy, więcej od ciebie nie żądam.

Paul to typ mężczyzny, który nie potrafi zrozumieć kobiet. Ponieważ wynosił je na piedestał, pożądał ich, a przede wszystkim czuł przed nimi strach. Obraz kobiety ukształtował na podobieństwo dobrodusznej, cichej matki oraz dziewiczej siostry i żył w świecie, gdzie nie trzeba było walczyć o pieniądze. Kobiety były dla Paula błogosławionymi uwodzicielkami, których znieważenie powoduje mękę. Urządził się przytulnie w swoim ekskluzywnym piekielku, w którym teraz podsyciłam ogień, zdecydowanie dla niego za gorący.

– Cierpię – oznajmił, podniósłszy się z łóżka. Poszedł do kuchni, aby przyrządzić peklowaną łopatkę, a ja miałam czas na kąpiel i rozważania nad jego finansowymi możliwościami cierpienia. Łazienka była wyłożona zielonymi płytkami i wyposażona w urządzenie stereo, które dało się obsługiwać z wanny. Do stojącej w rogu palmy nie byłam przekonana, lubiłam jednak to urządzone z rozmachem, gładko wykafelkowane pomieszczenie, gdzie toaleta nie była przyciśnięta do umywalki, lustro oferowało więcej niż część widoków, wanna zapraszała do wyciągnięcia się, frotowe ręczniki były podgrzewane, a przeszklona kabina z prysznicem zachęcała do masowania ciała strumieniami wody. Przy ścianie stała też pralka marki Whirlpool. Co tylko rynek budowlany oferował z luksusowych artykułów, ojciec Paula zainstalował w swoim domu, zanim po raz ostatni uniósł się w powietrze. Zarówno urządzenie domu, jak i latanie napawały Paula wstrętem, odrzucał kategorycznie wszelkie formy aktywnego spędzania wolnego czasu, pominąwszy gotowanie, ale ja nie lubiłam jego tłustych potraw i poprzestawałam na tym, żeby się z nim napić.

Kochałam łazienkę Paula w przeciwieństwie do mojej wilgotnej celi, w której

jasnoniebieska plastikowa zasłona przy prysznicu lubiła przyklejać się do nagiego ciała jak druga, tania skóra, gdzie szkaradne spleśniałe tapety poddawały się wilgoci, a muszla klozetowa połyskiwała barwą urynowego osadu. Gdyby środki produkcji rozdzielono sprawiedliwie, takie wilgotne cele znikłyby z oblicza ziemi. Trochę luksusu dla każdego. Klara zawsze mówiła, że marksistowscy myśliciele mieli serca kapitalistów. Paul wybrał zielonych, do czego się czuł uprawniony dzięki praktykowanemu sortowaniu śmieci. Ja wybrałam ideologię Wondraschka: stopniowe, niepostrzeżone przenikanie i rozsadzanie kapitału od wewnątrz w celu osobistego wzbogacenia się. Ile gotów jest zapłacić za swoje tchórzostwo człowiek, który inwestuje ćwierć miliona w urządzenie stereo?

– Kocham cię, Paul... – Słowa lekkie jak piana kąpielowa.

Leżałam w wannie, a Paul siedział pod palmą i na kolanach miał talerz z peklowaną łopatką, którą spożywał miarowymi kęsami, żując nie za głośno, lecz nieustannie, ponieważ seks – bądź to, co mianem seksu określał – dodawał mu apetytu. Można nie cierpieć mężczyzn także z powodu ich upodobań kulinarnych. U mnie przeradzało się to powoli w manię. Emerytowany sekretarz stanu, posiadacz trzeciego garnituru zębów, dzielił porcje na drobne kawałki, po czym jakby wbrew temu, co właśnie zrobił, po trzy albo więcej nabijał na widelec. Te akrobatyczne wręcz działania kulminowały tym, że każdemu kęsowi przyglądał się w zamyśleniu, nim go wsunął do ust. Jedzenie sekretarza było zawsze zimne, zanim je skończył, ale nigdy niczego nie zostawiał na talerzu – wyrośnięte dziecko wojny – i nigdy nie zapominał zbesztać mnie za nieopróżniony talerz.

Lutz, dentysta, przeżuwał szybko i miał zwyczaj czyścić zęby, przesuwając po nich językiem. Gerald połykał jedzenie lub znudzony dłubał w nim, zależnie od tego, kto się przyglądał; był człowiekiem ze zmiennymi manierami przy stole. Paul kroił kartofle nożem.

– Nie wiem, czy zniósłbym dziecko, czarodziejko. Nie czuję się jeszcze gotów do czegoś takiego.

Współczułam wyimaginowanemu dziecku w moim brzuchu. Jakim żalonym ojcem byłby Paul, nie miał przecież żadnego talentu poza jednym: potrafił wytrzymać Wagnera.

– Rozumiem cię dobrze. Jesteś artystą, człowiekiem nieprzystosowanym do mieszczańskiego małżeńskiego życia. Ale ja muszę myśleć o dziecku, rozumiesz? Ono potrzebuje opieki i troski. – Rzadko zdarzało się, że wchodziłam w jakąś rolę do tego stopnia, że prawie wierzyłam w to, co mówię. Kiedy kłamstwem stwarzałam nową sytuację – jak teraz – naginałam fakty do swoich potrzeb. Paul nie miał wyboru, musiał reagować na moje słowa, podczas gdy ja dyktowałam postępowanie, posługując się kliszami. – Gdyby mój ojciec był rozsądnym człowiekiem, nie prosiłabym cię o nic. Ale pod względem finansowym jestem

niczym. Musisz mi pomóc.

Wyszłam z wanny, a on podał mi ręcznik, łagodnie zielony tak jak flizy; Paul był wrażliwy na kolory. W jego spojrzeniu dostrzegłam nieco odrazy, prawdopodobnie należał do mężczyzn, którzy odczuwają niechęć do kontaktów seksualnych z kobietami w ciąży; żadna z moich znajomych w Monachium nie zaryzykowała zepsucia sobie figury, jak długo jej stosunki nie zostały zalegalizowane. Gdy mnie się to zdarzyło, Gerald w ciągu jednego dnia postarał się o adres londyńskiej kliniki wraz z biletem lotniczym i rezerwacją hotelu. W kwestiach organizacyjnych był zawsze bardzo sprawny.

– Nic jeszcze nie widać – wymamrotał Paul. Ukłękłam przed nim i położyłam mu głowę na kolanach. Bohaterki Wagnera nie zachodziły w ciążę, a praktyczne doświadczenie Paula było niewielkie.

– Biedactwo ma dopiero sześć tygodni, to maleństwo, lecz wkrótce moje piersi zaczną się powiększać, a potem brzuch, to jest cud, wiesz...

Paul lubił moje piersi, uważał jednak, że w normalnym stanie są już wystarczająco duże. Jego siostra była delikarniejszej budowy, chociaż z powierzchowności podobno mnie przypominała. Walkirie budziły w nim wstręt. Gdy Paul szedł do opery, prawie przez całe przedstawienie miał oczy zamknięte, bo cielesność śpiewaczek psuła mu rozkosz słuchania. Mówiłam o dziecku, aż opróżnił pół butelki, a każde z moich słów było jak czekoladowosłodka strzała dla jego diabetycznego serca. Bełkotał już nieco, gdy spytał: – Ile ci potrzeba?

– Ile nam potrzeba. Myślałam o stu tysiącach. – Wypowiedziałam to wprost w jego płodne podbrzusze. Na chwilę zaległa cisza, potem spojrzałam na niego od dołu. Oczy miał wilgotne od użalania się nad sobą pod wpływem whisky. – Och, Paul, nienawidzę mówić o pieniądzach. To takie prozaiczne po tym wszystkim, co zaszło między nami.

Wstał, uwalniając się od cielesnego kontaktu ze mną.

– To całkiem ładna sumka, sama rozumiesz.

Nalał sobie znowu. Łazienkę wypełniał zapach alkoholu, tłuszczu i ziołowych esencji. Tak mówił ktoś, dla kogo pieniądze nic nie znaczą.

Podczas gdy Paul trzymał się palmy, wyjaśniłam mu, ile wszystko kosztuje: wynajęcie mieszkania, meble, komódka do przewijania, wózek dla dziecka... Wspomniałam o cenie urządzenia stereofonicznego. Wtedy zwrócił mi uwagę, że nie można porównywać sztuki i dzieci. Jego skromnie owłosiona pierś nie miała w sobie nic bohaterskiego, a nad paskiem płaszcza kąpielowego uwypuklał się utuczony peklowaną łopatką brzuch, który lustro powielalo. Barki były za wąskie dla winy, którą się sowiec obarczał.

– Dla mnie tego wszystkiego jest trochę za wiele – powiedział Paul, a ponieważ to pojmowałam, pocieszałam go, póki nie przyniósł książeczki czekowej, nie wpisał wymienionej kwoty i nie złożył swego dziwnie zamaszystego podpisu. Skóra swędziała mnie od gorącej kąpieli i małego zwycięstwa nad kapitałem. Propozycję Paula, że załatwi mi komódkę do przewijania od znajomego z branży meblarskiej, odrzuciłam z podziękowaniem. Byłam pewna, że zamienię czek na Cohena, na jego dotknięcia i piękne słowa, które ofiarowywał kobietom. Zdolność do szczerzej miłości była utopią, której nie dałam sobie odebrać. Jak sobie kto pościele, tak się da okłamać, toteż Paul, odrobinę uboższy, został hojnie obdarowany iluzją, że jest mężczyzną godnym miłości i pożądania. Zostawiłam mu wybór: ja albo książeczka czekowa, i patrząc na to w ten sposób, dałam mu uczciwą szansę. Podobnie ja mogłam odmówić podpisania papierów Geralda. Człowiek nie zauważa właściwych dróg i porusza się tak długo w fałszywych kierunkach, aż się kiedyś zmęczony zatrzyma.

– Żegnaj, Paul – powiedziałam, idąc do taksówki, którą mi zamówił. Mój miłośnik Wagnera nie zapytał o testy ciążowe, a pożegnalny pocałunek złożył jak tragiczny bohater.

Czek tkwił w kieszeni mojej skórzanej kurtki, taki rozgrzewający kawałek papieru w zimną noc na przedmieściach Frankfurtu. Kolega, który mnie wiozł, opowiedział mi o swojej chorej żonie i odmalował ją jako osobę terroryzującą cierpieniem, co jakby go nie dziwiło. Pragnął mojego współczucia i okazałam mu je, ponieważ nie kosztowało wiele. Myślałam o Paulu, dlatego włączyłam „Tristana i Izoldę” jako odpowiednio hałaśliwe tło. Emerytowany sekretarz stanu spędzał ten wieczór w Lions Club, gdzie starsi panowie zapewniali się wzajemnie, jak dużo wciąż jeszcze znaczą. Lutz, dentysta, przebywał u żony, i jeśli się z nią właśnie kochał, spełniając swój weekendowy obowiązek, myślał przypuszczalnie o mnie, gdyż był opętany młodością i pięknnością i nienawidził obwisłych piersi swej małżonki. Oczywiście ona urodziła i wykarmiła jego dwoje dzieci, za to należała się jej wdzięczność, ale uznanie i namiętność nie szły ze sobą w parze, a ród męski jest jak wiadomo wiarołomny, nierozumny i bezduszny, nigdy do nas nie należał, nigdyśmy go nie rozumiały. Cohen był inny tylko dlatego, że go kochałam. Miłość uznaje wszystko za nowe. Jest ze wszystkich samooszukiwań najdoskonalsza i najkrócej żyjąca.

Już w mieście, przy Eschenheimer Turm, kolega powiedział mi, że czasami zachodzi do agencji towarzyskiej, aby oszczędzać zdrowie żony. To brzmiało miło, miłe jednak być nie mogło. Wady, których się po sobie spodziewamy, są w sumie tak przerażające, że tylko zwodnicze działanie kłamstw może je zneutralizować.

Wysiadłam na West Endzie w pobliżu swego mieszkania i dałam dziesięć marek

napiwku, gdyż „koleżeńska jazda” nic nie kosztowała. Było za wcześnie, aby wracać do domu, którego ubóstwo mnie odpychało.

Moje wejście do knajpy „Ostatnia Instancja” równało się wtargnięciu do hermetycznego świata. Zawsze tak jest, gdy człowiek przekracza próg błękitnego od dymu i cuchnącego piwem uniwersum, którego mieszkańcy lustrują przybysza z ciekawością i z dystansem; na kilka sekund obniża się wskaźnik hałasu, aby potem znów odżyć; spojrzenia wracają do swoich spraw; intruz zanurza się w oparach i podpływa ku bufetowi, a gdy znajdzie miejsce, staje się częścią całości, okruczem towarzyskiej samotności. Lubiłam zachodzić do nieznanymi knajp i spotykać się z wrogością, tą bezwzględną opozycją, lubiłam szukać towarzystwa i zarazem je odrzucać.

– Poproszę pilznera. – Barman stojący przy kurku szpuntowym zaryzykował spojrzenie, aby ustalić, jak ma się zachować. Nieznajoma w jego knajpie to jeszcze nie powód do uśmiechu lub opróżnienia przepelnionej popielniczki. Pod szklanym przykryciem leżały duszone zrazy, niezbyt apetyczne. Czułam głód i pragnienie, dostałam podstawkę pod piwo, jedną kreskę i pełny kufel. Spojrzenia z ukosa. Strzępy rozmów. Zamówienia. Za kontuarem kilka butelek, na których można było zatrzymać wzrok. Nie dostrzegłam wśród nich markowej whisky Paula. Przy drzwiach prowadzących do kuchni wisiały proporceyki frankfurckiego Eintrachtu i szynkarskie sentencje pełne humoru i zdrowego rozsądku. Przy kuflach odbywały się zwierzenia. Nic nadzwyczajnego. Pieniądze, kobiety, mężczyźni, dzieci, praca, piłka nożna. Zastrana polityka, Willy ustąpił, mała strata. Niemcy zostały piłkarskim mistrzem świata. Nixon zrzekł się urzędu przez Watergate. Znowu bomba w Bejrucie, pod tym względem we Frankfurcie zawsze było lepiej, mimo spekulantów i bankierów. Jeszcze jedno piwo, Hannes. Dialekt nie ułatwiał zrozumienia tego, co mówili. Biodro przyciśnięte do mojego prawego biodra należało do kobiety, która piła wódkę ze szklanki. Sztuka samotnego knajpianego pijaka zasadza się na przelotnym spojrzeniu. Zbyt długie przyglądanie się komuś było przyjmowane jako agresja albo seksualne zaproszenie, co w gruncie rzeczy wychodziło na to samo.

Inni napelniają swój kieliszek zazwyczaj ot tak sobie I otrzymują z tego jedynie alkoholiczne serce Gdy JA piję, świat ginie, śmiejąc się szyderczo A ja pozostaję jeszcze minutę Widzę w tym sens życia.

Pomyślałam o bokserze, który lubił takie knajpy jak ta, ponieważ swą nieprzychylną brzydota wywyższają gościa i człowiek przestaje być samotny w swej samotności. Heinrich znał Brechta, gdyż Brecht podziwiał i opisywał bokserów. Na przykład na tablicy pamiątkowej dla dwunastu mistrzów świata, z czasów kiedy walki bokserskie trwały jeszcze

ponad pięćdziesiąt sześć i siedemdziesiąt rund i kończyły się nokautem. Od roku 1891, od Boba Fitzsimmonsa do Mickeya Walkera – dwunastu wielkich mężczyzn, co kiedyś przez kogoś zostali pobici. Brecht kochał boks, a bokser kochał mnie, ale my nawet nie wyszliśmy poza pierwszą rundę. Gdy ponownie stanęłam na ringu, Gerald mnie znokautował, Paula wyliczyłam, a Lutz i sekretarz stanu nie wiedzieli, że nie mają żadnej szansy dotrzeć do ostatniej rundy.

Heinrich próbował przybliżyć mi myślenie boksera. Podczas walki, w każdej sekundzie, trzeba dawać z siebie wszystko, a nawet więcej. Pierwotne instynkty ujęte w reguły. Atakować ze strachu. Smakować słodką sztukę odnoszenia ran oraz ignorować własny ból. Zespościć intuicję i taktykę. Przegrywać z godnością i zwyciężać triumfująco.

Jeszcze jedno piwo. Jeszcze jedna minuta, ponieważ świat nie zginął. Zwycięstwo nad Paulem należało uczcić, ale powrót do domu, do pokoju z wilgotną cełą, mógł oznaczać głos Klary oznajmiającej, że ojciec nie żyje. To, żeśmy się obie tego spodziewały od wielu miesięcy, nie odbierało wiadomości niczego z jej grozy. Wstydziałam się przed Klarą, że nie odwiedzam ojca częściej, ale on mnie już nie poznawał, był martwy, choć tego jeszcze nie wiedział.

Biodro na lewo ode mnie zamówiło dwie wódki. Unikałam każdego spojrzenia, lecz i tak wiedziałam, że jedna jest przeznaczona dla mnie. Wypij ze mną, zanim ci złożę nieprzyzwoitą propozycję. Delikatnie odsunęłam kieliszek i powiedziałam facetowi, że nie lubię wódki, ale mimo to pięknie dziękuję. Stwierdził, raczej szorstko, że widać przywykłam do czegoś lepszego. Mówił dialektem heskim z tureckim akcentem. Kobieta pijąca wódkę po mojej prawej stronie powiedziała: „Zostaw dziewczynę w spokoju” i zaczęli się kłócić, podczas gdy ja milcząc, stałam w środku, ściśnięta między nimi. Kłócili się o wódkę i moją pychę, usłyszałam, jak facet mówi, że ktoś taki jak ja pewnie w ogóle nie lubi cudzoziemców. Mogłabym mu wyjaśnić swoją wielokulturową, antyrasistowską zachłanność na pieniądze, ale milczałam, bo nie miałam ochoty stawać na ringu. Kobieta pijąca wódkę walczyła za mnie. Przesłała mi uśmiech.

Miała twarz alkoholiczki, niegdyś chyba piękną, i przypominała mi matkę, tę z fotografii. W prawej ręce trzymała mocno szklankę, w lewej papierosa. Wypowiadała uspokajające słowa, które brzmiały fałszywie i obojętnie. Może szukała okazji, by zacząć rozmowę z cudzoziemcem. Nie był wysoki, lecz bardzo krępy, muskularny, być może tragarz mebli. Włosy miał ufarbowane na blond. Mówił krótkimi, agresywnymi zdaniami i kobietę pijącą wódkę potępiał zastępczo za wszystkie niemieckie kobiety, które go nie chciały. Był uczciwszy od niej, dlatego bardziej nieprzyjemny. Jego słowa odnosiły się do mnie, ale ona je

przechwytywała. Przy bufecie stali słuchacze o zaczerwienionych twarzach, gotowi do walki, chociaż nikt nie wiedział, o co właściwie chodzi. Gdyby towarzyszył mi Paul, dawno by już dał drapaka. Lutz zapewne by się obawiał, że ktoś może mu wybić zęby. Emerytowany sekretarz stanu nigdy nie odwiedzał takich knajp. A Cohen? Gdybym w grę wchodziła tylko ja, nie powinna bym ufać jego pięknym słowom.

Gdy zapłaciłam, kobieta pijąca wódkę postawiła mi pilznera. Podczas gdy Turek zaczął się kłócić przy kontuarze z dwoma mężczyznami, ona wypłała za moje zdrowie.

– Zastrane typy – stwierdziła nie nazbyt oryginalnie, ale dość odważnie w tym lokalu, gdzie zdecydowanie przeważały takie właśnie typy.

Dawny bokser, pomyślałam o niej, lecz nie podniosła się po paru porażkach. Jedną z tych, które nie wracają na ring przekroczywszy czterdziestkę, a swoje marzenia topią w alkoholu. Chociaż w mojej obecności opróżniła cztery czy pięć szklanek, wydawała się prawie trzeźwa. Zaczęła mi mówić „ty”. Miała na imię Beata i uśmiechnęła się, gdy usłyszała moje. Nie była moją matką, chociaż istniało pewne podobieństwo. Dawno już nie myślałam o matce. Klara wspomniała kiedyś, nie zdradzając, skąd o tym wie, że matka mieszka w Irlandii. Do diabła z nią, nie ma żadnego powodu, by gloryfikować więzy rodzinne. Klara jest wystarczająco dobra, a jej dystans to uczciwa interpretacja naszego wzajemnego stosunku. Wondraschek – niech Bóg będzie łaskaw dla jego duszy, podczas gdy ja piję piwo – nie był najgorszym ojcem. Nigdy mnie nie uderzył, nie zgwałcił i niespecjalnie kochał.

Moja sąsiadka przy bufecie opowiadała historię swego życia, która w rzekomej wyjątkowości nie wychodziła poza masówkę. Niewiele kobiet w tej knajpie, tego byłam pewna, umiałoby snuć podobne legendy. Byłyśmy do siebie podobne pod warstwą makijażu, ja i takie jak Beata, czy to w „Ostatniej Instancji”, czy „Pod Wielorybem” lub u Käfera, i jedyne, co mnie wyróżniało, to cynicznie wyludzony czek na sto tysięcy. Do grzechów powszednich należało dorzucić ciężkie i wreszcie poczuć siłę. Mieć wybór i nie chodzić do takiej knajpy, upijać się markowym absolutem zamiast tanią wódką. Rausz zapewne jest taki sam, różnica tkwi po prostu w jakości. Twoje zdrowie, Beato. Nie przyszłoby mi nigdy na myśl częstować cię swoimi prawdami, niemoralnymi i bez znaczenia. W chaosie bardzo osobistego końca świata chciałam wykorzystać minuty, które jeszcze pozostały, nie zaś żałować minionych.

Beata była rozwiedziona i miała dwoje dorosłych dzieci. Nie uciekła, zniosła dla nich wszystko, przetrzymała, póki na scenie nie pojawiły się inne kobiety, i teraz żałuje tych dwudziestu straconych lat, jak je nazwała. Próbowwała wielu rzeczy, jak mówiła: powrotu na studia, aerobiku, garncarstwa, gry na bębnach, wiedzy ezoterycznej, buddyzmu i koniec

końców wylądowała przy wódce. „To nie sprawia wysiłku”, tymi słowami zakończyła swój nudny życiorys, nim zapytała o mój. Nie miałam ochoty kłamać. Kobieta pijąca wódkę nie była ani zagrożeniem, ani wyzwaniem, była tylko bokserem, który rzucił ręcznik i sam sobie wybił zęby.

– Jestem pasożytem. Żyję na koszt innych. – Tego, że dorywczo jestem taksówkarzem, nie warto było mówić.

– Dlaczego?

Tego słowa nie słyszy się często od dorosłych, to dziecięce pytanie, przyznanie się do ignorancji; kiedy się dorasta, wystrzega się go wobec obcych. Dlaczego nie poszłam do domu? Klótliva rozmowa obok mnie eskalowała w tonacji i doborze słów, zbliżała się godzina zamknięcia lokalu, toteż goście wpadli w panikę. Był to najniebezpieczniejszy czas, znałam go z „Wieloryba”, a barman zdawał się zbyt tępy, by wyczuć agresywny nastrój.

– Dlaczego? Tak się złożyło. No i to nie sprawia wysiłku.

Roześmiałyśmy się. Ja postawiłam Beacie wódkę; ostatnia, najostatniejsza kolejka, i jeszcze jeden papieros, bo sens życia to głupia zagadka, która wraz ze śmiercią znajduje bardzo niezadowolające rozwiązanie.

– Jesteś bardzo ładna – powiedziała Beata – ale w twoim wieku nie przywiązuje się do tego większej wagi.

– Może potem to docenię. – Knajpiana rozmowa. Barowa filozofia, uwagi wymieniane bez celu między nieznanymi. Beata była sekretarką i akwizytką ubezpieczeniową, obecnie bez pracy, ja natomiast bajarką, jeszcze bez zmarszczek. Być może nie powinnyśmy się były śmiać, gdyż na niektórych działało to prowokująco. Turek, który bardzo dobrze mówił po niemiecku, ale wypił za dużo wódki, uznał, że śmiejemy się z niego i nazwał nas lesbijskimi kurwami, co było raczej samowolną kombinacją, wymagającą dobrej woli nawet w tej przesiąkniętej alkoholem atmosferze. Wyostrzone w hamburskich czasach wycucie mowy ciała kazało mi się odsunąć od Turka jak najdalej.

Niemiecki lewy prosty trafił w turecki nos, który chrupnął i natychmiast zaczął krwawić, ale uderzenie jakby w ogóle nie zrobiło wrażenia na moim sąsiedzie: otrząsnął się jak rozdrażniony byk, wykorzystał przestrzeń, którą mu zostawiłam, wyprężył się błyskawicznie przed swoim przeciwnikiem i wyprowadził potężny hak, który zaskoczonego i nieosłoniętego napastnika trafił w żołądek i powalił na ziemię. Jak przy każdym dobrym nokaucie reakcja widzów nastąpiła z opóźnieniem.

Cofnęli się w sposób wyrażający i zachwyt, i przerażenie, a barman z emocji przelał kufel pilznera. Przez chwilę panowała głęboka cisza. Beata, pragmatyczna alkoholiczka,

opróżniła szklanekę, nim doszło do bijatyki. Zaczęłam wyliczać, co Turka chyba rozbawiło, ponieważ dostrzegłam na jego twarzy lekki grymas uśmiechu. Nie bał się, o dziwo, może pod wpływem alkoholu, a może faktycznie był bokserem. Mężczyzna na podłodze jęczał, jego przyjaciel próbował mu pomóc.

– Nie chcę tu żadnych kłopotów – oznajmił barman i wskazał palcem na mnie. Ktoś musiał być winny. Pijącym wino zdarzało się coś takiego względnie rzadko. Turek bokser powiedział: „To była obrona konieczna.” Właściwe słowo na fałszywym miejscu. Rozdrażniło to kompanów znokautowanego, który przy ich pomocy stał oparty o kontuar. Kiedy ktoś zawołał: „Załatwmy tę świnię!”, wiedziałam, że nadszedł czas pospiesznego odwrotu. Podczas gdy barman telefonował po policję, a kilku mężczyzn rzuciło się na Turka, przecisnęłam się już do wyjścia. Zamykając drzwi od zewnątrz słyszałam zagrzewające do walki okrzyki.

Byłam głodna i drżałam z zimna. Frankfurcki „Mainhattan” wygaszał światła, przynajmniej na moim West Endzie, tylko przy wejściach do biurów tu i ówdzie tkwili jeszcze przycupnięci narkomani lub włóczędzy. Miałam jedynie paręset metrów do domu, do pokoju. Nie pożegnałam się z Beatą, postąpiłam niegrzecznie, ale to bez znaczenia. Pozostało mieć nadzieję, że moja barowa sąsiadka wyszła z tej jatki bez szwanku. Turek to zupełnie inna sprawa; ze wszystkich mężczyzn, których znałam, tylko Heinrich mógłby mi pomóc. Ja jestem tchórzliwa, co uważam za dobrą cechę. Klara, pomyślałam, zasłoniłaby Turka, nigdy jednak nie uznała za konieczne wychować mnie wedle swoich zasad. Trochę Marksa i odrobina Brechta. Wieczorne modlitwy czy śpiewy Klary powodowały odwrotne do zamierzonego działanie, gdyż magicznie pchały mnie do tych, którzy stali na świeczniku. Tam było cieplej i chyba odzwyczaiałabym się popijać piwo w knajpach, chociaż pilzner z beczki jest o niebo lepszy niż szampan z dobrego rocznika. To kwestia poziomu, usiłował rzecz załagodzić sekretarz. Ludzie pijący wino zachowują się w towarzystwie lepiej, a ja nie mogłam sobie pozwolić na to, aby się wplątać w bójkę w jakiejś knajpie. Nie miałam żadnego ubezpieczenia, chorobowego, rentowego czy dla bezrobotnych – z punktu widzenia biurokracji nie istniałam dla państwa opiekuńczego. Miałam tylko metrykę urodzenia i paszport, którego ważność wkrótce się kończyła. Kto spędził młode lata z Klarą i Wondraschkiem, ukształtował w sobie anarchistyczny stosunek do zwierzchności. Widok zielonych mundurów wzbudzał obawę; do policjantów odnosiłam się z obrzydliwą uległością, co przyjmowali jako wyraz kobiecej kokieterii.

Z Monachium nic nowego: Gerald, jak się wydawało, pozostawił po sobie taką dozę finansowego chaosu, że wytrzymał on każdą próbę uregulowania. Tymczasem pojawił się międzynarodowy list gończy i nakaz aresztowania, jednakże doktor Freiser znikł bez śladu, ja natomiast próbowałam sobie wyobrazić, jak czuje się w afrykańskim buszu wśród bzykających moskitów, skoro już zwykle muchy doprowadzały go do irytacji; w swoim betonowym świecie nie znosił niczego latającego, niczego żyjącego, co wymykało się spod jego kontroli.

Drgnęłam, bo w kierunku „Ostatniej Instancji” przejechał na sygnale wóz patrolowy akurat w momencie, gdy otwierałam drzwi domu. Budynek kwalifikował się do wyburzenia i z pewnością nie uniknie tego losu ze względu na swe cenne położenie. Mieszkali tu studenci, bezrobotni artyści i Felicitas Wondraschek – hochsztaplerka z ograniczonym jeszcze działaniem, choć sto tysięcy marek stanowiło niezły początek, a napiwki sekretarza przyniosły prawie drugie tyle. Interes jednak dawał dochody nieregularne, wymagał nakładu czasu i wiązał się z wieloma drobnymi niedogodnościami. Boksowałam w klasie amatorskiej. Wynajmowałam trzeciorzędny pokój z zapleśniałą i co gorsza, stale pustą lodówką. Cohena winiłam za to, że wcześniej tego dnia, przed koncertem, z podniecenia nic nie mogłam zjeść. Paul gromadził w swojej kuchni tylko tłuste wędliny i tłuste mięso. Zastanawiałam się, czy nie powinnam pojechać do sekretarza. W jego chłodziarce znajdowały się zawsze porcjowane plastry doskonałej wędliny i różnych gatunków sera, angielska musztarda i słodko-kwaśne pikle. Dostałam drugie klucze, ale myśl, że zbudzę pana domu, nie była nęcąca. Miał lekki sen starca i dobre oraz złe przyzwyczajenia długiego życia. Od przejścia na emeryturę każdego ranka przynosił z piekarni świeże bułki. Jeśli nie jadł poza domem, schodził wieczorem do piwniczki z winem, aby wybrać jakąś butelkę, po dokładnym namyśle i starczej rozmowie z sobą samym. W domu jadał tylko zimne potrawy, ponieważ był zdania, że kuchnia to domena kobiet, ale na kucharkę żałował pieniędzy. Róże miały być czerwone, a serwetki białe. Kieliszki do wina stały na podstawkach, zastawa na koronkowych podkładkach. Ser kroił nożem do sera. Kiedy w telewizji występowali politycy z partii zielonych, wyłączał głos. Do śniadania czytał „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, najpierw wstępniak, potem komentarze polityczne i część ogólną; felieton i strony gospodarcze towarzyszyły popołudniowej kawie. Wypalał dziennie dwie paczki papierosów, ani jednego więcej i ani jednego mniej.

Życie sekretarza składało się z rytuałów oraz wyważonych działań i poza nałogiem palenia lubił wszystkiego używać w miarę. Także mnie. Niekiedy przyglądał mi się tak, jakby chciał się na mnie rzucić (byłam pewna, że w myślach uwiódł mnie już sto razy). W

praktycznej realizacji tego zamiaru przeszkadzało mu, że równocześnie zostałby pozbawiony swojej uprzywilejowanej pozycji. Sekretarz posługiwał się taktycznymi wykrętami, a poza ojcowskiego przyjaciela używała mu pewnej przewagi, której nie chciał stracić. Do tego dochodziła bigoteryjna pobożność, chodził co niedzielę do kościoła i dwa razy w tygodniu prowadził z żoną „rozmowę” przy jej grobie. Czy opowiadał o mnie? Jeśli tak, to z pewnością w altruistycznych górnych tonach. Wobec dzieci i wnuków zostałam przemilczana. Sprzątaczką się nie liczyła.

Siedziałam na łóżku głodna, ponieważ Cohen nie zaprosił mnie na kolację. Myślałam o chłodziarce sekretarza i bywaniu w restauracji z Lutzem. Dentysta nie pominął żadnego renomowanego lokalu we Frankfurcie i okolicy. Miał się za smakosza, był próżny i uważał na figurę, która co godne szacunku, przetrwała pięćdziesiąt lat wystawnego życia. Proces starzenia się przebiega u wielu mężczyzn z większym wdziękiem niż u kobiet, przynajmniej zewnątrz. Męska słabość do kupowania młodych kobiet wynika z potrzeby łatwego towarzystwa, jednakże jest to zawsze transakcją, zazwyczaj opłaconą aktem ślubu, prezentami, podróżami, firmą. Kolacją, na którą sobie nie pozwoliłam.

Lutzowi przedstawiłam się jako aktorka bez angażu, co nie było takie znów dalekie od prawdy, tyle że nobilitowałam się na Felicitas von Ysenburg i powiedziałam, że pochodzę z bocznej, zubożalej linii. Dentysta miał słabość do szlacheckich tytułów, był bowiem drobnomieszczańskim snobem i dobrze opłacanym rzemieślnikiem, który o wszystkim miał nieco pojęcia, lecz niczego nie przemyślał do końca. Fetyszysta miłostek, który w obecności młodych kobiet roztaczał urok starego mężczyzny i swoje siły żywotne czerpał z flirtów i romansów. Przyjemnie się go słuchało, gdy szło o higienę zębów czy grę w golfa. Grał z handicapem dwanaście i wiedział dokładnie, kiedy i gdzie, przy którym dołku uderzył za słabo albo za mocno i dlaczego. Za złą grę winił zawsze kogoś lub coś: liść, promień słońca, który go oślepił, gracza, co okrzykiem ostrzegł przed piłką, przelatującego ptaka bądź szczekanie psa. Jakże potrafił się podniecać przy takich opowieściach, podczas gdy nagłówki mówiące o wojnie, mordach i torturach pozostawiały go w gruncie rzeczy obojętnym, chociaż umiał je komentować.

Nie odważył się zabrać mnie do klubu golfowego, bo jego żona również grywa tam w golfa. Kobieta z obwisłym biustem. Współczułam jej, że w młodości, gdy miała jędrny biust, dostała się komuś takiemu jak Lutz, miłemu chłopakowi i notorycznemu dziwkarzowi, który pod miłą powierzchownością i pozorami uprzejmości ukrywał serce ze stali. Moje serce było szklane, czasem przezroczyste i szczere, niekiedy lustrzane. Lutz, Paul i sekretarz mogliby się dzięki moim kłamstwom przejrzeć w nim na wylot, lecz przeszkadzała im swego rodzaju

ślepotą. To co ja widziałam, nie dało się jednoznacznie określić. Nie jako dobro, ale nie całkiem jako zło.

Pragnęłam być uczciwa przynajmniej wobec siebie, taka próba wyrównania kłamstw. I postanowiłam zarobić trzy miliony, nie pracując na nie. Chciałam też jeść, gdyż głód jest niezwykle dokuczliwym, nieprzyjemnym uczuciem. Dlatego spakowałam małą walizkę i zamówiłam taksówkę na dworzec. Kiedy już znalazłam się na schodach, usłyszałam, że dzwoni u mnie telefon. Wahałam się przez chwilę, czy nie powinnam zawrócić, ale poszłam dalej. Była to błędna decyzja, o czym jak zawsze, dowiedziałam się, gdy było już za późno.

ROZDZIAŁ 7

Nocny pociąg jechał w kierunku Wenecji. Zostałam nakarmiona, przekupiwszy stumarkowym banknotem władcę pierwszej klasy. Przyniósł z kuchni kanapki i schłodzoną butelkę badeńskiego wina, wskutek czego zbliżyłam się do stanu przenikliwej nietrzeźwości równie kontrastującej z rzeczywistością jak poruszanie się nocnymi pociągami. Jest się wszędzie i nigdzie, można wysiąść gdziekolwiek, bez celu, być może przed Wenecją lub w innej miejscowości, a wszystko się powtarza w bezustannej monotonii, światła i jaskrawe dworce, wysiadający i wsiadający, podróżni bez nazwisk i z ciężkimi bagażami. Moja walizka była lekka, tak nieważka jak moje życie, w którym nie czułam zobowiązań wobec nikogo. Nie da się zupełnie uniknąć nieszczęścia, trzeba po prostu zaprzestać wystawiania szczęścia na próbę, a to, co jest i czego się nie rozumie, chronić przed innymi jako tajemnicę. *Ego* innych panoszące się wokół było podstawą mojej egzystencji. Kiedy ich *ego* stawiałam ponad swoim (co przy dobrych albo złych motywach naprawdę nie stanowiło żadnej sztuki), mogłam sobie pozwolić na to, aby żyć ponad stan. Traktowanie wszystkiego jak przygody było najwygodniejszym sposobem odwrócenia się od zasad moralnych.

Wszystko mogło się zdarzyć: Leonard Cohen w tym pociągu, w tym wagonie, opuszczający swój przedział, aby pójść do toalety. Była tylko jedna i na pewno bym go nie przeoczyła, ponieważ zajęłam składane siedzenie na końcu korytarza, skąd miałam wszystko na oku. Zostałam obsłużona, bo dla pieniędzy mundurowy uczyni prawie wszystko, człowiek z patyną służalczej uprzejmości, ową cieniuteńką warstwą, pod którą jak podejrzewałam, krył się ktoś, kto w każdym reżimie podjąłby się roli oprawcy. To jedyna właściwa metoda klasyfikowania ludzi, których się nie zna i instynktownie odrzuca.

Być może sprawiał to uniform, nieco zatłuszczony, i nogi w jasnobrązowych butach z gumowymi podeszwami, obcisłych i obscenicznych.

Mężczyzna miał małe stopy i duży mięsisty nos, a jego spojrzenia kleiły się do mnie jak przyssawki. To wyobrażenie już w dzieciństwie doprowadzało mnie do paniki – że coś lub ktoś mógłby się w ten sposób do mnie przyssać. Meduzy, ośmiornice, pijawki. Koledzy z klasy wtykali mi chrabąszcze pod pulower i mocno mnie trzymali, aby się napawać moimi katuszami. Pamiętam też pająka w szkolnym tornistrze. Samotnica jest zawsze ulubioną ofiarą

kolektywnego okrucieństwa. W takich warunkach trudno oczekiwać, bym rozwinęła w sobie miłość do zwierząt; wyjątek stanowił koń, kupiony mi przez ojca w Wiedniu, a i to na krótko.

Na pewno istnieją kobiety, które kochają konduktorów wagonów sypialnych, usiłowałam to zrozumieć. Kobiety kochają mężczyzn, aby przewyciężyć strach i zaprzeczyć swej rzekomej bądź faktycznej słabości. Jemu i wszystkim kobietom miałam za złe, że to mogłoby się odnosić również do niego. Wyobraziłam sobie, że gęste owłosienie rąk konduktora rozciąga się na ramiona, piersi i plecy. W tym mężczyźnie nie było żadnej miękkiej linii, żadnego rysu godnego miłości. Czułam wstręt do jego myśli, które być może odnosiły się do mnie. Zapytałam go o pozostałych podróżnych, aby te myśli przerwać. „Są już w krainie snu”, odpowiedział, posługując się specyficznym, wyszukany językiem, który nie pasował do niego tak samo jak cichy, poufaly ton, którego użył.

Nocna postać obsługująca podróżnych pierwszej klasy stała między mną a szansą wytropienia przed toaletą mężczyzny moich daremnych marzeń. Cofnęłam się więc do przedziału, gdzie pozostawał mi wybór: albo wlepić oczy w przeciwległą bardzo bliską ścianę, albo w pozaokienną ciemność przerywaną światłami miast i dworców, które jeszcze nie kusily do wysiadania. Siedziałam na opuszczanym łóżku, paliłam i rozmyślałam nad tym, dlaczego wsiada się do pociągu, będąc głodnym. Klara twierdziła, że utrata spontaniczności to objaw starzenia się. Ona, źródło prawie całej mojej skromnej wiedzy, zdawała się pogrążyć w swego rodzaju drętwość, która prowadziła do wegetacji. Klara postarzała się, ale może byłam w błędzie, może jedynie wstrzymała na chwilę oddech, aby pogrzebać mojego ojca i zacząć wszystko od nowa. Zawsze mówiła z rozmarzeniem o obcych krajach, ale nigdy nie wsiadła do pociągu dalekobieżnego. Wondraschek, wraz z całym swoim egzotycznym życiem, trzymał nas przy sobie, na miejscu. I może dlatego ze wszystkich brechtowskich podróży, w jakie Klara mnie ze sobą zabierała, najsilniejsze wrażenie wywarło na mnie nazwisko Surabaya, w którym musiały się zespolic wszystkie przygody, zbrodnie, namiętności i całe piękno świata. Surabaya.

Ona i Johnny. Mąż oszukuje żonę, prosta historia, takie są wszystkie, ale ja chciałam je odwrócić, przenicować, wyobcować, wymyślić dla siebie na nowo, chociaż nie wiedziałam, kim jestem i dokąd idę.

To była moja pierwsza podróż za granicę, nie licząc Szwajcarii i Austrii, gdzie Wondraschek dawno temu na chwilę się zatrzymał. Miałam przy sobie czek Paula i bardzo dużo pieniędzy z datków emerytowanego sekretarza stanu. Konduktor wagonu sypialnego, który najpierw opróżnił dla mnie kuchnię pokładową, a teraz za odpowiednią gratyfikację przyprowadził do pierwszej klasy pasażera z drugiej (łaskawy pan sam zobaczy, łóżko jest o

wiele wygodniejsze), nie czuł żadnego wstydu z powodu swoich drobnych przekrętów.

Wstyd. Nikt wstydu nie odczuwał, to słowo wyszło z użycia. Paul oszukiwał urząd podatkowy, przedstawiając fałszywe rachunki za naprawy w swoich kamienicach czynszowych. Dentysta inkasował dziesięć procent „prowizji” od laboratoriów, które go zaopatrywały, nazywał to *kickback*, bo po angielsku brzmi bardziej elegancko. Sekretarz stanu zatrudnił domową sprzątaczkę na stanowisku „asystentki naukowej”, dzięki czemu nie musiał odprowadzać za nią podatku, a Lutz korzystał z konta w Zurychu. Gerald dawał łapówki, stosował różne triki i oszukiwał. Wondraschek leżał na łożu śmierci. To wszystko mnie nie rehabilitowało, dawało jednak poczucie, że poruszam się wśród sobie podobnych. Heinrich, ucziwy przegrany, nauczył mnie boksowania. Wiele można się nauczyć od mężczyzn i frycowe już w jakiś sposób zapłaciłam, ale główny rachunek pozostawał jeszcze otwarty.

Monotonny turkot kół wprowadził mnie w dobry nastrój, kiedy więc ktoś zastukał do drzwi, pomyślałam, że on mnie znalazł (mój przedział znajdował się tuż obok toalety, a w ciemnych okularach Cohen mógł źle widzieć), zjawił się jednak konduktor, który zapytał, czy życzę sobie śniadanie. Mówił z austriackim akcentem i spoglądał w taki sposób, jakby nie potrafił się zdecydować, czy uznać mnie za damę czy za luksusową dziwkę – między tymi skrajnościami nie istniała żadna gradacja dla tego Don Juana szlachtuzów, który swój udział w grze wciąż uważał za porywający.

Stał z tacą przy drzwiach i patrzył tak, jakby rozmyślał o uwiedzeniu bądź zgwałceniu, pierwsze uwłaczające, drugie okropne, i to spojrzenie podkusiło mnie do spróbowania nowej gry, trochę bardziej bezwzględnej, do której wydawał się nadzwyczaj odpowiednim partnerem. Naturalnie bałam się. Co więcej, gra nie była warta świeczki. Wyjątkowo jednak nie szło o pieniądze. Może o walkę o własną godność, chociaż w chwili, kiedy rozwijałam taktykę, nie byłam tego świadoma. Takiego przeciwnika bokser sklasyfikowałby jako zawodnika z silnym ciosem, lecz walczącego bez przekonania. Jako kogoś, kto rozdziela kiepskie ciosy, kiedy dostaje szansę. Tylko że nie miałam ochoty dostać się w klinch. Moim zamiarem był szybki nokaut.

Przedziały wagonu sypialnego są wąskie, lecz mimo fizycznej bliskości tego mężczyzny odczuwałam zimno. Ściągnęłam jednak zakiet. Wybałuszył oczy. Dziwne, że nie czuł mojej odrazy. Jeszcze dziwniejsze, że siedziałam w tym pociągu. Zuchwale prowokowałam bezsensowny pojedynek. Matka Wondraschka zmarła w jakimś domu

wariatów, tak na Wschodzie nazywało się to kiedyś, być może również dziś, w takim domu ją zamknięto i tam zmarła, boć cóż miała zrobić? Wondraschek uciekł od swojej przeszłości i za jego przykładem w pewien sposób czyniłam to także ja. Przedziwnymi okrężnymi drogami.

– Nigdy nie jadłam śniadania. Ale może pan przynieść nam dwa koniaki. Chyba że ma pan coś innego do roboty. – powiedziałam.

– Cicha noc – odparł i wyszczerzył zęby. Był to uśmiech zwycięzcy, uważał się widać za człowieka mocnego i mądrego. Ostatecznie tak myślą o sobie wszyscy, prawie wszyscy, nawet włóczędzy w dzielnicy portowej zachowują swój kwant pewności siebie, ponieważ nie oni są winni, lecz okoliczności, piekło to zawsze inni, a czyściec próżności nie zna granic wstydu.

Wrócił do mojego przedziału z butelką remy martin i dwoma kieliszkami. Ze swego prywatnego zapasu, który miał zwyczaj odstępować podróżnym. Alfons, konduktor wagonu sypialnego, sprzedawał też słodczyce, kondomy, karty do gry, broszury porno i przekąski, ponieważ z nędznego uposażenia z trudem mógł wyżyć z pewną rozwódką i dwojgiem dzieci. Jeździł motorem i zbierał broń, którą szmuglował ze Szwajcarii do Niemiec. Świat był zły, Alfons zaś nie lepszy, chociaż płacił podatki, zapewniał rodzinie utrzymanie i do swoich interesików dopuścił kierownika pociągu. Wobec mnie był w porządku, jak kompan, był uczciwym oszustem i tym różniliśmy się od siebie. W moim przedziale na łóżku siedział ktoś, po kim Marks obiecywał sobie humanizację społeczeństwa i emancypację mas, koniec wyzysku i ucisku oraz nadejście społeczeństwa bezklasowego. Tu siedział ktoś, komu Brecht nie dowierzał równie mocno jak sobie samemu. Klara chciała zostać aktorką, bo wydawało się jej, że trzeba Marksa wystawić na scenie, aby ratować absolutne piękno jego tezy.

Ja czułam się aktorką i uważałam, że zawsze trzeba dać z siebie wszystko, nawet gdy gaża jest kiepska, podobnie jak partnerzy i scenografia. Słuchałam więc z zachwytem niezbyt upajających słów Alfonsa, piłam jego koniak i dodatkowo ofiarowywałam jego oczom trochę erotyki wyrażonej mową ciała. Gdy siedział, pod uniformem uwypuklał się jego brzuch. Alfons pocił się, ten szczegół dołączałam do wszystkich druzgocących obserwacji. Rozpiął dwa guziki marynarki i odsłonił podkoszulek – siatkowy, tak jak przypuszczałam. Obawiamy się na ogół tego, czym pogardzamy, to było dla mnie jasne. Alfons ukrywał się w gniazdku uwitym w sobie. Było to nędzne legowisko, on jednak tego nie dostrzegał. W innym czasie, w innym kraju zmasakrowałby mi butem twarz. Zrobiło mi się zimno, aż drżałam, co mój konduktor fałszywie zinterpretował.

Mrugnął do mnie:

– Wiele pań podróżujących bez towarzystwa czuje się samotnie w czasie jazdy

pociągiem. Jestem już od lat na kolei i wiem, co mówię. Ale kogoś takiego jak ty nieczęsto się spotyka.

Zdrówko, Alfons. Kto mógłby być aż tak samotny, żeby się zadawać z kimś takim jak ty?

– Jak daleko jeszcze do następnej stacji?

Mrugnął do mnie znowu. Bładoniebieskie oczy, trudno by je nazwać zwierciadłem duszy. Przeciągnął obrośniętą ręką po tłustych włosach. Potem spojrzął na złotego rolexa, który był oczywiście podróbką. To wszystko pasowało do siebie. Powiedział:

– Czterdzieści jeden minut. Mamy dużo czasu, *milady*.

Jego angielski wystarczał do obsługi podróżnych. Alfons był już w Tajlandii i Kenii i wprowadził *lady* do swego kolejowego słownika. Chociaż, Boże broń, nie ma nic przeciw białej skórze, takiej jak moja. Wręcz przeciwnie. Przysunął się bliżej, klincz wisiał w powietrzu.

– Wobec tego nie powinniśmy tracić czasu – odezwałam się.

Wstałam i zaczęłam odpinać guziki bluzki, powoli, patrzyłam mu przy tym w oczy i oblizywałam językiem wargi, jak drugorzędna uwodzicielka w trzeciorzędnym filmie.

Ręka z rolexem straciła kontrolę i spoczęła na mojej piersi.

– Jesteś po prostu super, dziewczyno.

Język Alfonsa ubożał wraz ze wzrastającą intymnością, aż konduktor wrócił do swoich leksykalnych źródeł. Skoro taka jedna sama rozkłada przed nim nogi, nie musi się już wysilać. Odsunęłam jego rękę. W szybie odbijała się zaczerwieniona twarz z popękkanymi żyłkami na policzkach. Świat przepływał obok, nie troszcząc się o Alfonsa, który chętnie zostałby dyktatorem albo szejkiem w haremie, albo producentem filmów porno.

– Wy, kobiety, potrzebujecie właśnie tego – powiedział z przekonaniem w całej swej głupocie, nie żywiąc cienia wątpliwości. – Twoje zdrowie, Piękności Nocy.

To dobry film, miałam jednak pewność, że go nie widział.

– Twoje zdrowie, Alfons. Przy okazji: nazywam się czarodziejka i biorę pięćset za pół godziny.

Twarz konduktora wagonu sypialnego wykoleiła się na moment.

Mógłby teraz wyjść, lecz tego nie zrobił.

– Wiem, że to dużo, ale robię to bez kondoma i bez ograniczeń. Masz sześć minut, żeby się zastanowić.

Pociąg wjechał w zakręt i Alfons rozlał nieco swego prywatnego koniaku. Nie było trudno zgadnąć, co myśli: a więc jego pierwsza ocena, że jestem luksusową dziwką, okazała

się jednak właściwa. Wszystkie kobiety to dziwki w większym czy mniejszym stopniu. Ale to, że nie uległam gratis jego bezwzględnej męskości, nieco go uraziło. Alfons był amatorem kiepskich dowcipów: – Pięćset marek czy lirów?

– Bardzo zabawne. Masz jeszcze cztery minuty. Inkasuję gotówkę z góry. No pośpiesz się, kobiety takiej jak ja nie dostaniesz codziennie.

Rozpięłam bluzkę do końca i pozwoliłam Alfonsowi gapić się do woli. Kto ma kontrolę nad kapitałem, ustala reguły. To przecież diabelnie proste, tylko większość kobiet nie wie, jak się obchodzić ze swoją władzą. Istotna część Alfonsa już skapitulowała, toteż byłam pewna, że w głowie ma niewiele kontrargumentów.

– Jeszcze dwie minuty, kochany. Naprawdę jestem dobra, możesz mi wierzyć.

Tak twierdził Gerald. On mi wytłumaczył, co mężczyźni uważają za dobre. Dobry seks jest kwestią samozaparcia bądź wycucia chwili, a właśnie to ostatnie pozostawia najwięcej do życzenia.

Alfons stojąc przy drzwiach rozważał, ile musi sprzedać ze swej prywatnej szafki z truciznami, aby opłacić pół godziny ze mną. Żądza kontra skąpstwo i chytry pomysł:

– Rzeczywiście mogę wszystko robić? Zdjęcia też?

On nie popuszczał i ja również.

– Zdjęcia kosztują pięćset marek ekstra. Przecież potem je sprzedasz w swoim supermarkecie na kółkach, nie? Mamy teraz dokładnie trzydzieści minut do Bazylei. Idź po forszę i bierz się do roboty albo daj sobie spokój. I główkuj potem do upojenia nad tym, co straciłeś.

Alfons, spekulant, nie lubił gdybać. Przełknął głośno ślinę. Uwodziciel, który stał się stroną kontraktu, nie miał czasu na rozczarowanie lub wybiegi, ale wysiłki wykraczające ponad zwykłą miarę nie doprowadzały go do szybszego myślenia. – Niech ci będzie. Idę po forszę. A ty się rozbieraj, kurwo.

Słowo na niedzielę. Wyplute przez Alfonsa, który ustawicznie znajdował coś lichszego niż on sam. Wyjęłam z torebki nóż sprężynowy, na wszelki wypadek, i wsunęłam do kieszeni spodni. Gdy usłyszałam kroki, stanęłam przy drzwiach przedziału. Nie wiedziałam, kim jestem, wiedziałam jednak dobrze, co robię.

Dwadzieścia osiem minut do Bazylei. W prawej ręce Alfons niósł polaroid, lewą rozpinął spodnie, jeszcze idąc korytarzem. Wyciągnęłam rękę, wetknął mi zwitek banknotów.

– Ty chciwe ścierwo!... Czemuś się jeszcze nie rozebrała? Grasz na zwłokę?

– Jest tylko dziewięćset. Przeliczyłam pieniądze.

– Więcej tu nie mam. Jazda, wyskakuj z ciuchów.

On spuścił już spodnie do kostek. Miał owłosione nogi i nosił białe nieforemne kalesony, w których było dość miejsca dla jego obecnego cielesnego stanu. Wsunęłam pieniądze do kieszeni i wymacałam nóż.

– Nie zależy mi na stówie. A teraz posłuchaj uważnie. Za dziewięćset, a po potrąceniu napiwku, za osiemset marek, możesz sobie popatrzeć na moje piersi. Więcej nic za to nie dostaniesz. Podciągnij spodnie, bo wyglądasz śmiesznie. I spieprzaj z mojego przedziału.

Opadł mu. Ale reszta Alfonsa nie była skłonna poddać się babskim rozkazom. Po pierwszym szoku zrobił się wściekły, jak tego oczekiwałam.

– Oddaj forszę, głupia dziwko, albo...

Opuszczone spodnie pętały mu nogi, mimo to w ciasnym przedziale podszedł do mnie bardzo blisko. Czułam sprężynowiec w kieszeni i byłam zlodowaciała ze strachu. Wyjęłam nóż, zwolniłam ostrze. Z pięknym trzaskiem. Nienawidziłam noża. Przemocy. Swojego obłędu, winnego tej sytuacji.

– Stój. Ani kroku dalej.

Zatrzymał się, tak jak planowałam, tyle że nie przemyślałam dalszego ciągu. Nie wierzyłam, że mogłabym kogoś pchnąć nożem, ale kto wie? Alfons także tego nie wiedział, bo posłuchał. Czerwony z wściekłości nie pojmował, co mu się przytrafiło.

– Zwariowałaś?!

Też mi nowina. Nie wiem, kim jestem, lecz szaleństwo nie byłoby najgorsze. Ono pozwala przecież wszystko usprawiedliwić, wszystko wybaczyć. Również użycie noża – to było straszne, ostatecznie w ogóle nie znałam tego mężczyzny i nie mogłam patrzeć na krew, także własną. Jak dobrze, że on o tym nie wiedział. Zakołysał się na zakręcie wraz z pociągiem i przytrzymał wieszaka na ubrania. Ze strachu twarz błyszczała mu potem.

– Nie rób głupstw, dziewczyno. Mam dwoje dzieci na utrzymaniu. Ja ci nic nie zrobiłem.

A jednak. Stałam w rozkroku oparta o drzwi, w rozpiętej bluzce, którą w razie czego mogłam jeszcze rozerwać. Rozkoszowałam się tą chwilą władzy. To tutaj było czymś innym niż obrabowanie Paula za pomocą oszustwa i kłamliwych słów. Tutaj był Machiavelli dla kobiet. Uśmiechnęłam się i Alfons zaczął podciągać spodnie.

– Zostaw! – rozkazałam.

Na powrót mu opadły.

– Niczego od ciebie nie chcę, ty głupia dziwko.

Odrobinę przypominał Geralda, był swego rodzaju proletariackim tłustym wydaniem mojego oszusta. Kiedy to zauważyłam, wróciła moja rozkosz. Naprawdę nie cierpiałam tego

mężczyzny, który tak grubiańsko obchodził się i z kobietami, i z językiem, a w dodatku szpetnie wyglądał. Nie cierpiałam go podobnie jak większości nadętych przyjaciół Geralda, którzy swoje szubrawstwo bądź co bądź bardziej elegancko ukrywali, czego biednemu Alfonsowi zarzucić się nie dało. Ja to jednak zrobiłam.

Zinterpretował błędnie moje milczenie.

– Oddaj forszę i zapomnijmy o sprawie.

Krok w fałszywym kierunku.

– Stój albo wybiegnę na korytarz i zacznę krzyczeć. Potrafię bardzo głośno krzyczeć, ludzie się obudzą, wyjdą z przedziałów i zobaczą mnie w rozpiętej bluzce. I ciebie, jak gorączkowo podciągasz spodnie. A co będzie, gdy się zatnie zamek u rozporka? Jak myślisz, komu policja uwierzy, kiedy w Bazylei wsiądziesz do pociągu? Żadnych świadków, tylko ty i ja. Powiem, że przyniosłeś mi do przedziału coś do picia, a potem rzuciłeś się na mnie. Nie ma znaczenia, że udało mi się wyrwać, i tak była to próba gwałtu. Będzie cię to kosztowało co najmniej posadę, jeśli nie więcej.

Gra nie była fair, ale podobała mi się. Konduktora wyraźnie męczyło śledzenie moich słów, chociaż starałam się mówić jak najprościej. Na Alfonsowym wizerunku kobiety pojawiła się brzydka rysa, co do tego nie miałam wątpliwości. Nie wiedział, czy spełnię groźbę, na wszelki wypadek cofnął się o krok w stronę okna. Wściekłość i strach nie dopuszczały żadnej rozsądnej myśli. Alfons został znokautowany. I wiedział o tym.

– Ty szujo!...

Schowałam nóż, popatrzyłam na zegarek.

– Jeszcze dziesięć minut do Bazylei, wkrótce będziesz mógł podciągnąć spodnie. Ale nie ruszaj się, bo wystarczy, że wyskoczę na korytarz i zacznę krzyczeć...

– W porządku. – Położył ostrożnie aparat fotograficzny na łóżku.

Miałam ochotę zrobić mu zdjęcie na pamiątkę, ale uznałam, że lepiej nie posuwać się aż tak daleko. Choć próżne samozadowolenie zniknęło z jego twarzy, nadal był to Alfons – szuja z wagonu sypialnego, z pornosami w szafce oraz ostrymi słowami dla podróżnych z plecakami i biletami drugiej klasy, którzy się zabłąkali do jego wagonu. Robienie z siebie Robin Hooda nie miało sensu, aczkolwiek Klara by temu pewnie przyklasnęła. Jej rozumienie sprawiedliwości było kompletnie absurdalne.

Pociąg zwolnił, zbliżaliśmy się do Bazylei. Poprosiłam grzecznie Alfonsa, aby zamknął moją walizkę i postawił przy drzwiach. Zapięłam bluzkę, włożyłam żakiet; celnicy wędrowali przez wagony. Pozwoliłam konduktorowi podciągnąć spodnie.

Wysiadłam w Bazylei, brzydkim mieście cuchnącym chemią i szwajcarskim smrodem.

W rodzącym się brzasku podróży sprawiali wrażenie niewyspanych i markotnych, toteż moje pogwizdywanie brzmiało prowokująco. Brali mnie chyba za wariatkę, bo nie gwizdże się na szwajcarskich dworcach, a już na pewno nie o bladym świcie. Byłam zmęczona, na wskroś jednak zadowolona i miałam ochotę na filiżankę kawy. Nie zamierzałam pozostać w Szwajcarii, lecz najbliższym pociągiem jechać dalej, do Włoch. Kraj, gdzie korzystanie z pryszniców po godzinie dwudziestej trzeciej jest prawnie zabronione, nie wydawał mi się odpowiednim miejscem pobytu dla Felicitas Wondraschek *alias* księżniczka von Ysenburg.

Ostatnie słowa Alfonsa nie były zbyt uprzejme.

– Dorwę cię jeszcze, ty dziwko – wysyczał w moim kierunku, kiedy już wysiadłszy pomachałam mu przyjaźnie z peronu. Mężczyźni nie umieją przegrywać.

ROZDZIAŁ 8

Dlaczego akurat Wenecja? Gerald nazwał to miasto starą kurwą, więc być może dlatego. A może dlatego, że w Wenecji zmarł Wagner. Kiedy byłam mała, Klara podarowała mi zabawkę, taki na niby aparat fotograficzny, w którym po naciśnięciu guzika ukazywały się obrazki z gondolami i pałacami. Rzeczywistość nie przerosła tamtych fotografii, może za sprawą siniego światła, rozlewającego się nad miastem. Pogoda ani trochę nie była urlopowa – chłodno, powietrze wilgotne i ciężkie. Czułam się zmęczona, a otoczenie jak gdyby dopasowało się do mojego stanu ducha. Zapalenie papierosa na łodzi motorowej okazało się swego rodzaju sztuką i odwróciło moją uwagę od widoków, jakie patrzącemu z wody oferowało miasto nieustannie piękne z daleka. Wszyscy moi znajomi, którzy zwiedzali Wenecję, mówili, że trzeba ją oglądać z perspektywy, omijając to, co jest blisko; bliskość bowiem niweczy wszelką iluzję doskonałości.

Amerykance stojącej obok popiół z mego papierosa osiadał na włosach, przeszkadzając w kontemplowaniu piękna, tak że znienawidziła mnie na chwilę.

– *You shouldn't smoke.*

Nie powinnam palić? Z pewnością. Ale wśród wielu rzeczy, których nie powinnam robić, palenie to bardzo pospolity nałóg. Amerykanka była starą, bogatą niepalącą kobietą, stała obok eleganckiej skórzanej walizki i wyglądała tak, jakby już we wczesnej młodości doświadczyła wszelkich szczęśliwych uczuć i pozostał jej tylko zachwyty nad wspaniałymi ruinami i muskularnymi gondolierami w białych koszulach, zbyt głęboko rozpiętych i odsłaniających złote łańcuchy z krzyżami na czarno owłosionych piersiach. Okazywali rutynową uprzejmość doprawianą odrobiną pogardy, a po angielsku mówili jak mafiosi z amerykańskich filmów. Klisze nanizane na sznur jak perełki – tak przedstawiałam sobie Wenecję. Amerykanka nosiła taki sznur, moje spojrzenie sroki dawno do niego przyłgnęło: niezwykle duże, lśniące perły w dwu rzędach na opalonej, troskliwie wypielęgnowanej szyi osoby z wyższych sfer. Wyobraziłam sobie, że ja kiedyś, oczywiście dużo później, mogłabym wyglądać tak jak ona. Tylko dwa rodzaje starości mnie osobiście wydają się do zniesienia: w chciwym bogactwie albo w dojrzałej mądrości. Większość ludzi niestety tylko się po prostu starzeje. A co do mędrców, to odnoszę wrażenie, że nagromadzona wiedza czyni ich jedynie

smętnymi mistykami lub cynikami.

Emerytowany sekretarz stanu był rozsądny, lecz nie bardzo mądry. Moje zniknięcie pewnie go zaniepokoiło, chyba powinnam do niego zadzwonić i opowiedzieć mu jakąś historyjkę. Na przykład o ucieczce przed wierzycielami – gwoli zachęty do większego pieniężnego wsparcia z jego strony. Sekretarz potrzebował nieco rozrywki w swoim smutnym starczym życiu, a ja potrzebowałam pieniędzy. Życie jest drogie, mój staruszk, skoro je trzeba opłacić śmiercią. Czarna gondola z trumną przecięła nasz wodny szlak, prowadzący naszą łódź przeżegnał się. Czytałam, że weneccjanie nigdy nie używają gondoli, ponieważ na taki wydatek stać tylko turystów. Ale ten jeden, jedyny raz...

Motorowa gondola sterowała ku hotelowi „Cipriani”, przybytkowi, na który zdecydowałam się na dworcu, gdyż tam płynęła najbliższa łódź.

Palazzo, stary i utrzymany w formie dużymi pieniędzmi, jedyny hotel z basenem i ogrodem w centrum Wenecji, drogi, bo za widok na San Marco należało odpowiednio zapłacić. Luksusowe schronienie opłukiwane falami, z przystanią, na której czekali na nas niscy, ubrani na czarno mężczyźni, służący pomocą przy wysiadaniu i odbierający bagaże. Amerykanka rozdawała napiwki, wyczarowując uśmiechy na poważnych twarzach. Fruwały gołębie. Mała czerwona piłka tańczyła na falach kanału. Sternik, nim się odwrócił, przesłał mi całusa. Pachniało kwiatami i morzem, i trochę zgnilizną, jakby zmieszane wszystkie zapachy świata próbowały uniknąć jednoznacznej definicji.

Hol recepcyjny hotelu „Cipriani” był wyłożony boazerią, coś na pograniczu piękna i kiczu. Paula przyprawiłoby to o mdłości, ale u kobiety z perłami wywołało zachwyt. Zakażona wenecką gorączką pozwoliła, by szef recepcji omotał ją ową *grandezzą*, na którą składały się uprzejmość, elegancja i protekcjonalność. Przez chwilę bałam się, że pod moją maską damy rozpozna małą oszustkę z Frankfurtu, lecz nawet jeśli tak się stało, plik niemieckich banknotów (i nonszalancja, z jaką je traktowałam) rozwiął jego wątpliwości.

Studiowałam dokładnie zachowanie kobiety z perłami i naśladowałam naturalność, z jaką objęła w posiadanie to miejsce. Pieniądze nie mają ojczyzny. Amerykanka ani słowem nie zapytała o cenę zarezerwowanego apartamentu, który oczywiście otrzymała. Może już ją знаła, a może była jej obojętna. Zostawiła kartę płatniczą i zapach perfum Chanel. Nie odwróciła się, kiedy szła do windy w butach sportowych, tym amerykańskim obuwiu bez klasy, o którym Wondraschek zawsze wyrażał się z odrazą. Niski mężczyzna – nie zaszczyliła go nawet jednym spojrzeniem – włókł z trudem jej cztery walizy. Klara

powiedziałyby, że on w ciągu miesiąca nie zarobi nawet połowy tego, ile trzeba zapłacić za dobę pobytu w takim apartamencie. Klara kochała bezsensowne porównania, ale sądziłam, że również ona uległaby urokowi Wenecji i tego hotelu z całą jego wątpliwą elegancją. W „Ciprianim”, po wrażeniach dworcowych, było cicho, ba! prawie bezgłośnie. Słyszałam szelest swoich pieniędzy przeliczanych do wymiany przez szefa recepcji. Obiecał mi przepiękny pokój z najlepszym widokiem, więc nie ośmieliłam się tak wielkiej łaski kalać finansowymi pytaniami.

W holu recepcyjnym siedział jakiś mężczyzna i czytał „Herald Tribune”. Nie przerwał lektury, kiedyśmy nadeszli, widziałam tylko nogi w spodniach z ostrymi kantami i gołe stopy bez skarpet we włoskich białych skórzanych butach ze śmiesznymi pomponikami. Gustaw Aschenbach, owa osobliwa figura, przez którą Mann sam posłał się na aut, nigdy by nie nosił takiego obuwia.

„Śmiercią w Wenecji” zanudzał nas nauczyciel niemieckiego w moim ostatnim roku szkolnym. On także był człowiekiem, który dbał o to co znakomite i wiał z tęsknoty za doskonałością. Nicość, do jakiej można było dążyć, okazywała się miejscem, gdzie grube dywany tłumią każdy krok, słowa zaś dobiera się starannie i wypowiada cicho. Boy towarzyszył mi do pokoju, rzeczywiście pięknego, choć małego pomieszczenia z wystawnym umeblowaniem i z widokiem na ogród i lagunę. Przyniesiono herbatę i owoce. Rozdałam napiwki, przypuszczalnie za duże, ale któż się na to poskarży? Weszłam do wanny i paliłam, leżąc w gorącej wodzie; pozostałam w niej tak długo, aż odniosłam wrażenie, że skóra mi się rozpuszcza. Wtedy poszłam do łóżka. Zasnęłam natychmiast i obudziłam się tuż po czwartej rano. Głos w telefonie, bardziej włoski niż angielski, objaśnił mnie, że o tej porze w hotelu nie można nic zjeść, w mieście także nie. Zadzwoiłam do Hamburga, do Klary, ale nikt się nie zgłosił.

„Nie” było słowem tej godziny. Noc już się skończyła, ale rano jeszcze nie nadeszło. Ogrzewania nie włączono, toteż czułam, jak przenika mnie zimno. Nie wiedziałam, dlaczego jestem w Wenecji i jak długo tu pozostanę. I nie miałam pojęcia, co będzie potem. Siedziałam przy oknie otulona kołdrą, paliłam i wpatrywałam się w nicość. Czas nicości minął dopiero o siódmej, kiedy opuściłam pokój, by zjeść jakieś śniadanie. Hotele wczesnym rankiem sprawiają wrażenie zaspanych i pozbawionych dyscypliny, zwłaszcza w Wenecji. Gdy znalazłam się w pokoju śniadaniowym, świecił jeszcze pustkami, siedział w nim tylko mężczyzna z gazetą. Ten z holu. Nosił białe sznurowane buty i przez moment pomyślałam, że to posąg umieszczony tu, aby zaintrygować gości. Może gipsowa postać Hemingwaya. Taki żart dyrekcji.

Usiadłam dwa stoły dalej, a więc w odległości wyrażającej defensywne zainteresowanie, i czekałam na kelnera, który przyczłapał wreszcie, nienawidząc mnie za to, że zakłóciłam mu poranny spokój. Zamówiłam łososia z jajecznicą, chleb, masło, marmoladę, kawę i świeżo wyciskany sok pomarańczowy, a niechęć kelnera wzrastała z każdym moim słowem. Znałam dobrze kelnerów nienawidzących gości, ale ten tutaj skrywał swoją antypatię za mocno zmrożonym uśmiechem, owym grymasem służalczości, zależnym od kategorii lokalu. Gerald nigdy nie zabierał mnie w podróże zagraniczne, ale czasami mieszkaliśmy z nim w niemieckich luksusowych hotelach. Z początku wstrząsnęła mnie wielka uprzejmość personelu, bo przyjmowałam ją jako arogancką bądź przynajmniej niezwykłą. Coś z pozoru doskonałego działa upokarzająco, póki się tego pozoru nie rozpozna. I braku perfekcji, żaden hotel bowiem nie jest doskonały, to zamknięty w sobie świat, który żyje z intruzów. Taki paradoks.

Za orientalnie łukowatymi oknami miasto budziło się do nowego dnia obiecującego ciepło. Z daleka dochodził szcęk naczyń. Posąg opuścił gazetę i powiedział: „Dzień dobry.” Po niemiecku. Niemiec. Mógł być w moim wieku, może nawet młodszy. Wyglądał miło, zgrabnie, beztrąsko, trochę naiwnie. Odkąd opuściłam Geralda, mężczyźni wczesnym rankiem nie zaliczali się do moich nałogów. Ludzie z zasady nie powinni się spotykać przed południem. Skinęłam głową chłodno. Żadnych interesów z młodzieńcami, nawet mieszkającymi w „Ciprianim”.

Wyglądał na rozczarowanego i schował się znowu za gazetą. Tajemnica została wyjawiona i było tak jak zawsze: w zbliżeniu nic nie jest tak podniecające, jak wyobrażenie o nim. Ale śniadanie okazało się smaczne, doskonale podane – moja nadrabiana kolacja. Kiedy poczułam się syta i silna, opuściłam azyl i udałam się na swoje pierwsze i ostatnie zwiedzanie Wenecji, łodzią po szerokich kanałach i pieszo po wąskich uliczkach. Gubiłam się i odnajdywałam drogi jak z labiryntu, lądowałam na placach, podziwiałam *palazzi*, kościoły, mosty i tablice pamiątkowe; na co piątym domu uwieczniono jakieś znaczące nazwisko. Tak wiele sztuki, śmierci i wody zmęczyło moje zmysły i obezwładniło nogi. Wylądowałam na placu Świętego Marka. Wszyscy tam lądują, w tej Wenecji turystów, w kawiarniach z koszmarną obsługą i fantastycznymi cenami, w bazylice, która wyglądała jak na obrazku w moim zabawkowym aparacie fotograficznym, tyle że była większa. Turyści, gołębie, hałas: moja Wenecja utonęła już pierwszego dnia. A ja doszłam do wniosku, że należało pozostać na wodzie, aby uchronić magię. Albo w hotelu z jego cudownym widokiem na San Marco.

I tam pozostałam przez następne pięć dni. Siedziałam w holu lub w ogrodzie, odpowiednio do pogody, czytając albumy i książki o Wenecji. Wystarał mi się o nie portier

hotelowy w jakiejś angielskiej księgarni. Od czasu do czasu podnosiłam wzrok i spoglądałam na plac Świętego Marka. Czułam się wspaniale. Żadnego hałasu i ścisku. Prawie doskonała obsługa bezszelestnie krążących kelnerów. Poznawałam Wenecję, nie ruszając się z miejsca, które mi się podobało. Karel Čapek napisał o bazylice Świętego Marka: „San Marco. To nie jest architektura, to jest orkiestron; szuka się otworu, gdzie należy wrzucić grajcara, ażeby cała maszyna zaczęła grać «O Venezia». Otworu nie znalazłem, wskutek czego orkiestron nie zagrał”.

Z ogrodu hotelu „Cipriani” Wenecja jawiła się jako raj. Inni goście niewiele mi przeszkadzali, ponieważ całymi dniami zwiedzali miasto, nawet kobieta z perłami, która przy kolacji robiła wrażenie wyczerpanej i udawała się wcześniej na spoczynek. W czasie pięciodaniowego obiadu obserwowałam wytworną klientelę, studiowałam jej zachowanie, aby się czymś zająć i czegoś nauczyć. Mężczyzna z gazetą i ja obniżaliśmy znacznie średnią wieku, ekonomia znajdowała odbicie także w demografii; obok dwu samotnie podróżujących dam przeważały małżeństwa, Amerykanie, Anglicy, dwa stoły japońskie.

Japończycy byli za głośni, może wynikało to z ich języka albo zwyczajnie ze złych manier, które nie pasowały do hotelu takiego jak ten, gdzie absolutna cisza stanowi znak firmowy. Pary czy małżeństwa ledwie się odzywały przy posiłkach, jedzono w milczeniu, z opuszczoną głową, ewentualnie rzucając dyskretne spojrzenia. Kelnerów traktowano łaskawie, dopóki funkcjonowali bez zarzutu. Źródłem informacji był sommelier lub starszy kelner, który zachwycająco mówił po angielsku. Zapytał mnie, czy mam kłopoty ze zdrowiem, skoro całe dni spędzam w hotelu. Odpowiedziałam, że Wenecja podoba mi się właśnie z tej perspektywy. Z pewnością uznał mnie za niespełna rozumu, ale powiedział, że jestem równie mądrą jak piękną *signoriną*. Prawda była luksusem i nikt nie mógł sobie na nią pozwolić. Tak była droga.

Po deserze, którym Amerykanka z perłami wzgardziła, mężczyźni pili grappę, panie zaś szampana. W żołądku wymieszały mi się wszystkie potrawy: krab po wenecku, rosół z gołębi, gotowany okoń morski i suflet z pomarańczy. Nie grymasiłam, jadłam. Jadłam wszystko, nie zapominając o dobrych manierach, mój apetyt wzrastał od zera rankiem do stu wieczorem. W spojrzeniu kobiety z perłami zawierało się życzenie, żebym pewnego dnia stała się tłusta jak karykatura włoskiej matrony. Gdy Amerykanka przechodziła obok mego stołu, spoglądała drętwą przed siebie. Istoty bez zmarszczek prowokowały ją, chociaż i ona dobrze się trzymała. Smutek starych kobiet pogłębiał się w scenerii ogólnego rozpadu Wenecji; skąd mogły wiedzieć, że i ja im czegoś zazdrościłam: pewności, którą dają pieniądze. Od portiera wywiedziałam się dyskretnie, że to, co zabrałam konduktorowi

wagonu sypialnego, wystarczy na spędzenie jednej doby w moim małym pokoju – naturalnie bez śniadania. Ale i tak gdy ten sam portier polecił mi pewnego jubilera niedaleko hotelu, nie opierałam się długo pokusie. Srocza namiętność była nieprzewyciężona. Portier był gadatliwym donżuanem po sześćdziesiątce, dumnym ze swojej znajomości angielskiego; potrafił o każdym kamieniu tego miasta opowiedzieć jakąś historię, co robił z przyjemnością i co mnie nigdy nie nudziło.

W drodze do ogrodu – zawsze po kolacji wybierałam się na spacer, by podziwiać światła San Marco – zagadnął mnie mężczyzna, ten zawsze z gazetą. Tym razem jednak bez gazety i w czarnych butach, być może to spowodowało, że zareagowałam łaskawiej niż poprzednio. Zapytał, czy może mi towarzyszyć. Dokładnie, jego słowa brzmiały: „Czy pójdziemy razem popatrzeć na iluminacje?” Nie było to zbyt romantyczne, lecz świadczyło o tym, że albo mnie obserwował, albo zasięgnął informacji u donżuana (który wiedział wszystko o gościach hotelu, poczynając od Toscaniniego poprzez Hemingwaya, a na małżeństwie Silvermanów z Florydy kończąc).

Hansi tokował nieprzerwanie. Jak mogłam tego mężczyznę kiedykolwiek uważać za stoika?... Trzeba by mu wcisnąć do ręki gazetę, pomyślałam, gdy staliśmy przy murze. Już wiedziałam, że ma dwadzieścia dziewięć lat, jest sławnym piłkarzem sławnej monachijskiej drużyny, opuszczonym przez wieloletnią przyjaciółkę. W Wenecji leczy złamane serce i kontuzję kręgosłupa po meczu międzypaństwowym, który drużyna narodowa wygrała dwa do jednego. Prowadzi tutaj poufne rozmowy z jednym ze znakomitych włoskich klubów. Uważa hotel za śmiertelnie nudny. Nienawidzi ryb i tęskni za soczystym stekiem z przysmażanymi kartoflami. I za monachijskim piwem. Proponują mu majątek za przejście do włoskiej drużyny, lecz nie jest pewien, czy powinien przyjąć tę propozycję.

– Co pan rozumie przez majątek?

– Kilka milionów.

– Ach tak. – Po raz pierwszy spojrzałam na niego z uwagą. Nie był do końca w moim guście, ale całkiem przystojny. Muskularny. Dwudniowy zarost podkreślał jego męskość. Jednakże pewne prostactwo rysów szpeciło jego twarz. Szary jedwabny garnitur był zbyt jasny i zbyt modny, do tego Hansi nosił sygnety na krótkim grubym palcu. „Mężczyznom z sygnetami nie należy ufać”, mówił zawsze Wondraschek; aż dziw, że mój ojciec nie nosił żadnego.

– Mówi pani, że mnie nie rozpoznała? Powiedziałem przecież „dzień dobry” po niemiecku.

Mały chłopiec z irytującą pewnością siebie.

– Rano nie rozpoznaję nikogo. Poza tym nie interesuje mnie piłka nożna. Lubię boks.

– To osobliwe.

Wszystko, czego Hansi nie rozumiał, było osobliwe, czyli właściwie całe życie oprócz przestrzeni między dwiema bramkami. Zaprosił mnie na szampana do baru hotelowego, gdzie siedziały jedynie dwie milczące pary małżeńskie. Piłkarz nudził się w Wenecji, mieście bez piłkarskich stadionów, restauracyjnych ogródków z piwem i szerokich ulic, po których można by jeździć ferrari. Pił szampana jak piwo i mówił za głośno. Ufny jak dziecko, któremu nigdy nie opowiadano o złych ciotkach. Rozpromienił się ze szczęścia, gdy pomocnik barmana poprosił go o autograf. Potem zwrócił się do mnie: „Proszę mi mówić Hansi, tak mnie nazywają przyjaciele”. Następnie opowiedział mi o swym ostatnim meczu międzypaństwowym, o tym, któremu zawdzięczał kontuzję, i o bramce, którą by strzelił, gdyby go prawoskrzydłowy nie sfaulował. Piłka nożna jest grą trybu warunkowego, niebezpiecznym, powodującym urazy sportem, gdzie biega się przede wszystkim za dużymi pieniędzmi, a potem dopiero za piłką. Hansiemu jednak szło o kibiców, gdyż pieniądze nie znaczyły dla niego prawie nic, ważne były tylko zabawki, jakie za nie mógł kupić – dom z basenem w Grunwaldzie, ferrari, kobiety.

Zasadniczo lubił blondynki z porcelanowoniebieskimi oczami. Tak powiedział. A ja, prawdę mówiąc, miałam ochotę go opuścić, lecz zostałam i opowiedziałam mu historię tak fantastyczną, że musiał w nią po prostu uwierzyć. Felicitas Wondraschek *alias* księżniczka von Ysenburg przyjechała do Wenecji *incognito*. To mu się spodobało, będzie co opowiadać kolegom, gdy wróci do Monachium: Hansi i księżniczka w barze hotelu „Cipriani”. Piliśmy dobry szampan, a pomocnik barmana pociągał ukradkiem grappę. Księżniczka wyjechała w pośpiechu, ponieważ chciano ją wydać za mąż za kuzyna trzeciego stopnia. To było romantyczne i smutne, takie przykrości nie zdarzają się w kręgach piłkarskich. Felicitas księżniczka von Ysenburg mieszka wprawdzie odpowiednio do stanu, grozi jej jednak plajta, gdyż jaśnie oświecony ojciec zakręcił kurek z pieniędzmi. Hansi uznał moją szczerą za odurzającą.

– Uciekająca księżniczka, o czymś takim czyta się tylko w gazetach – powiedział.

– Ten kuzyn trzeciego stopnia jest poniekąd homoseksualny, rozumiesz. Prędzej rzucę się do kanału, niż zawrę takie zaaranżowane małżeństwo. O klasztorze też już myślałam.

Rzucicie im księżniczkę, a złapią ją, nie troszcząc się o rozsądek. Piłkarz był pod wielkim wrażeniem.

– Karolina odwiodła mnie od tej myśli. Rozmawialiśmy dziś telefonicznie.

– Ta Karolina?

– Znam tylko jedną.

Kłamstwo to najprostsza rzecz na świecie. O ileż bardziej skomplikowana, brzydsza i zwyklesza okazałaby się prawda, gdybym zechciała opowiedzieć mu o niej w tym barze, którego kosztowna samotność nie uwzględniała ludzi takich jak ja, jeśli nie byli pomysłowi. Hansi spoglądał teraz na mnie bez mała z czcią, chociaż nie byłam w jego typie, lubił przecież u kobiet ów piękny kolor blond. Seks jako baza oszukańczego zamysłu nie obiecywał sukcesu. Dlatego dodałam historię o niewielkim *palazzo* w Calle de l'Ogio, który mi ciotka zostawiła w spadku. O tym domu opowiedział mi portier: zrujnowany budynek, pusty, można się było do niego dostać, jeśli się wiedziało, że klucz jest w pysku kamiennego lwa przed wejściem do ogrodu. Tajna wskazówka, jedna z owych weneckich ciekawostek serwowanych cudzoziemcom, aby ich odciągnąć od placu Świętego Marka.

– Chciałam to sobie jutro obejrzeć. Może zrobię tam galerię albo dom dla wyjątkowych gości, dla ludzi takich jak ty na przykład. Ciotka zamieszkiwała *palazzo* zawsze latem i urządziła tam oszałamiające przyjęcia. Bywał u niej Franz Werfel, no i naturalnie Peggy Guggenheim. Hemingway również kiedyś u niej gościł, ale ciotka uznała go za bardzo zwyczajnego.

Nazwisko Hemingwaya wydało mu się znane, a ja zaczęłam stwarzać swoją ciotkę, ekscentryczną starą damę, którą ochrzciłam Merula. Kochała Wenecję i młodych malarzy i swój nie tak znów nieznaczny majątek inwestowała w tych, których artystyczna potencja dorównywała ich cielesnym zdolnościom. Hansi słuchał o dekadencji szlachty niezdolnej wydać na świat zdrowego piłkarza, gdy tymczasem ja zakochałam się w Meruli kupującej za pieniądze młodość i piękno, bez złudzeń i bez żalu. Niestety ciotka zmarła tragicznie w Wenecji, utopiła się, gdy pewnej karnawałowej nocy wypadła z gondoli, co w ogólnym zamęcie dostrzeżono nie dość szybko, aby ją jeszcze żywą wyciągnąć z kanału. Merula nie wołała o pomoc, bo uznała to za niestosowne wobec swawolnego nastroju, a ciężka rokokowa suknia przeszkadzała jej w pływaniu. Podniosłam kieliszek za pamięć ciotki Meruli, która zapisała mi w spadku *palazzo*, niestety wymagający renowacji.

– Powinnam ze względu na przeszłość ciotki urządzić w nim galerię, nie sądzisz? – rzuciłam przynętę.

Piłkarz towarzyszył mi następnego dnia do Calle de l'Ogio. Kiedy wetknęłam rękę w paszczę lwa, wstrzymałam oddech i pomodliłam się do patrona złodziei. Hansi miał już za sobą rozmowę z menedżerem tajemniczego klubu piłkarskiego. Zaoferowano mu milion franków szwajcarskich za przejście pod włoskie barwy, niezależnie od pozostającej do negocjacji ceny wykupu. Mój towarzysz był w nastroju milionera, gdyśmy otworzyli

zardzewiała bramę ogrodu i szli drogą o niebezpiecznie chwiejących się kostkach bruku w stronę domu, który jak schorowany łabędź białął w popołudniowym słońcu – niesamowita biel i wyblakłe mozaikowe kamienie krużganku. Pachniało mchem obrastającym dolną część budynku. W małym ogrodzie znajdowała się fontanna, dawno wyschnięta, jej kamienne anioły spoglądały ze zdziwieniem w niebo. Schody, prowadzące na taras w kierunku tylnego wejścia do niegdysiejszego *palazzo*, służyły za toaletę wszystkim gołębiom Wenecji. Hansi postukał w mur.

– Solidnie zbudowany. Odnowienie tego będzie kosztować majątek.

A czego mogłam oczekiwać? Pusto stojącego domu w Wenecji, który zaprasza do zamieszkania? Usiadłam na niezapaskudzonym przez gołębie kawałku schodów, żałując ciotki Meruli i zrujnowanego romantycznego *palazzo*, który mi zostawiła w spadku.

Hansi objął mnie swoim piłkarskim ramieniem.

– Podziel ten kłopot na połowę, Felicitas. Doprowadzimy wszystko do ładu.

– My?

– Oczywiście, puścimy w ruch interes i otworzysz galerię. Będę twoim wspólnikiem.

To lubię w piłkarzach – są ludźmi czynu. Rzuć im piłkę pod nogi, a strzelą w to, co uznają za bramkę.

Popatrzyłam na jego miłą, ufną twarz.

– Jeśli mi obiecasz, że nigdy nie przyjdiesz do galerii w niebieskich, czerwono-brunatnych lub białych butach. – Tego dnia włożył jasnoniebieskie mokasyny do dzinsów i żółtej marynarki. Włosi ubierają się bardziej niekonwencjonalnie niż Niemcy, lecz niezwykle rzadko zdradzają zły gust. Spróbowałam zahipnotyzować gołębia, aby zamiast schodów wybrał żółtą marynarkę. Mężczyzna z moich finansowych snów był obrażony; jego *ego*, nadęte jak balon, nie znosiło nawet najmniejszych docinków. Oświadczył, że buty kosztowały ponad tysiąc marek i z pewnością są piękniejsze niż tak zwany *palazzo*, czyli kupa gołębiego gówna.

Powiedziałam mu, że jego język jest tak samo wulgarny jak jego niebieskie buty, i przez chwilę wyglądało na to, że piłkarz utopił w kanale swój kolorowy sen o księżniczce i galerii. Szurał złotą strzelecką nogą po niewinnej mozaikowej posadzce, a ja przeklinałam swój obuwniczy bzik. Tymczasem zaczęło padać, najpierw kroplami, a potem lunęło, więc pobiegliśmy do drzwi. Naturalnie były zamknięte, nie miałam do nich klucza, bo i skąd?

– Dlaczego nie możemy wejść do środka? – Hansi szarpał drewnianymi drzwiami, łaknącymi świeżej farby.

– Ponieważ pewien idiota z zarządu miasta nie wydał mi kluczy. Moje papiery są

rzekomo niekompletne, ale między wierszami dał mi do zrozumienia, że milion lirów otwiera każde drzwi. Włącznie z zezwoleniem na renowację historycznej budowli. To miasto zżera korupcja, nie wiedziałeś o tym?

Hansi przeliczył.

– To jest sto tysięcy marek.

– Zgadza się. A ja ich nie mam. Więc nie dostanę klucza. *Capito?*

Zostawił wreszcie drzwi w spokoju i próbował przez szpary zamkniętych okiennic zajrzeć do środka.

– Nim pójdziemy do notariusza i podpiszemy umowę, chętnie bym zobaczył tę rudę od wewnątrz.

Zmarzłam i byłam głodna. Nie miałam ochoty na jakąś typowo wenecką restaurację i matronę w fartuchu, która poniekąd jak każe zwyczaj, ciągnie turystów do stołu. Jeśli już, to bar „U Harry’ego”, gdzie aroganccy kelnerzy mówią po angielsku, natomiast Amerykanie po włosku. I tam zaprosiłam Hansiego. Pędziliśmy w deszczu, zabłądziliśmy i dotarli na miejsce całkowicie przemoknięci. Nigdy nie chciałabym mieszkać w mieście, w którym nie można przywołać taksówki, kiedy pada deszcz, a łódź odpływa zawsze wtedy, gdy się przybywa na nadbrzeże. W barze, nareszcie suchym miejscu, zwierzyłam się piłkarzowi, że chcę zapomnieć o Wenecji.

– Sprzedam *palazzo* i za te pieniądze otworzę pizzerię w Monachium.

– Nie, tego nie zrobisz. – Uważał pizzerię za nieodpowiednią do mojego stanu.

Studiowałam jadłospis. Trudno się opanować, gdy jest się głodnym, więc jak zawsze zamówiłam za dużo, trzeba bowiem wszystkiego mieć za dużo, aby być wybrednym. Kelnerzy lustrowali marynarkę mego towarzysza z pogardą, póki jeden nie rozpoznał piłkarza i w barze „U Harry’ego” zostaliśmy obsłużeni jak królowie. Hansi potrzebował tego, był śmiertelnie nieszczęśliwy, gdy nikt do niego nie zagadnął, nikt go nie poznał. I potrzebował czegoś, aby zaimponować swoim kumplom: księżniczki z galerią w Wenecji. Dlatego nakłaniał mnie podczas posiłku, abym przyjęła od niego sto tysięcy jako zaliczkę na naszą przyszłą galerię. Naturalnie za rewersem.

Ociągałam się chwilę, ponieważ bawiło mnie trzepotanie się tłustej ryby na haczyku. Jedzenie było dobre, jeśli nie wyśmienite. Klientela odpowiadała jego jakości i cenom. Na zakończenie podano grappę na koszt firmy, złotą z dębowej beczki. Hansi wykrzywił twarz z obrzydzeniem, lubił tylko piwo i szampan.

– No to jak będzie, księżniczko?

Piłkarz jadł jak chrząkająca świnia. Nie miał żadnych manier i żadnego gustu. Ale miał

to, czego mnie brakowało.

– No więc zgoda. Ale lubię oddzielać sprawy prywatne od interesów. Żadnego seksu, jasne?

Hansi roześmiał się. Śmiał się zbyt głośno, wybitnej osobistości wolno jednak narzucać swój styl.

– Żadnych butów, żadnego seksu. Z ciebie naprawdę dobry numer, księżniczko. Ale bez obawy, i tak nie jesteś w moim typie. Szczerze mówiąc, przy tobie by mi nie stanął.

– Rozumiem. – Prawie się obraziłam. – Ale dlaczego nie?

Mrugnął do jakiejś blond Amerykanki, której towarzysz o twarzy mumii siedział w kowbojskim kapeluszu. Była to piękność z gatunku Barbie, podobnie jak kobieta, która mi ukradła Leonarda Cohena. Zawsze będę się czuła słabsza od wysokich szczupłych blondynek. I nie cierpię mężczyzn, którzy uważają, że kobiety zasługują na ich szczerłość. Hansi nie odpowiedział na pytanie, lecz zapewnił mnie, że postara się o pieniądze następnego dnia, ponieważ bez wątpienia będę potrzebowała gotówki, już on zna się na łapówkach. Był teraz trochę protekcyjny i flirtował z Barbie, podczas gdy mówiliśmy o procentach i udziałach, wyborze notariusza, renowacji i terminie otwarcia galerii. Sprawy artystyczne pozostawił mnie, sam będzie się troszczył o kwestie finansowe. Piłkarz był romantyczną duszyczką ze zmysłem do interesów. Miałam jednak pewność, że przeboleje sto tysięcy, jeśli alternatywą stanie się jego publiczna kompromitacja jako weneckiego głupca.

Nim opuściliśmy bar „U Harry’ego”, Hansi porozdawał autografy. Przestało padać, dopiero gdyśmy wrócili do hotelu. Portier wręczył piłkarzowi „Herald Tribune”, której Hansi, ledwie władający angielskim, nie był w stanie czytać. Ponieważ wszakże nie znosił samotności i anonimowości, skoro się tylko przebrał, usiadł z gazetą w holu. Później jedliśmy razem kolację i omawiali dalsze szczegóły naszych stosunków handlowych. Obsługujący kelnerzy poruszali się bezszmerowo. Hansi sądził, że „Śmierć w Wenecji” to kryminał Patricii Highsmith, czytał czasami kryminały na obozie treningowym, ale nigdy nie były aż tak fascynujące, aby go odciągać od tego co istotne. Tak powiedział. A co było istotne? Piłka. Bramka. Zwycięstwo. Świat to prosta budowla składająca się z zasłużonych zwycięstw i niezasłużonych porażek, przeciwników grających nie fair i sadystycznych trenerów. Świat jest okrągły. Hansi opowiadał mi o kolegach z klubu, o grach i kontuzjach, gdy ja tymczasem patrzyłam przez okno na światła San Marco i życzyłam sobie, żeby piłkarz znalazł się na Księżycu. Kobieta z perłami nosiła dziś złoty łańcuch, który chętnie zerwałabym jej z szyi. Moje sroczce myśli oddaliły się już od piłkarza, jego paplanina o jakimś uroczystym otwarciu czegoś tam z udziałem międzynarodowej prasy napępiała mnie skrywanym śmiechem. Hansi

zwracał się do mnie „księżniczko” i jakby delektował się tym słowem. On i księżniczka we własnej galerii w Wenecji, świat jest okrągły. Dobranoc, współniku.

Wróciłam wcześniej do pokoju i wybrałam numer Klary. Zapomniałam o niej, po prostu zapomniałam w ostatnich dniach o Klarze i jej głos przywrócił mnie do rzeczywistości, którą przelotnie przesłoniła Wenecja.

– Wondraschek. – Głos Klary w telefonie brzmiał zawsze tak, jakby jej w czymś przeszkadzono i dlatego zmuszona jest trzaskać nazwiskiem jak ogniem karabinu maszynowego.

– To ja, czarodziejka. Dzwonię z Wenecji.

– Czy w Wenecji pada? Dobrze ci się wiedzie?

– Tak – odparłam, a Klara oznajmiła, że od wielu dni próbuje mnie złapać we Frankfurcie. – Wondraschek umarł.. twój ojciec nie żyje. To chciałam ci przekazać.

Brzmiało to obojętnie, nie inaczej niż pytanie, czy w Wenecji pada. Niekiedy, tak jak w tej chwili, uważałam ten bezpośredni sposób komunikowania się Klary za niestosowny.

– No... to nie wiedzie mi się już dobrze.

– Zasnął, czarodziejko. „Łagodna śmierć” wedle słów więziennego duszpasterza. Pojutrze pogrzeb. Jeśli w Wenecji wiedzie ci się dobrze, powinnaś zostać.

Nie wierzyłam, że można dzielić smutek, a Klara absolutnie nie nadawała się do wspólnego przeżywania uczuć. Powiedziałam jej jednak, że oczywiście przyjadę na pogrzeb ojca.

– Jest mi tak przykro, Klaro. Powinnam się wcześniej odezwać.

– Śmiał się, gdy umierał. Brzmiało to troszkę chrapliwie, ale bez wątplenia był to śmiech. Klecha uznał to za niestosowne.

– Kocham cię, Klaro.

– Ja jego także kochałam. I tyle z tego mam.

Rozłączyła się. Uważała, że przez telefon nie należy się wywnętrzać i w tym wypadku miała rację. Pokój w Wenecji był dobrym, tragicznym miejscem do smucenia się. Następnego dnia, po otrzymaniu pieniędzy i wystawieniu piłkarzowi rewersu, kazałam się zawieźć na lotnisko. Hansiemu zostawiłam list, w którym tłumaczyłam swój nagły wyjazd śmiercią w rodzinie. Skontaktuję się z nim, skoro tylko wrócę do Wenecji. Przekazałam list portierowi, uregulowawszy rachunek, który opiewał na wysoką sumę. Moje skłonności miały swoje granice. Donżuan udawał żal i wyraził przekonanie, że wrócę.

– Nie tak prędko – odparłam.

ROZDZIAŁ 9

Pięć osób uczestniczyło w pogrzebie, włączając nieboszczyka. To niewiele, jeśli wartość życia mierzy się liczbą wieńców i żałobnych gości. Życiorys ojca z trudem dawał podstawę do szumnego odejścia przed wielką publicznością. Dwaj pracownicy komunalni opuścili trumnę do grobu, który wykopano dla Wondraschka. „A niech to szlag...” powiedział jeden z nich, gdy skrzynia niezbyt łagodnie zderzyła się z ziemią. Popatrzył na nas przepaszająco, ale był to właściwy zwrot pasujący do sytuacji. Tam leżał ktoś, kto już niczego nie mógł zakwestionować. Obaj grabarze przypominali mi pakowaczy mebli, którzy do nas przychodzili i odchodzili, cuchnęli potem, pili piwo z butelek i gapili się na Klarę, gdy kokietowała ich nogami lub biustem. Lubili ojca, ponieważ nie skąpił napiwków. Przez moment wyobraziłam sobie, jak otwiera się wieko trumny i Wondraschek rozdaje banknoty ze słowami: „Sprawcie sobie frajdę, chłopcy”. Nigdy jednak nie wierzyłam w zmartwychwstanie.

Klara w białym kostiumie nuciła „Międzynarodówkę”. Krótko ostrzyżone włosy ufarbowała na czarno, a swą czterdziestopięcioletnią twarz skryła za ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi. Tego dnia miała urodziny, ale jak można składać życzenia w takich okolicznościach? Była nieprzystępna, posąg smutku i bólu, mimo to nie płakała, lecz recytowała wiersz o krawcu z Ulm, który z dachu kościoła poleciał w śmierć. *Nigdy nie będzie latał człowiek, to rzucił biskup w ludzkie mrowie.* Klara mówiła donośnie swym szorstkim brechtowskim głosem i grabarze uznali ją zapewne za wielce ekscentryczną damę, wygłaszającą dziwną mowę nad grobem. Tam, gdzie się w końcu ląduje, każdy wysoki lot jest tylko przemijającym snem. Grób wyglądał wilgotno i zimno, a ja miałam dreszcze. Płakałam, bo przecież ktoś musiał płakać za Wondraschkiem, za wszystkim, co mieliśmy wspólne i co nas dzieliło.

Rzuciłyśmy do grobu wiązanki róż. Kiedy grabarze zasypali ziemią trumnę i kwiaty, odwróciłyśmy się, a Klara powiedziała:

– W pewien sposób on jednak poleciał. Przynajmniej spróbował.

Zjadłyśmy w hotelu „Cztery Pory Roku”, gdzie się zatrzymałam. Była to stypa i zarazem obiad urodzinowy. Przy sąsiednim stoliku świętowano chrzciny. Klara nosiła wciąż

te śmieszne okulary z ciemnymi szklami i pewnie wywoływała u kelnerów wrażenie wybitnej osobistości, która nie chce być rozpoznana. Klara *incognito* piła fińską wódkę z lodem i cytryną i zamówiła kawior imperial z ubitym na pianę purée ziemniaczanym.

– Wzięłam najtańszą trumnę, możemy więc sobie pozwolić na drogie dania. W czarnym ci nie do twarzy, Felicitas. Chiński kolor żałoby bardziej pasuje do tego dnia, nie sądzisz?

– Mogłabyś zdjąć te okulary? Irytują mnie.

Klara uśmiechnęła się i zdjęła okulary.

– Włóż je z powrotem. Jak to się stało?

Lewe oko, prawie całkowicie zapuchnięte, połyskiwało w sinoczerwonej otoczce. Prawe, starannie umalowane, z niebieskim cieniem na powiece, osiągnęło podobną tonację. Była to jednak nieporadna próba zachowania normalnego wyglądu. Klara, teraz znów w okularach, opróżniła kieliszek i wzięła z mojej paczki papierosa, na co natychmiast pojawił się kelner i podał jej ogień. Zamówiła jeszcze podwójną wódkę.

– W metrze. Przedwczoraj. W drodze do domu, po przedstawieniu – zaczęła opowiadać. – Naprawdę wspinała inscenizacja „Juliusza Cezara”, ale jeszcze nigdy nie udało mi się zobaczyć początku, bo muszę się przede wszystkim rozliczyć, nie mogę zdążyć i to jest przykre. Płacą mi jednak nie za to, żebym oglądała przedstawienia. Biednym nie trzeba kultury, Felicitas. Biedni potrzebują czapki niewidki.

– Wyglądasz jak bokser po walce.

Trzej smarkacze, którzy wsiedli do wagonu, pijani albo naćpani, groźni, bo w grupie, upatrzyli sobie Klarę, ponieważ siedziała sama, z dala od niewielu pasażerów udających, że nie widzą, co się dzieje. Wyrostki zaatakowały Klarę, najpierw słownie, potem pozornie lekkimi szturchnięciami; to było jak zabawa, powiedziała Klara, zabawa z jej strachem, bez żadnych reguł, w końcu jeden z nich zażądał pieniędzy, a ona ociągała się z sięgnięciem do torebki.

– Może nie powinnam była mówić, żeby zostawili w spokoju ludzi takich jak ja, a zamiast tego obrabowali bank – powiedziała rozgoryczona. – Im nie chodziło o rozmowę, rozumiesz? Poniosła ich wściekłość. Któryś szarpnął torebkę, a ja nie chciałam jej wypuścić, więc przyłożył mi. Myślę, że nie miał zamiaru uderzyć tak mocno, bo wydawał się potem dość przestraszony, o ile mogłam jeszcze coś zobaczyć. Zabolało i zaczęłam krzyczeć, ci gówniarze przestraszyli się i wysiedli na najbliższej stacji. Coś takiego zdarza się nocą, kiedy przegrani są w drodze. Mam nadzieję, że ty nigdy nie jeździsz metrem?

– Z trzema milionami długów na karku? Oszalałaś?

Klara roześmiała się, chociaż musiało ją to zabołec. Jej śmiech był głośny i niestosowny w tej restauracji, lecz kobiecie, co zamówiła najdroższy kawior, wybaczone z wyrozumiałym uśmiechem. W czasie obiadu nie mówiliśmy o ojcu. Opowiadałam Klarze o swoich mężczyznach, a ona o spektaklach w swoim teatrze i o kulturalnie zubożonej klasie mieszczańskiej, którą pogardzała. Brechtowski teatr jako część aktywnego życia, jako duchowa jedność sceny o publiczności, był utopią. Rzeczywistość to publika, która pozwala się zraszać słowami i w finale spektaklu uprzejmie klaszcze. W Hamburgu, powiedziała Klara, ludzie klaszczą koniuszkami palców.

Przy deserze wspomniała mimochodem, że zawiadomiła pierwszą panią Wondraschek o miejscu i czasie pogrzebu.

– Wydawała się niezbyt zainteresowana i ostatecznie się nie zjawiała. – Klara wzięła do ust poziomkę i popiła wódką.

Nie do wiary, żeby aktorce tak brakowało dramatyzmu chwili. Czy Klarą mogło coś kiedykolwiek wstrząsnąć? Może wiadomość o końcu świata? Grzebałam łyżką w suflecie i popryskalam sobie czarny kostium, najwłaściwszy jednak dla żałoby.

– Mówisz o mojej matce? O Beatrix?

– Ma teraz na imię Bea i wróciła do panińskiego nazwiska. Mieszka w Londynie w wynajętym pokoju w Paddington. Pracuje w knajpie, śpiewa przy akompaniamencie gitary. Taka mieszkanka kelnerki i artystki estradowej. Nic poważnego.

Nic poważnego: typowa uwaga Klary. Jej poglądy na powagę świata były wolne od wszelkiego obiektywizmu. Nie Brecht, lecz Proust: jest wyłącznie kwestią zapatrywania, co jest prawdziwe, a co nie, i dopiero arbitralne założenie, decyzja bądź działanie wytwarza ową prawdę, w której się człowiek odtąd porusza.

Ja poruszałam się w przeszłości, z której ojciec i Klara troskliwie mnie wyłączyli.

– Od dawna wiesz, gdzie ona jest i co robi?

Klara jadła poziomki wręcz zmysłowo. Wsuwała owoc nieskończenie powoli do ust, wciągając przy tym policzki, i wsysała jego końcówkę. W NRD Klarze brakowało poziomek – między innymi. Rozmyślała nad moim pytaniem, jakby dzień i godzina miały jakieś znaczenie dla odpowiedzi.

– Po odejściu Beatrix, jak Wondraschek znowu zaczął robić interesy, zaangażował prywatnych detektywów. Bardzo szybko ją znaleźli. Jakiś czas podróżowała po świecie ze swym muzykiem, potem zażądała rozwodu i otrzymała go, muzyk bowiem porzucił ją dla młodszej. Pewnego dnia Bea wynajęła kwatery w Londynie. Od tego czasu żyje tam i jako tako jej się powodzi. Twój ojciec parę razy proponował jej pieniądze, ale nie chciała jego

oszukańczej mamony, jak ją nazywała. Lubiła jednoznaczne sytuacje, jak to drobnomieszczanka.

Nie wiedziałam, co Klara miała na myśli. W ogóle nie bardzo rozumiałam, jaki przyświeca jej cel, by tego dnia wyczarować Beatrix z kapelusza i wprowadzić w zakłopotanie publiczność.

Kelnerzy krążyli wokół nas, pytając, czy podać kawę lub ciasteczka, co po wódce wypitej przez Klarę było lekką przesadą. Kazała sobie przynieść hawańskie cygaro (dobry komuniści palą grube cygara) i otuliła mnie dymem.

– Czy wiesz, że w fabrykach cygar w Hawanie zatrudniają lektorów? Czytają wiadomości z gazet, powieści, wiersze... Wiktor Hugo bardzo długo był najulubieńszym pisarzem romantycznych zwijaczy i sortowaczy liści. Robotnicy sami ustalają, co ma być czytane. Naturalnie Castro wykorzystuje także lektorów jako instrument swojej propagandy. Być może dlatego spadła jakoś. Jak myślisz?

Uważałam, że Klara bywa nieczułym monstrum.

– Czyli on, a raczej wy, przez cały czas mieliście kontakt z moją matką, podczas gdy ja wierzyłam, że zaginęła. Czasem myślałam, że umarła. Jak mogliście mi to zrobić? To nie fair. To tak samo kłamliwe jak wszystko inne, coście z ojcem wyprawiali.

Dygotałam z wściekłości, co wobec opanowania Klary było błędnym zachowaniem. I jak na ten lokal mówiłam za głośno.

Twarz Klary składała się z okularów przeciwsłonecznych i dymu.

– On ją kochał, dlatego próbował utrzymywać kontakt. Niektórzy ludzie potrzebują tego: wielkiej, niespełnionej miłości. Odrobiny dobra, które ci sprawia ból i przypomina o tym, jak banalne lub złe jest wszystko inne. Ja to pojmowałam, jak możesz się domyślać. Ty, Felicitas, pozostawałaś poza tym trójkątem, musisz to zrozumieć. No i ona nigdy się tobą nie interesowała. Mogła w każdej chwili nawiązać kontakt, gdyby chciała. Ale nie chciała.

– Dlaczego? – spytało zranione dziecko.

– Nie wszystkie matki kochają swoje dzieci, tak już jest. Beatrix... cóż za okropne imię!... od miłości przez narkotyki po religię wypróbowała wszystko, co mogło ją uszczęśliwić, a macierzyństwo do tego się niestety nie zaliczało. Wondraschek miał zawsze informacje o wydeptanych przez nią ścieżkach. Był jej cieniem i ona nienawidziła go za to. Zwariował na jej punkcie. Pewnie nigdy nie przyszło ci to do głowy?

– Miałam raczej zasrane dzieciństwo, Claire.

Klara roześmiała się.

– Chyba wszyscyśmy takie mieli. Takie lub podobne. Na przykład wkład mojej matki

do wolności i braterstwa polegał na tym, że co drugi wieczór sprowadzała do mieszkania jakiegoś faceta. Do dwupokojowego mieszkania w budownictwie płytowym! Socjalistyczne noce to była dla mnie prawdziwa rozkosz. Kiedy sama zaczęłam, miałam piętnaście lat i co czułam? Nic. Słyszałam tylko hałasy! Robiłam to i przysłuchiwałam się sobie. Moje ucho było jedynym organem zmysłów, który funkcjonował. Później kazałam włączać magnetofon i dopiero kiedy po wszystkim przesłuchiwałam taśmę, robiło mi się lepiej.

– Przykro mi.

Klara przekreśliła ten frazes jednym ruchem ręki.

– Istnieją gorsze perwersje, jak sądzę. A co się tyczy Wondraschka: kochał cię tak, jak potrafił. W uczuciach był niesamowicie uczciwy. Wyobraź sobie, że mogłam się przysłuchiwać, gdy uprawiał seks z innymi, albo to nagrywać. I jeszcze uważał, że sprawia mi tym przyjemność, gnojek.

Nie, nie chciałam sobie tego wyobrażać. Ile prawdy zamierzała Klara wyciągnąć na wierzch? Była już dostatecznie pijana, wydawało się, że chce Wondraschka w sobie utopić i przy tym sama pójść na dno.

– Pokój jego duszy, Klaro, przestań już się dręczyć. To minęło.

Skinęła na kelnera, ponieważ poczuła pragnienie, i zażądała piwa, przekreślając tym punkty, jakie zyskała u obsługi zamówieniem kawioru. Starszy kelner niezbyt dyskretnie popatrzył na zegarek. Byłyśmy ostatnimi obiadowymi gośćmi.

– Oszczędź mi swoich burżuazyjnych frazesów, skarbie. Zaczyna się walka o byt.

– Potrzebujesz pieniędzy? Mogę ci coś niecoś dać. A teraz serdeczne życzenia z okazji urodzin, jeśli pozwolisz na ten frazes.

Przesunęłam paczuszkę w stronę Klary. Jeśli dobrze pamiętałam, Wondraschek ofiarowywał jej zawsze czek na urodziny i na gwiazdkę, kwoty większe lub mniejsze, zależnie od sytuacji w interesach. I nie zapomniał nigdy jej polecić, by zadzwoniła do kwiaciarni i zamówiła sobie róże. Tak romantyczny jak kubańscy zwijacze cygar ojciec nigdy nie był.

Klara była alkoholycznie wzruszona, gdy odpakowała prezent i wyjęła pierścionek. Uznała szmaragd za cudownie piękny. Poświęciłam sporo czasu, aby go wyszukać, i jeszcze więcej, by podjąć decyzję, żeby się z nim rozstać. Kolor nadziei pasował do Klary, mimo wszystko.

– No, a teraz powiedz, ile potrzebujesz. Ostatecznie tylko myśmy zostały z rodziny.

– Nonsens, niczego nie potrzebuję. Sprawy się mają, jak się mają.

Klara pochyliła się do przodu, aby pocałować mnie w usta. Cuchnęła piwem i

cygarem. Wracając do poprzedniej pozycji, strąciła ze stołu butelkę z wodą i omal nie minęła się z krzesłem. Kiedy chwyciła się blatu, by odzyskać równowagę, przytrzymałam go mocno z drugiego końca – dwie akrobatki i sztuczka, której nikt nie oklaskiwał. Szklanki i wazon z kwiatami poddały się szarpaninie, kelnerzy pospieszyli nam z pomocą.

– Pochowałyśmy dziś naszego mężczyznę – wyjaśniła Klara, kiedy na nowo nakrywano stół. Nietrzeźwość nie była dla niej naturalnym stanem, dlatego karykaturalnie przesadziła. Omal nie zaklaskałam. Nie przypuszczałam, że jest tak dobrą aktorką. Ta scena była zresztą bez znaczenia. Dobry hotel musiał akceptować złe zachowanie gości, a oni wysokie rachunki za uprzejmość i wygodne materace.

Okazanie współczucia Klara przyjęła łaskawie, ja tymczasem podpisałam rachunek i położyłam na stole sto marek. Wzięłam ją pod rękę i zaprowadziłam do swego pokoju, gdzie padła na łóżko i prawie natychmiast zasnęła. Chrapała, co było dla mnie nowością, ale nie jedyną; w końcu tego dnia dowiedziałam się bowiem czegoś więcej. Kiedy siedziałam na łóżku, paliłam i przyglądałam się Klarze we śnie, w białych kłębach dymu rozpląnęło się parę dziecięcych marzeń, które przeciągnąwszy nad chrapiącą Klarą, rozwiały się bezpowrotnie. Może pojedę do Londynu, aby zobaczyć Beatrix, może tak jak ona zagram w jakiejś knajpie na gitarze, a potem obejdę gości z talerzem, aby zebrać pensy. Przyjrzę się jej i nie pozwolę rozpoznać. Takie spotkanie niczego by jednak nie zmieniło, w tym punkcie Klara miała rację. Wystarczająco długo żyliśmy z cieniem Beatrix i ten dzień był równie dobry jak każdy inny, aby ją także pogrzebać. Powinnam się troszczyć o Klarę i swoje finanse. Wliczając czek piłkarza, miałam na koncie ledwie dwieście pięćdziesiąt tysięcy marek; z odsetek nie da się żyć. Zrzuciłam buty i położyłam się obok Klary. Kiedy człowiek stara się odnaleźć siebie, najpierw umierają wspomnienia. Czy Swann kochał Odettę czy ona jego? Dlaczego czas został stracony? I jak go odnaleźć? Zanim zacznę stawiać właściwe pytania, będę za stara, by na nie odpowiedzieć.

Kiedy zapukano do drzwi, pomyślałam o jednej z niewygód luksusowego hotelu: o nieustannej usłudze personelu, której celem jest napiwek. Obsługa przynosi ręczniki, kwiaty, herbatę, owoce, gazety, ściele łóżko, sprzęta pokój... i przed tym broni tylko wywieszka „Nie przeszkadzać”. Ale gdy nie przeszkadzają, nic nie dostają i to budzi dezaprobatę.

Znowu rozległo się pukanie, wstałam więc, aby ochronić sen Klary. Otworzyłam zamknięte od wewnątrz drzwi.

Emerytowany sekretarz stanu wyglądał blado i nieco chorowicie, choć może mdłe światło hotelowego przedpokoju wywoływało takie wrażenie. Staliśmy naprzeciwko siebie

milcząc i jedynym odgłosem było chrapanie Klary. Pytanie, czego on szuka w „Czterech Porach Roku”, cisnęło mi się na usta, ale go nie zadałam.

– Dzień dobry, Felicitas. Wyglądasz na zaskoczoną.

Usunęłam się na bok, by go przepuścić do pokoju. Był to jeden z większych pokoi hotelu, ale sekretarz uznał go za ogromny. Podeszedł do łóżka i popatrzył na śpiącą kobietę.

– To twoja macocha, jak sądzę. Współczuję ci z powodu śmierci ojca. – Z wyrzutem. Sarkastycznie. Głęboko urażony. Czy nie mówiłam mu nigdy, jak bardzo nie cierpię scen? Przypuszczalnie nie, gdyż to była prawda. – Miałem coś do załatwienia w Hamburgu i pomyślałem, że cię odwiedzę.

Patrzył wciąż na Klarę, jakby nie miał odwagi spojrzeć na mnie. Wiedziałam, że najlepszą obroną jest atak, zwłaszcza w sytuacji beznadziejnej jak ta.

– Wróciłyśmy akurat z pogrzebu. Uważasz porę wizyty za odpowiednią? Poza tym nie życzę sobie, żebyś obudził Klarę.

Markus Fest, emerytowany sekretarz stanu, nosił męską torebkę z brązowej skóry. Boże uchroni mnie przed mężczyznami gustującymi w takich akcesoriach.

– No cóż – powiedział – wedle baśniowych opowieści, jakimi mnie karmiłaś, twoi rodzice nie żyją, a ty wyszłaś za mąż i chodziłaś na uniwersytet. To wszystko nieprawda. Jesteś oszustką, drogie dziecko. Twój ojciec też był oszustem. A ta kobieta jego współniczką.

Chociaż podniósł głos, Klara się nie obudziła. Biedny sekretarz, jego wielkie, tragiczne wejście odbyło się w najmniej odpowiedniej scenerii. Współczułam mu, lecz samej sobie współczułam o wiele bardziej. Bo kto lubi być przyłapany? Komu spowiedź sprawia radość? Kto przyznaje się z rozkoszą: Tak jest, Wysoki Sądzie, to byłem ja, ja to zrobiłem, jestem złym człowiekiem, zasłużyłem na karę?

Zaproponowałam, żebyśmy zeszli do holu, miejsca, gdzie kręciło się wiele osób; ludzi, którzy mogliby pospieszyć mi w razie potrzeby z pomocą. Sekretarz zgodził się, dopiero gdy zabroniłam mu zapalić w pokoju papierosa. Wyglądał na strasznie obrażonego. Unikał patrzenia na mnie, kiedy zjeżdżaliśmy windą. Skórzaną torebkę przyciskał do siebie, jakby zawierała cenny materiał dowodowy przeciwko Felicitas Wondraschek. W holu zamówił kawę i ciastko, niezmienny rytuał o tej porze. Dobre nawyki powinno się pielęgnować również w złych czasach. Torebkę położył przy sobie na stoliku. Brązowa skóra była już zniszczona, widocznie torebka to jeden z ostatnich podarunków jego żony, który wyciągnął z szafy w sypialni, żeby sprawić mi przykrość.

– Czemu jej się tak przyglądasz? Nie mam zamiaru dawać ci znowu pieniędzy, aby spłacić rzekome karciane długi twego nieistniejącego męża.

– Męskie torebki są żałosne. Poza tym nigdy nie domagałam się od ciebie pieniędzy. Dawaleś mi je z własnej nieprzymuszonej woli. Porcyjkami, żebyśmy nie straciła apetytu.

– Apetyt zaś masz duży, co? Bardzo mnie rozczarowałaś, Felicitas. Człowieka mojej pozycji, który się zadaje z drobną oszustką.

W grupie osób siedzących obok jakiś mężczyzna telefonował. Był to jeden z tych dobrze ubranych, emanujących sukcesem nosicieli aktówek, którzy z zasady nie mają czasu na kobiety, jednakże cenią ich obecność między ważnymi spotkaniami bądź po zakończeniu wyczerpujących posiedzeń, bo muszą się nieco odprężyć. Próbował ze mną flirtować, więc odwróciłam wzrok.

– Czego chcesz ode mnie? – spytałam sekretarza. – Szpiegowałeś mnie i zorientowałeś się, że kłamałam. Wszyscy kłamią, jedni więcej, drudzy mniej. Myślę, że człowiek Zaczyna się maskować w chwili narodzin, gdy zostaje wyrwany z ciepłej ochronnej ciemności, lecz mimo wszystko uśmiecha się do tych, którzy to spowodowali. Czysty instynkt samozachowawczy.

Sekretarz popatrzył, jakby się chciał na mnie rzucić, ale wyjął z torebki kartkę z długą kolumną liczb.

– Prowadziłem rachunki, łącznie przekazałem ci dziewięćdziesiąt siedem tysięcy pięćset marek – odczytał.

– Nie przekazałeś. Podarowałeś. Jestem ci szczerze wdzięczna, ale po pierwsze rzeczywiście potrzebuję pieniędzy, a po drugie dużą część z tego już wydałam. Wenecja jest bardzo droga. Oprócz tego kupiłam Klarze na urodziny pierścionek, on także nie był tani. Jesteś hojnym, pod wieloma względami cudownym mężczyzną. Lubię cię naprawdę i przykro mi, że jesteś tak obrażony.

Nie skłamałam, tylko trochę przesadziłam. Facet z telefonem, zobaczyłam to kątem oka, położył na stole wizytówkę i wsunął ją pod wazon z kwiatami. To sygnalizowało miłą przygodę z bezpiecznym zakończeniem. Był żonaty, mocno zaangażowany zawodowo i chyba emocjonalnie niedojrzały.

– Chciałem cię poślubić – powiedział sekretarz tragicznym głosem. – Dlatego wynająłem prywatnego detektywa.

– Czy to powszechny proceder przed oświadczynami? Chyba żartujesz.

Facet z telefonem oddalił się z uśmiechem zwycięzcy, a sekretarz zacisnął usta jak stare obrażone dziecko.

– Ile zabrałaś Paulowi? A temu dentyście? Co robiłaś w Wenecji? Jesteście na wskroś zdemoralizowaną rodziną! Czy nie masz żadnego poczucia honoru?!

Podobnie jak Klara przy obiedzie mówił trochę za głośno, a jego faryzeuszostwo zaczęło mnie złościć.

– Jakiego poczucia honoru? Polityków, generałów, prezesów, papieży?... Jak wielu ludzi ty sam położyłeś na łopatki w trakcie swojej kariery? Nie mów o honorze, ponieważ to słowo nie znaczy nic. Ja znam tylko oszustów i biedaków, zwycięzców i przegranych, siłę i niemoc, a ty i tobie podobni hermafrodyty, trochę dobrzy i trochę źli, indywidualiści stanu posiadania, pseudohumaniści, kalwińscy hipokryci...

Sekretarz wstał, chociaż kawałek jego ciastka leżał jeszcze na talerzyku.

– Jesteś małą zarozumiałą smarkułą, Felicitas, i pewnego dnia zapłacisz za wszystko, jestem o tym przekonany. Nie można ludzi cały czas oszukiwać. Ale ja nie pójdę na policję, jeśli cię to interesuje. Nie jesteś warta takiego wysiłku z mojej strony.

To ostatnie było kłamstwem. Poczulałam się dotknięta.

– Nie chcesz narazić się na śmieszność, taka jest przyczyna – sprostowałam. – Mnie nie nabierzesz, znamy się przecież dość dobrze. Uważałam stan kłamstwa za przyjemniejszy, lecz ty musiałeś oczywiście wszystko zniszczyć, posługując się tym swoim śmiesznym szpiclem. Coś takiego może się zrodzić tylko w umyśle polityka.

– Budzisz we mnie obrzydzenie.

– Twoje oświadczenia i tak bym odrzuciła. – Mówiłam prawdę. Cokolwiek w tej materii miałam do zaoferowania, było niemiłe i raniące. Gdy tak stał i patrzył na mnie z góry, nagle pojęłam, co mnie naprawdę zawstydziło. Sekretarz przybył do Hamburga, aby mi wybaczyć. Aby złe dziecko wziąć w ramiona i jednak poślubić. Wyrzuty, spowiedź i przebaczenie. Tak sobie to wykoncypował w swej chrześcijańskiej dobroci.

– Wybacz mi – powiedziałam – ale nie mogę za ciebie wyjść.

Już się nie złościł, był tylko bardzo smutny.

– Jestem za stary.

– Nie. Ja jestem za młoda.

Prawie się uśmiechnął, lecz potem oczy mu zwilgotniały i pomyślałam, że czas odejść, bo ze wstydu i współczucia mogłabym powiedzieć „tak”. Podniosłam się i przeszłam obok niego w kierunku windy. Nagle przypomniałam sobie o wizytówce pozostawionej przez faceta z aktówką, lecz było już za późno, aby zawrócić. Życie toczy się dalej. Jest zwyczajne i samolubne. Nie zaspokaja każdej żądz. I windy nigdy nie przyjeżdżają, kiedy są akurat potrzebne. Eleganckie obuwie sprawia ból, gdy się je zbyt długo nosi. Chętnie zostałabym mężczyzną, choćby z powodu butów. Męskie buty są o wiele wygodniejsze niż nasze. Sekretarz! Odwróciłam się, stojąc już w windzie. Siedział znów przy stoliku i trzymał w ręce

talerzyk z ciastkiem. Ponieważ nauczono go zjadać do końca to, czym życie go częstuje. Śmiałam się, kiedy winda wiozła mnie w górę. Byłoby rzeczywiście tragiczne, gdyby całkowicie stracił swoje poczucie wartości.

Moja rodzina, czyli Klara, nazwała mnie dyletancką hochsztaplerką. Świadomość własnych niedoskonałości boli bardziej, gdy się słyszy o nich od innych. Klara, w okularach i z bólem głowy, skrytykowała mój brak koncepcji. Uważała, że powinnam zaproponować sekretarzowi częściowy zwrot pieniędzy jako znak poddania się i dobrej woli. „Lekceważysz mężczyzn i miałaś dotąd szczęście” – powiedziała.

Okrążyliśmy wolnym krokiem wody Binnenalsteru. Hamburgczycy nie zwracają uwagi na pogodę, ja jednak marzłam. Po raz pierwszy wyobraziłam sobie Klarę jako wampira, który na zawsze przyssał się do Wondraschka i do mnie. Była to dziwaczna myśl, ponieważ Klara zawsze stała w drugim szeregu, nigdy się nie wysuwała na pierwszy plan i stwarzała ów emocjonalny dystans przygotowujący mnie w dzieciństwie o rozpacz. To prawda, że mam skłonność do lekceważenia innych, co przy analizie wszystkich moich wad można by uznać za wadę najmniejszą. Życie jako gra z niewielką pulą odpłacało mi zwycięstwami na krótką metę, ale i dającymi się wytrzymać porażkami. Klara, która wciąż jeszcze wierzyła w system Wondraschka i światową rewolucję, była genialną wariatką. Jak każdy, kto jest pewien swej zdolności do chodzenia po wodzie, traktowała nas niczym wspaniałych pływaków. Postawiłam sobie na nowo pytanie, jaką rolę odgrywała w życiu Wondraschka. Co wiedziała o Beatrix i co wobec mnie przemilczała? Jako aktorka – a nie wątpiłam, że ten jeden talent zdominował jej życie – uważała prawdę za dialektyczne wyzwanie służące do tego, aby innych oszukać. Nie. To ja byłam wariatką. A Klara taka, jaką zawsze znałam, była bezwzględnie szczerą i bezlitośnie serdeczną.

– Nie ma doskonałego systemu, Klaro. Ty powinnaś to przecież wiedzieć.

Klara nie marzła nigdy. Otoczona apetycznymi warstwami tłuszczu szła niewzruszona przez życie.

– Istnieją perfekcyjne strategie, ale i one w ramach niedoskonałych warunków i śmiesznych przypadków mogą zawieść. To, co robisz, Felicitas, jest ruletką przy tanich stołach. Nie wygrasz nigdy dość pieniędzy, aby zakręcić dużym kołem. Myślę, że ten numer z konduktorem był wprawdzie dowcipny, lecz absolutnie nieprofesjonalny. A co zamierzasz zrobić z dentystą?

– Nie wiem. Bezpłatne leczenie zębów i może numer z próbą gwałtu. Wiesz, Lutz

miewa takie erotyczne fantazje, chciałby pojąć kobietę na fotelu dentystycznym. Prawdopodobnie cały czas prześlada go ta myśl, kiedy ładnym pacjentkom boruje zęby. A kiedy trafia na nerw i one zaczynają jęczeć, wyobraża sobie przypuszczalnie, że...

– Obrzydliwe! – Klara nadepnęła na kartonowy kubek leżący na drodze i rozgniotła go lakierkiem.

– Masz na myśli tło dźwiękowe? Uważam, że seks sam w sobie jest banalnym ćwiczeniem fizycznym, a większość ludzi korzysta ze swoich fantazji, aby rzecz erotycznie nasilić. Mężczyźni bardziej niż kobiety, bo one pożądania nie potrafią udawać. Pożądanie ma coś wspólnego z upokorzeniem, z władzą, z grzechem, ze wszystkim, co jest zabronione, ale czyni nas właśnie mocnymi, sama o tym wiesz.

Klara, która łączyła seks z podsłuchiowaniem, stwierdziła:

– Ty nigdy nie byłeś romantycznym dzieckiem. O czym myślisz przy seksie?

Jakaś starsza kobieta, która nas wyprzedziła, ponieważ szłyśmy bardzo wolno, obdarzyła nas przeciągłym spojrzeniem. Odpowiedziałam Klarze, że zastanawiam się wtedy, jak mogłabym wykorzystać sytuację na swoją korzyść.

– Rozumiesz jak luksusowa dziwka, szczerze mówiąc. A co zrobisz, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli? Jeśli twój dentysta nie pozwoli się zaszantażować? I wyrzuci cię, zamiast wyciągnąć portfel? Będiesz wtedy miała swój numer z próbą gwałtu...

– Znam go. Jest tchórzem jak prawie wszyscy mężczyźni. A ja nie jestem dziwką, do diabła. Żyję z tego, że ich obrabiam, seks właściwie zastosowany jest dobrą bronią przeciw mężczyznom. Trzeba się tylko dobrać do ich słabostek, rozumiesz, do tego, co uważają za swoją mocną stronę. Sztuka polega na tym, żeby stać się kochaną i wygrać. Jeśli taki masz cel, rzecz nabiera moralnego sensu. I nie czujesz się przy tym ani trochę niemoralna.

– A dlaczego się tak trzęsiesz?

– Bo mi zimno. Bo nienawidzę spacerów przy takiej pogodzie. Bo ojciec leży w wilgotnym dole i twoja tania trumna go nie ogrzewa. Bo nie wiem, jak zarobić trzy miliony. Mam sto powodów, żeby się trząść, Klaro, a jednym z nich jest także twój brak krytycyzmu wobec siebie. Jesteś przecież wdową bez środków do życia, aktorką, co nie zrobiła kariery i politycznym przeżytkiem. Powiedz mi, skąd w tobie przeświadczenie, że we wszystkim masz rację?

Klara przystanąła i zaczęła się śmiać. Akurat gdzieś włączono przycisk, rozbłysły bowiem uliczne latarnie. Klara musiała się czuć w swoich ciemnych okularach jak kret. Gdy usłyszałam pisk hamulców, odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi na jezdni. Zwymyślała kierowcę mercedesa, który nie wziął pod uwagę, że kretki przekraczają ulicę o każdej porze i

w każdym miejscu. W środku jej tyrady facet postukał się w czoło i pojechał dalej. Klara pokazała mu środkowy palec lewej ręki, zanim raczyła opuścić jezdnię. Auta przejeżdżały obok, trąbiąc, a Klara stanęła na krawężniku i powiedziała do mnie, że trzeba przestać produkować na pozór estetyczne użytkowe gówna. Mówiąc „gówna” miała na myśli markę auta, ale byłam pewna, że także właścicieli. Klara prowadziła rzadko i bardzo źle. Szoferzy, których sporadycznie zatrudnialiśmy, starali się ją tego nauczyć, ale przy jej dowolnej interpretacji przepisów ruchu drogowego wszelkie wysiłki instruktorów paliły na panewce.

– Możemy wrócić do hotelu? To był wyczerpujący dzień.

– Podziwiam cię. – Klara wzięła mnie pod rękę. – Jesteś dobra w tym, co robisz, w końcu jesteś córką Wondraschka. Ale pomyśl także, Felicitas, że my obie mogłybyśmy stanowić niezły tandem i razem wiele osiągnąć.

Tym razem ja się zatrzymałam.

– Nie chcę iść do więzienia, Klaro. I nie chcę zwalczać kapitału. Pragnę tylko żyć z niego w możliwie przyjemny sposób, czy to dla ciebie jasne?

Klara nigdy nie pozwalała się zbić z tropu faktycznym stanem rzeczy.

– Jeśli chcesz zrobić niezawodny numer, weź na muszkę kilka ekskluzywnych domów spokojnej starości. Zamożni samotni starcy to idealne ofiary. Okaż im trochę uczucia i wyciągnij, co się da.

– Nie.

Poszliśmy dalej. Klara trzymała się mnie mocno, wampir pod postacią kreta, obca osoba, którą jak mi się wydawało, znałam dobrze.

– No tak – powiedziała. – Ty chcesz mieć przy tym nieco zabawy, stawiać czoło wyzwaniu. A może to wszystko tylko zemsta wobec Geralda? Jeśli tak, to trwonisz talent.

– Daj mi spokój, Klaro.

Zwabiła mnie oświetlona wystawa jubilera, iskrzenie kamieni i matowy połysk złota. Ceny zapierały dech, ale rozgrzał mnie widok biżuterii wyeksponowanej na fioletowym aksamicie. Złodziejka klejnotów – to byłby stosowny dla mnie zawód, choć w czasach elektroniki przypuszczalnie nie tak romantyczny jak w oglądanych filmach. Ten sklep był jednym z salonów, w których sprzedawcy najpierw cię taksują wzrokiem, a potem ewentualnie się uśmiechają. To pieniądze stwarzają przyjemną atmosferę. Jeśli się je ma i jest się gotowym je wydać. Za pieniądze można kupić piękno i oszczędzić sobie wszelkiej brzydoty, naturalnie pominąwszy siebie.

Klara bąknęła coś o korumpującej wartości towarów, ta sama Klara, która mi radziła okradać starych samotnych mężczyzn. Teraz gdy Wondraschek nie stał już między nami, bo

spoczywał bardzo daleko od nas w taniej trumnie, która nie znalazła mego uznania, Klara uzurpowała sobie pierwszoplanową rolę jako strażniczka tajemnic mojej rodziny. Brakowało mi ojca. Konsumował kobiety i odrzucał jak towar, mimo to kochał Beatrix i pozwalał się kochać Klarze. Masochizm i sadyzm sprowadzone do jednego. Składniki miłości były niezrozumiałe, a ich scalenie porównywalne z rauszem, tak nietrwałym i tak pięknym.

– Klaro, kupić sobie te kolczyki? Są niezwykle.

Powiedziałaby „nie”, gdyby przy mnie była, ale zniknęła. Obróciwszy się w stronę ulicy, zawołałam ją po imieniu, stałam tam jak idiotka i przeklinałam jej egocentryzm. Idąc nad wodą, na pół ślepa kobieta wtopiła się w tłum, a przecież łatwo się gubiła, ponieważ świat nie jest ideologicznym placem zabaw à la Marks i sceną dla brechtowskich dobrych ludzi. Raczej ringiem bokserskim, nasunęło mi się trafniejsze chyba porównanie, ja zaś w wadze lekkiej niżle się dotąd biłam. Trzeba pamiętać, że nikt nikomu nie odbiera, by rozdawać innym. Istnieje zdrowy rozsądek, plaster, trening, niekiedy aplauz, ale na ringu człowiek zostaje sam. Również w ostatniej walce, od której czułam się jeszcze bardzo oddalona. W odróżnieniu od Klary patrzyłam w przyszłość z ostrożnym optymizmem. Nie miałam nic do stracenia oprócz czasu, a do wygrania wszystko, co czas wyposażył w przyjemności i w ulotne uczucie szczęścia.

Ludzie przechodzili obok mnie tanecznym krokiem, z rękami w kieszeniach kurtek, każdy ze swoim prawem do niezakłóconej goryczy. Tylko ci poniżej dwudziestki uśmiechali się, dzieci nawet się śmiały. Przypomniałam sobie, że Wondrashek raz, jeden jedyny raz poszedł ze mną do cyrku i wtedy mu powiedziałam, że chciałabym zostać kłownem, a on odparł, że to nie jest zawód dla kobiety. Kłowni, generałowie, bankierzy, księża, hochsztaplerzy: „To wszystko męskie zawody. Kobiety nie mają talentu do niewymuszonego komizmu, do władzy i profesjonalnej hipokryzji” – powiedział Wondrashek i wtedy mu wierzyłam.

Zadurzenie i zakochanie objawiało się kiedyś wspólnotą śmiechu. A to minęło. Pozostała ciemna postać w żałobnym kostiumie, która podziwiała kolczyki na wystawie i walczyła ze swą chciwością sroki, a potem wzruszywszy ramionami, odwróciła się i powlokła w kierunku hotelu, skąd promieniowało rozrzutnie światło. Po sześćset marek za noc można kupić bezpieczeństwo oraz wiele ciepła i jasności. Postanowiłam zwolnić pokój we Frankfurcie i w przyszłości mieszkać w hotelach. Niewielki bagaż da mi możliwość szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Bo podróżując i nie pozostawiając śladów, jest się nieuchwytnym i nietykalnym, tak myślałam. Uśmiech portiera zobowiązywał co najwyżej do napiwku...

Gruby dywan w holu pochłonał odgłos moich kroków. Winda zawiozła mnie bezszelestnie na górę. Pokój już przygotowany na noc, na poduszce leżała nawet tabliczka czekolady. Niczego nie musiałam robić, tylko zapłacić. Rozebrałam się, wzięłam kąpiel, potem wypiliśmy piwo z minibaru i znosiłam cierpliwie twarz Kohla w telewizorze. Wypowiedzi kanclerza, które prowadzący wywiad poprzedzał odpowiednimi pytaniami, spływały monotonicznie z pełnych warg, powodując niepokohamowaną senność. Polityka mnie nie interesowała, jeszcze nigdy nie brałam udziału w wyborach. Wszystko było dobre, wszystko słuszne, a co cztery lata pozwalano zwolennikom demokracji postawić krzyżyk na liście wyborczej. Wolna prasa zadawała ostrożne pytania. Szef państwa posługiwał się slangiem z rodzinnego Ludwigshafen-Oggersheimu, co tylko pogłębiało i tak niewyraźną dykcję kanclerza. Podbródek, drugi podbródek i brzuch tworzyły jedną linię. Emerytowany sekretarz stanu cenił Mamuta, a Klara go nienawidziła. Akceptowała tylko martwych bohaterów wszelkich nieudanych rewolucji i uważała, że Fidel Castro jest seksowny. Ja nie miałam żadnego zdania oprócz tego, że Kubańczyk też skostniał w samozadowoleniu.

Kobiety w polityce skłaniały się do bardziej krytycznych głosów. To szło na innym kanale. Wyłączyłam telewizor i zgasiałam światło. Spanie w samotności traktowałam jako przywilej i nie rozumiałam, co pędzi ludzi do małżeńskich łóżek. Przez całe życie zmienia się tylko co piętnaście lat materace, podczas gdy śpiący na nich stopniowo się rozpadają. Na szczęście Wondraschkowi zostało to oszczędzone, tak ja to widziałam.

Pozostała Klara. Nie miałam wobec niej żadnych zobowiązań, ojciec płacił jej za służbę i jeszcze ją poślubił. Klara, która nas żywiła w ciężkich czasach. Klara, która zniknęła i pojawiała się niczym hybryda wałęsającego się kota i wiernego psa. Jej komunistyczne nocne modlitwy, jej piękna gorzka poezja i jej śmiech. Lubiała stare amerykańskie komedie i pozwalała mi oglądać telewizję w swoim pokoju, przynosiła wtedy kakao i keks. Niekiedy słyszałyśmy, jak Wondraschek wraca z kolacji z którąś ze swych przyjaciółek, wówczas Klara smutniała i odsyłała mnie do łóżka. Wziąwszy wszystko razem, to żadne tragiczne dzieciństwo.

Nie chciałam Klary jako partnerki. Nie chciałam nikogo, kto by ograniczał moją swobodę. Trudno żyć we dwie w hotelowym pokoju. Ponadto Klara przynosiła nieszczęście. Jej narzeczonego zastrzelono, mąż zmarł w więzieniu. Wszystko, co czciła i czego pożywała, okazywało się dramatyczne albo nieuchronnie nieudane. Nie da się bezkarnie wierzyć w to, że można chodzić po wodzie. Dobranoc, Klaro. Ja zostaję na brzegu, bo woda jest zimna i boję się zamarznąć.

ROZDZIAŁ 10

Mężczyzna obserwował kobietę w szarym kostiumie, uzbrojoną w komórkę i aktówkę. Telefonowała, trzymając aparat w prawej ręce. Siedział w przestronnym holu gmachu centrali partyjnej i pragnął, żeby ktoś do niego zadzwonił, właśnie teraz, aby stworzyć równowagę. Wyjął telefon z kieszeni marynarki zmiętego garnituru, jedwab i kaszmir układały się w niepowtarzalne fałdy, i rozważał, z kim mógłby porozmawiać, gdy kobieta skierowała się ku niemu i wreszcie przed nim stanęła.

Nosiła nietwarzowe okulary, to dostrzegł na pierwszy rzut oka, a czarne włosy ciasno zebrała na karku i tam nie najlepiej spięła. Twarz trójkątna o bardzo pięknej cerze, ale uszy troszeczkę odstające, zauważało się to dopiero przy drugim spojrzeniu, wybór fryzury zaś pozwalał wyciągnąć wniosek, że kobiecie wcale to nie przeszkadza. Kostium nie pochodził od żadnego projektanta mody, okrywał jednak bardzo zgrabną figurę z ładnymi nogami. Wyglądała jak dwudziestolatka o konserwatywnym guście, lecz mężczyzna wiedział, że ma trzydzieści lat i jest osobistą asystentką federalnego szefa do spraw organizacyjnych. Jak dalece osobistą, tego nie zdołano ustalić, gdyż Greta Meyer pozostawała prawie niewidoczna w cieniu swego pana.

Greta Meyer... Zarejestrował nierzucającą się w oczy, bez mała niezrozumiałą atrakcyjność. Albo ta kobieta rzeczywiście nie zdawała sobie z niej sprawy, albo miała coś do ukrycia. Przypuszczalnie jakaś afera z szefem, przemknęło mu przez głowę, w ciągu życia człowiek przyzwyczaja się myśleć o ludziach jak najgorzej i przeważnie ma rację. Poza tym on sam dosiadał swoich osobistych asystentek, bo zakochane kobiety są bardziej lojalne i chętne do pracy, a gdy uczucie i interes rozchodziły się, zwykł skazywać swe partnerki na odstrzał. Zawsze w pogotowiu czekał hufiec młodych, ładnych i zdolnych kobiet, które karierę i seks uważały za naturalne połączenie. Greta Meyer miała bardzo piękne oczy za tymi okropnymi okularami z ubezpieczalni, głos delikatny i niemal dziecinny. Nie rozumiał, dlaczego spuściła wzrok po przywitaniu i patrzyła na podłogę, dokładniej mówiąc – na jego buty. Nieśmiałość? Unik przed jego męskim urokiem? Nigdy nie miał problemów z kobietami, jeśli nie były stare i brzydkie lub nieczule na jego kokieterię. Nie miał też nic przeciwko kobietom w interesach, wносиły przecież heteroseksualny impuls, który się

przyjemnie odróżniał od stereotypowych gierk o władzę między mężczyznami.

– Przykro mi, że się trochę spóźniłam. Usiądziemy?

Położyłam aktówkę oraz komórkę na stole i czekałam, aż doktor Hagen Klein usiądzie. O głowę wyższy ode mnie, czterdzieści dziewięć lat, rozwiedziony, ojciec ośmioletniej córki, która mieszka z jego eks-żoną, właściciel jaguara, uprawiający jeździectwo i jogging, niepalący, amator burgunda pijący umiarkowanie, ktoś, kto chce uchodzić za młodego i zdolnego, ucieka zaś przed kobietami w swoim wieku. Klein miał w Düsseldorfie średniej wielkości, ale rozwijającą się agencję reklamową. Człowiek kreatywny: długie włosy spięte w kucyk, drogi, stosownie do mody luźny garnitur, włoskie skórzane buty, popielate, i złoty zegarek marki Ebel. W tym środowisku dyskretnych ubiorów sprawiał wrażenie człowieka zbyt wystrojonego, wyglądał jak egzotyczny ptak, który się zabłąkał do szarej klatki. Ale Hagen Klein przybył do Bonn, ponieważ zamierzał ubić z nami duży interes.

A my z nim, dlatego robiłam dobrą minę do złej gry, w rzeczywistości zaś pocilałam się trochę pod kostiumem, który mi Klara wyszukała. Piętnaście procent, nie była wymagająca, ale w końcu ona siedziała teraz w pokoju hotelowym, a ja w budynku centrali partyjnej, gdzie obca osoba z komórką i aktówką nie powinna rzucać się w oczy, wypróbowałyśmy to kilka razy. Trzeba było tylko, koniecznie telefonując, przejść arogancko obok portiera, pozdrowić go krótkim i pewnym siebie skinieniem głowy i potem wyszukać sobie miejsce jak najbardziej na uboczu. Portier powinien być przekonany, że ma do czynienia z kimś zbyt ważnym, aby go nagabywać. Tani i jednocześnie bardzo skuteczny chwyt, który zawodził tylko w wypadku ekstremalnej głupoty lub nadzwyczajnej mądrości. Ten portier był człowiekiem o cudownej, dającej się przewidzieć przeciętności.

W rozgorączkowanym tłumie ludzi nieustannie wchodzących i wychodzących należało dobrze udawać zaaferowanie i celowość działania, aby nie zwracać na siebie uwagi. Byłam rzekomą Gretą Meyer, niewolnicą federalnego szefa do spraw organizacyjnych; prawdziwa przebywała w tej chwili w klinice położniczej nad jeziorem Starnberger. Dlaczego sprawę trzymano w tajemnicy, łatwo ustalili bońscy dziennikarze. Pięć długich wieczorów spędziłam w klubie dziennikarzy, żeby przysłuchiwać się ich rozmowom, częściej gadaniu i plotkom, spekulacjom i analizom, przy czym najbardziej zdumiewające było to, że nikt nie uważał za konieczne zniżyć głos czy przestrzegać tajemnicy, a im więcej pito, tym bardziej błazeńsko się zachowywano, prześcigając się we wzajemnej licytacji, kto więcej wie o moźnych tego świata.

Wiedza o władzy mediów: nie wszystko mogą napisać, ale gromadzą informacje, by opublikować kiedyś artykuł swego życia albo zapomnieć o nich w codziennej pracy.

Przysłuchiwałam się rozmowom. Moja pamięć do banalnych faktów była zdumiewająca, Klara chwaliła mnie za to, podczas gdy zdobyte przeze mnie informacje wklepywała jednym palcem do laptopa. Mieszkałyśmy w małym wykwintnym hotelu „Domicile” w pobliżu dworca, w oddzielnych pokojach. W przeciwieństwie do mnie Klara zatrzymała mieszkanie w Hamburgu. Nie ufała mi, nawet jeśli tego nie okazywała. Ostatecznie zawarłyśmy układ, że podejmiemy jedną wspólną wyprawę po łup, a potem pomyślimy o ewentualnej dalszej współpracy. Piętnaście procent od zysku netto to był udział Klary, więcej nie chciała, chociaż proponowałam trzydzieści. Mój erotyczny, nie zmacony choćby krzywą rozsądku stosunek do pieniędzy uważała za nieprzyzwoity, jeśli nawet zrozumiała w kontekście Wondraschkowego wychowania.

Projekt „Greta Meyer” był awanturniczny, chociaż Klara nazwała go genialnie prostym. Genialny aspekt niepokoił mnie, gdy instynktownie próbowałam zgłębić Hagen Kleina jako mężczyznę. Moje pierwsze wrażenie zgadzało się z obserwacjami poczynionymi przez Klarę. Wydawał się nonszalancki, pewny siebie, jednakże to jak siedząc, podrygiwał nogami, zdradzało napięcie, a w jego oczach czytałam chciwość, którą ktoś taki jak ja potrafił od razu dostrzec.

– Chętnie bym zaprosiła pana do swego biura, panie doktorze, ale szef gości ekipę telewizyjną i jest tam dość gorąco. Może zjemy razem obiad? Dałoby się wtedy swobodnie porozmawiać.

Swobodnie było hasłem, które Hagen Klein uznał za właściwe. Powinna raczej opuszczać tytuł, najlepiej również nazwisko, które zupełnie nie pasowało do jego osoby. Klein przegapił możliwość okazania błyskotliwości, wyszczerzył natomiast zęby nieco dwuznacznie i dał mi moralną podstawę do tego, by go nie lubić. „To typ kobieciarza”, powiedziała Klara; kobiety mają niestety skłonność do pomyłek, gdy chodzi o typy, i ja też nie byłam od tego wolna. U Geralda niedbały urok lekkomyślności był rzeczywiście pociągający, a gdybym miała chwalić jakąś męską cnotę, to prostolinijność. Szuka się u innych tego, czego się u siebie nie znajduje.

– Hagen to bardzo ładne imię. Czy pójdziemy do Włocha?

Chodziło się zawsze do Włochów, bo byli w pobliżu, przypominali o urlopie w Toskanii, a rachunek mieścił się w rozsądnych ramach. Nigdy nie należy sztywnić z mężczyzną, dostrzegłam to w spojrzeniu Kleina, ale jego wąskie usta z wysiłkiem uśmiechnęły się potwierdzająco.

On zamówił dwa dania, ja cztery; z pewnością pomyślał, że jestem kosztownym żarłokiem, a ja po prostu lubiłam dużo jeść, co oczywiście nie było w dobrym stylu i na

czasie. Z jakiegoś zaś nie znanego mi powodu mężczyźni uważają łakome kobiety za budzące niepokój. Może łączą to z nadmiernym seksualnym apetytem, który można cenić u dam lekkich obyczajów, lecz nie w interesach?

Hagen Klein zażądał do sałaty określonego gatunku oliwy, co zdradzało znajcę Włoch i smakosza, a u kelnera wywołało skrywany uśmiech. Klein podkreślił, że moje palenie mu nie przeszkadza – w końcu robi reklamę pewnej marki papierosów, to jedno z jego wielkich i nadzwyczaj efektywnych przedsięwzięć. Sprzedawał się świetnie, to była jego rola, a ja występowałam w roli nie dorównującej mu klientki, która chciała zostać przekonana.

Piliśmy tylko wodę mineralną, aby zachować trzeźwą głowę. Posiłek wiązał się z interesem siedmiocyfrowej wartości: kampania przed wyborami do Bundestagu.

Podczas gdy jadłam sałatę *rucola* z parmezanem, Hagen Wielki polecał kreatywną, wysoką sprawność swojej firmy, analizy grup docelowych, agresywny launching, progresywny marketing... Pełna gama propagandowego abecadła z anglosaskim *staccato* obiecywała istną muzykę sfer. Polityka to również towar, który należy sprzedać. Co do tego byliśmy zgodni, chociaż ja jako Greta Meyer przedstawiałam ideologiczny punkt widzenia: partia jako produkt prawdomówny, zaangażowany i kompetentny; moje frazesy przeciwko jego frazesom i język kruszący je na drobiny znikomej wielkości. Hagen Klein chwalił polityczne treści, podkreślał jednak, że ich nośność zależy od opakowania, od emocjonalnych punktów identyfikacyjnych, od zapowiadających szczęście sloganów, od budowy zaufania jako przeciwwagi dla irracjonalnych obaw wyborców, których polityczna postawa konsumpcyjna skłania do tradycyjnego lenistwa.

O Boże, nudził mnie. Klara ostrzegała, że rola Grety Meyer nie będzie mnie bawić. Nie było mowy o seksie, lecz nie podejrzewałam, że ten kreatywny facet jest zdolny do takich orgazmów słownych. Słuchałam jego wywodów ze sceptycyzmem osobistej asystentki, niekiedy przytakiwałam lub uśmiechałam się aprobowająco i zaprzeczałam jedynie wtedy, gdy musiał zaczerpnąć powietrza. Sztukę słuchania mężczyzn opanowałam do perfekcji. Być może miał rację we wszystkim, co mówił, a ja już wiedziałam – oprócz tego, że świnię nie potrafią fruwać.

Wcześniej zadzwoniłam do Kleina i z polecenia partii powiadomiłam go, że został wciągnięty na bardzo krótką listę kandydatów. Taka lista faktycznie istniała. Klara to sprawdziła, ale „Creatixu”, firmy Kleina, na niej nie było. Wszystko ściśle tajne, czyli coś, o czym w bońskiej dzielnicy rządowej wiedział co czwarty człowiek.

Zaserwowano makaron z truflami, a dla Kleina dużą sałatkę z pomidorów. Brakowało mi wina przy obiedzie, nieco rozluźnienia przy rozwiązywaniu skomplikowanej szarady.

– Z pewnością pan wie, że zleciliśmy trzem agencjom zaprezentowanie ofert dotyczących strony propagandowej kampanii wyborczej. Ze zrozumiałych względów nie chcielibyśmy, aby kandydaci o sobie wiedzieli, muszę więc pana prosić, aby na razie nasze stosunki traktował pan dyskretnie. – Rozumiał mnie dobrze, nawet jeśli uśmiechnął się niedowierzająco. – Chcemy uniknąć ewentualnych układów cenowych. To przecież już się podobno zdarzało.

Dobry dowcip, z którego się serdecznie uśmieł. Hagen Klein pochłaniał sałatkę z pomidorów, jakby się bał, że ktoś mu ją sprzątnie sprzed nosa. Konkurencja w branży reklamowej była twarda, toteż niestrudzona kreatywność musiała być wyczerpującym zajęciem.

– Wciągnęliśmy pańską agencję na tę krótką listę, ponieważ mój szef wysoko ocenia wasze kampanie. Ale partia nie jest naturalnie marką papierosów.

Dlaczego nie? Co ja wygaduję? Czy Hagen nie wywnioskuje z tego, że ma brać udział w polityce? Klara kładła mi broszury propagandowe partii jako lekturę do łóżka, a ja musiałam odpowiadać na jej kontrolne pytania dotyczące celów kampanii. Wiedziałam, co federalny szef do spraw organizacyjnych myśli, czego chce i o czym marzy. Byłam jego cieniem, zaufaną osobą, wycieraczką do butów i nosicielką aktówki. Gretą Meyer. I byłam w tym dobra. Jakże nieprawdopodobnie łatwo okłamywać ludzi!

– Potrzeba czegoś świeżego. Świeżej, nowoczesnej, multimedialnej polityki dla zmęczonych wyborców – powiedział Hagen Klein przy głównym daniu, *lotte* z rusztu dla niego i *osso bucco* dla mnie. Brakowało tylko butelki brunello, nie lubiłam wody do obiadu.

– Tak, naturalnie. Wszystko powinno być świeże.

Po takim odezwaniu się Klara skarciłaby mnie wzrokiem. Kreator reklamy wydawał się rozważać, czy jestem idiotką czy też cwana działaczką partyjną. Pycha z nieba spycha. Zapytał, czy często tutaj jadam. Nikt mnie nie przywitał, kelner mnie nie znał. O tym również pomyślałam, kochanie.

– Jestem tu drugi raz. Jem przeważnie w naszej stołówce, żeby nie popaść w obżarstwo. Mój problem to okropne łakomstwo, a muszę przecież dbać o figurę.

Podjął wyzwanie:

– Uważam, że jest absolutnie doskonała. – Grecie Meyer w dziewiątym miesiącu ciąży nie mógłby tego powiedzieć.

– Mój szef jest tutaj stałym klientem, dostojnicy niechętnie jadają w stołówce. Zbyt blisko ludu.

Uśmiechnęliśmy się.

– A jaki jest ten pani szef?

– Miły. Istny poganiacz niewolników. Jego nastrój zależy od porannej prasy. Ale teraz serio. Jest zachwycony pańską kampanią i spodziewa się po panu bardzo wiele. To on wpadł na pomysł, aby pana wprowadzić do gry. Ja jestem tylko posłańcem.

– Nie mógł znaleźć lepszego.

Etapowi osobistych komplementów towarzyszyło ze strony Hageny *caffé espresso*, a z mojej *tiramisu*. Klara odradziła mi wykładanie przy pierwszym spotkaniu wszystkich kart na stół i trzymałam się tego. Hagen Klein między głębokimi spojrzeniami i płaskimi żartami z branży reklamowej próbował wysondować oczekiwania zwierzchności dotyczące kampanii wyborczej i wysokości budżetu. Rzuciłam mu kilka ochłapów, które złapał jak pierwszy lepszy włóczący się bezpański pies. Punktualnie o drugiej odezwała się komórka, Klara przedstawiła się jako sekretarka mojego szefa, który pilnie mnie wzywa. Należało przygotować posiedzenie w związku z kryzysem. Mówiła tak głośno, że Klein na pewno słyszał każde słowo i zanim skończyła, poprosił o rachunek. Było to niezwykle taktowne z jego strony, toteż podziękowałam swoim najpiękniejszym uśmiechem. Na pożegnanie dałam mu numer komórki, aby mógł mnie złapać o każdej porze, gdyż nieustannie byłam w drodze i bardzo rzadko w biurze. Umówiliśmy się na następny tydzień w jego agencji. Miał mi przedstawić swoich współpracowników oraz pomysły spotów reklamowych, co zawsze mogło się przydać.

– *Au revoir* – powiedział, kiedy ścisnął mi rękę, bardzo słabo, tak jakby doszedł do stanu najniższej kreatywności. Pospieszyłam do centrali i zobaczyłam stamtąd, jak biegnie do swego samochodu. Portier przywitał mnie niczym starą znajomą. To wszystko było zbyt proste. Nie ufałam genialnemu planowi Klary, chociaż pierwszy akt przebiegł bez zakłóceń.

– A co będzie, jeśli zadzwoni przez centralę?

– Tego nie robi – powiedziała Klara – a jeśli nawet, otrzyma zdawkową informację. Przecież mu nie powiedzą, że Greta Meyer leży w klinice położniczej.

Oko Klary wróciło do normy, lecz nadal nosiła okulary przeciwsłoneczne, zwłaszcza na dworze. Spacerowałyśmy nad Renem i relacjonowałam jej każdy szczegół spotkania z Hagenem Kleinem, liczyłam na pochwałę, ale Klara skrytykowała moje lekkomyślne, szydercze uwagi.

– Nie doceniasz go, to błąd. Ten człowiek ma do czynienia z milionami i nie zaszedłby tak wysoko, gdyby był idiotą. Żaden kapitalista nie żartuje. Klein chce dostać to zlecenie, chce wygryźć konkurencję, chyba za każdą cenę. Musisz go złapać na ambicję, na próżność. Tylko w taki sposób może połknąć haczyk.

Piękny głos Klary denerwował mnie czasami.

– Przez szesnaście lat mieszałaś się do mego życia, a teraz na dodatek mocno przesadzasz.

Zdjęła okulary i popatrzyła w słońce. Mowa do nieba, które akceptowała na wszelki wypadek jako naturalny fenomen wielkiego zasięgu:

– Wtedy byłam Claire, to zupełnie inna rola. Teraz jesteśmy współniczkami i nasz plan musi się powieść. Poza tym potrzebuję pieniędzy.

– Aby finansować rewolucję?

Klara wskazała na wędkarza, który stał na brzegu rzeki.

– Jak myślisz, dlaczego trzyma sznurek w tej mętnej bryi? Bo w coś wierzy, czarodziejko, a ja nie uważam za szczególnie oryginalne negocjowanie wszystkiego, co odczuwasz jako utopijne.

– Jako nieudane, Klaro.

– Pomysły nie mogą być nieudane. Poza tym właśnie wyciągnął rybę, widzisz?

Rybkę, która nawet z tej odległości wyglądała szaro i nieapetycznie.

– Chciałabyś zjeść coś takiego?

Klara roześmiała się i pociągnęła mnie dalej.

– Zawsze byłeś nieposłusznym dzieckiem. I żarłocznym. Wrzeszczałaś, jak tylko odbierało ci się butelkę. Musiałaś Beatrix urządzać niezłe piekło, nic dziwnego, że uciekła.

W ten piękny ciepły dzień Klara znów rozdrapała lakierowanymi na czerwono paznokciami źle zagojone rany. „Decyzja” była jedną z jej ulubionych sztuk. Wondraschek spoczywał w taniej trumnie. Kiedy szłam do nowej szkoły, nie odprowadzała mnie, twierdząc, że trzeba samemu pokonywać trudności, aby stać się dużym mocnym człowiekiem.

– Czy ojciec to powiedział? Że ja jestem winna? Czy to twoja interpretacja naszej rodzinnej historii?

Istniały tematy, przy których mój głos stawał się ostry, toteż Klara się wycofała. – Twoja matka odeszła z innym mężczyzną. Zastanawiała się nad możliwością lepszego życia i zdecydowała się na to, co uznała za konieczne.

– Nie wrzuciła mnie do dołu z wapnem, Klaro. Ale mogła mnie z sobą zabrać.

– Proszę, skończ już z tym – powiedziała łagodnie. – Jakkolwiek oceniasz przeszłość, nie zdołasz jej zmienić. Dorośnij wreszcie, czarodziejko. Nie potrzebujesz nikogo. Nikt nie potrzebuje ciebie. I jeśli dopisze ci szczęście, znajdziesz bogatego człowieka, którego całkiem legalnie będziesz mogła oskubać. Jeśli coś takiego można nazwać szczęściem.

– Ty byłaś przecież szczęśliwa z ojcem, a może nie?

Nie spieszyła się z odpowiedzią. Szła obok mnie i patrzyła w niebo, lecz tam z pewnością nie było Wondraschka.

– Nie wykorzystywałam go, raczej on mnie eksploatował, moje uczucia, mój czas, mój talent... ale niekiedy byłam szczęśliwa. Nieczęsto. Szczęście to takie komiczne słowo. Tak dziecinne. Myślałam zawsze, że bez Wondraschka nie mogłabym żyć. I jak widzisz, mogę. Czasami robi się teatralne gesty. Beatrix położyła się na szynach, gdy muzyk ją porzucił. Ale pociąg nie nadjechał. Więc wstała i skierowała swe kroki do pubu, gdzie się upiła, a potem poszła do łóżka z przygodnym facetem. Pozostała u niego przez rok.

Promenada nad Renem, tak samo bezpretensjonalna jak reszta miasta, była pełna starych, biednie ubranych ludzi, rowerzystów, graczy w skata i matek z dziecięcymi wózkami, w których leżało ich szczęście, dogłądane przez nie czule i z nieustanną troską. Klara rzuciła mi zbyt ciężkostrawny kąsek z przeszłości.

– Opowiedz mi o Beatrix. Sądzę, że znasz ją dużo lepiej, niż przyznajesz.

– Wcale nie – rzekła Klara, a ja wiedziałam, że kłamie. Byłam o tym przekonana i myślałam też, że znam przyczynę. Dopóki skrywała prawdę i porcjami ją wydzielala, dopóty wiązała mnie z sobą. Już to zrobiła.

– Opowiedz mi o niej, Klaro – poprosiłam. – W przeciwnym razie wezmę taksówkę na dworzec i pojedę do Londynu. Tak jak stoję.

W jej okularach odbijał się Ren, poza tym nic. Uśmiechnęła się cierpkim, szyderczym uśmiechem Molly.

– Pociąg tam nie jedzie, możesz mi wierzyć... Prawie wszystko, co o niej wiem, pochodzi z drugiej ręki, z jego opowieści i z raportów szpiclów, których na nią nasyłał. Była bardzo piękna, o tym wiesz, a taki wygląd procentuje przez całe życie. Nie wiem, jak ze swego mieszczańskiego gniazda wpadła w ramiona akurat Wondraschka, był od niej niższy, a jego niemoralne cygańskie życie napawało ją wstrętem. Miała delikatne nerwy. I wrzeszczący bachor okazał się nadmiernym wymaganiem. Chciała przecież zostać śpiewaczką i miała czuły słuch. Chociaż Wondraschek trzymał ją z dala od interesów, żyła w ustawicznym strachu, że zostanie aresztowana. Pragnęła bezpieczeństwa, a on ofiarował jej swoje uwielbienie, futra i klejnoty. Coś takiego zabije każdą miłość, nie sądzisz?

A skądże ja to miałam wiedzieć? Przecież zaliczałam się do morderców! Beatrix widziana oczami Klary jawiła się jako ktoś, kto dużo brał i mało dawał. Tyle że oczy Klary były przesłonięte ciemnymi okularami. W jej głosie zaś pobrzmiwały tony Brechtowskich złoczyńców.

– Ponieważ życie jest pełne ironii, Beatrix uległa temu muzykowi. Miał na imię Bruce, nazwiska zapomniałam, perkusista w dość znanym zespole. Jeździła z nim przez dziesięć lat po świecie i przywykła do marihuany, kokainy i do fanek, z którymi Bruce ją zdradzał. Rok mieszkali w Indiach u jakiegoś guru, ostatecznie jednak chyba nie doznali oświecenia. Dwa razy robiła skrobankę, gdyż Bruce nie lubił dzieci, był infantylnym skurwysynem, ale kobiety, jak wiesz, mają skłonność do pełnej zadowolenia ślepoty. Chciała go poślubić, lecz on wolał pewną piosenkarkę. Wtedy zdarzył się numer z pociągiem. I parę tuzinów innych mężczyzn w różnych miastach Anglii.

– Wondrashek – ciągnęła – miał listę z nazwiskami, czasem ją studiował, jakby dawała mu wyjaśnienie, czego Beatrix poszukuje. Chciał zrozumieć, co ją tak gna. Szczęście Beatrix leżało dość nisko...

– Podniebienie i jądra – mruknęłam, a Klara roześmiała się i oświadczyła, że podziwiała moją pamięć, która jeśli chodzi o przeszłość, jest niestety destrukcyjna, jednakże dla mojej formy pozyskiwania pieniędzy nadzwyczaj korzystna. Wiersze miłosne Brechta zgromadziłam w swojej głowie jak w spichrzu, zwłaszcza te wulgarne, które uskrzydlały dziewczęcą fantazję w okresie dojrzewania. – Co to byli za mężczyźni? – dociekałam.

– Wariaci. Pięknisie. Intelktualiści. Bogacze. Przegrani. Najrozmaitsi, nie ma żadnej nici przewodniej. Jedno doprawdy jest przedziwne: Beatrix została porzucona przez wszystkich swoich mężczyzn. Wondrashek był jedynym, od którego ona odeszła. To nie dawało mu spokoju, mężczyźni równie źle znoszą klęski, jak kobiety. Przy tym twoja matka nie wyróżniała się niczym szczególnym, była tylko piękna i miała ładny głos.

– I co? Wciąż jest piękna?

Klara uśmiechnęła się nieszczercze.

– Mogę ci pokazać zdjęcie z ostatniego raportu z Londynu. Wyobraź sobie pełną wdzięku podstarzałą kotkę, która wciąż jeszcze mruczy, ilekroć stanie przed mężczyzną. Myślę, że ona nigdy niczego nie robiła z własnej inicjatywy. Przystosowywała się do swoich kochanków, zupełnie jakby wyzbyła się własnej osobowości. Była otrzaskaną w świecie przyjaciółką jakiegoś playboya, została muzą podrzędnego malarza, przez pół roku w Szkocji udawała szlachciankę, żyła z pewnym dziennikarzem w Paryżu...

– Nienawidzisz jej, prawda?

Klara nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Beatrix starała się zawsze być przydatna dla swych partnerów, ale jej zaangażowanie zniknęło wraz z rozpadem kolejnego związku. W zależności od sytuacji stawała się radykalna lub konserwatywna, wierząca lub nie, wyemancypowana lub uległa, była po prostu

niedoścignionym wzorem mimikry. Jej obecny przyjaciel ma pub w Chelsea i w tej chwili Bea występuje w tej knajpie w roli barmanki i piosenkarki.

Te słowa paliły, słuchając ich znajdowałam w matce swoje odbicie, były lustrem, w którym niechętnie się przeglądałam. Tylko że ja robiłam wszystko nie dla mężczyzn, lecz dla siebie. I byłam oszustką jak mój ojciec. No i dobrze. Żadnych oskarżycieli, żadnych sędziów, żadnej skruchy. Beatrix postępowała jak idiotka, składając swoje talenty na ołtarzu miłości. A ołtarz jest spróchniały i poddaje się upływowi czasu. Tylko Wondrashek, mój biedny ojciec, ustrzegł się tego, ponieważ na jego ołtarzyku leżały wyłącznie fotografie i raporty detektywów, które nie były żadnym obciążeniem. I Klara ich nie wyrzuciła, ponieważ nienawidziła Beatrix.

– Czy ona naprawdę dobrze śpiewa?

Klara chciała coś powiedzieć, ale w porę rozpoznała podstępność pytania i wzruszyła ramionami. Bezgłośnie kłamstwo. Niekiedy miałam ochotę wymierzyć jej bokserki cios, jeden prosty w szczękę, ze szczególnym uwzględnieniem garnituru koron, sprawionych jeszcze w enerdowskich czasach. Bardzo białe akrylowe zęby, może zrobiłabym jej nawet przysługę.

– Ukrywasz coś przede mną, Klaro, ale dowiem się co. Możesz mi wierzyć.

Nie wywarło to na niej wrażenia. Objęła mnie ramieniem, poczułam jego ciężar, i powiedziała, że powinnam się skoncentrować wyłącznie na projekcie, tylko na nim, a potem spędzić kilka dni w Paryżu, z nią lub bez niej, wedle życzenia.

– A może w Rzymie czy Lizbonie. Albo w Wiedniu, zawsze go lubiłaś. Ale do tego czasu ma dla ciebie istnieć wyłącznie Hagen Klein. Wyobraź sobie, że ten facet to diament, który chciałabyś mieć, szczególnie cenny i piękny, i...

– Nie mów ze mną jak z łakomym dzieckiem.

– Czy powiedziałaś mu, że szef udzielił ci pełnomocnictw do wszelkich pertraktacji? Żeby przypadkiem Klein nie zadzwonił wprost do niego, pomijając ciebie.

– Tak, oczywiście – zapewniłam prędko, choć o tym szczególnie zapomniałam. – Nie martw się, wszystko pójdzie dobrze. – Jeśli nie, wezmę winę na siebie. *Mea culpa*, Klaro, nic więcej nie pamiętam z lekcji łaciny. Nie byłabym wcale tak złą uczennicą, gdyby mnie pozostawiono w jednej szkole. Internat wykluczono: Wondrashek chciał mnie mieć przy sobie, nazywał to miłością. – Hagen Klein używa co najmniej pięciu obcych słów, których nigdy nie słyszałam. Pewnego dnia zdemaskuje mnie jako idiotkę. I nie mów w ten sposób o Beatrix. Nigdy więcej.

To był pomysł Klary, aby popłynąć statkiem do Königswinter, do miejsca kiczowatego

turystycznego przepychu, nadreńsko błogiego i pełnego słodkiego wina. Teraz w milczeniu obserwowała świat przez ciemne okulary. Poniżej Smoczej Skały było niesamowicie tłoczno, głośno i handlowo. Wąskimi uliczkami przepychali się wycieczkowicze poszukujący uciech. Winiarnie wypluwały ludzi, których widok przypominał o piosenkach biesiadnych i kołysaniu się w rytm śpiewanych melodii. Z szeroko otwartych bram dolatywał zapach frytek. Jadłyśmy na dworze niedobre włoskie lody. Gdzie się podzieli genialni wytwórcy tego smakołyku mojej młodości? Wydawało się, że ich następcy czerpią z jednego garnka, gdzie po prostu wymieszano tylko cukier, tłuszcz i barwnik.

Klara wyrosła na kulinarnej pustyni, toteż pochłaniała lody nieporuszona, gdy ja tymczasem szukałam kubła na odpadki. Nie rzuca się wafla z lodami na ziemię, to jedna z reguł, których przestrzegam.

Klara zaczęła znów mówić. Ganiła rozrzutność społeczeństwa, pogłębiając się przepaść między nadmiarem i brakiem, wkraczanie form gospodarki towarowej do wszystkich dziedzin życia społecznego, z duszą ludzką włącznie. Wygłaszała monolog przed kubłem na odpadki, a ja lizałam klejące się od lodów palce. Miała słuszność we wszystkim, o czym mówiła, lecz nie pozwalała dyskutować o niejadalnych lodach ani też o tym, że jestem istotą konsumpcyjną o wygórowanych wymaganiach. Moja dusza była składem towarów z wieloma metkami. Ja, siostra Fausta, sprzedałam duszę, gdy weszłam w ślad za Geraldem w monachijskie kapitalistyczne życie. Jeśli istnieje piekło, być może wygląda jak Königswinter.

W gospodzie, którą wybrałyśmy, kelnerami byli Marokańczycy. Mówili z nadreńskim akcentem. Papierowe serwetki i plastikowe sztucce leżały na stołach, a obok, przeznaczone na odpadki, stały małe plastikowe pojemniki z wesołymi sentencjami, jakie widywałam w dwugwiazdkowych hotelach. Klara i ja znalazłyśmy się wśród holenderskich graczy w kręgle, leciwych turystów i grupki Japończyków, którzy sprawiali wrażenie obcych istot i uśmiechali się prowokująco. Pewnie uważali nas za śmieszne postacie. Może życie jest jak wycieczka do Königswinter, ale takiego nie chciałabym za żadne skarby.

Zapach frytek był tu o wiele intensywniejszy niż na zewnątrz. Klara bąknęła coś o fatalnym braku przytulności i zamówiłyśmy ser pokrojony w kostkę oraz najbardziej wytrawne białe wino, jakie proponowano w karcie. Cieszyłam się, że Klara znowu ze mną rozmawia, jeśli nawet z trudem ją rozumiałam, bo klub kręglarzy zaintonował pieśń przy reńskim winie. Kołysano się przy tym do taktu, a ponieważ siedziałyśmy w samym środku, poruszałyśmy się wraz z falą. Wyłączywszy się, snułam apokaliptyczne fantazje, że w piekle będzie się śpiewać i kołysać przez dwadzieścia cztery godziny i że będą nam serwować tam ciepłe, słodkawe wino oraz ser w kostkach przypominający gumę.

Klara chyba dobrze się bawiła, zdjęła okulary i też śpiewała. W jej spojrzeniu dostrzegano się jakby błysk triumfu, być może w ten sposób wyrażała się jej zemsta za moje pytania o Beatrix. Jeden z Holendrów, z popękkanymi żyłkami na nosie i policzkach, próbował ze mną flirtować, podnosząc ciągle kieliszek i pijąc moje zdrowie. Kiedy na to nie reagowałam, zeźlił się i zaczął mówić głośno po niemiecku o aroganckich kozach i nazistowskich przodkach. Zrobiło się nieprzyjemnie, zwłaszcza gdy wmieszała się Klara, rozpętując dyskusję o kolaboracji Holendrów z nazistami. Parę osób stanęło po jej stronie, większość jednak wyrażała sprzeciw, argumenty zaś wyrykiwano ponad stołem, bo Japończycy rozpoczęli coś w rodzaju śpiewu. Przeszłość kryła wiele zaognionych nieporozumień, teraz bowiem kilku mężczyzn podnieciło się okrucieństwami żółtków; pamięć sięgała daleko wstecz i była bezlitosna. Zapłaciłam i szepnęłam Klarze na ucho, że powinniśmy wyjść, ale nic z tego, ona chciała zostać, żadne pogwałcenie faszyzmu nie mogło się bez niej obejść, pozostawiłam więc ją postaciom podziemnego świata i opuściłam winiarnię po kamiennych niewygodnych schodach.

Wróciłam do Bonn taksówką, aby uniknąć towarzystwa turystów płynących statkiem po Renie. W południowej części miasta wstąpiłam do knajpy. Towarzystwo było tu młode, oziębłe i niepatriotyczne. Przegrywająca stolica nie wyróżniała się elegancją czy luksusem i wydawała się nieco zgnębiona tym, że znów stanie się małym miastem w Niemczech. Michael, kiedy chciał sławić miasto, używał określenia „przytulne” – słowa, które można również uznać za okropne. Michael był typem bez wysiłku przyciągającym kobiety. Miał dwadzieścia jeden lat, studiował w konserwatorium i wierzył, że zostanie sławnym skrzypkiem. Kochał mnie długimi, równomiernymi posunięciami i dochodził do *fortissimo* mniej więcej we właściwym momencie. Był przystojny, bez zahamowań i nie przeszkadzało mu to, że jestem niemuzykalna. Nocny portier policzył mi za dwuosobowy pokój, to mi się jednak opłaciło. Tylko raz pomyślałam o Klarze, o tym, czy znów wdała się w bójkę. Ta myśl pojawiła się tuż przed zaśnięciem, z kimś obcym przy boku, kto smacznie spał i nie chrapał. Rano wymówiłam się od wspólnego śniadania. Pozostałam w łóżku, podczas gdy Michael brał prysznic i ubierał się, a kiedy mnie pocałował na pożegnanie, obiecałam do niego zadzwonić. Seks i kłamstwo zgodnie idą w parze.

ROZDZIAŁ 11

Plastikowe palmy na tle lustrzanych ścian, wykładzina dywanowa w kolorze morskiego błękitu, akwarium w kształcie muszli i bladozielone meble bez odrobiny elegancji. Pomieszczenia „Creatixu” działały na klienta niczym egzotyczne kartki pocztowe; wrażenie to potęgowały piękne kobiety – równie jak kartki nienaturalne. Asystentka Hagen Kleina była wytwornie odzianym chudzielcem, bardzo jasną długonogą blondynką, dziełem doskonałym, poczynając od białych zębów, a na obuwiu kończąc.

Tego rodzaju kobiety otaczały Grete Meyer, która przybyła do Düsseldorfu, aby poznać spoty reklamowe, projekty plakatów i multimedialną prezentację przedstawioną przez Kleina z profesjonalną siłą przekonywania, gdy tymczasem kreatywne kobiety śledziły uważnie ruchy jego warg. Król przemawiał do ludu, geniusz pozwolił nam pić małymi łykami ze swego potoku myśli, a ściany odbijały nasze wzruszenie. Rozbolała mnie głowa.

Na stole konferencyjnym leżało sześć telefonów komórkowych należących do sześciu kobiet. Przez panoramiczne okno wpadały promienie słońca, lecz klimatyzacja zapewniała przyjazną dla klientów temperaturę. Perfekcja była magicznym zaklęciem, panowaniem sztuki nad naturą, i nie wypadało dostrzegać, że długie róże w niebieskim wazonie są prawdziwe.

Z plakatów uzupełnionych zręcznymi sloganami, odnoszącymi się do aktualnych tematów politycznych, uśmiechał się przewodniczący partii. Na jednym widniał napis: „Z miłości do Niemiec”. Hagen Klein mówił o emocjonalnych podtekstach, a fotografia na plakacie nasuwała mi na myśl rekina tuż przed pochwyceniem zdobyczy. W akwarium ryby o tęczy barwach zataczały kręgi i zderzały się ze szklanymi granicami swego bytu. Na plastikowych palmach wisały plastikowe orzechy. Jedna z kreatywnych kobiet zakasłała i mówca skarcił ją gniewnym spojrzeniem. Nosila zrobione z diamentowych okruców kolczyki w kształcie księżyców, które chętnie bym jej zdjęła. Emocje, uczucia, serce: znamy to wszyscy od czasów „Casablanki” i „Bezsenności w Seattle”. Uśmiechaliśmy się wtedy, bywało, że przez łzy. Kobiety i starcy nigdy nie wybiorą czegoś, czego nie rozumieją. Przyjęliśmy to stwierdzenie do wiadomości, bo nie nas dotyczyło. My byliśmy młodzi i zdolni i pięliśmy się w górę. Zręcznie tuszując swoje niedostatki, zjednywaliśmy sobie ludzi

ogładą towarzyską i umiejętnym używaniem języka. Głupcami są zawsze inni.

– Szkoda, że on nie wygląda jak Richard Gere – ubolewała moja sąsiadka, a Hagen Klein przekonywał, że przy dobrym oświetleniu i z dobrym fotografem można wiele zdziałać. Ktoś zaproponował nową fryzurę dla przewodniczącego partii, dyskutowano również o okularach. Poprosiłam o tabletki od bólu głowy, które natychmiast przyniesiono, trzy rodzaje do wyboru, i wodę w przestylizowanej szklance ze srebrną łyżeczką. Czy w „Creatiksie” zażywano pigułki posługując się łyżeczką? Witaminy, pigułki piękności, pigułki na uspokojenie, środki podniecające, pigułki przeciwko starzeniu się bądź niepowodzeniom?

Hagen Klein przerwał dyskusję, aby zapytać o moje pierwsze wrażenie. W pokoju zrobiło się cicho, ja zaś zapaliłam papierosa, aby zaspokoić swoje skromne sadystyczne skłonności.

– No cóż...

Po twarzy przemknęła mu fala paniki, z trudem zdołał ją opanować. Nerwowy tik lewego oka. Asystentka przez ułamek sekundy wyglądała na wściekłą, nim zmusiła piękne wargi do uśmiechu. Któryś telefon pisnął i każdy sięgnął po swoją komórkę, jakby była ostatnią deską ratunku. Dzwoniła jednak Klara jako sekretarka federalnego szefa do spraw organizacyjnych. Powiedziałam jej, że mój szkic przemówienia może przedłożyć w otrzymanej formie, i dodałam, że spotkanie przebiega zadowalająco.

Widziałam, jak im ulżyło. Natychmiast zrobiło się swobodniej. Jednakże nie wypadało im okazywać radości, to byłoby nieprofesjonalne. Zakończyłam rozmowę i zwróciłam się do Kleina:

– Muszę za kwadrans wyjść, dlatego będę się streszczać. Myślę, że projekt w tej czy podobnej formie mógłby się spodobać kierownictwu. Emocjonalny i jeśli pan pozwoli, równocześnie konwencjonalny *design* odpowiada całkowicie upodobaniom mojego szefa. Osobiście mam pewne wątpliwości co do *headline'u*. „Z miłości do Niemiec”, to brzmi ujmująco i zawiera odpowiedni ładunek patriotyzmu, ale zarazem jest trochę banalne, nie sądzi pan?

Dwie kreatywne postacie przytaknęły skwapliwie, a Hagen Klein wyciągnął następny plakat ze swego magicznego kapelusza:

– Ma pani rację. Dyskutowaliśmy na ten temat i szukaliśmy alternatywy. Co pani myśli o tym?

Rekin z żoną i dziećmi, w tle przyroda. Slogan: „My jesteśmy przyszłością”.

Spojrzeli na mnie oczekująco, a ja powiedziałam:

– Bardzo ładne. Także coś dla duszy. Ale to brzmi zbyt ogólnie i nie odróżnia nas

wyraźnie od innych partii, nie uważają państwo?

Zgodzili się.

– Potrzebny nam określony wizerunek, to absolutnie konieczne – powiedziała kobieta w typie dyrektora. Włosy miała ufarbowane na rudo i wзираła z niej zmysłowa kobiecość i bezlitosna męska twardość. Ciało zahartowane na siłowni zaprogramowano na wieczną młodość; oceniałam ją na trzydzieści osiem lat. Rozwiedziona, samotna, z kotem i kabrioletem, w wiecznej pogoni za sukcesem, uznaniem, seksem, przyjemnością, podziwem, zmianą. Każda zmarszczka klęską, każdy mężczyzna trofeum, każdy sukces lekiem na depresję. Istniała tylko jedna osoba w tym pokoju, której dane było z wdziękiem się starzeć: Hagen Klein.

– A może to? – Klein podniósł w górę jeszcze jeden plakat. Rekin z półprofilu, zamyślony. Slogan: „My nie mamy problemów. Tylko rozwiązania”.

Spojrzeli na mnie, jakbym miała im teraz obwieścić, że Bóg istnieje. Powinien nazywać się Hagen Klein i otrzymać zlecenie na obsługę reklamową kampanii wyborczej. Uznałam, że tę rundę poprowadziłam bardzo dobrze, lecz na zakończenie nie powinnam oszczędzić uznania.

– Podoba mi się. Bardzo precyzyjne. Prawie oryginalne.

Klein promieniał:

– Slogan sygnalizuje siłę i kompetencję. To mój faworyt, ale niektóre nasze panie uważają, że powinniśmy wnieść więcej serca. Nie należy wyborców nie doceniać, powiadam zawsze. Od polityki oczekują jasności, zdecydowania i przejrzystości.

Język jest jak prostytutka, każdy może go dowolnie wykorzystać. Obecne panie przyjęły słowa Kleina bez sprzeciwu. Ruda zaproponowała zdjęcie ze zwycięskim uśmiechem jako lepiej pasujące do omawianego sloganu, lecz sprzeciwiłam się, twierdząc, że przewodniczący partii czuje się dobrze w pozach intelektualisty.

– Ja tutaj nie mam prawa decydować. Mogę tylko poinformować, w jakim kierunku zmierza myślenie mojego szefa i naturalnie całego zarządu. Ostatnia kampania wyborcza była...

– ...bardzo nieudana, jeśli pozwoli pani na tę uwagę. Proszę nie traktować tego jako krytyki konkurencji. – Klein miał talent polityka, potrafił z całą szczerością utopić prawdę w mulistej kąpielii kłamstwa. Kim byłam ja, aby to potępiać?

– Nie przeczę. Wynik wyborów był też odpowiednio do tej kampanii druzgocący, jak wszyscy wiemy. Właśnie dlatego tym razem wybraliśmy nowe, świeże, niewykorzystywane dotąd agencje, aby odnieść sukces. I wierzę, że stawiając na pana, dokonaliśmy bardzo

dobrego wyboru. „My nie mamy problemów. Tylko rozwiązania”. To jest znakomite! Trafia w ducha czasów.

Ruda popatrzyła na Kleina triumfująco i już wiedziałam, że to ona wymyśliła slogan. Gdyby otrzymali zlecenie, zażądałaby podwyżki. Prawidłowe rozumowanie przegra niestety z rzeczywistością. Prawie jej współczułam, ale zarówno w tym konkretnym przypadku, jak i w innych moja litość utrzymywała się w rozsądnych granicach.

Nie przyjąłem zaproszenia na obiad, wróciłam pociągiem do Bonn. W wagonie siedzieli mężczyźni z aktówkami, telefonami komórkowymi i dyktafonami, bardzo szarzy w tonacji, ale przeniknięci znaczeniem, jakie sobie przypisywali w kapitalistycznej strukturze. Czy wspominałam już, że ludzie, czy to na ulicy, czy to w zamkniętym pomieszczeniu, unikają zetknięcia się wzrokiem? Spojrzenie lub uśmiech pozbawia ich poczucia bezpieczeństwa, niektórzy spuszczają oczy, inni zerkają przez okno albo w dokumenty. Myśleli pewnie, że jak na dziwkę ubrana jestem zbyt konwencjonalnie. A może brali mnie za debilkę, co nie potrafi opanować szczytów zębów? Niemcy są poważnym krajem, w którym pociągi jeżdżą prawie zawsze punktualnie. Pasażerowie opierają się na poduszkach osłoniętych pokrowcami, a konduktorów, którzy kontrolują bilety, karzą zamawianiem kawy. Degradują ich do pozycji kelnerów, a oni nienawidzą balansowania obładowaną tacą w wąskich korytarzach. Gdyby wybuchła rewolucja Klary, konduktorzy i kelnerzy trzepnęliby natychmiast talerzami i filiżankami, małymi butelkami mineralnej i dzbankami z miętową herbata, aż wszystkie koła pociągu stanęłyby w miejscu. Powinno by się wtedy rozstrzelać najpierw mężczyzn w brązowych butach, potem noszących złote łańcuszki, następnie tych, którzy w wypełnionym do ostatniego miejsca wagonie ryczą „Halo, halo”, gdyż połączenia telefoniczne są nieustannie przerywane. Później facetów w żółto nakrapianych krawatach. Po nich wszystkich w skarpetkach w kratkę. I w końcu konduktorów, rewolucja bowiem pożera także własne dzieci. W moim wagonie pozostałyby trzy kobiety: starsza pani, która rozwiązywała krzyżówki, śpiąca młoda dziewczyna i ja.

Idealne państwo, jeśli założymy, że kobiety są lepsze. Mężczyzna siedzący naprzeciwko mnie należał do „brązowych butów”; spał i może śnił akurat, że wchodzi na ring z dwoma nagimi kobietami bokserami, ponieważ uśmiechał się błogo i tak czule, jak tylko dzieci i śpiący potrafią. Gdy tuż przed Bonn odezwał się głośnik, zbudził się przestraszony. Wciąż żywy, czego jednak nie umiał docenić.

Klara wyszła po mnie na dworzec. Miała na sobie spodnie za obcisłe do swoich bujnych kształtów i długi płaszcz przeciwdeszczowy, którego nigdy nie zapinała, ale i nie zdejmowała przy słonecznej pogodzie. I naturalnie okulary. O wieczorze w Königswinter

nigdy nie rozmawialiśmy, bo Klara wróciła stamtąd fizycznie nienaruszona. Dworce to miejsce zetknięcia z wrogiem, zderzenia klas, ras i generacji, w pośpiechu lub nudzie, przy barykadach zbudowanych z walizek i wózków bagażowych. Klara potrafiła wszystko zręcznie wyminąć, a ja dreptałam za nią ku postojowi taksówek, gdzie rzecz jasna nie czekał ani jeden pojazd, poszliśmy więc do hotelu pieszo. Okolice bońskiego dworca, podobnie jak w innych miastach, jest wielokulturowa, toteż Klara trzymała torebkę mocno i szła czujnie, podczas gdy ja zdawałam sprawozdanie.

W NRD i otoczeniu Wondraschka nie spotykało się żadnych zagrażających komuś biedaków, nie było twarzy, na których widniało wyraźnie, że ich właściciele zostali przez życie skrzywdzeni i teraz żądają skórzanych kurtek od znanych projektantów mody i firmowych butów dla wszystkich. Rewolucja kolektywnej chciwości dawno przywędrowała do miast, międzynarodówka konsumpcji, dlatego posiadacze odwracali wzrok i schodzili nędzarzom z drogi, aby jak najszybciej dotrzeć do swoich twierdz, gdzie czuli się w miarę bezpiecznie.

Bawił mnie strach Klary, nawet jeśli swoją nieustraszoną miałam za głupotę. Opowiedziałam Klarze o Monako, gdzie bogacze i ludzie zamożni bezwstydnie demonstrują we własnym gronie swe bogactwo. Ubóstwo surowo wzbronione!

– Może powinniśmy tam pojechać, jak myślisz? Mogłabyś przez całe życie studiować z bliska wrogów klasowych, nie obawiając się o swoją torebkę.

– Jako teren łowów byłoby to niezłe miejsce. Ale musiałabyś poprawić swój francuski, jest okropny.

– A ty musiałabyś się go nauczyć. Twój rosyjski, Klaro, już nam nie pomoże. Poza tym jestem głodna.

– Jesteś głodna non stop z wyjątkiem poranków. Odkryłam piękną restaurację naprzeciwko sądu, chyba ci to nie przeszkadza. Dlaczego nie poszłaś na obiad z Kleinem?

– Bo lubię jeść, a konieczność maskowania się psuje mi przyjemność. Poza tym nie było takiej potrzeby, owinęłam go sobie wokół palca. Za dwa dni przywiezie projekty do Bonn.

– Dlaczego ty nie pojedziesz do niego? Dlaczego zawsze ryzykujesz?

– Nie zrozumiesz tego, Klaro. Gdybym pragnęła bezpieczeństwa, pracowałabym jako ekspedientka, barmanka czy kelnerka. Kieruje mną nie tylko żądza pieniędzy. Sprawia mi radość oszukiwanie mężczyzn. Tak po prostu. Mam do tego predyspozycje, odpowiedni wygląd i brak mi moralnych skrupułów. „My nie mamy problemów. Tylko rozwiązania.”

– Co to za bzdury?

– Nowy slogan stworzony przez „Creatix”. Co o nim sądzisz?

– Czysta arogancja. Niedołęstwo umysłowe. Latrynowe hasło.

– No cóż, my nie musimy z czymś takim wygrywać żadnych wyborów, prawda? Wyobraź sobie, jaki dobry uczynek zrobimy, chroniąc partię przed tego typu kampanią. Przebiorę się teraz i spotkamy się w holu. Mam ochotę co najmniej na sześć dań, może homar na soczewicy, a potem wołowina w galarecie z buraczkami i...

Klara nacisnęła guzik windy i złamała sobie paznokiec. Miała talent do ściągania na siebie małych i dużych nieszczęść. – Ty, Felicitas, albo się roztyjesz, albo skończysz za kratkami.

– Albo kupię sobie dom w Monako. – Wsiadłyśmy do windy i pojechałyśmy na górę.

„Zaszłam dość wysoko” – pomyślałam. Moją szafę ubraniową wypełniał kaszmir i jedwab i mogłam sobie pozwolić na figi za dwieście marek. Drogie, choć bezwartościowe rzeczy, które mnie otaczały, były miłymi towarzyszami życia. Pewnego dnia, kiedyś, gdzieś, stworzę sobie piękny dom, bo nie chcę skończyć tak jak Wondraschek czy Beatrix. I raz na zawsze rozstanę się z Klarą. Znajdę sobie jakiegoś miłego mężczyznę. Albo psa. I już żadnych kłamstw, no, może tylko te najniezbędniejsze. Chińska kucharka, która mogłaby również być masażystką. I wielka zamykana brama, aby mnie strzegła przed chciwością innych.

Hagen Klein dostarczył swoje projekty do prezentacji punktualnie, a ja w holu centrali partyjnej przekazałam mu wiadomość, że federalny szef do spraw organizacyjnych niestety nie może go osobiście przyjąć. Nagle musiał się stawić w urzędzie kanclerskim – ja również mam niewiele czasu.

Był rozczarowany. I troszeczkę nieufny. Pozdrowiłam deputowaną do Bundestagu, która zgodnie z oczekiwaniem odpowiedziała na pozdrowienie. Teka prezentacyjna wielkości plakatu, ozdobnie zawiązana, leżała między nami na stole.

– Wiem, że pan chętnie przedstawiłby swoją koncepcję osobiście. Tak zresztą było zaplanowane, ale polityczne terminy nieubłaganie gonią. Jeśli to pana pocieszy, mój szef jest zachwycony sloganem, który mu już zdradziłam. Zasadnicze nastawienie jest bardzo, bardzo pozytywne.

Obok nas szybkim krokiem przechodził przewodniczący frakcji. Jemu też skinęłam zuchwale głową. Poszedł dalej, potem jednak zatrzymał się i skłonił głowę w pozdrowieniu. Kimkolwiek byłam, okularnik nie mógł wykluczyć, że jestem ważną personą.

– Tego również pozyskamy dla naszej linii – szepnęłam do Kleina, który tymczasem odzyskał rutynowy uśmiech.

– Pani jest chyba osobą o ogromnych wpływach. Mam rację?

Wzruszyłam skromnie ramionami.

– Jutro, najpóźniej pojutrze przekażę panu wiadomość. Gdy tylko szef będzie miał chwilę czasu, omówię z nim prezentację i przedstawię na najbliższym posiedzeniu zarządu.

Podniósł moją dłoń do ust i złożył na niej delikatny pocałunek. Cofnęłam rękę i powiedziałam:

– To nie było potrzebne.

– Ależ tak, moja droga. Pani jest zachwycająca. Najładniejsza szara eminencja, jaką kiedykolwiek spotkałem. I proszę, żeby pani znalazła czas na skromny obiad ze mną. Lub przynajmniej na kieliszek szampana.

Spojrzenie bez wątpienia wyćwiczył. Przypuszczalnie stał rano przed lustrem, rozmyślając o lukratywnych zleceniach. I patrzył na siebie oczyma wyobraźni: Hagenie Klein, jesteś mężczyzną odnoszącym sukcesy, którego kochają kobiety. Dynamicznym typem w kwiecie wieku. Ulubieńcem bogów. Musisz na nią tylko spojrzeć, poważnie i z przejęciem, wzniesć katedrę erotyzmu, w której ona uklęknie i...

– Czy zdołałem panią namówić?

Spuściłam wzrok na czarne mokasyny z pomponikami.

– Tak, ale posiedzenie zaczyna się za... – rzut oka na zegarek – dwadzieścia minut.

Innym razem.

– Ma pani rację, Greto. Powinniśmy uczcić nasz wspólny sukces. Może w mojej posiadłości weekendowej na Ibizie? Całkiem niewinnie i miło.

To wyszeptał mi do ucha. Nienawidziłam, gdy ktoś przysuwał wargi do mego ucha. Gerald robił to często, aby mi w towarzystwie szeptać sprośności. Niesłychane sprośności. Uważał to za podniecające. Trzy lata z Geraldem nauczyły mnie wszystkich słów, które w tej dziedzinie istnieją, nie sądzę, żeby jakieś opuścił. Bogaty w słowa seks. Nie żeby robił wszystko, o czym mówił. Jego erotyczne fantazje były programem komputerowym, który sterował ćwiczeniami gimnastycznymi. A co kryło się za „niewinnie i miło” w weekendowej posiadłości Hageny? Cofnęłam się i Klein się przestraszył. Ujął moją rękę.

– Proszę mnie źle nie rozumieć. Nie miałem na myśli nic ponad to, co powiedziałem – gest przyjaźni i wdzięczności. I proszę mi mówić Hagen. Będę szczęśliwy.

Kiwnęłam głową nieśmiało i powściągliwie, cofając jednocześnie rękę.

– Zobaczymy. Bitwa nie jest jeszcze wygrana... Hagenie.

– Z pani pomocą zwyciężymy. Jestem o tym przekonany.

Portier spojrział w naszą stronę i uznałam to za sygnał, aby scenę zakończyć. Powiedziałam Hagenowi, że do niego zadzwonię. Sięgnęłam po tekę, która była nadzwyczaj nieporęczna. Klein ruszył sprężystym krokiem do wyjścia, odwrócił się jeszcze, by mi pomachać. Hagen i Greta, zjednoczeni w kłamstwie i udawaniu. Obdarzyłam portiera promiennym uśmiechem i poszłam do windy. Dziecinna gra, prosta i genialna. Klara miała rację. Teraz pozostało tylko zebrać owoce naszej pracy.

Pojechaliśmy do Kolonii, kupiłam Klarze dwie pary butów i kapelusz, a dla siebie parę drobiazgów. W kapeluszu, okularach i trenczu wyglądała jak tragiczna postać z romansu, ukochana Sartre'a na przykład. Zainspirowana przebraniem Klara zaczęła pogwizdywać za mężczyznami, co uznałyśmy za niezwykle zabawne, natomiast zaskakiwani przez nas faceci raczej nie. Tylko młodzi odwracali się czasem ze śmiechem, któryś zatrzymał się i spytał, czy pracujemy dla telewizji, czy robimy jakiś kobiecy program z ukrytą kamerą. Klara wyjaśniła mi, że prowadzimy naukowe badania zachowań mężczyzn w niezwykłych sytuacjach. Uwierzył jej. Im bardziej nieprawdopodobne jest kłamstwo, tym chętniej ludzie w nie wierzą. Myślą bowiem nie wprost, lecz meandrami. Stali się nieufni i dlatego łatwowierni.

– Mężczyźni to myśliwi – powiedziała Klara. – Nieciekawi jako zdobycz.

– Traktuję ich właśnie jak zdobycz.

– No tak, polować jest prościej, niż uciekać. Kłamstwo jest prostsze niż szczerłość. Oszukiwać jest prościej, niż być uczciwym. Kraść jest prościej, niż pracować. Robisz się diabelnie prosta, czarodziejko.

Zagwizdałam za plecami faceta z aktówką. Odwrócił się przestraszony. Pomachałam mu ręką, a on uciekł na drugą stronę ulicy. Ukochana Sartre'a roześmiała się.

– Zawsze czegoś szukam. Poszukiwanie nowości tkwi w moim poczuciu wolności. Mężczyzna tego nie rozumie.

– Ja też cię nie rozumiem, Klaro. Co innego masz w sercu, co innego na języku. A siebie uważam za bardzo uczciwą oszustkę.

Stałyśmy przed katedrą – dwie kobiety z torbami zakupów, kobiety, od których mężczyźni uciekali, moim zdaniem słusznie. Klara przytrzymała kapelusz, by nie porwał go wiatr, i popatrzyła w górę.

– Nie jest piękna. Budzi trwogę. Takie budowle napawają mnie strachem. I nie masz racji. Niekiedy myślę kontrrewolucyjnie. Natomiast z sercem u mnie wszystko w porządku.

Przeważnie. Nikomu nie udaje się koordynować tego w stu procentach. Wondraschek był w tym dość dobry. Niech Bóg będzie łaskaw dla jego duszy.

– Czy to dowcip?

– Jasne. – Klara zdjęła okulary i zobaczyłam, że płacze. Bardzo powściągliwie, nie szlochała, jedynie kilka łez płynęło jej po policzkach, rozmazując tusz. Biedna stara Klara, brakowało jej Wondraschka. Ja byłam tylko namiastką.

– Okłamałam cię – oznajmiła Klara. – Nie umarł spokojnie, zdychał nędznie. Dwa dni walczył ze śmiercią, coś w nim nie chciało umrzeć. Krzyczał i płakał, rzucał się i w rezultacie musiano go przywiązać do łóżka. Czasem wypowiadał jej imię... i twoje. Mnie w agonii nie rozpoznawał. Do samego końca byłam na niego wściekła. A raczej na siebie, bo nie mogłam na niego patrzeć w tym stanie. Ostatni akt był potwornie żaloszny i zupełnie wyzuty z godności. Myślałam, że tego nie wytrzymam, lecz zostałam przy Wondraschku do końca. Lata temu – mówiła dalej – kiedy strzelano do nas podczas ucieczki podkopem, Manfred upadł i już się nie podniósł, a ja raz tylko się odwróciłam i pobiegłam dalej. W takich sytuacjach nie ma czasu na zastanawianie się. Nie wiedziałam, czy został zabity czy tylko ranny, ale biegłam ku światłu na końcu tunelu. Manfred był moim narzeczoną. Powinnam była zawrócić i wlec go z sobą. Nie zrobiłam tego. Pojęłam swój błąd dopiero wtedy, gdy znalazłam się na zewnątrz, dostałam koc, kieliszek wódki i stałam się bohaterką.

Klara patrzyła na mnie, jakbym miała udzielić jej rozgrzeszenia. Trzymała mocno kapelusz, bo bardzo wiało. Potem włożyła na powrót okulary.

– Nie byłam lepsza niż ci, co strzelali. Później przeczytałam, że „zdrajca ojczyzny” został zabity w czasie ucieczki i popłakałam się z radości. Śmierć Manfreda była dla mnie usprawiedliwieniem, ponieważ w tych okolicznościach należało biec dalej bez niego. A może jednak nie?

Nie wiedziałam. A Klara musiała przecież zdawać sobie sprawę z tego, że nie znam wielu odpowiedzi.

– I co to ma wspólnego z moim ojcem?

– To mój drugi akt tchórzostwa. Kiedy Wondraschek się dowiedział, że nie zostało mu już wiele czasu, poprosił, abym przemyciła do więzienia truciznę. Nie chciał powoli i nędznie umierać. Obiecałam mu, że to zrobię, lecz nie dotrzymałam słowa. Założyłam, że ci przekłęci lekarze więzienni się mylą i że jednak wyjdzie z choroby. Pocieszałam go, wierząc w cudowne ozdrowienie. Nie miał wyboru, ja tak. W ostatnich dwu dniach wiedziałam już, że się pomyliłam. Wondraschek miał rację. Trzeba własną śmierć zainscenizować samemu, jeśli chce się oszczędzić sobie okropieństw agonii.

Przypomniały mi się beztrioskie dni w Wenecji. Pomyślałam, że tak naprawdę nie próbowałam dodzwonić się do Klary. Ten unik oszczędził mi widoku ojca walczącego ze śmiercią. Każda wina sama w sobie jest niezmierną, ale w kontekście wydarzeń staje się nieistotna. Skończyłam dwadzieścia sześć lat i żyłam terazniejszością o wiele bardziej niż Klara. Ona wlokła za sobą ciężar podjętych decyzji niczym uciążliwy bagaż, którego nigdzie nie mogła zostawić. Nie miałam do zaoferowania Klarze żadnej pociechy, jedynie swoje współczucie.

Objęłam ją i stałyśmy tak przed ogromną kolońską katedrą. Kochałam Klarę, bo mimo wszystkich kłamstw była najbardziej prawym człowiekiem, jakiego znałam. To Klara pocieszała mnie, samotne dziecko, gdy opuszczaliśmy kolejne miasto. Brechtem, kakao, wspólnym śpiewaniem „Międzynarodówki”. Ojciec zawsze zatykał sobie wtedy uszy. Nigdy nie słuchał tego, czego nie chciał słyszeć. Każda utrata szkolnej przyjaciółki, następująca wraz z przeprowadzką, łamała mi serce. „Nie spoglądaj nigdy wstecz” – mówiła Klara, kiedy odjeżdżaliśmy.

Ona to jednak robiła.

Sześć dni po wyprawie w przeszłość Klary spotkałam się z Hagenem Kleinem w kilkugwiazdkowym zamku dla rycerzy z dużymi pieniędzmi. Wielkie interesy rzucają cień, powodujący piramidalne krygowanie się. Giermkowie usługiwali z bezgłośną elegancją, a goście siedzieli skrupowani zbroją swego społecznego znaczenia. Kpina i podziw nie wykluczają się. Kieliszki były od Riedla, a porcelana od Rosenthala. W menu dla pań nie podawano cen, stąd wniosek, że właściciel wiedział, iż najwyższych pięter niemieckich przedsiębiorstw nie reprezentują kobiety. Towarzyszące mężczyznom panie to przeważnie blondynki, ja byłam jedyną czarną owcą. Hagen Klein zbladł przy karcie win, kończyła się bowiem dziesięcioma tysiącami marek za butelkę burgunda. Opowiedziałam się za ośmiodaniowym menu, słusznie przewidując, że porcje będą bardzo małe.

Z argumentem, że syci także kielbaska z rusztu doprawiona curry, nigdy się nie zgadzałam. Konsumpcja na stojąco plastikowym widelcem z tekturowego talerza była dla mnie prawdziwą gehenną. Posiłek za nieprzyzwoitą cenę symbolizował status, tak samo jak samochód średniej klasy przed własnym szeregowcem. Głodujące dzieci pozostawały poza sferą moich zainteresowań, podobnie jak włóczędzy grzebiący w odpadkach. Nie widziałam tu związku. Czy zjadacze kielbasek z curry są lepszymi ludźmi? A piwosze politycznie bardziej poprawni od pijących czerwone wino? Gdyby doszło do wielkiego rozdawania z

Klarą na czele ruchu, niewykluczone, że rzucałyby kawior w powietrze, aby każdy mógł złapać ziarnko. Ci od kielbasek z curry zatrzymałyby ją, broniąc *status quo*, zrozumiałego, choć nie do pochwalenia. Nie miałam nic przeciwko założeniu, że wszyscy są równi: w chciwości, w żądzy i strachu, w zdolności do dobra i zła. Dalej dzielił wygląd, język, wykształcenie, dochody, symbole statusu. Lubiłam świat bogatych. Także jedzenie było w nim lepsze.

Hagen, który z powagą konesera przestudiował kartę win i zdecydował się na taniego burgunda, postąpił roztropnie, ponieważ ten wieczór miał go jeszcze sporo kosztować. Sommelier mówił z francuskim akcentem, a tak zwane „pозdrowienia z kuchni” składały się z delikatnych listków sałaty z przepiórczym jajem. Hagen powiedział mi, że wyglądam czarująco, a ja odparłam, że mam słabość do żółto nakrapianych krawatów na czarnym tle. Po wstępnych uprzejmościach przeszłam do rzeczy:

– Mam dobre i złe wieści z Bonn.

Tortura. Kropelki potu na górnej wardze. Oko skłaniało się już do tików. Podniosłam kieliszek szampana, nóżka była za długa i trzymany u dołu prawie się przechylał.

– Mamy mały problem. To jest zła wiadomość. Dobra: zarząd jest bardzo zadowolony z pańskiego projektu kampanii. Świeży. Pozytywny. Prosty. Między nami mówiąc: wiemy, że jedną kampanią nie można przekonać wszystkich. Ale jest adresowana do niezdecydowanych i zmiennych wyborców. Być może powinniśmy jeszcze rozszerzyć serię plakatów o którąś z naszych deputowanych. Dyskutowano o tym, przy czym panowie z zarządu życzą sobie, żeby wybrać osobę najatrakcyjniejszą. Pomyślałam o przewodniczącej komisji socjalnej. Jest bardzo fotogeniczna.

Tortura drugiego stopnia. Gdy mówiłam o rzeczach mało istotnych, Klein zastanawiał się gorączkowo nad tym, gdzie może tkwić haczyk. Przysłuchując się uważnie, posyłał do diabła całą gadaninę Greta Meyer. Za jego uśmiechem krył się strach, że straci lukratywne zlecenie. Obluda jako druga twarz była znakiem firmowym człowieka sukcesu.

Dopiero przy daniu głównym zaczęłam mówić o „naszym małym problemie”. Hagen pił dość szybko, tak że kończyła się już druga butelka.

– To co teraz panu powiem, musi pozostać między nami. Mogłoby mnie to kosztować utratę pracy, szczerze mówiąc nie wiem, dlaczego się w ogóle tak angażuję. Może dlatego, że protekcjonizm budzi we mnie coraz większe obrzydzenie. Bo zasadniczo prezentacja „Creatixu” pokonała konkurencję. To nie ulega kwestii. Decyzja by zapadła już na ostatnim posiedzeniu, gdyby przewodniczący frakcji nie wystąpił z protestem.

Hagen postawił kieliszek zbyt mocno na stole i kilka kropel czerwonego wina prysnęło

na obrus.

– Czemu, do diabła? *Pardon*. Widzi jakiś problem?

– Och, wiele. Ma niekochaną żonę i syna, którego uważa za fajtłapę. Ale ponadto ma byłego szkolnego kolegę, właściciela konkurencyjnej firmy, biorącej udział w konkursie ofert. To jest, Hagenie, nasz problem. Ponieważ przewodniczący opowiada się twardo za projektem tamtego, może czyni to z przyjaźni, lojalności, a może projekt faktycznie przypadł mu do gustu. Wszystko jest możliwe, bo tamta koncepcja wcale nie jest zła, tego niepodobna powiedzieć. Natomiast wpływu przewodniczącego frakcji na członków zarządu nie da się zlekceważyć. Może ich przekonać. Bo ma przekonujący argument.

Kawałek sarniny, nabity na widelec, zawisł w powietrzu. Pojawił się nerwowy tik w lewym oku.

– Jaki?

– Odrobinę za twarda ta sarnina, nie sądzi pan? Chociaż rzeczywiście smaczna. Pół miliona.

– Ta świnka dała mu pół miliona łapówki? Kto to jest?

Opróżniłam talerz i chwilę się jeszcze ociągałam, aby pozostająca w zawieszeniu sarnina dotarła do miejsca przeznaczenia.

– Tego nie mogę panu powiedzieć, naprawdę. I nie jest całkiem tak, jak pan myśli. Pański konkurent obiecał staremu szkolnemu przyjacielowi, przewodniczącemu frakcji, że przekaze pół miliona marek do partyjnej kasy, jeżeli otrzyma zlecenie. Skalkulował zresztą koszty o trzysta tysięcy wyżej niż „Creatix”, darowizna więc prawie się w tym mieści.

Hagen gwałtownie przełknął. Ten człowiek nie umiał docenić wyśmienitego jedzenia. Za opalonym czołem przesuwały się kolumny liczb, dokonywały się kalkulacje i analizy rozpiętości zysków.

– Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, jakie ryzyko ponoszę, przekazując tę poufną informację?

Reklamowy uśmiech. Był bliski tego, by spytać, jaka jest moja cena, powstrzymał się jednak i chwycił kieliszek z winem, aby zyskać na czasie.

– Jestem pełen uznania dla takich kobiet jak pani: z sercem, rozumem i zasadami. Podziwiam panią, Greto. Ale pół miliona to dużo pieniędzy.

– Można by pomyśleć o jakimś uzupełnieniu kalkulacji.

Sprzątnięto mój pusty talerz. Zapaliłam papierosa sama, nim kelner zdołał podać mi ogień. Bardzo mi się podobała popielniczka, pomyślałam o tym, żeby ją zabrać. Ją i... pół miliona marek.

– Świat jest zły – powiedział Hagen Klein, jakby zdumiony tym odkryciem.

– Niekonały, podobnie jak finansowanie partii. Wszyscy żyjemy z tego, że duże zlecenia są związane z darowiznami. Każda porządna firma ma milionowy budżet na takie wydatki. Bez tego z trudem coś się udaje załatwić w tym kraju. Niech pan tylko nie mówi, że pan o tym nie wie.

Rozmyślał, przypuszczalnie nie o Platońskim idealnym wzorcu państwa, lecz o tym, jak mógłby do kalkulacji wprowadzić dodatkowo pół miliona. Zaserwowano deserową kompozycję: karmelizowany pączek napęczniony lodami i jagodami. Smakowało to wybornie, przysunęłam więc do siebie talerz Hagen, bo nie tknął przysmaku. Przyglądał mi się, jak jadłam, zamyślony i milczący. Bawiłam się myślą, że może spasować. Klara, kramarska dusza, opowiadała się za trzystoma tysiącami, ale ja forsowałam swoje. Pół miliona to taka ładna, okrągła sumka, co prawda bolesna, lecz nie rujnująca. Lada moment miało się rozstrzygnąć, czy Hagen gotów jest podjąć ryzyko.

– Jaką miałbym gwarancję, gdybym wyraził gotowość do przekazania darowizny takiej samej wysokości?

Byłam na to przygotowana.

– Żadnej, poza moim słowem. Nie oczekuje pan chyba pisemnego zobowiązania ze strony zarządu partii? Wokół czają się ciekawi i zjadliwi pismacy i jakiegokolwiek powiązanie darowizny dla partii z dużym zleceniem w żadnym wypadku nie może być ujawnione. To dyskretny interes, opierający się na wzajemnym zaufaniu. Posunęłam się bardzo daleko, opowiadając panu o tej transakcji. Jeśli mi pan nie ufa, powinniśmy się teraz rozstać w przyjaźni i zapomnieć o tej rozmowie.

Odłożyłam serwetkę na bok. Klein już widział, jak dwa tygodnie najwyższego kreatywnego wysiłku znikają w wielkiej czarnej dziurze, tak żarłocznej jak jego gość. Położył mi bez mała błagalnie rękę na ramieniu.

– Na miłość boską, Greto, obdarzam panią pełnym zaufaniem. Czy on wie o tej rozmowie?

Bardzo ładne długie palce Hagen z troskliwie wypielęgnowanymi paznokciami trochę drżały.

– Wie. Ale zarazem nie chce wiedzieć. Nasz Poncjusz Piłat pozwolił sobie jedynie wspomnieć, że skoro tylko darowizna wpłynie na konto fundacji w Liechtensteinie, on przeforsuje projekt „Creatixu” na posiedzeniu zarządu. Wtedy gwarancją będą fakty, a nie obietnice. Na tym polega umowa, Hagenie. Nic lepszego nie mogę niestety zaproponować.

Podano kawę z ekspresu i grappę z dębowej beczki, do tego ciasteczka, którym nie

mogłam się oprzeć. Kelnerzy serwowali z kapłańskim namaszczeniem, przesadzając trochę w tym względzie, ale jak się wydawało, na większości gości robiło to odpowiednie wrażenie. Hagen wypił grappę jednym haustem. Z odrobiną rozpaczy było mu do twarzy, toteż uśmiechnęłam się do niego, by dodać mu otuchy.

– Tak na marginesie, mojemu szefowi sprawiłoby wielką radość zgotowanie porażki przewodniczącemu frakcji. Może pan naturalnie podjąć również ryzyko, że uda nam się bez darowizny. Jednak szczerze mówiąc, nie wierzę w to.

– Dlaczego pani to wszystko robi, Greto?

– Dla niego. Zrobiłabym dla niego prawie wszystko. I z przekonania: pańska propozycja jest lepsza niż pozostałe. Być może żywię też nieco sympatii dla pana, ale interesów i uczuć z zasady nie łączę.

„Tylko niczego z nim nie zaczynaj” – ostrzegła mnie Klara. A właściwie dlaczego nie? To tylko gra i przyprawienie jej szczyptą erotyki niczemu nie zaszkodzi. Gdy Hagen sobie nieco podpił, sprawiał wrażenie bardziej męskiego, a może alkohol sprawiał, że widziałam go w łagodniejszym świetle.

Genialna Klara, ona wymyśliła tę grę, chociaż to ja dopracowałam szczegóły planu. Fundacja w Liechtensteinie to mój pomysł; walizka z gotówką wydawała mi się zbyt wulgarna. Z moimi dotychczasowymi oszczędnościami i przy pomocy pewnego bardzo sympatycznego adwokata w tym bardzo miłym księstwie założenie anonimowego konta nie stanowiło żadnego problemu. Ładne miasteczko z wieloma dobrymi restauracjami i bankami, które pachną dużymi pieniędzmi; Klara i ja spędziłyśmy tam dwa piękne dni, zabijając czas planowaniem napadu na bank. Klarze bardzo się to podobało. Nie lubiła banków. I banki też jej nie lubiły, ponieważ wejście Klary w trenczu i ciemnych okularach zawsze działało alarmująco.

Otrząsnęłam się z rozmyślań i wróciłam do rzeczywistości. Klein wsunął kartę płatniczą do czerwonej aksamitnej teczki, którą starszy kelner z ukłonem zabrał ze stołu. Przeprosiłam i poszłam do toalety, żeby Hagenowi dać trochę czasu do namysłu. Chociaż drzwi nie były zamknięte, toaleta okazała się zajęta; na jedynym sedesie w wykafelkowanym na czarno pomieszczeniu siedziała kobieta o bardzo jasnych, prawie białych włosach i spała z głową opartą o spłuczkę. Widziałam ją wcześniej dwa stoliki dalej i zadałam sobie pytanie, dlaczego towarzysz tej damy nie zauważył jej przydługiej nieobecności? Blondynka spała uroczo, nawet wzięwszy pod uwagę niewygodne miejsce; jedynym defektem były rozkraczone nogi. Zamierzałam z całkiem osobistych powodów ją obudzić, toteż potrząsnęłam nią łagodnie. Osunęła się na mnie i wybełkotała coś niezrozumiałego. Jej

kolczyki drapały, wielkie serca z rubinu, trochę staromodne, ale bardzo piękne. Nie mogłam się odsunąć, bo upadłaby na posadzkę. Uruchomiłam spłuczkę, zaszumiało jak wodospad i kobieta obudziła się. W świecie niezupełnie rzeczywistym, lecz spowitym mgłą snu i alkoholu.

– Ratunku, napad! – wrzasnęła. Zakryłam jej usta, niestety za późno. Jakiś kelner otworzył ostrożnie drzwi korytarza i popatrzył na nas zmieszany. Może wziął nas za miłosną parę o nietypowych skłonnościach, to się zdarza. Kazałam mu zamknąć drzwi i cofnęłam rękę.

– Ta pani zasnęła w toalecie i próbowałam ją obudzić. – Dama wybałuszyła na mnie oczy i jakby przytaknęła. Zwarła nogi, daremnie próbując ukryć przed ciekawym spojrzeniem bieliznę opuszczoną do kostek. Kelner mi nie uwierzył. Złościło mnie zawsze, gdy ludzie wątpili w moje słowa. – Niech pan przestanie się gapić i sprowadzi kogoś z żeńskiej obsługi, żeby jej pomóc. Widzi pan przecież, że ta pani jest niedysponowana. – Była kompletnie pijana, a ja coraz mocniej pragnęłam wyrzucić ją z toalety.

Posłuchał i parę chwil później zjawiała się młoda dziewczyna, która pomogła mi doprowadzić białowłosą do umywalki. Zrobiłam to, po co przyszłam, a kiedy myłam ręce, tamta nieskoordynowanymi ruchami usiłowała poprawić sobie włosy. Ignorowała mnie, jak pijana dziedziczka ignoruje służbę. W jej spojrzeniu, które spotkało się w lustrze z moim, widniała nienawiść. Kobieta nie była już młoda. Może dlatego wypila za dużo. W dworcowej toalecie pewnie skradziono by jej torebkę z krokodylej skóry, to była cała różnica.

Hagen nie spytał, dlaczego tak długo nie wracałam. Wstał i poczekał, aż usiądę, ponieważ znał zasady *savoir-vivre'u*. Poza tym wierzył, że musi grać wysoko, aby wygrać. Zapytał o numer konta w Liechtensteinie i nagryzmoiliłam cyfry na kawałku papieru.

– Proszę to zniszczyć po wpłacie – powiedziałam ściszym głosem.

Po otrzymaniu pieniędzy zamierzałyśmy konto natychmiast zlikwidować i otworzyć gdzie indziej. Klara, wzorując się na zachowaniach kapitalistów, przykładła wielką wagę do zacierania śladów. Kiedy prawdziwa Greta Meyer wróci do Bonn, Hagen Klein zafunduje jej ciężkie chwile. Było mi przykro z tego powodu, ale my z Klarą będziemy już wtedy daleko, może w Londynie, jeszcze się nie zdecydowałam.

Białowłosa spoglądała na mnie z wyrzutem, podczas gdy jej towarzysz regulował rachunek. Wstyd jest przykrym uczuciem, jedynym, które od siebie oddalam, jak długo mogę. „I mimo swoich ról pozostajecie widoczni jako ci, którzy ten wstyd sprowadzacie.” Hagenowi ulżyło, gdy podjął decyzję. Pochwaliłam go za umiejętność akceptowania tego, co nieuniknione. Opowiadał mi o swoim domu weekendowym, kiedy szliśmy do samochodu,

którym potem odjechał, chociaż wypił zbyt dużo. Ja jednak przestrzegam niektórych przepisów – zaproponowałam taksówkę, ale odmówił. Komuś takiemu jak on nie mogło się nic stać. Tak uważał.

ROZDZIAŁ 12

– Kobiety powinny trzymać psa lub kota. Zwierzęta kochają również wtedy, kiedy właścicielka zestarzeje się i zbrzydnie.

Casa de Campo w Dominikanie i powiedzonka Antonia Moralesa, który po akcie seksualnego zespolenia odczuwał nieprzepartą chęć, by partnerki słownie upokarzać. Posługiwał się zresztą przeważnie złym, przetykanym hiszpańszczyzną angielskim. Był to jednak młody i piękny mężczyzna, pełen niewyczerpanej energii, nie trwoniący swojej potencji ani na błakaniu się po meandrach intelektu, ani na pracy fizycznej. Antonio – między innymi mój nauczyciel gry w golfa. Klara nazywała go hominidem, mając na myśli opętaną seksem małpę. Klara wylegiwała się w cieniu palmy, a także jej ogromny kapelusz od słońca, i przez przydymione okulary spoglądała na morze, które wydawało się jej ciemnoniebieskie. Piła caipirinhę i odpoczywała dzięki naszej pierwszej wspólnie zarobionej połówce miliona, gdy ja tymczasem grałam w golfa – między innymi.

Dwa pola golfowe, czternaście basenów kąpielowych, plaża pod palmami, korty tenisowe, sale do fitnessu, kawiarnie i restauracje, domy i wille dla turystów i milionerów, słowem doskonała, choć bezduszna karaibska machina urlopową, czyli Casa de Campo, klimatyzowany raj, o jakim marzyłyśmy obie po zlikwidowaniu konta w Liechtensteinie, piętnaście procent dla Klary i osiemdziesiąt pięć dla mnie. Rewolucji nie da się tym sfinansować, ale wypad do Dominikany tak, słońce dla bladych kobiet Wondraschka i bungalow z drewnianą werandą z widokiem na zielony trawnik i morze. Na mój koszt.

Antonio czynił znak krzyża, nim na mnie skoczył. Opalone ciało o proporcjach bez zarzutu poruszało się rytmicznie przy szumie urządzeń klimatyzacyjnych, co było bardzo przyjemne, dopóki Antonio milczał bądź mówił o golfie, o którym bez wątpienia coś wiedział. Doświadczenia z turystkami, w większości zamożnymi, niemłodymi Amerykankami, przemieniły go w cynika, chociaż może i bez tego był głupim zarozumiałym *macho*. Mnie kochał, bo byłam młoda, dzięki czemu mogłam być dla niego kimś w rodzaju partnerki. Hominid Klary gładkie czarne włosy wiązał w kucyk, a ja wybaczałam mu białe buty do golfa i głupią gadaninę, ponieważ można też kochać tylko czyjeś ciało.

Może powodowało to słońce, wiecznie rozjarzone słońce, które raziło, oślepiało,

stwarzało ociężały, niegodziwy urlopowy raj, gdzie myśli wysychały w upale jak krople potu. Wylegająca się w cieniu Klara pozostawała biała; ten nieprzyzwoity kolor mocno kontrastował z czarnym kostiumem kąpielowym. Opalone postacie gapily się na Klarę, ona jednak na leżaku pod palmą nie zwracała na to uwagi, rozmyślając nad nowym projektem. U odzianych w biel kelnerów zamawiała egzotyczne koktajle i talerze z ochłodzonymi lodem owocami. Niekiedy podnosiła się, wchodziła do morza i zatrzymywała się, gdy woda opłukiwała jej kolana. Niczym marmurowa statua w sombrero stała na szeroko rozstawionych nogach, nie dając się falom, a potem znów wracała na leżak i wyciągała się na nim z westchnieniem ulgi. Wszelkie formy sportu „w tych małych temperaturach” uważała za absurdalne. Także moje granie w golfa na trawie i zabawy w sypialni naszego wakacyjnego domu. Owo niewiele znaczące, aczkolwiek pełne pożądania spółkowanie określała mianem egzotycznego pomieszania zmysłów. Jednakże była zakochana w Casa de Campo, nieskazitelnej sztucznej wiosce, do której wstęp mieli tylko ludzie zamożni i obsługa, w rajach plastikowych kart z gwarancją słońca. Dla Klary to było takie Mahagonny, gdzie praca ludzka była tania, a whisky droga.

Problemy się nie pojawiły, a Hagen Klein pozostał pełną chwały przeszłością. Wspaniały proletariatus odniósł zwycięstwo nad kapitałem i o to nam właśnie chodziło. Klara uważała, że powinniśmy wysłać widokówkę do Greta Meyer, by się usprawiedliwić, ale zaprotestowałam przeciwko naprowadzaniu jej na nasz trop. Poza tym kto powiedział, że ona nie potraktuje tego jako szyderstwa? Odrobinę wyrzutów sumienia dało się uspokoić luksusem. Nie ma gry bez zwycięzców i przegranych, powiedziałam Klarze, kiedy jadłyśmy homary, popijając chilijskie białe wino. Kiedyś – tę myśl odsuwałam jednak daleko – zostanie nam wystawiony rachunek. *Nie jestem bezwstydną: Jestem przegrana.* Twoje zdrowie, Klaro. Za dobre dni. Za słońce, przy którym się nie marzniesz. Za rozkosz, której sobie nie żałuję. Za moskity wysysające nam krew, bo nic na tym świecie nie jest doskonałe, żaden stół, przy którym zasiadamy.

Przejażdżki otwartym elektrycznym autkiem oszczędzały nam męczącej drogi w migotliwym upale, ale były niebezpieczne dla życia. Klara zwykle prowadziła z maksymalną prędkością, kierując pojazd ku turystom w prądkowanych bermudach, którzy przerażeni odskakiwali na boki. Ogrodników, służące i kelnerów przebywających na tym terenie oszczędzała. Kiedy słońce zachodziło i nie pojawiał się zielony księżyc, objeżdżałyśmy restauracje i bary, póki nie poczułyśmy się syte, pijane i zmęczone. Nie miałyśmy nic do roboty oprócz tego, aby się bawić i snuć plany, spierać się o Antonia i milczeć o Beatrix. Nie istniał żaden powód, by opuszczać tereny hotelowe, gdyż świat poza nimi, zaniedbany i

brzydki, ukazywał prawdziwe ubóstwo zamiast bujnej egzotyki.

Antonio Morales żył w obydwu światach, był człowiekiem poruszającym się na granicy między zawiścią, pożądaniem i pogardą. Jego wynagrodzenie stanowiło tam, na zewnątrz, majątek, a tutaj, wewnątrz, wystarczało zaledwie na butelkę szampana lub kolację w „Zanzibarze”. Kiedy mi powiedział, że sypia także z mężczyznami, jeśli odpowiednio zapłacą, wyrzuciłam go z domu, ponieważ na tyle szczerości nie zasłużyłam. Nim zamknął za sobą drzwi, nazwał mnie amerykańską kurwą; geograficzne subtelności nie były jego mocną stroną. Klara, która akurat wracała do domu, staranowała swoim elektrycznym wehikułem jego wózek golfowy w chwili, gdy do niego wsiadał.

Stałam w drzwiach, kiedy nagle przyspieszyła zamiast hamować; trzasnęło obrzydliwie i głowa Klary poleciała ku szybie z pleksiglasu. Zobaczyłam jej auto jak w zatrzymanym kadrze i usłyszałam krzyk przerażonego Antonia.

Zamiar był oczywisty, Klara bowiem nie okazała najmniejszego zdziwienia z powodu karambolu. Pojazdy wbiły się w siebie, a ona uśmiechała się, choć z czoła krew płynęła jej strumieniem. Antonio klął po hiszpańsku – widocznie uderzył się tylko w głowę, a próżnia sporo wytrzymuje.

– Zrobiła to umyślnie! – wrzasnął.

Klara westchnęła, kiedy ją wyciągałam z samochodu. Czerwona krew na białej skórze. Wytarłam ją swoją koszulką tak dobrze, jak mogłam, i ostrzegłam Antonia morderczym spojrzeniem, by się nie zbliżał. Przydałaby się umiejętność udzielania pierwszej pomocy, ale kto uczy czegoś takiego w dzisiejszych czasach?

– Wezwij pielęgniarkę, trzeba zatamować krew.

– To nie moja wina – skamlał.

Księżycowa twarz Klary przybrała odcień zielony. Krew płynęła z niedużej rany u nasady włosów. Klara miała oczy zamknięte, ale wciąż się uśmiechała i pomyślałam, że zrobiła to świadomie, w spontanicznym akcie wściekłości, może też z zawiści, a ten idiota stał jak kulek i wymiotował na krzewy bugenwilli przed naszym domem.

Pielęgniarka w czystym białym czepku odsunęła mnie zdecydowanie na bok, ochroniarze hotelowi z czarnymi pałkami otoczyli nas i już wydali wyrok: goście zawsze są niewinni, a nawet gdy ponoszą winę, racja jest mimo wszystko po ich stronie, jeśli w grę wchodzi pracownik hotelu. Spór prowadzono po hiszpańsku i Antonio nie radził sobie najlepiej, chociaż miał najpiękniejszy tyłek, jaki kiedykolwiek widziałam u mężczyzny.

– To niewielka rana – powiedziała pielęgniarka. Założyła Klarze opatrunek, podczas gdy ja trzymałam jej białą dłoń z pierścieniem ode mnie na palcu.

– Małpy – powiedziała Klara – nie potrafią prowadzić auta.

– Boli?

– Niezbyt. Czy on przynajmniej krwawi?

Otworzyła oczy, a ja potrząsnęłam głową. Ochroniarze zabrali Antonia, który ciągle jeszcze krzyczał albo przeklinał, a nas otoczył tłumek w bermudach złożony z wrażliwych miłośników katastrof. Słońce zanurzyło się w morzu i rozchodził się zapach egzotycznych kwiatów i wymiocin. Moja koszulka była zakrwawiona.

Pielęgniarka – na identyfikatorze miała wypisane: Maria Gonzalez – dała Klarze zastrzyk ze środkiem uspokajającym, chociaż Klara wcale nie była zdenerwowana, wydawała się prawie zadowolona, gdy ja tymczasem odczuwałam wciąż paniczny strach, tak jak w pierwszych chwilach po wypadku. Strach nie o Klarę. O siebie. Po prostu nie chciałam zostać sama, mój żal był absolutnie egoistyczny. Klara, siedząc z opatrunkiem na czole, zażądała cygara. Poczęstowałam ją swoim papierosem.

– Nie palić. Nie pić. Nie chodzić po słońcu – powiedziała Maria Gonzalez, a Klara odparła, że z zasady szuka cienia.

Z tłumu gapiów dochodziły różnojęzyczne komentarze, które dało się sprowadzić do jednego zdania: „Ona jeździ przecież jak wariatka.” Ponieważ jednak nie było żadnego trupa, gapie rozeszli się w końcu. Za fatygę wręczyłam pielęgniarce odpowiedni banknot, który sprawnie wsunęła do kieszeni kitla. Hermann, zaliczany do niemieckich gości i noszący do kwiecistej koszuli nakrapiane szorty, przykucnąwszy obok Klary, z kieszeni na piersiach wyciągnął cygaro.

Poznałyśmy go w „Tropicanie”. Po drugiej stronie wyspy zbudował czterogwiazdkowy hotel dla Niemców popijających w basenie piwo z puszek; prowadził również nocny bar i restaurację serwującą golonkę. To przyciągało turystów, ludzi przegranych w interesach i oszustów inwestycyjnych na wygnaniu. Hermann miał pieniądze. Pod jego masywnym torsem biło serce biznesmena, które dziwnym trafem znalazło upodobanie w Klarze. Ilekroć spotykaliśmy się w jakiejś restauracji czy barze, zapraszał nas, wpijając spojrzenie w bujne kształty Klary i podziwiając jej zdolność do wypicia mnóstwa alkoholu bez godnych uwagi konsekwencji. Pod tym względem Klara znacznie mnie prześcigała. „Kobieta musi umieć pić, gotować i pieprzyć się” – mówiła. Była nędzną kucharką, tyle wiedziałam z dzieciństwa. Jej wkład w kucharzenie polegał na tym, że gotowe danie po odmrożeniu posypywała suszoną pietruszką. Do ryby szedł koper, a do jajecznicy szczypiorek. Ja jeszcze nigdy niczego nie ugotowałam oprócz kawy, ale postępowałam przynajmniej konsekwentnie.

Razem z Hermannem wprowadziłam Klarę do domu. Nie chciała się położyć, lecz poszła na werandę napić się sundownera. Mężczyzna w kwiecistej koszuli wybrał się po butelkę dzinu, tonik, lód i cytryny. Większe ilości alkoholu Hermann kupował w sklepiku poza terenem hotelu. Nie odpowiadały mu tutejsze astronomiczne ceny, był człowiekiem interesu, oszczędnym nawet w drobiazgach.

– Jest miły – powiedziała Klara, która mimo opatrunku znów włożyła okulary przeciwsłoneczne, moja *femme fatale*, można powiedzieć: mój los, ponieważ przykuła swoje życie do mojego, zachowując coś w rodzaju rodzinnej więzi. Białe ciało owinęła czarną jedwabną chustą zawiązaną na piersi. Stopy ułożyła na balustradzie werandy. Dochodził nas szum morza, lekki wiatr poruszał liśćmi palm. Usiadłam na balustradzie i machałam nogami.

– Jest stary, tłusty i wulgarny.

– Nie musisz mojej żądzynie jeść ze swojego talerza – odpowiedziała swym brechtowskim głosem.

– Myślisz o swojej chciwości na jego pieniądze?

Klara wyszczerzyła ze złości ęderdowskie uzębienie.

– Przynajmniej nie myślę podbrzuszem. Twój żigolo to czysta strata czasu. Gardzę mężczyznami, którzy drwią z kobiet. Nie, nie mów nic: Wondraschek przez pewien czas zawsze trochę kochał każdą kobietę, z którą żył. Miał wielkie serce. Twój Antonio ma zamiast niego twardą piłeczkę golfową i przypuszczalnie jeszcze dwie w spodniach, ale nie o tym mowa. Ponadto już czas, żebyśmy się skoncentrowały na interesach, moja czarodziejko. Pieniądze wydaje się piekielnie łatwo.

Mogłabym to i owo przytoczyć na obronę Antonia, jednakże nie zrobiłam tego. Poglądy Klary niczym spiżowa zbroja mogły przetrwać stulecia.

– Wielkie rzeczy! To tylko seks. I naprawdę nie było powodu, żeby mu taranować samochód. Wyrzucą go, tyle w ten sposób osiągnęłaś, bo na pewno spytają, co robił przed naszym domem. Nie zasłonisz się gadaniną o Trzecim Świecie. Jesteś marksistowską snobką.

Klara skorzystała z minibaru, gdyż jej pragnienie nie mogło czekać na Hermanna.

– To tutaj jest Pierwszym Światem, w każdym razie aż do bramy wejściowej. A hominid, Bóg mi świadkiem, nie był w najmniejszym stopniu typem ofiary.

Wzięłam sobie drinka. Wiatr ustał i upał dnia okrywał ciężkim płaszczem Casa de Campo. Poza tym czułam głód i nie miałam najmniejszej ochoty na towarzystwo Hermanna, adoratora Klary.

– Ach tak, robisz delikatne rozróżnienia. Biedny ogrodnik, któremu dajesz zawsze hojny napiwek, przypuszczalnie go przepija, a potem bije żonę i gwałci córkę. Nikt nie jest

ofiarą z własnej woli, Klaro, nigdzie. Mogę jedynie mieć nadzieję, że córka pewnego dnia ucieknie, a żona wbije mu w brzuch nóż kuchenny.

– Jesteś stuknięta. – Klara wychyliła jednym haustem dzin z tonikiem. Szklanka pozostawiła ślad na rzeźbionym drewnianym stole.

– Nie. To ty jesteś stuknięta. Gdzie jemy dziś wieczorem?

Klara uważała, że powinniśmy dać się ugościć Hermannowi, między innymi pod pretekstem, że nie mamy samochodu.

– Być może w trakcie picia wpadnę na pomysł, co by z nim zrobić.

– Może mu coś zwinąć w czasie bara-bara?

Klara zachichotała.

– Chodzi z prawie pustym portfelem i ma tylko jedną kartę kredytową. Poza tym nie jest typem, który się pozwoli obrobić. Jest chciwy na pieniądze i przebiegły.

Była w dobrym nastroju, zwłaszcza gdy Hermann wrócił z litrową butelką dzinu i dużą ilością lodu, święty Mikołaj w koszuli w kwiatki, człowiek jak wszyscy, tylko brzydszy. Klara jednak w swych niejasnych dla mnie planach widziała to chyba inaczej.

Hermann miał udziały w pewnym barze w hamburskim St. Pauli, póki mu się grunt nie zaczął palić pod nogami. Osiadł wówczas jako jeden z pierwszych inwestorów w Republice Dominikańskiej. Miejsce do urządzenia sobie życia na odpowiednim poziomie można było jeszcze wtedy nabyć za śmiesznie niską cenę, kupił więc ziemię wzdłuż wybrzeża, dopuścił do udziału w zyskach gubernatora prowincji jako cichego współnika, po czym przedziwnymi drogami latyfundia Hermanna zostały przekształcone w tereny budowlane na cele turystyczne. Część gruntów odsprzedał bardzo korzystnie Niemcom i Amerykanom, a zysk zainwestował w budowę kompleksu hotelowego. „Pieniądze” – mawiał – „leżą w Dominikanie na ulicy, trzeba je tylko podnieść”. Słońce świeciło bezpłatnie, personel był tani i chętny do pracy, nie było związków zawodowych, stabilny zaś, kapitalistycznie zorientowany rząd dawał wolną rękę zagranicznym inwestorom z korupcyjnym przymrużeniem oka.

Hermann otworzył niemiecką gospodę, bo niekiedy tęsknił za rodzimą golonką, kiszoną kapustą i dobrym niemieckim piwem, a wraz z rosnącą liczbą teutońskich turystów inwestycja ta stała się równie dochodowa jak hotel, w którym szefową recepcji była przegrana facetka ze Stuttgartu. Goście Hermanna przybywali przeważnie ze starej ojczyzny i w ich zryczałtowany koszt urlopu, osiemset marek tygodniowo, wliczono wszystko: nocleg, jedzenie, napoje, papierosy, korzystanie ze sprzętu do sportów wodnych i odtwarzanie niemieckojęzycznych kaset wideo w pomieszczeniach telewizyjnych. Trochę egzotyki dla

każdego, natomiast wrzucanie do basenu kąpielowego puszek po piwie było jak najsurowiej zabronione. „Otrzymują naturalnie tylko tanią wódkę”, wyjaśniał, „bo potrafią żłopać jak smoki za swe ciężko zarobione pieniądze.”

Jeśli zaś chodzi o seks, rozporządzał dziewczętami ze wsi i miał w tym przedsięwzięciu piętnastoprocentowy udział. Hermann uważał się poniekąd za pomocnika rządu w rozwoju regionu, uszczęśliwił przecież odludne zatoki i leżące na uboczu wsie błogosławieństwem turystyki, tworzył miejsca pracy oraz kształtował w tym dzikim ustroniu infrastrukturę: budował drogi, elektryfikował teren, zakładał sieć telefoniczną. „Wszyscy żyją dobrze z turystów”, mawiał Hermann, a on żył wedle zasług – najlepiej. Ale że każdy raj daje schronienie przynajmniej jednemu wężowi, tak i jego raj został dotknięty przez hałas budowlany i coraz to nowe hotele i knajpy, a chciwość konkurencji rosła niebotycznie wraz z powstającymi wciąż ośrodkami wypoczynkowymi i ofertami tanich wczasów.

– Placa del Mare to jeden wielki plac budowy – zakończył Hermann ponuro, a chwilowo było tak źle, że ze swojej hacjendy wycofał się tutaj, do Casa de Campo, ponieważ uszy go bolały od hałasu maszyn budowlanych i serce krwawiło nad utraconym rajem. Hermann miał duże uszy, w tym mężczyźnie wszystko było masywne, przypominał mi trochę konduktora wagonu sypialnego, jednak pewne cechy pozwalały też rozpoznać w nim boksera, dobrodusznego i wspaniałomyślnego. Kiedy pił, skłaniał się do sentymentalizmu i nie ukrywał oczarowania białoskórą Klarą, która nieporuszona jego słowami i spojrzeniami opróżniała szklanki i gapiała się na morze, dające się jeszcze rozpoznać jako ciemniejszy cień. Słychać było fale przetaczające się po piasku, grzechot lodu w szklankach i głos Hermanna, tak delikatny, że zdawał się natrzęsać z potężnego ciała właściciela.

Martwiłam się, choć tylko troszeczkę, o Antonia, piękny widok jego ciała i przyjemny dotyk palców. Wiele nie mówił i prawie wszystko zapomniałam. Może potrzeba dwu mężczyzn: niemego do miłości i mądrego do słuchania? A może żadnego, gdyż inwestycja w uczucia nie pozostaje w żadnym dającym się zaakceptować stosunku do uzyskanego wyniku? Nagle poczułam się samotna, pozostawiona kompletnie samej sobie w obecności tych dwojga starych ludzi, którzy wyprzedzali mnie o dwadzieścia lat – Klara doświadczeniami, a Hermann bilansem sukcesów. Teraz zwierzał się ze swoich marzeń, szczytnych w rozumieniu kapitalistycznym, ponieważ pragnął ekskluzywnego raję, czegoś takiego jak Casa de Campo, może trochę mniejszego, ale jeszcze bardziej luksusowego, w jakiejś ustronnej zatoce, z dala od turystycznego zgiełku, miejsca dla pięknych i bogatych, jak na przykład Boris Becker lub Franz Beckenbauer, Steffi Graf i księżna Gloria. Wielki świat w gościnie u Hermanna...

Klara wykrzywiła szyderczo usta, a on uznał to za akceptujący uśmiech. Ujął jej rękę i

ucałował.

– To odpowiednie ramy dla ciebie – powiedział. – Potrzebni mi jeszcze inwestorzy dla projektu tej wielkości. Miejsce i architekta już wypatrzyłem.

Nim Klara zdołała powiedzieć coś, co mogłoby oznaczać dla nas kłopoty, oznajmiłam, że umieram z głodu.

– Czarodziejka próbuje na każdym mężczyźnie sprawić wrażenie, że ginie z głodu.

Klara przechyliła butelkę i wlała resztę do swojej szklanki. Oczy Hermanna kleiły się do jej na pół obnażonych piersi. Z jego uszu i nosa wyrastały kępki włosów. Mężczyźni tacy jak on muszą przejawiać szczególne talenty, aby uwodzić kobiety; Hermann próbował tego za pomocą pieniędzy i psiej pokory. Klara natomiast, *femme fatale*, była przymilna, ale też podpita, a przede wszystkim kusilo ją, aby Hermanna oszukać. Ona, która mnie stale zalecała ostrożność, teraz sama prezentowała niebezpiecznie arogancki nastrój.

Hermann może i był zakochany, z pewnością także nie całkiem już trzeźwy, lecz jego oczy nie straciły nic ze swej czujności.

– Klaro, ja muszę coś zjeść. Mam was zostawić samych?

Nie, tego nie chciała, więc Hermann zaprosił nas na szampana i homary. Biało ubrani kelnerzy nakryli stół na werandzie; oczy mieli zawsze spuszczone i unikali spoglądania gościom w twarz, mogło to być zarządzenie dyrekcji, a może po prostu nie chcieli zdradzić iskrzącej się w oczach zawiści. Nasz fundator nie zwracał na to uwagi, nie dostrzegał personelu, jego kąt widzenia był seksualnie zawężony do Klary. Kiedy patrzyłam na Hermanna, uświadomiłam sobie, że się go boję. I tego, co mógłby zrobić Klarze w swojej dobroci i miłości oraz w całej podłości, do której na pewno był zdolny.

O drugiej nad ranem, gdy Klara zasnęła spokojnie w wyplatany fotelu i zaczęła chrapać do rytmu fal, zapytałam Hermanna o jego zamiary. Jak zatroskana matka albo głupia pijana gęś w chwili szczerości. Siedział naprzeciwko mnie i śledził sen Klary, jej otwarte usta i zarysowujący się podwójny podbródek. Dinozaur przed swą tłustą zdobyczą, którą uważał za Afrodytę. Byliśmy zbyt trzeźwi mimo dużej ilości wypitego alkoholu. Strach wzmaga czujność, nie czułam zmęczenia, w dodatku lubiłam ciepłe noce, ciszę o tej porze zakłócaną jedynie łagodnym szumem oceanu. Hermann odpowiedział pytaniem:

– Czego chciałaś od Antonia Moralesa?

– Seksu. W moim wieku lubi się to od czasu do czasu. Roześmiał się i jego brzuch zatrzęsł się przy tym.

– W każdym wieku, czarodziejko. Jest tu bogaty wybór, ale tutejsze kobiety zaczynają mnie nudzić. Za łagodne i za sprzedajne, nie ma w nich absolutnie żadnego wyzwania. Klara

jest interesującą osobą. Lubię ją. Może nawet poślubię. Nie musiałbym się bać, że chce tylko moich pieniędzy, skoro sama ma ich dosyć.

– Ach tak? – Cokolwiek Klara mu opowiedziała, mijało się z prawdą.

Usłyszałam w wyobraźni cykanie świerszczy i jej głos, który w długie tropikalne noce opowiadał Hermannowi historie o wielkości i doskonałości, podczas gdy ja leżałam w łóżku z Antoniem.

– Posłuchaj, dziewczyno: twój ojciec zostawił miliony. Jeśli obie zainwestujecie pieniądze w mój projekt, podwoicie je w ciągu dziesięciu lat. To dobry interes. Ale Klarę lubiłbym nawet wtedy, gdyby była biedna jak mysz kościelna. Ona jest kimś szczególnym, znam się na tym.

W to nie wątpiłam.

– Klara skończyła czterdzieści sześć lat, Hermannie.

– I co z tego? Ja mam pięćdziesiąt dwa. Sądzisz, że tylko młodzi i piękni mają prawo do romantyzmu i namiętności? Mogę tutaj, na wyspie, mieć za pieniądze prawie każdą. Ale to tylko seks. Jakby się codziennie jadło homara i kawior. W końcu człowiek wraca do golonki, kiszzonej kapusty i przysmażanych kartofli.

Skierowałam spojrzenie na jego brzuch, którego kwieciste okrycie rozmywało mi się przed oczami. Chyba już byłam pijana, a on nie.

– Klara to nie golonka, Hermannie. Ona jest dość kruchą osobą, nawet jeśli na to nie wygląda. Poza tym kochała mojego ojca.

– Ale on nie żyje.

Kanciasty, praktyczny i dobry, taki był Hermann. Miałam ochotę na przysmażane kartofle, ale nie na niego. Ilekroć czułam głód, stawałam się odrobinę destrukcyjna. Zbuntowane soki żołądkowe nasycone alkoholem.

– Mój ojciec zostawił milionowe długi, mój kochany, i Klara z bólu po jego odejściu straciła orientację. Żyje, że tak powiem, w świecie fantazji. Nie żeby była szalona, tylko właśnie nieco oddalona od rzeczywistości. Nie mamy żadnych pieniędzy, naprawdę.

Hermann przeniósł wzrok ze mnie na Klarę i z powrotem, a potem na popielniczkę, jakby chciał policzyć niedopałki. Gdzieś na plaży pies zaszczekał do księżyca, jakiś wałęsający się kundel, który się zabłąkał do raj.

– Nie chcesz mu opowiedzieć wszystkiego do końca, skoro już jesteś taka szczerą? – rozległ się głos Klary w tonacji Matki Courage. Tak ze mną rozmawiała, kiedy w dzieciństwie przywoływała mnie do porządku, co zdarzało się raczej rzadko, ponieważ byłam dziewczynką łatwo przystosowującą się do otoczenia.

– Nie, właściwie nie chcę. To obcy człowiek, Klaro, jest druga nad ranem, a myśmy za dużo wypili.

Hermann sięgnął po butelkę. Nie odzywał się, obserwował nas tylko bardzo uważnie, jak duże przyczajone zwierzę.

– On jest z naszego gatunku, czarodziejko. Poszukiwacz szczęścia w zbroi, która może dla ciebie nie jest dość błyszcząca. Ale ja go lubię. – Klara miała swoją chwilę prawdy i używała sobie do syta. Ujęła rękę Hermanna. – Chciałabym, żebyś o tym wiedział. Robimy z mężczyznami interesy i z tego żyjemy. A mówiąc dokładniej: oszukujemy oszustów. Ja opracowuję plany, bo jestem w tym dobra, czarodziejka zajmuje się realizacją. Tak zwykle postępujemy.

Miałam ochotę ją udusić. Ona zaś uśmiechała się do Hermanna, który gapił się na nią niedowierzająco. Jak dotąd. Wstałam i podeszłam do balustrady. Na niebie wisiał sierp księżycy. Moje życie było puste jak okręt bez kotwicy i łodzi ratunkowych. Antonio powiedział mi, że rybacy nie wypływają w morze, odkąd są tutaj turyści. Wynajmują swoje łodzie, a w razie potrzeby także córki.

– Niezłe z was ziółka – usłyszałam głos Hermanna za plecami.

– Ze mnie raczej podsuszone ziele – powiedziała Klara.

– Komunistka, która obejmuje kapitał, aby zobaczyć, ile soku może z niego wycisnąć – mruknęłam, ale Hermann tego nie usłyszał, ponieważ zaczął się śmiać. Kwiatki na jego brzuchu podskakiwały. Człowiek z poczuciem humoru, nie trzeba się go bać. Klara uśmiechnęła się triumfująco, jakby odniosła jakieś zwycięstwo. Śmieszne zwycięstwo prawdy nad sztuką kłamstwa. Hermann popłakał się ze śmiechu, twarz nabiegła mu krwią, pomyślałam, że chyba ma wysokie ciśnienie i gdyby się teraz chwycił za serce i z łoskotem padł martwy, byłoby to odpowiednie zakończenie tej nocy. Ponieważ na przekór powszechnej opinii uważałam pożegnania w każdej formie za sentymentalizm; czy to koniec dnia lub nocy, odjazd, rozstanie – wszystko było ostateczne.

Poszłam spać, pozostawiając Klarę jej losowi, nawet jeśli miał się nazywać Hermann.

Następnego dnia ruszyliśmy w kierunku południowym, do utraconego rajy, na tylnym siedzeniu klimatyzowanego mercedesa, który Hermann sam prowadził, ponieważ miejscowych szoferów pomawiał o lekkomyślność. Był nieufnym człowiekiem, nauczył się, że świat jest miejscem zwodniczym i wszystko na nim zależy od tego, czy jest się po właściwej stronie.

Jeśli tak, to siedziałyśmy na właściwym miejscu, Hermann bowiem przy śniadaniu w „Pavillonie” przedłożył nam propozycję, którą moje serce sroki z trudem mogłoby zignorować. Chodziło o pieniądze. Hermann był żartowniszem, ale zarazem podstępny, żadnym zemsty człowiekiem. Kimś, kto nie zapomina żadnej zniewagi, żadnej porażki. Podobny do słonia siedział za kierownicą i pogwizdywał z zadowoleniem niemiecki szlagier, gdy tymczasem krajobraz przepływał obok nas: palmy, szopy, budy z desek, olbrzymie billboardy z reklamami hoteli, restauracji czy coca-coli. Ponad wszystkim świeciło słońce, które nas w tej luksusowej klatce nie dosięgało. Klara znów zasnęła; byłam wciąż jeszcze na nią zła, jednakże z drugiej strony zdrada Klary zaowocowała lukratywnym projektem. A Hermann na znak swojej dobrej woli uregulował nasz rachunek hotelowy.

– Piwo, woda, whisky? – Hermann wskazał na minibar między siedzeniami. Podziękowałam, a Klara, śpiąca czujnie jak pies, mruknęła coś, co brzmiało jak „nie”. Przy śniadaniu była skacowana, toteż nie dowiedziałam się, czy nocą baraszkowali. Jej słoneczne okulary mówiły „nie”, gdy piła kawę z wyprostowanym małym palcem, jak w hamburskich czasach. Syci urlopowicze otaczający obfity bufet śniadaniowy byli trudnym do zniesienia widokiem, jednakże Hermann, który się przysiadł do naszego stolika, tryskał nieomal zachwycającą wesołością. Chciał nam zaproponować interes, ale powiedziałam mu, że rano z zasady nie mówimy o takich sprawach. Zrobiliśmy to potem, przynajmniej wysłuchałyśmy go, pałac i pijąc kawę; Klara połknęła tabletki od bólu głowy, cztery sztuki, zawsze we wszystkim musiała przesadzać.

Hermann opowiedział nam o doktorze Hansjörgu Lindenie, niemieckim pośredniku nieruchomości, który wtargnął do jego rajy przed dwoma laty. Nazwał Lindena kumplem, ale też chciwym na pieniądze rekinem i aroganckim dupkiem. No cóż, takich ma się przyjaciół, gdy jako Niemiec żyje się na obczyźnie między Niemcami. Kiedy szło na przykład o zakup parcel, Hermann nigdy nie spotkał się ze strony tamtego z jakąkolwiek oznaką przyjaźni. „Jonny” Linden okazywał się zwykle szybszy od niego, a jego celem było przekształcenie każdego metra kwadratowego Placa del Mare w hotele, knajpy i sklepy. Był niczym wąż i dążył do zniszczenia Hermanna, chociaż razem pili i grali w skata, włóczyli się z babami i wydawali przyjęcia basenowe.

– Na początku – mówił Hermann – zachowywał się nadzwyczaj miło, ponieważ zależało mu na moich kontaktach. Kiedyś jednak wymknęło mu się, że zawsze mną gardził, zasraniec. Kręcił nosem na publikę w moim lokalu. Zgrywa się na akademika, ale co z niego za naukowiec!... Pan doktor Linden z prawniczym egzaminem piątej klasy, który wystarcza tylko do handlu nieruchomościami. Jonny ma żyłkę do interesów, to trzeba mu przyznać. I

choć zadziera nosa, robi to wytworniej tak że kobiety go lubią. Głupie!... I czasem przyprowadza swoich ludzi do moich sklepów i wyśmiewa się z golonki. Nie odpowiada mi jego humor, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. I nie znoszę również tego, że włązi mi w paradę.

Klara oglądała przez okulary słoneczne swoje paznokcie, polakierowane na fioletowo szpony. W porannym świetle wyglądała staro, a sposób, w jaki trzymała głowę, sygnalizował ból. Piła za dużo. Tego ranka prawie cały czas milczała. Mnie pozostało podtrzymywać rozmowę:

– Co my mamy z tym wspólnego?

Hermann rozkroił nożem tryskające tłuszczem sadzone jajko, zanurzył kawałek słoniny w żółtku i włożył do ust. Żując powiedział:

– Miła czarodziejko, to przecież jasne jak na dłoni. Jesteście oszustkami. Oszukajcie go. Wymyślcie coś pięknego, co mnie sprawi przyjemność, a wam przyniesie pieniądze. Chętnie służę pomocą.

– Ale nie chcesz procentu? – spytała Klara.

Nie, Hermann chciał tylko przyjemności oraz zemsty. Kiedy spojrzaliśmy na siebie i ja wzruszyłam ramionami, gdyż o tak wczesnej porze przychodziło mi z trudem podejmowanie decyzji, Hermann poszedł dalej: obiecał, że po pierwsze ureguluje nasz rachunek hotelowy, a po drugie wypłaci nam honorarium związane z powodzeniem akcji w wysokości pięćdziesięciu tysięcy marek, niezależnie od tego, ile zabierzemy jego przyjacielowi Jonny'emu.

– Zostawiam decyzję tobie – powiedziała Klara, gdy szliśmy wzdłuż plaży.

– Musi cię naprawdę mocno boleć głowa. – Grzebałam nogami w mokrym piasku, moja głowa wytrzymywała więcej niż Klary, nie czułam senności, słońce świeciło i pierwsi surfujący zataczali bezsensowne kręgi. – Chętnie zostałabym tutaj trochę dłużej. Czy można mu ufać?

– Nie – roześmiała się Klara i objęła rękoma głowę, gdyż śmiech sprawił jej ból.

– Wobec tego powinniśmy to zrobić.

Po dwu godzinach jazdy asfaltową szosą pełną wybojów skręciliśmy na zwirowaną drogę prowadzącą do hacjendy Hermanna. Okazało się, że to luksus utrwalony w kamieniu: wysokie białe mury i kuta żelazna brama otwierana elektronicznie. Płaska, na planie kwadratu wzniesiona budowla w stylu mauretańskim, z wewnętrznym dziedzińcem z arkadami oraz basenem o olimpijskich wymiarach. Hermann prowadził nas przez swoje królestwo, zaprojektowane przez architekta wewnątrz z wykorzystaniem głównie ratanowych mebli i

delikatnych rysunków kwiatów. Ładnie. Klara spytała, gdzie mieszka służba, młodzi mężczyźni i stare kobiety w białych wykrochmalonych kitlach, którzy wykonywali różne prace w domu i ogrodzie. Wszystkie ich ruchy były powolne i harmonijne, jakby tutaj nie obowiązywał upływ czasu.

Hermann wskazał prosty drewniany dom za kortem tenisowym jako pomieszczenie dla personelu.

– Niezbyt luksusowe – mruknęła Klara i opadła na kwiecistą sofę przy szklanym oknie; sięgało do ziemi i pozwalało spoglądać swobodnie na zatokę. Piękny widok, jak się wydawało, też nie robił na Klarze wrażenia. Powiedziała tylko, że chce się jej pić. Hermann poczuł się urażony.

– Widok jest imponujący – powiedziałam z grzeczności, w końcu wdałyśmy się z gospodarzem w interesy i byłyśmy mu winne lojalność. W pokoju stał fortepian, byłam przekonana, że służy do dekoracji. Przypomniałam sobie lekcje gry na fortepianie w Monachium, w czasach kiedy wmawiałam sobie, że jestem szczęśliwa ze swoją jednoosobową męską orkiestrą. Nauczycielka powiedziała, że jestem niemuzykalna, uświadamiając mi, że nie wystarczy być młodą i ładną.

Hermann miksował „specjalny drink” przy barze w kształcie statku, który stał pośrodku pomieszczenia – piękny twór ze szkła i drewna mieszczący setki butelek. Brzdąknęłam jakąś melodię i wzięłam od Hermanna szklankę z napojem.

– Nie wiedziałam, że można tyle zarobić na nieruchomościach – powiedziała Klara, Hermann zatem wyjaśnił jej, że to kwestia podejmowania decyzji we właściwym czasie oraz układów: tanio kupić, przekształcić w teren budowlany, drożej sprzedać.

– Jonny Linden nie przestanie, póki nie opanuje bezprawnie całej tej piekielnej wyspy.
– Duża czerwona twarz Hermanna nabiegała krwią pod opalenizną, kiedy się podniecał. Lekko obity bokser. Klara zaś miała talent do wsadzania palca w świeże rany.

– Czarodziejko, od twojej gry zaczyna mnie znów boleć głowa. Czy Linden jest lepszy od ciebie? – spytała Hermanna.

Zatrzasnęłam wieko i Klara się wzdrygnęła. Stojący za nią Hermann patrzył w dół, na jej piersi, miękkie, opadające i ledwie przysłonięte czarną jedwabną koszulą.

– Nie ma skrupułów. Utrzymuje całą sieć informatorów i ludzi wyciągających ręce po datek. Podobno siostra prezydenta jest jego kochanką. Ten człowiek nie ma żadnych słabych stron... no, może poza jedną... próżnością. Jonny ma bzika na punkcie arystokracji. Za pierwszą lepszą baronową biega jak wściekły pies.

– No proszę. – Popatrzyłam na Klarę. Odwzajemniła moje szydercze spojrzenie.

Księżniczka von Ysenburg odrodziła się po drugiej stronie oceanu, w białym domu nad morzem. Wypiłyśmy swoje zdrowie.

– Gdy zrealizujemy ten projekt, polecę do Londynu – powiedziałam Klarze. Nałożyła okulary, twarz skryła pod maską. Z opuszczonym wzrokiem weszła kobieta w fartuchu, przynosząc owoce i ciasteczka; wyglądały słodko i klejście. Przyklękła, postawiwszy wszystko na stole, a gdy się podniosła, spojrzała pytająco na gospodarza. Hermann odesłał ją machnięciem ręki. Wyglądało to tak, jakby chciał odpędzić komara.

– Nie podobają mi się twoje wielkopańskie kolonialne obyczaje – odezwała się Klara.

Był cholerykiem, czy tego nie wiedziała? Kimś, kto momentalnie wpada w szał i potrafi cienką skórę uprzejmości zrzucić w jednej sekundzie.

– W moim domu na to nie pozwolę – wrzasnął – zwłaszcza takiej złodziejce jak ty!

Stanął przed Klarą, chwycił ją za ramiona potężnymi łapskami i potrząsnął wściekle, tak że spadły jej okulary. Klara nie bronila się, co go jeszcze bardziej rozeźliło. Objął rękami jej szyję. Pomyślałam, że Klara chyba go odprawiła z kwitkiem ostatniej nocy i że ja czuję wstręt do przemocy mężczyzn. Prawdziwi bokserzy szukają równych sobie przeciwników. Dwaj mężczyźni z Hamburga oraz konduktor wagonu sypialnego stopili się z Hermannem w jedno, co u mnie wzbudziło bezwzględne myśli. Herman nie zważał na nic, był skoncentrowany na tym, by ukarać Klarę za obrazę majestatu. Król na końcu świata, wcielenie wszystkich mężczyzn, jakimi się brzydziłam.

Wyjęłam z torebki swój mały sprężynowy nóż, zwolniłam ostrze i podsunęłam Hermannowi pod nos.

– Utnę ci nos, jeśli jej natychmiast nie puścisz.

Ręka mi nie drżała, czym byłam bardzo zdziwiona. Hermann też, bo natychmiast puścił szyję Klary. Wielki nos i mały ostry nóż. To był język zrozumiały nawet dla niego. Zmusił twarz do dobrotliwego uśmiechu.

– To tylko żart, czarodziejko, naprawdę nie zrobiłbym jej krzywdy.

Cofnęłam nieco nóż, trzymałam go jednak wciąż na wysokości twarzy Hermanna.

– Ale chciałeś pokazać, że mógłbyś jej zadać ból. Czegóż takiego nie lubimy. Na takich zasadach nie zrobimy wspólnego interesu, rozumiesz?

Pozycji słabszego długo nie wytrzymał.

– Mógłbym was zadenuncjować. Mam dobre stosunki z policją.

Klara sięgnęła po okulary, nałożyła je, stanęła przed nim i wymierzyła mu siarczasty policzek. Tak klasnęło, że gdybym nie uważała i nie cofnęła noża, skaleczyłaby się. Była idiotką. Ja też. Zadawać się z Hermannem na jego terenie to błąd. Fałszywa decyzja zrodzona

z mojej przeklętej żądy pieniędzy.

– Jesteśmy spokojnymi turystkami – powiedziałam – i papiery mamy w porządku. Jeśli sprowadzisz policję, urządzą ci tutaj taką scenę gwałtu, jakiej jeszcze nigdy nie przeżyłeś. A Klara będzie świadkiem. Zapomnij o tym, Hermannie. Wezwij lepiej taksówkę, niech nas zawiezie do Santo Domingo.

Hermann oszołomił nieco policzek Klary, a może i moje słowa. Tak jednak nie igra się z kacykiem, czyż nie wiedziałyśmy o tym? Klara wyjęła mi z ręki nóż, przyjrzała mu się w zamyśleniu i wetknęła do mojej torebki. Czasem stanowiłyśmy jedność, ona i ja, mała armia przeciwko reszcie świata, który składał się głównie z mężczyzn.

– Jest bardzo szybka w posługiwaniu się nożem – oznajmiła. – Kiedyś obcięła jednemu facetowi kawałek ucha, ponieważ nie chciał jej posłuchać. Zbyt wiele temperamentu, Hermannie, i za mało subordynacji. Jest osobą, która nigdy nie myśli o przyszłości, dla której po drugiej stronie egzystencji znajduje się nicość. To czyni czarodziejkę tak niebezpieczną. Jeśli jesteś w stanie to zrozumieć. A teraz masz dwie możliwości: albo wyjeżdżamy, albo podwyższysz swój udział w naszym przedsięwzięciu do stu tysięcy. Z góry. Gotówką. Bez gwarancji sukcesu. Ale my zrobimy nasz najlepszy numer, bądź tego pewien.

– Jesteście szalone.

O tak, byliśmy. Należało odjechać, lecz tym razem Klara podjęła błędną decyzję. Albo uczynił to Hermann, ponieważ milcząc wyszedł z pokoju i wrócił z plikiem banknotów, które rzucił na stół. Dolary w setkach. Klara przeliczyła je, po czym zauważyła, że kurs wymiany został bardzo hojnie oszacowany. Wepchnęła najpiękniejsze papiery świata do mojej torebki. Szelest był niezwykle przyjemny, widok upokorzonego mężczyzny również. Miło ze strony Klary, że z nim nie poszła do łóżka. Chciałam zachować wdowę na ustawionym przez siebie cokole. Była własnością Wondraschka i powinna nią pozostać.

– Zakładam, że macie jakiś plan – powiedział Hermann.

– Jestem głodna.

– Dziecko nie jada śniadań – wyjaśniła Klara. – To niezdrowe.

Antonio nie używał kondoma, co w świetle jego biseksualnych zwierzeń stanowiło większy powód do niepokoju niż mój poranny brak apetytu. Hermann chciał powiedzieć coś grubiańskiego, lecz Klara położyła mu rękę na ustach.

– Mamy pewien plan. Każ nam przynieść coś do jedzenia, trochę ryby, sałatę i kalifornijskie białe wino, wtedy uzgodnimy z czarodziejką szczegóły. Masz pod ręką kogoś, kto potrafi fałszować papiery?

W tej części świata wszystko jest do kupienia, także fałszerz, którym był malarz ze Stuttgartu, artysta o niewielkim talencie, gotów za pieniądze zrobić wszystko, co jego rzemiosło mogło zaoferować. Gdy wezwany przez Hermanna, przybył wieczorem do hacjendy, Klara usunęła się z nim, by sprawę omówić na stronie, ja tymczasem z naszym partnerem w interesach siedziałam na wewnętrznym dziedzińcu, słuchając śpiewu słowików. Piękna, tropikalna noc, takie były wszystkie: ciepłe, pachnące kwiatami, pełne moskitów, gdzieś ktoś śpiewał jakąś żalostną arię (na wyspie dużo śpiewano), sierp księżycy odbijał się w basenie, a szeroka twarz Hermanna błyszczała od potu i zadowolenia. Podobała mu się bajka, jaką wymyśliłyśmy z Klarą – historia księżniczki von Ysenburg i jej jaśnie oświeconej matki, która niestety była pokerzystką i często cierpiała na brak pieniędzy. Na przyjęciu w domu Hermanna księżniczka spotka Jonny’ego Lindena i zacznie z nim flirtować. Potem jednak przetrzuci się na Hermanna, co będzie dla Lindena niezrozumiałym bolesnym doznaniem. Ten upokarzający składnik był nieodłączną częścią planu. Księżna matka pocieszy Jonny’ego i da mu do zrozumienia, że nie miałyby nic przeciwko zięciowi. Księżę von Ysenburg *in spe* musiałby jednak w takim wypadku liczyć się z kosztami, ściśle mówiąc z kwotą ćwierć miliona, a księżna spodziewałaby się zadatku w wysokości połowy tej kwoty, bo przejściowo jej zasoby zostały nadwyreżone. Następuje przekazanie pieniędzy i *happy end*, przynajmniej dla trojga protagonistów, z których dwoje spiesznie wyjeżdża, trzeci zaś rozpowszechnia wśród ludzi całą tę historię z kpinami i szyderstwem.

Hermann poklepywał się z uciechy po udach. Jego poczucie humoru ustawicznie wymagało używania sobie na innych; właściwie nie znałam mężczyzny, który śmiałby się z siebie lub płakał nad sobą. Zahartowani w trudach życia wszyscy dają ujście uczuciom tylko wtedy, gdy cel obiecuje pieniądze, seks lub władzę. Tacy właśnie mężczyźni przecinali moją drogę, a ja uczyłam się od nich. Zawsze jednak to ja prowadziłam grę i ustanawiałam jej reguły. Ich były tylko pieniądze. Ta fatalna zależność była zresztą ograniczona i tym samym do zniesienia. Nawet w osobie Hermanna, który z lekceważeniem wszelkich estetycznych zasad nosił stale bermudy w rozmiarze XL, koszule w kwiatki i brązowe sandały. Paznokcie u nóg znały pedikiur, tyle świadczyło na jego korzyść.

– A co będzie, jeśli Jonny na to nie pójdzie?

– Wówczas zmienimy plan. Mogłybyśmy na przykład sprzedać Lindenowi nieistniejący kawałek gruntu. Moja matka wygrywa nagle wysoką sumę w pokera, decyduje się osiąść na wyspie i proponuje Jonny’emu partnerstwo w jakiejś turystycznej inwestycji. Coś w tym rodzaju. Ale z tego co mówisz, wynika jasno, jak mi się zdaje, że da się złapać na plan A.

Hermann napychał sobie usta orzechami, misa była prawie pusta, i tego wieczoru pił piwo, oczywiście piwo z beczki, jak na przyzwoitego Niemca przystało.

– Jest węgorzem niebezpiecznego gatunku, czarodziejko. Nie lekceważcie go.

– W przypadku mężczyzn nie robię tego nigdy. Dlatego na wszelki wypadek mam zawsze przy sobie swój nożyk.

Hermann przełknął ślinę.

– Chybabyś nie spełniła swojej groźby. A może jednak?

– Nie mogę patrzeć na krew, Hermannie, ale z drugiej strony... Ty przecież także nie chciałeś zadać Klarze bólu, a może jednak...?

Klara mi potem nie podziękowała, lecz radziła, bym wyrzuciła nóż.

– Pewnego dnia będziesz musiała go użyć i co wtedy?

– Wtedy sprawię jakiemuś facetowi ból. Lepiej tak niż odwrotnie. Gdybym się zaczęła zastanawiać nad konsekwencjami wszystkich swoich działań, pewnego dnia zdrętwiałabym ze strachu i przestałabym żyć. *Wszystko się zmienia. Od nowa możesz zaczynać z ostatnim tchnieniem. Ale co się stało, to się nie odstanie. I wody, którą dolaleś do wina, nie zdołasz już oddzielić.*

Klara to rozumiała. Na wąskiej ścieżce wspólnych celów, którą dwoje ludzi się porusza, byłyśmy z Klarą tancerkami na linii słów, w które wierzyłyśmy. Słowa dobierałyśmy piękne. Niekoniecznie odpowiadały prawdzie. Nic nie było rzeczywiste oprócz nieba i księżyca, nawet stworzony przez Hermanna raj. Ogień, burza i nagle wszystko może zostać zniszczone. To była tylko luksusowa dekoracja do wieczornej sceny pod egzotycznym niebem.

– A co będzie, jeśli on zapłaci, ale zacznie mnie podejrzewać?

Hermann spytał o to, kiedy ściągnęłam sukienkę i skoczyłam do basenu. Temperatura wody była doskonała, toteż nie spieszyłam się z wyjściem.

– W jaki sposób mógłby to udowodnić? W końcu również ty zostaniesz przeze mnie oszukany, ale nie finansowo. Ale ludzie będą się ostatecznie śmiać z utraty pieniędzy przez Lindena, z jego próżności i głupoty. Nie z ciebie.

Teza była oczywiście do podważenia, jednakże została przedstawiona przekonująco. Wzięłam jeden z przygotowanych ręczników kąpielowych, dużych i miękkich, a Hermann wybałuszał na mnie oczy, jakby nigdy jeszcze nie widział nagich piersi. Były za małe jak na jego erotyczne pragnienia, lecz pił przecież także szampana, chociaż wolał piwo. Możliwe, że wytrzeszcz oczu należało tłumaczyć nadczynnością tarczycy. Klara twierdziła, że Hermann mimo swych masywnych kształtów jest delikatnym człowiekiem, tyle że nie chce się

odslaniać. Gdybym pragnęła męża, to musiałby być piękny jak Antonio, mądry jak Brecht i erotyczny jak Cohen. Wierny jak pies i tajemniczy jak kot. Bogaty jak Hermann. Wiedziałam, że to niemożliwe, i dlatego byłam na z góry przegranej pozycji.

– Kochasz ją?

– Kogo?

– Klarę.

– Nie – odpowiedział. – Kobieta, którą mógłbym kochać, powinna być szczerą, uczciwą i bezwarunkowo lojalną. Tego nie sposób oczekiwać od Klary i dlatego odkładam sprawę *ad acta*.

Wypijmy, Hermannie. Za wszystko, czego nie otrzymamy. Za wspólny sukces. Za pieniądze i podłość. Za piękną noc w twoim wspaniałym domu. Życie jest najważniejsze. Nic więcej nie mamy do dyspozycji.

ROZDZIAŁ 13

Przekonanie, że pasażerowie klasy biznes w przypadku nieplanowanego lądowania szybciej wyjdą przez awaryjne wyjścia, jest pocieszające. Również kawior i dobra wódka zmniejszają strach, że jest się zdanym na łaskę maszyny, a co gorsza człowieka, który nazywa się kapitanem. Klara poleciała do Hamburga, ja zaś byłam w drodze przez Atlantyk do Londynu. Z połową pieniędzy od Hermanna – tym razem podzieliłyśmy się z Klarą po siostrzanemu. Plik banknotów miałam w torebce, która leżała na siedzeniu obok, piękne papiery bladozielonego koloru, szeleszczące przyjemnie, gdy się je poruszało.

Dwa wyjścia awaryjne stały do dyspozycji pasażerów. Klasa biznes z szerokimi, dającymi się przestawiać siedzeniami dla menedżerów, przedsiębiorców, działaczy sportowych, sutenerów i oszustów świeciła pustkami. Mój współpasażer był młody, czarny i ubrany ekscentrycznie. Uznałam go za rozpieszczoną latorośl jakiegoś skorumpowanego afrykańskiego polityka; wydawało mi się, że sprawia mu przyjemność dręczenie przystojnego białego stewarda, dziecinne okazywanie władzy w ciągu długiego, nudnego lotu. Białe buty i czerwone skarpetki! Steward przewracał po rasistowsku oczyma, gdy przechodził obok mnie. Pasażer życzył sobie ściśle określonego szampana, nie, jednak raczej *blue label*, za mało lodu lub za dużo, skarżył się na obsługę, złe jedzenie, a kiedy w końcu zasnął, steward był nerwowym wrakiem, palił w kambuzie papierosa, przeklinał wybór zawodu i marzył o tym, żeby znaleźć bogatego kochanka i być przez niego utrzymywanym.

Nierozsądnie jest dużo jeść i pić na trasie długiego lotu, ale ja to robiłam. Czas stanął w miejscu i aż do przybycia na lotnisko Heathrow był bez znaczenia. Miałam cenny zegarek, ale w nowoczesnych mechanizmach nie słychać już tykania, widać tylko ruch wskazówek zmieniających współczesność w przeszłość; dokładny i monotony pożeracz sekund odmierzał po cichu mój czas. Szkoda, ponieważ lubiłam szmer, na przykład stojącego w jadalni Hermanna zabytkowego zegara, jednej z jego wartościowych i pięknych rzeczy, które wyzwalały we mnie chęć kradzieży.

Hermann, pojednawczy przy rozstaniu, zawiózł nas na lotnisko w Santo Domingo. Wszystko przebiegło zresztą inaczej, niż zamierzałyśmy – okazuje się, że trzeba wkalkulować w swoje plany najbardziej nieprawdopodobne przypadki, teraz to wiem.

Wszystkie próby generalne, sfalszowane papiery, dyskusje o tym, ile pieniędzy powinna Klara zażądać od Lindena, wielkie *party*, które Hermann wydał... pięć dni zmarnowanych przygotowań i nerwowego napięcia. Równie dobrze mogłabym leżeć nad basenem z jakąś kiepską książką z biblioteki Hermanna. Miał tam pornosy, bestselery i science fiction, nic, co by mnie zachęcało do lektury, ponieważ można żyć tylko w jednej rzeczywistości, inne zatem mnie nie interesują. Klara oddawała się egzotycznym koktajlom, które tak lubiła, Hermann zaś zajmował się swoimi interesami, polowaniem na obiecujące zysk parcele, przekupnymi decydentami i chętnymi wyspiarskimi pięknosciami. Żadnego więcej pożądanego spojrzenia na wędzące wdzięki Klary. Przez większość czasu sprzeczali się o szczegóły naszego planu i o przyjęcie. Klara chciała je wydać z szampanem, odpowiednio do książęcego stanu, natomiast Hermann sprzeciwiał się temu, gdyż większość niemieckich gości wołała piwo z beczki i kiełbaski z rusztu pochodzące od pewnego frankfurckiego rzeźnika z Santo Domingo. W detalach nasz gospodarz i fundator był oszczędny, nie chciał nawet miejscowego zespołu instrumentalnego, twierdząc, że jest za drogi jak na „tubylcze brzdąkanie”. Jednakże z grubsza Klara przeprowadziła swoje wyobrażenie hucznej zabawy, gdyż po prostu tak długo przedstawiała własne racje, aż Hermannowi nabrzmiała żyła na czole, a ja rzuciłam znaczące spojrzenie na swoją torebkę.

Hermann pokazał nam swój hotel: tysiąc łóżek, a w każdym turysta ze zryczałtowanymi wymaganiami. Dobrze odżywieni ludzie, którzy się obnażali w niewyobrażalny sposób, i wrzaskliwe dzieci siusiające do nasyconych chlorem basenów. Szerokie tyłki na barowych stołkach i owłosione ręce podnoszące puszki z piwem. Prażone w upale kobiece ciała na leżakach obok egzotycznych koktajli. Bezużyteczny materiał dla rewolucyjnych teorii Klary.

Ilekcio stykała się z tym bardzo blisko, stawała się niezwykle ostrożna w doborze słów. „Bardzo ładne i pełne smaku”, powiedziała do Hermanna, władcy tego królestwa oraz gospody „U Hermanna”, gdzie dominikańskie kelnerki, pocąc się w bawarskich strojach ludowych, serwowały golonkę i sznycel po wiedeńsku, a niemiecka muzyka ludowa huczała nad piwnym ogródkiem. Tak to wyglądało, to lubili turyści, kawałek ojczyzny na obczyźnie, złudzenie, że można być gdzie indziej, a jednak na właściwym miejscu. Tutaj Hermann czuł się u siebie, suwerenny łaskawy patriarcha, i miałam ochotę mu powiedzieć, że w tym środowisku on reprezentuje coś, co się może podobać. Ale to obosieczny komplement, dlatego zachowałam go dla siebie. Klara bąknęła tylko, „że oryginalne”, i Hermann zirytował się jej małowównością, ja zaś tymczasem pochłaniałam olbrzymią porcję żeberek z przysmażanymi kartoflami, zerkając na Klarę z rozbawieniem. Jakże jej się nie podobała ta

sceneria i ci statyści, którzy żuli, przepłukiwali gardła, palili i przerzucali się słowami. Robiłam wszystko, aby uniknąć udziału w tej sztuce, chociaż byłam niczym i nic nie umiałam. Życie wolne od bólu, możliwie dobre. Klara nie lubiła piwa, toteż wychylała kufle ze śmiertelną pogardą. Hermann wyglądał tak, jakby zamierzał moją współniczkę znowu chwycić za gardło. Czyjaś opalona ręka, należąca do siatkowej koszuli opiętej na brzuchu, sięgnęła jednej z roznoszących piwo kelnerek w głąb dekoltu. Dziewczyna pisnęła, a mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem. Ciemny, ołowiany skwar leżał nad ogródkiem piwnym. Roje moskitów szykowały się do ataku. Orkiestra dęta zagłuszała każdy cichszy dźwięk. Tak wygląda piekło. Ziemia jest piekłem. Wydawało się jedynie, że nikomu nie rzuciło się to jeszcze w oczy. Wszyscy czuli się diabelnie dobrze, choć mogli tylko w ograniczony sposób zaspokoić podstawowe potrzeby: głód, pragnienie i seks. Śmiech kosztem innych. Wytworniejsze piekła miały urządzenia klimatyzacyjne i oferowały bardziej wyrafinowane rozkosze, i to cała różnica. Dziwne, że Klara ze swym ostrym spojrzeniem jeszcze tego nie zauważyła. Ideologiczne zaślepienie. Istniały piękne słowa i piękna muzyka, piękne obrazy i całkiem rzadko niebiańskie chwile. Tutaj to było piekło. A życie wolne od bólu nie istniało, gdyż moskity wysysały mi krew i ktoś prowokacyjnie potracił mnie z tyłu, poszukując w ścisku wolnego miejsca. Klara, opita piwem, popadła w zwykły stan melancholijnej nietrzeźwości. Hermann beknął, co usprawiedliwił swoim grubym portfelem.

Mój współpasażer obudził się i zażądał szampana z dobrego rocznika.

Taki sam słodki *moët chandon* podano na przyjęciu w ów wieczór, kiedy Jonny Linden miał odegrać główną rolę w sztuce, której nie znał. Zaproszono pięćdziesięciu gości, przeważnie Niemców na emigracji, geszefciarzy i przedwczesnych emerytów pod rękę z blondynkami lub dominikańskimi pięknościami, a także kilku lokalnych dostojników związanych z Hermannem wzajemnymi przysługami. Służące w białych fartuszkach roznosiły szampana; Klara miała czarną wieczorową suknię z głębokim dekoltem, moja była biała, odsłaniająca plecy. Zostałyśmy przedstawione i uśmiechałyśmy się wyniośle. Księżna rozgrywała swoją partię, przesadnie mówiąc przez nos, tak przynajmniej ja uważałam, ale uczestnicy *party* byli, jak się zdawało, pod wrażeniem. Piękne światło opromieniało banalność wydarzenia. Ekskluzywne piekło wypełniały blahe rozmowy o pieniądzach i głupich turystach lub skargi na służbę. Jonny Linden przybył późno, jak przystało prominentnemu gościowi.

Pojawienie się Jonny'ego Lindena to w moim życiu mała katastrofa. Śniona po tysiącokroć. Samolot leci za nisko między domami, drzewami i słupami telefonicznymi, które stają się widoczne za iluminatorami. Maszyna drży, pasażerowie krzyczą; zawadzamy o dom

i widzę, jak skrzydło zaczyna się palić. Umieram... i budzę się zawsze, nim to stanie się prawdą. Podczas każdego lotu myślę o umieraniu, jakbym to lubiła. Jakby ktokolwiek mógł zobaczyć ostatnie sekundy upadku i poznać uczucie rozrywania swojego ciała. Zdecydowałam się na wariant eskimoski: zestarzeć się, zaakceptować swoją bezużyteczność dla wspólnoty i samemu wyjść na mróz. Zakrzepnąć w zimnie, tak opowiadał mi Wondraschek, to piękna śmierć, zwłaszcza kiedy się ją przyspieszy rozgrzewającym alkoholem. Tak umarł mój dziadek – upity tanią siwuchą zgubił drogę i upadł na ziemię niedaleko drzwi swego domu, w śnieg, który go przysypując ogrzewał, podczas gdy on pochrapywał, pogrążając się w nicość. Naturalnie mój dziadek nie odszedł dobrowolnie. Bo kto w jego pokoleniu albo w następnych troszczył się o przetrwanie innych? Lubiłam tę eskimoską legendę, ponieważ przedstawiała śmierć jako coś heroicznego. Każdy powinien mieć prawo do bohaterstwa.

Poznałam Lindena natychmiast. Zmienił nazwisko, jednakże nie zwycięski uśmiech i mocno opaloną twarz. Włosy miał za długie. Biały garnitur z lnianego płótna i buty w tym samym kolorze robiły wrażenie nieprzyzwoitych u dandysa posuniętego już w latach. Spojrzałam na Klarę. Stojąc obok Hermanna witała lokalnego parlamentarzystę. Jej uśmiech zastygł. Wypowiedziała słowa „szlag by to...”, które gość być może uznał za wielkopańską formułkę powitalną, po czym odciągnęła Hermanna na bok i zaczęła mu coś szeptać do ucha. Otworzył szeroko usta.

– Witaj, czarodziejko. Cóż za urocza niespodzianka – odezwał się Gerald Freiser *alias* doktor Jonny Linden. Dwoje oszustów stało naprzeciw siebie i próbowało przejąć kontrolę nad sytuacją. Facet, który mnie obciążył trzymilionowym długiem, wyszczerzył szyderczo zęby. Pomyślałam o czasie, jaki z nim straciłam. Wielkie uczucia wywołują pragnienie niskiej zemsty. A jednak to spotkanie było śmieszne, całkowicie zwariowany przypadek, i gdybyśmy nie zainscenizowały tej książęcej komedii, miałabym teraz w garści Geralda, człowieka z nową tożsamością, nie mniej skutecznego, nie mniej przebiegłego, tylko starszego i bardziej niebezpiecznego, niż go pamiętałam.

Uratowała sytuację Klara: podeszła do nas, wzięła Geralda pod rękę i poprowadziła w kierunku kuchni. Poszłam za nimi, mijając zdumione twarze; plecy Geralda zachęcały do numeru z ciśnięciem noża, oczywiście ze śmiertelnym skutkiem. Żenował mnie ten mężczyzna, ponieważ go kiedyś kochałam.

– Co ma znaczyć to *intermezzo*? – spytał, kiedy staliśmy w kuchni we czworo.

Personel się nie liczył, owe kucharki w białych czepkach i fartuszkach wyświeżone na noc dla Hermanna. Te kobiety zarabiały niewielkie pieniądze. Kiedy miało się ochotę na radio tranzystorowe albo ładną sukienkę, sprzedawało się siebie komuś takiemu jak Hermann. Jednakże naszym dusz wy, mężczyźni, nie dostajecie. My kłamiemy, mówimy prawdę mniej więcej raz w tygodniu, i to tylko przy mało znaczących sprawach.

Gerald nalał sobie wina, które stało na stole. Wypił za moje zdrowie i powiedział:

– A może teraz trzeba cię tytułować księżną? I jak mam się zwracać do poczciwej, starej Klary? Nie chciałbym uchybić dworskiej etykiecie.

Zawsze górą. Odparłam, że poszukiwani kryminaliści z fałszywą tożsamością nie powinni przesadzać. Hermann sapnął przytakująco, dla niego fiasko całego przedsięwzięcia stanowiło jednak swego rodzaju zwycięstwo. Jonny Linden, jak się okazało, miał słaby punkt. Można się było układać w interesach, skoro kruk kradł innym tylko żarcie. Klara szturchnęła Geralda szczypcami do homarów z jakiegoś odniesionego talerza i kazała mu podnieść rękę do góry. Pomyślałam, że zwariowała, lecz Gerald podniósł je posłusznie, a Klara zaczęła się głośno śmiać. Na białym garniturze widniała plama od homara, tam gdzie znajdowało się coś w rodzaju serca Geralda.

Wykazaliśmy mu we trójkę, że nasz mały żart, którym chcieliśmy zabawić do północy niemiecką wspólnotę na obczyźnie, to nic w porównaniu z jego przykrym położeniem.

– Hermann ze swymi dobrymi układami z policją może cię w każdej chwili zadenuncjować – powiedziała Klara, pozwalając Geraldowi opuścić rękę.

Mężczyzna, który się poczuł zagrożony przez szczypce do homara, nie znajdował się w dobrej sytuacji. Wiedział o tym, jednakże uśmiechał się nadal; zachować kontenans bez względu na okoliczności – w tym był wybitnie utalentowany i kiedyś podziwiałam go za to.

– Bardzo mi przykro, że poszukiwany przestępca zalicza się do moich najbliższych przyjaciół – Hermann położył rękę na sercu. Tam także można było podejrzewać granit. Wrogowie mogliby się pogodzić i razem zrobić interes związany z pozostałymi parcelami, *fifty-fifty*, tak sformułował to Hermann, okazując wspaniałomyślność: gotów jest podjąć się czegoś wspólnie z oszustem. Wrodzoną cechą Geralda była taktyka, wiedział, kiedy przegrywa. Zacni panowie przypieczętowali pakt uściskiem dłoni, umowy miały zostać podpisane następnego ranka. Geraldowi wystąpiły na czoło krople potu, każda warta milion peset, które właśnie stracił.

Podczas tych pertraktacji zastanawiałam się gorączkowo, jak mogłabym wykorzystać tę sytuację. Republika Dominikańska nie miała z Niemcami układu o ekstradycji, Gerald więc mógł się czuć względnie bezpiecznie. Z drugiej strony musiało mu zależeć na tym, aby

chronić nową tożsamość i nie zostać poddanym szantażowi. Klara wykonała ręką ruch, który mógł znaczyć „dwa”. Dwa miliony? Gerald z lekkim sercem rozstawał się z kobietami, ale pieniądze miały określony ciężar na wadze jego podstawowych potrzeb. Panowie otworzyli butelkę szampana i wypili za swoje zdrowie. Męskie sprawy. Policzyłam do trzech i pozwoliłam sobie rzucić bombę:

– Półtora miliona dla mnie, Geraldzie, równo połowa tego, co podpisałam. Dlaczego ja mam odejść z pustymi rękami, skoro mam moralne prawo do tych pieniędzy?

Kwestia moralności nie miała tu oczywiście nic do rzeczy. Gerald spojrzął na mnie, jakbym była wysysającym krew insektem, którego zniszczenie nie przedstawia żadnej trudności.

– Wykluczone. Nie mam pieniędzy. Wszystkie zamroziłem w parcelach. Jestem nawet mocno zadłużony, jeśli koniecznie chcesz znać prawdę do końca.

Hermann popatrzył na mnie w zamyśleniu. Wyraz dobroci połączony z podziwem widniał na jego twarzy. W gruncie rzeczy był miłym starszym mężczyzną, skorumpowanym przez władzę, która mu użyczała pieniędzy. Tacy byli oni wszyscy i różnili się tylko stopniem wyrachowania.

Klara wyjątkowo nie odezwała się. Piła.

– To prawda – powiedział w końcu Hermann. – Jest prawie bankrutem, ale gdy połączymy siły, pan Linden i ja dużo zarobimy. Oceniam, że w ciągu dwu lat będzie się mógł wypłacić. – Zwrócił się do Geralda: – Daj jej skrypt dłużny.

– Chcecie nas wykantować. – Klara miała czkawkę, co odebrało zdaniu trochę ostrości.

Hermann poklepał ją swoją łapą po ramieniu.

– Nie, skarbie, wszystko jest w porządku. Zatroszczę się osobiście, aby czarodziejka otrzymała swoją należność. Ostatecznie ma do tego moralne prawo.

Traktował rzecz poważnie i Gerald to pojął. Nawet jeśli w najmniejszym stopniu nie podzielał wyobrażeń Hermanna o winie i karze, rozumiał, że w tej sytuacji na nic się nie zda jakikolwiek sprzeciw. Jakoś się wykręcę, mówiły jego oczy, a usta sformułowały słowa:

– Nie mam chyba wyboru, jak sądzę. – Jakżeż on nas wszystkich nienawidził, zwłaszcza mnie, i jak bardzo ja rozkoszowałam się tą chwilą zemsty! Obróciłam pierścień na palcu:

– Brylantu też ci nie oddam. Przecież to był prezent, nieprawdaż?

Hermann roześmiał się, był jowialnym zwycięzcą.

– Człowieku, zgarniemy tyle forsy, że łatwo się uporasz z miłą czarodziejką. Ciesz się,

że ci jaj nie ucięła. – Chwycił się za nos i mrugnął do mnie.

Przez chwilę byliśmy przyjaciółmi i gdyby nie jego wygląd, rozważyłabym nawet w podziękowaniu odrobinę seksu. Między mężczyznami i kobietami interesy odbywają się na zasadzie wzajemności i kiedy w ten sposób na to patrzeć, wszystko staje się całkiem łatwe. Hermann mnie jednak nie potrzebował, wybór na wyspie miał wielki, ja natomiast byłam za chuda. Klara wstrzymała oddech, poczerwieniała na twarzy. To jej sposób zapobiegania czkawce. Nieraz odnosiłam wrażenie, że ma zdolność wstrzymywania oddechu aż do utraty przytomności. Klepnęłam ją po policzkach, z sykiem wypuściła powietrze. Poczekałiśmy jeszcze kilka sekund, ale było po wszystkim. Ze stanowczym stwierdzeniem Klary, że pewnego dnia umrze na zwyrodnienie przepony, opuściliśmy kuchnię, aby wrócić na przyjęcie. Gerald został jeszcze chwilę, otoczony przez kobiety, które dziwnym trafem były blondynkami i uganiały się za romantycznym, a zarazem orgiastycznym pieprzeniem, tą nie dającą się rozwiązać sprzecznością kobiecej fantazji. Któraś z blondynek wisiała na ramieniu Geralda, gdy po północy opuścił przyjęcie zmierzające ociężale do końca. Pomachałam mu drwiąco na pożegnanie. Klara spoczywała na plecionym krześle, pozwalając się wachlować jakiemś obszarnikowi o płomiennym spojrzeniu, który wybałuszał oczy na jej dekolt. Hermann tańczył jak słoń z piękną Dominikanką. Nie dostrzegłam żadnego mężczyzny, którego mogłabym jeszcze oszukać bądź uszczęśliwić, więc skoczyłam w białej wieczorowej sukni do basenu. Życie było piękne i niekiedy sprawiedliwe. Pewnego dnia odnajdę Cohena i spróbuję go kupić. Przeważającą część marzeń da się urzeczywistnić dzięki pieniądзом. Tego marzenia niestety nie.

W którymś momencie lotu zasnęłam i steward obudził mnie, gdy samolot podchodził do lądowania. Londyn spowijała mgła, a ja nie miałam pojęcia, po co tu przyleciałam. Klara próbowała odwieść mnie od tego wypadu. Pocziwa Klara, już miała na oku nowy projekt, do którego zaprzęła stuttgarckiego malarza żyjącego z fałszerstw. Plan był podniecający, lecz niewiązący czasowo. Wszystkie godziny i dni należały do mnie. Półtora miliona w ciągu dwunastu miesięcy. Hermann to obiecał, a w torebce miałam skrypt dłużny Geralda. Nie było już niczego niewyjaśnionego w moim życiu, jeśli nie brać pod uwagę tego, że nie miałam domu, zawodu, żadnych przyjaciół, żadnego celu. Tylko siebie i Klarę. I tak wiele wolności, że mogło to wywołać zawrót głowy. No i zagadkę Beatrix. Klara wyzwała mnie od romantycznych idiotek, lecz przy pożegnaniu na lotnisku wyczułam jej niepokój. Podjęła ostatnią daremną próbę nakłonienia mnie do wspólnego powrotu do Niemiec. Nic, Klaro, nie

jest gorsze niż niepewność i wątpliwości. Wolę każdy inny ból. W na pół obojętnym poszukiwaniu mojej przeszłości przeważała lekkomyślność. Dotychczas. Każde spółkowanie było lukratywną inwestycją bądź po prostu przyjemnością. Zanurzałam się w jakąkolwiek rozkosz jak w wodę w basenie Hermanna, gdzie pływały sztuczne lilie wodne, które widziane od dołu wyglądały jak kondomy.

W kolejce do kontroli paszportowej zrozumiałam kobietę, która w trakcie *party* u Hermanna powiedziała, że jedynym do przyjęcia sposobem podróżowania jest prywatny odrzutowiec. Szare zmęczone twarze wszystkich klas w jednym rzędzie. Udręczeni pasażerowie, powłócząc nogami, posuwali się wolno do przodu. Z daleka widziałam funkcjonariuszy pochylonych nad paszportami, jakby studiowali biblię sadyzmu. Czasem któryś podnosił rękę, aby ująć stempel, popatrzeć na niego w zamyśleniu, a potem dokończyć dzieła urzędowo zezwalającego na wjazd. Zaczęłam się dławić, jakbym miała zamiar wymiotować, i ruszyłam, jękając słowa przeprosin, wzdłuż kolejki w stronę okienka: *I am sick. I am sorry. Please...* i ludzie mrużąc, niezadowoleni, pozwolili mi jednak przejść do przodu, ku wolności. Nienawidziłam czekania, obojętnie gdzie. Nikt nie ma czasu do stracenia, czy oni tego nie wiedzą? Urzędnik kontroli paszportowej miał na policzku pod okiem brodawkę i jak się wydawało, traktował poranną służbę jako szczególną torturę i musiał to sobie na nas odbić. Ale także on okazał litość dla dręczonej nudnościami kobiety, odprawiając mnie z godną podziwu szybkością. Pewnie ze strachu, że mogłabym wymiotować na jego święte okienko. Wszystko jest grą i kto się zadowala rolą statysty, sam sobie jest winien. Chyba że nie potrafi postępować inaczej.

Hotel „Dorchester” pachniał tradycją, apartament zaś był marzeniem w pluszu. Personel, przeważnie męski, nosił czarne wyglansowane buty. Mówiono po angielsku w taki sposób, że zaczynałam się jąkać. Pewnego dnia posiadę wystarczającą wyniosłość, by patrzeć na nich jak na powietrze. „W razie wątpliwości zawsze najlepszy hotel”, powiedziała Isadora Duncan, luksusowa rewolucjonistka. Jak jej się udało tak szybko i oryginalnie umrzeć? Zadzwoiłam do Klary do Hamburga. Była chłodna, prawie nieprzyjazna. Pieniądze leżą u naszych stóp, a ja nie raczę ich podnieść, zamiast tego włóczę się po Londynie. Jestem nieprofesjonalna, dziecinna i niewdzięczna. Osobliwe słowa w ustach Klary. Nigdy dotąd nie odmierzałyśmy dawania i brania. Klara skarżyła się na ból głowy, poradziłam więc, by odzwyczaiała się od środków odurzających. Odłożyła słuchawkę. Mój lokaj przyniósł herbatę i kruche sandwicze. Wyjątkowym przywilejem bogaczy byli lokaje. Lubiłam ich. I sposób, w

jaki przyjmowali napiwki. Połączenie służalczości i arogancji. Rozsunął ciężkie story odsłaniając widok na szare fasady. Każde miasto jest brzydkie przy takiej pogodzie. W drodze z lotniska do hotelu napatrzyłam się na te fasady, na ciągi ulic z karzełkowatymi domami i wspaniałe budowle śródmieścia. Na leniwą, brunatną rzekę i sunące po niej statki turystyczne. Ludzie, którzy żyją w słońcu, mają bardziej szczerze twarze; te tutaj były zamknięte, jakby do wnętrza wtargnął lód. Marzłam, toteż musiałam sobie kupić garderobę na londyński wariant wiosny. Oraz iść do pubu w Chelsea. „Witaj, mamó. Jak się masz? Długośmy się nie widziały. Ściśle biorąc, więcej niż dwadzieścia lat. Brakowało mi ciebie niekiedy. Ale Klara była dobrą pocieszycielką.” I mała plastikowa karta otwierająca bramę do luksusu. Kupując ciepłe rzeczy, rozgrzewałam się wspomnieniem o klęsce Geralda. Jak tylko dostanę od niego pieniądze, zadenuncjuję go. Honor oszustów. Albo: tak, trzeba swoim wrogom wybaczać, ale dopiero kiedy zostaną powieszani. Słowa Heinego nie dające się zastosować do Beatrix. Choć przemyślałam wiele wersji naszego spotkania, nie mogłam się zdecydować na żadną. I kupowałam: sukienki, zakłady, buty, kapelusze, torebki, walizki, kolczyki. Tutaj w sklepach spotykały się zwycięskie elegantki z wyższych sfer oraz kobiety noszące chustki na głowach. Na dworze przed drzwiami czekali szoferzy w szarych autach, którzy ładowali paczki z zakupami i otwierali drzwi samochodów. Luksusowy świat; kierowca samochodu hotelowego próbował ze mną flirtować za pośrednictwem wstecznego lusterka. Gdy wymieniłam nazwę knajpy i ulicę w Chelsea, powoli kiwnął głową. Ściemniło się, padał deszcz i Kuba Rozpruwacz wędrował brudnymi uliczkami Londynu. Między zwycięstwem a klęską nie było nic oprócz niekończących się szeregowych domków z lakierowanymi drzwiami i gęsto zaparkowanych średniej klasy samochodów. Na tych ulicach panował terror drobnomieszczański, zastąpiony niebawem przez ponure czynszowe koszary wielokulturowej masy. Knajpa „Cat & Dog” znajdowała się w ślepej uliczce, jasno oświetlony azyl dla wszystkich lęków, jakie dają się zagłuszyć alkoholem i rzekomą bliskością innych. Kierowca zaparkował przed drzwiami zapewniając, że będzie czekał w samochodzie. Wysiadłam i zbliżyłam się do swojej przeszłości przez malowane wahadłowe drzwi.

Beatrix siedziała na małej estradzie i brzdąkała na gitarze. Brzmiało to jak „Californian Dreaming”, śpiewała tak cicho, że z trudem można ją było zrozumieć w knajpianym gwarze. Goście stali przy bufecie zajęci swymi szklankami lub towarzystwem, nie wydawało się, by ktoś słuchał. Pub jakich tysiące, o typowej, brudnej swojskości, z zapachem frytek, piwa i papierosów. Na ścianach wisiały wizerunki kotów i psów w absurdalnych pozach. Bea śpiewała, jakby nie chciała być zrozumiana, jakby wcale nie chciała tu być. Klara nazwała ją starą kotką, ale ona wciąż jeszcze była piękna. Beatrix o zielonych oczach i źle ufarbowanych

rudych włosach splecionych w warkocze. Stałam przy bufecie blisko podium i słuchałam, jak przemienia się w Joan Baez, wykonując stare dobre piosenki, które brzmiały już tylko sentymentalnie. O czym albo przeciw czemu śpiewa, nie miało w tym miejscu znaczenia. Patrzyłam na źle ubranych ludzi; nie byli wystarczająco młodzi, aby się stąd wygrzebać. Barman, który przedstawił się jako George, uśmiechnął się przez jasny gąszcz brody i podał zamówiony przeze mnie dżin z tonikiem. Zapytałam go, czy jest właścicielem baru, odpowiedział twierdząco z irlandzkim akcentem. George pachniał przegrzanymi powstaniami oraz kiepską wodą po goleniu.

– Czy ona nie śpiewa cudownie? – spytał i w ślad za nim skierowałam wzrok ku samotnej postaci na estradzie. Kobieta spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Przez jedną nedorzeczną chwilę zazdrościłam Beatrix miłości, której tak hojnie poświęciła życie. Jeśli jednak tak miało to funkcjonować, należało szukać nowej miłości co trzy lata, co uznałam za zbyt męczące. Pieniądze były rzeczą pewniejszą, a ponadto kto chciałby wieczór za wieczorem spędzać w tym pubie, gdzie stęchły tonik podawano w szklankach z prasowanego szkła?

Piosenkarka skończyła występ utworem Donovana o żołnierzu, ze spuszczonym wzrokiem przyjęła skąpy aplauz, podeszła do bufetu i stanęła obok mnie. George podał jej kieliszek czerwonego wina, jakby to był ceremonialny dar ofiarny. Mężczyźni z bujnymi brodami ukrywają albo cofnięty podbródek, albo swoje lenistwo. George promieniował jakimś rodzajem przejmującej dobroci, który uznałam za odpychający. Zdaje się, że ta dobroć podobała się Beatrix. Śledziła jego poczynania za kontuarem z czułym wyrazem twarzy. Nie była zbyt wysoka, ta moja matka, a w workowatej długiej sukni nie wyglądała korzystnie. Miała na twarzy za grubą warstwę makijażu, nałożonego bardzo niedbale i to chyba powodowało, że jej twarz w jakiś osobliwy sposób sprawiała wrażenie dziecinnej i starej zarazem. Kotka lubiła tanią srebrną biżuterię i była nią obficie przyozdobiona; nosiła też o wiele za dużo pierścionków. Dziecko kwiat w jesieni życia, jesienne opadające listowie, które nieprzyjemnie szeleści. Strasznie chciałam ją znaleźć, dlatego tutaj przybyłam. I nagle przemówiła do mnie w moim ojczystym języku.

– Jesteś Niemką, prawda?

– Tak. Turystką.

– Jak znalazłaś się w tym pubie? Myślę, że nie ma go w przewodnikach.

– Przypadkiem. Przechodziłam tędy i zaczęło padać.

Zerknęła na zewnątrz, gdzie stał Bentley. Powiedziałam jej, że ma bardzo ładny głos, kiwnęła głową, jakby ten komplement często już słyszała.

– Gdzie mieszkasz?

– Nigdzie. Naprawdę. Nigdy nie miałam domu. Powoli się do tego przyzwyczaiłam. Lubię mieszkać w hotelach, o ile są dobre i drogie.

– Dziennikarka – powiedziała Bea.

Potrząsnęłam głową i zamówiłam kolejkę, także sherry dla George'a. Moja matka piła tanie czerwone wino afektowanymi łezkami. Srebrna biżuteria pobrzękiwała przy jej ruchach. Powiedziałam, że jestem bogatą spadkobierczynią bez zawodu, bo nie przyszło mi na myśl żadne przyzwoite określenie mojej działalności. Chciałam, żeby mnie podziwiała, ale Bea interesowała się zawsze tylko jednym człowiekiem, mężczyzną, z którym akurat żyła. Kiedy George nie napełniał szklanek, podchodził do niej i trzymali się za ręce. Wyglądało to żałośnie. George'a odwołali goście, a Bea opowiedziała mi, że jej pierwszy mąż, Amerykanin, zginął w Wietnamie. Odtąd jest kontestującą piosenkarką. George z powodu agitacji politycznej przesiedział w Londonderry kilka lat, co chyba w jej oczach szczególnie go wyróżniało. Zadawałam sobie pytanie, jak wiele brodaczy wie o jej przeszłości, podczas gdy Bea opowiadała mi o dziecku, które straciła w tragicznych okolicznościach.

– W czasie jednej z demonstracji przeciwko próbom z bronią atomową zostałam potracona w biegu i wypuściłam dziecko z rąk. Upadło na ziemię. W tym momencie ruszyła do akcji policja i zrobiło się straszne zamieszanie. Moją córkę dosłownie stratowano na śmierć.

Miała naprawdę łzy w oczach. Zatkalo mnie z gniewu. Wondraschka i mnie złożył w ofierze dopasowanemu do ideologii życiorysowi!... Nader zuchwała próba uporania się z przeszłością. Czy każdemu, kto stawia jej czerwone wino, opowiada tę smutną bajeczkę? Na szczęście spotkała George'a, który dał jej siłę do dalszego życia. I muzyka też pomogła, stare piosenki z Ameryki, piękne teksty skierowane przeciwko złu na świecie. Bea uśmiechała się dzielnie. Wszyscy musimy być silni, aby znosić niesprawiedliwość.

Wszyscy musimy kłamać, aby przeżyć. Kto wiedział o tym lepiej niż ja? Jednakże w przypadku Beatrix byłam gotowa zrobić wyjątek, ponieważ była najlichszą mitomanką, jaką kiedykolwiek spotkałam. Wyrzucając za burtę wszystkie teorie pojednania, postawiłam z trzaskiem szklankę na kontuarze i powiedziałam głośno:

– Gówno prawda. Wondraschek był oszustem i zmarł w więzieniu. Nie pojechałby nigdy do Wietnamu, bo był na to za cwany. A ja nigdy nie uczestniczyłam w żadnej demonstracji. Pewna artystka, odkrywszy swą osobowość, porzuciła mnie, gdy miałam cztery lata, bo za głośno krzyczałam. Resztę twego niewiele znaczącego życia znam z opowieści Klary. Składa się ono w zasadzie z mężczyzn i prób samobójczych. I politycznie poprawne

też nigdy nie było, cokolwiek to znaczy. Prawdą jest tylko to, że jesteś drugorzędną piosenkarką w pubie czwartej kategorii.

Wyrzuciłam to bezkrytycznie wobec siebie samej. George spojrział w naszą stronę zatroskany, musiał jednak zajmować się gośćmi, którzy chcieli jeść i pić. Bea nadąsała się jak obrażone dziecko przyłapano na powszednim kłamstwie. Jeszcze mogła się roześmiać albo wziąć mnie w ramiona, lecz moja matka okazała się artystką iluzji osobliwego rodzaju.

– Biedna dziewczyna plecie niesamowite bzdury – powiedziała do George’a, który teraz znów podszedł do nas. – Może jest naćpana.

Bea cieszyła się wielką sympatią bezrobotnych, od dawna protestujących, przegranych ludzi tej dzielnicy, stałych klientów. Widziałam to na ich nieprzyjaznych twarzach. Ja zaś byłam kobietą z przeszłością, nazistowskim babsztylem, do tego ubranym o wiele za drogo. Nie mieli żadnego powodu być tolerancyjni. To przypomniało mi scenę z frankfurckiej knajpy, tylko że tym razem ja stałam się punktem centralnym zbiorowej niechęci. Kimś, kto wyruszył, by odnaleźć swą matkę. Co za głupota, Klara miała absolutnie rację: nie było nic do odnajdywania. Znalazłam tu tylko zupełnie obcą mi kobietę.

Bea wzięła mnie pod rękę i wyprowadziła z pubu. Ludzie zrobili przejście, ona była jedną z nich. Za drzwiami puściła mnie. Bentley stał parę metrów dalej w świetle ulicznej latarni.

– Cieszę się, że ci się powiodło – powiedziała ta obca kobieta. – Ja muszę już niestety wracać. Mam występ. Co sądzisz o George’u?

Okropnie zarośnięty. Wzruszyłam ramionami. Bea objęła mnie z doskonałą obojętnością. Każdy jej ruch łączył się z pobrzękiwaniem, co dobrze pasowało do gatunku jej muzyki.

– Potrzebuję miłości – powiedziała – to moje pożywienie i jeśli go zabraknie, umrę.

Biedny Wondraschek, w pewnym sensie pożarła go. Teraz mężczyźni stali się o wiele bardziej wytrzymali od kobiet, nawet jako szkielety, skóra i kości, jeszcze zdolni podbijać świat. Czarujący uśmiech Beatrix rozbijał. Polubiłam tę idiotkę. Nie była niczemu winna. Ja, dziecko dwojga uczniów czarnoksiężnika, musnęłam jej mocno uróżowany policzek.

– Chciałam wiedzieć, jaka jesteś, to wszystko.

– Jestem zawsze taka, jaką mężczyźni pragną mnie widzieć. A więc nie jestem niczym szczególnym.

Bea uśmiechnęła się jeszcze raz i to było coś wyjątkowego. Potem odwróciła się i weszła do knajpy, do George’a i jego gości. Z czarnego nieba padał deszcz. A więc żadnych tajemnic, a jeśli były, to Bea umiała je chronić. Samotność spadła na mnie jak bestia o tysiącu

szponów. Nikt mnie nie kochał. Również mężczyzna, z którym uprawiałam seks tej nocy, taka dyskotekowa znajomość na parę godzin. Czarnowłosa niebieskooki Szkot z dziwnym akcentem i w kropkowanych bokserkach. Robił to tak namiętnie, że nocny stolik zaczął się poruszać. To najlepszy rodzaj miłości, jaki znałam: intymne spotkanie dwojga nieznajomych. Tylko pożądanie i żadnych przeszkód między nami oprócz tej, co pożądanie wygasza. To, że płakałam przy orgazmie, Eamus uważał za wzruszający kaprys. Czy wszystkie Niemki są takie skłonne do łez? Czy wszyscy Szkoci stawiają takie głupie pytania? Jego brzuch wypełniało ciemne piwo, wciągał go, gdy spoglądał w dół. Fallus w stanie spoczynku nie jest estetycznym widokiem, podobnie jak zdjęcia kobiecych narządów płciowych z bliska. Nie patrzeć. Spoglądać w bok. Zamykać oczy, odczuwać, zapomnieć się na chwilę. Nie, Eamusie, nie wszystkie kobiety płaczą w czasie stosunku. Niektóre krzyczą, gdyż mają na to ochotę bądź wierzą, że mężczyźni uważają to za podniecające. Inne jęczą, stękają, drapią, gryzą, bo tego chcą albo sądzą, że mężczyznom się to podoba. Niektóre myślą o zamążpójściu lub o niezapłaconych rachunkach. Zupełnie odważne milczą, ponieważ rozkosz jest koniec końców niepodzielna. Czy chcesz to wszystko rzeczywiście usłyszeć, Eamusie, czy raczej głaskać moje plecy, gdyż lubię to i z natury jestem osobą biorącą? Bierz mnie taką, jaką akurat jestem i nigdy ponownie nie będę. Wzruszającą. Poruszoną. Kobietą, która chce być kochana.

Co doprowadza ludzi do tego, że wierzą w niezmiennosc tego uczucia? Wondrashek kochał Beatrix, ponieważ nie mógł jej mieć. Klara kochała Wondraschka, ponieważ on jej nie chciał. Bea kocha George'a, ponieważ kocha miłość. Miłość dla miłości. Za dwadzieścia lat nie znajdę już nikogo o niebieskich oczach, czarnych włosach i pieszczących dłoniach. Eamus jęczał przy orgazmie, wydawał gardłowe dźwięki przypominające z lekka puchacza. Eamus był poetą zatrudnionym w jakiejś agencji reklamowej. W wolnym czasie pisał wiersze i pornosy. Każdy z nas jest w jakiś sposób niedoskonały, nie do pojęcia. Kiedy w przerwach rozmawialiśmy, opowiedziałam mu historię bogatej sieroty; spodobała mu się, łączyła bowiem ze smakiem to, co materialne i emocjonalne.

Tuż przed świtem, kiedy właśnie zasnąłam, zadzwoniła Bea. W miłości i szaleństwie znajdująca się po tamtej stronie czasu i wstydu, spytała, czy nie mogłabym jej pożyczyć pięciu tysięcy funtów, bo George ze swoim pubem znalazł się w dławiącym uchwycie browaru i finansowych kłopotach. Odpowiedziałam, że się zastanowię. Dobrej nocy, Bea, a raczej: dzień dobry. Obok mnie leżał przystojny mężczyzna, którego sterczący organ zapowiadał seks w mętym świetle rozpoczynającego się dnia.

To nie była najlepsza pora dla mnie, toteż poprosiłam Eamusa, żeby sobie poszedł. Nie jadłam śniadania z nikim obcym. Wyglądał jak ktoś, kto zaczyna dzień wystawnie: jajka w

jakiegokolwiek postaci, co w Anglii nieodmiennie oznaczało przypalone skórki słoniny, białawo-tłuste sadzone jajka i czerstwe tosty. Już sam widok porannego angielskiego posiłku wywoływał niemiłe wrażenie i odpowiadał kulturze łózkowej, czyli ułożonym na prześcieradłach wełnianym kocom, które obowiązkowo wciskano pod materace. Każde wejście do łóżka zaczynało się od szarpaniny i kończyło tym, że prześcieradło zsuwało się, a koc dotykał ciała. Drapało, nawet w „Dorchesterze”.

Eamus wyszedł; wyglądał na bardzo dumnego i zadowolonego z siebie. Doprowadził mnie do łez swoimi sztuczkami i to przypuszczalnie przyczyniło się do jego dobrego samopoczucia. Mężczyźni określają się przez seks, pieniądze i władzę. Gdyby tego nie robili, miałoby się wybór między impotencją, tchórzostwem bądź intelektualną arogancją. Z mężczyznami sprawa wygląda prosto. Jeśli człowiek pojmuje ich reguły gry i kieruje je przeciw nim, są jak lustro, w którym odnajduje siebie, lecz z czasem nie chce mu się już szukać.

ROZDZIAŁ 14

Klara żyła w przekonaniu, że Wondraschek rzucił na nią klątwę, bo nie spełniła jego ostatniego życzenia. Jej bóle głowy stawały się coraz dokuczliwsze, a przepisywane przez lekarzy rozmaite pigułki nie pomagały. Pacjentce nic nie jest, brzmiały diagnozy, lecz ból nie opuszczał Klary mimo jej odysei po niemieckich gabinetach lekarskich.

Gdyby nadeszła rewolucja, badeńscy lekarze zostaliby pierwsi postawieni pod murem. Mieszkałyśmy we Fryburgu, w hotelu „Colombi” (w razie wątpliwości wybierałyśmy zawsze najlepszy hotel), chociaż ten ze swymi pretensjonalnymi koronami, żyrandolami i wzorami kwiatowymi stanowił karykaturę luksusu, był jednak po badeńsku solidny, z dobrą kuchnią i wybornymi winami, w których tonęła klątwa Klary i które pomagały jej zasnąć, chociaż twierdziła, że spędza noce bezsennie.

Nie mówiłyśmy o moim pobycie w Londynie. Ona nie pytała, a ja karałam ją swoim milczeniem. Dwie samotne kobiety polujące na wielkie pieniądze: wieczorami siedziałyśmy w barze hotelowym, piłyśmy wino lub wódkę i czekałyśmy na odpowiedniego kandydata. Zdolność Klary, aby w całkowitym milczeniu poświęcić się alkoholowi, była czasami irytująca. Nudziłam się na niewygodnym stołku barowym i pozwalałam gadatliwemu barmanowi informować się o dostojnych mieszczanach, którzy rezydowali w „Colombi” bądź zasiadali w barze i przy stolikach, o wystrojonych kobietkach z pasującymi do nich towarzyszkami; na stolikach i na ladzie patery z orzechami, do tego fortepian, przy którym pianista ustawicznie szczyrzył zęby. Duże pieniądze sprawiały że atmosfera nieprzyzwoicie gęstniała. Drżałam, słuchając opowieści o ponurych rodzinnych idyllach związanych ze stolikami barowymi. Żał mi było młodych dziewczyn poszukujących wielkiej miłości. Wzniosłych agentów od odkurzaczy, w tanich butach i pstrych krawatach, obdarzałam pogardliwymi spojrzeniami. Sam sobie był winien ten, kto tu siedział i czekał na szczęście. *Jakże nudzą mnie te Niemcy! To dobry średniej wielkości kraj, piękne w nim blade kolory i równiny, ale jacy mieszkańcy!*

Fryburczycy, którzy odpowiadali naszym wyobrażeniom o idealnych ofiarach, kazali na siebie czekać. Cierpliwość według Klary nie należała do moich cnót. To, że nie umiałam zdefiniować swych celów życiowych ani określić swojego *credo*, powodowało nieustanne

ataki Klary. Jej skłonność do krytykowania mnie wyraźnie wzrosła. Być może sprawiały to bóle głowy. Starość i choroba, ci dwaj wrogowie, wtargnęli do życia Klary i odebrali jej dawną lekkość.

Spodziewałaś się, Klaro, kontemplacyjnego schyłku życia z Wondraschkiem? Jesteś szalona.

Był moim słońcem, moim księżycem, moimi gwiazdami. Nie zrozumiesz tego, czarodziejko. Poza tym nie masz serca. Funkcjonujesz, używając głowy i podbrzusza.

Punkt dla Klary.

Nie istnieje miłość. Tylko oznaki miłości. Słowa, gesty, podarunki, małżeństwo jako ultymatywna forma poddania się.

Nie wierzyć w nic to najprostsze. Do tego nie musisz sobie niczego wyobrażać.

Wódka dla Klary i badeńskie wino dla mnie. Dyskusja nie wniosła nic nowego. O tak, kochana Klaro, tęsknię za wielkimi uczuciami. Za mężczyzną, który wszystko może i nigdy nie popełnia błędów. Ale jak mogłabym kochać mężczyznę, który nosi nieodpowiednie buty czy rozciągnięte kalessony? Skąpe slipy albo podkoszulki bez rękawów? Który trajkocze mi do ucha lub ofukuje kelnera? Olśniewa mnie swymi słowami, aby później oszukać swoim ogonem?

„Miłość”, powiedziała Klara z wykrzywioną bólem twarzą, „wymaga pokory”. Pokory kobiet oczywiście. Być może moja potworna, przecudowna, niesamowicie roztargniona matka urodziła mnie z owym defektem: za mało pokory. Ponieważ moja rodzicielka sama zbyt wiele ze swego życia poświęciła poddaniu się. George dostał te pięć tysięcy funtów. Byłam dobrą córką. Za to objęła mnie i pocałowała, moja matka. Jej skóra w dotyku wydawała się już nieco zwiędła, lecz to kochankowi z brodą, zdaje się, nie przeszkadzało. Dostałam także całusa od George’a, który nazwał mnie serduszkim. Brodacz był dużo, dużo młodszy od niej. Bea bąknęła coś, że zwróci pieniądze, ale bez wielkiego przekonania. Wielkoduszna, czyli ja, powiedziała o prezencie. Jeszcze jeden matczyzny pocałunek. Przez kilka złudnych minut tworzyliśmy małą szczęśliwą rodzinę w pewnym nędznym pubie w Chelsea. Obrzydliwy angorski kot Beatrix potargał mi drogie pończochy; George zaserwował hiszpańskie czerwone wino, które poplamilo jego jasnoblond brodę. Nosił białe drewniaki. Bea spytała mnie o plany i zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że jestem osobą żyjącą bez celu i planów. Wspomniałam o wdowie Klarze i na dłuższą chwilę łagodna kotka zmieniła się w parskające drapieżne zwierzę. Jednakże wyjaśnienie nie nastąpiło. Bea wróciła do równowagi i uśmiechnęła się. Był to smutny zachwycający uśmiech; musiała znać jego działanie. Jeszcze kieliszek czerwonego wina i kilka słów o pogodzie i polityce, potem mnie

pożegnano, bo George musiał otworzyć knajpę.

– Odwiedź nas kiedyś znowu – powiedziała Bea i zabrzmiało to jak wymuszony frazes.

– Odezwij się, jeśli będziesz mnie potrzebowała – odparłam.

Ucieszyli się, gdy wyszłam. Pojechałam taksówką do hotelu i spakowałam walizki.

– Co myślisz o tamtym? – Klara skierowała spojrzenie na mężczyznę, który zajął miejsce przy drugim końcu barowej lady. Dość niski, chudy, o twarzy, jaką się natychmiast zapomina. Oceniałam, że ma pod pięćdziesiątkę. Nosił drogi garnitur i krawat od Armaniego. Bar zakrywał dolną część ciała, ale przypuszczałam, że ma czarne buty. Zamówił „ćwiartkę badeńskiego” i jak się zdawało, znał barmana, co uznałam za pomyślny znak. Pianista grał „My way”, a nasza ofiara uśmiechała się radośnie. Ten mężczyzna z pewnością chętnie chodziłby „swoją drogą”, mimo że na to nie wyglądał, ale w taki sposób nie żyło się we fryburskich wielkomiejszczańskich kręgach. Na przegubie zegarek od Cartiera, sygnet herbowy na serdecznym palcu prawej ręki; Indiana Jones w badeńskim gorsecie popijał wino ze smakiem, lecz ostrożnie. Klara wciągnęła barmana w rozmowę o miejscowych winach, na tyle głośną, żeby nasz facet mógł usłyszeć. Gdy spojrzałam na niego wprost, zaczął manipulować przy krawacie i pierwszy spuścił oczy. Niepalący. Jego palce zabawiały się kieliszkiem wina. Klara wychyliła wódkę niczym wodę. Jakby postanowiła tumor mózgowy przechytrzyć marskością wątroby. Żadnego rozpoznania. Była absolutnie zdrowa. Aż do bólu, co do którego miałam czasem wątpliwości, czy wytrzymałby teatralną krytykę.

– Wezmę to samo wino co ten pan, tam, na końcu lady. Wydaje mi się, że jest znawcą – powiedziała Klara. „Tak prostacko”, rzuciłam jej złe spojrzenie. Jednakże zagadnięty uśmiechnął się równie radośnie jak barman, który przykładał wagę do kontaktów międzyludzkich w swoim królestwie. Szczęśliwi ludzie dają większe napiwki.

Wręczono nam bassgeige z Oberbergen – ja również otrzymałam kieliszek – i wypiliśmy nasze zdrowie ponad kontuarem. Alkohol przewycięża dystanse, wyostrza zmysły i osłabia mechanizmy obronne. Klara dostała ataku czkawki, więc pomogłam jej zejść ze stołka barowego i poprowadziłam do toalety.

– Ten się nada – powiedziała Klara, zanim wstrzymała oddech i z wydętymi policzkami zaczęła przeglądać się w lustrze. Ściągnęłam w ślad za nią wargi i spojrzałam na nasze odbicia. Ta jeszcze młoda to ja, nie szkodzi, że wokół oczu pojawiły się drobne zmarszczki. Przytyłam od tej przeklętej żarłoczności, chociaż wciąż było mi daleko do tuszy

Klary, dość zręcznie ukrytej pod dobrze uszytym kostiumem.

– Wystarczy, Klaro, wypuść powietrze. – Potrząsnęła głową, co przy wydętych policzkach okazało się dość trudne. – Proszę, Klaro. Nie przesadzaj, skoro ma być nasz. Musimy wracać, inaczej stracimy go. Więcej niż dwie ćwiartki nie wypije, idę o zakład.

Klara otworzyła usta i zwróciła wódkę, wino oraz sarni udziec z dodatkami. Odkręciłam kran.

– Pijesz za dużo, do diabła. Nie jesteś już najmłodsza, przecież wiesz.

Patrzyła w lustro i widziała potwierdzenie moich słów. Worki pod oczami, zmarszczki, rozmazany makijaż, ślady czterdziestu siedmiu lat życia.

– Tego, kto wymyślił powiedzenie o starzeniu się z godnością, należałoby powiesić – powiedziała. Potem podstawiła twarz pod kran. Klara, jedyny bliski mi człowiek, moja zastępcza matka, przyjaciółka i współniczka, znajdowała się już bardzo daleko na drodze do samozniszczenia. I nic, co mówiłam czy robiłam, nie mogło jej powstrzymać. Ręcznikiem starłam jej z policzka tusz do rzęs.

– Bądź trochę ostrożniejsza. Potrzebujemy się jeszcze.

– Dopóki rankiem nie sięgam po butelkę, dopóty nie podpadam pod kategorię nałogowego pijaka. Tak samo jak ty, tylko że ty lepiej to znosisz. A teraz zjeżdżaj do baru. Zjawię się, jak tylko doprowadzę się do ładu.

Bruno Menzel okazał się mieszkańcem Fryburga, adwokatem, doktorem prawa, samotnym zapaśnikiem, jak to sam określił. Siedział teraz przed swoją drugą karafką i był pod wrażeniem mojego nazwiska: Maria de Lorcás, widniejącego oczywiście w moim fałszywym paszporcie. Menzel nie znał hiszpańskiego, tym samym wytrzymał pierwszą próbę przydatności. Na zdrowie, Bruno. Samotne serca i umiarkowanie nałogowi pijacy powinni się jednoczyć i opowiadać sobie nawzajem piękne kłamstwa. Zerknęłam na drzwi, lecz Klara nadal się nie zjawiała.

– Czy to pani matka? – Bruno mówił z lekkim badeńskim akcentem i tak wolno, że słuchaczowi groziło zaśnięcie. A może zmęczyło mnie tylko długie czekanie na właściwą osobę?

– Nie. Claire jest moją guwernantką. Wiem, to brzmi śmiesznie, bo jestem przecież dorosła. Ale Claire była przy mnie od dziecka, gdy wychowywałam się w Wenezueli.

Uznawał wszystko, co mówiłam, za wielce interesujące. W różne historie z Ameryki Łacińskiej wczytałyśmy się z Klarą bardzo solidnie. Opróżnialiśmy już trzecią karafkę, za którą on zapłacił, a ja zadawałam sobie w duchu pytanie, gdzie do diabła podziewa się Klara. Bruno był najnudniejszym mężczyzną, jakiego można sobie wyobrazić.

Pełne umiaru życie poczęło się we fryburskiej rodzinie profesorskiej. Studia, małżeństwo z przyjaciółką z lat młodzieńczych, śmierć małżonki chorej na raka, kancelaria, mandaty za wykroczenia drogowe, rozwody, zatargi sąsiedzkie. Z maszynistką obchodził się tak samo troskliwie jak z zabytkowym biurkiem. Chętnie wędrował po górach, grał w szachy z sąsiadem i brał udział w miejscowym życiu kulturalnym, o ile nie toczyło się w kręgach lewicowych. Odziedziczył po rodzicach wszystko, co oni uczciwie zaoszczędzili, i mieszkał w rodzinnej willi. Umiałam słuchać, tak powiedział Bruno, idealny mężczyzna. A ja byłam przygodą, której szukał od dawna.

Klara – Claire – nie pokazała się do południa następnego dnia. Wypity alkohol stracił tymczasem moc, ulotniła się nikotynowa mgła. Budziłam się o tej właśnie porze, przyrzekając sobie prowadzić zdrowszy tryb życia. Wiedziałam, że to postanowienie nie przetrwa zmierzchu, pory, gdy dzień jeszcze się nie skończył, a noc nie zaczęła, żółte światła zaś zmieniają widzenie rzeczy. Klarę bolała głowa i rzeczywiście wyglądała jak guwernantka, tyle że umierająca. Spacerowałyśmy po jednym ze wzgórz otaczających Fryburg, a ja opowiadałam jej o Brunonie i jedynym zastrzeżeniu wobec niego.

– On jest skąpy, Klaro. Nienawidzę skąpych facetów.

– Bzdury. Jest absolutnie odpowiedni. Dziś przed południem zdobyłam o nim trochę informacji. Jego praktyka nie przynosi wiele, lecz doktor Menzel uchodzi za dość zamożnego. To człowiek oszczędny, kochający swoje wyciągi z konta, będzie więc zainteresowany tym, aby pomnożyć pieniądze. Musimy go tylko przekonać, nic więcej.

To co mówiła Klara, brzmiało prosto, ale gdy słońce mnie oślepiło, stawałam się tchórzliwa. Zbyt dużo świeżego powietrza i miasto cukierników, do którego się w drodze powrotnej ze spaceru zbliżyłyśmy, deprymowały mnie. W centrum na bruku siedzieli narkomani i włóczędzy, była to jednak tylko zaledwie rysa na idyllicznym obrazie. Na targu między straganami krążyły kobiety z wózkami dziecięcymi i koszykami. Kwestia, jakie kartofle nadają się do określonej potrawy, nabierała ogromnego znaczenia tutaj, gdzie kobieta prowadzi nieskomplikowane życie, wygląda zdrowo i radośnie, tak jak jej pyzate dziecko, które zaczynało właśnie płakać, ponieważ nie pozwolono mu sięgnąć do skrzynki z pomidorami. Klara wykrzywiła naznaczoną bólem głowy twarz i poszłyśmy dalej. Umówiłam się z naszym adwokatem na kolację w „Colombi”, w jeden wieczór wiele dokonałam, lecz i tak żałowałam, że nigdy nie dane mi było podyskutować ze sprzedawcą na targu o przydatności francuskich ziemniaków do sufletu. Niepotrzebnie zwierzyłam się Klarze, gdyż zaraz usłyszałam sentencję Brechta o łożku i kołdrze. Potem udałyśmy się do jednej z gospód na śniadanie (sałatę i wino), a Klara opowiedziała anegdotę z mego dzieciństwa, aby mnie

podnieść na duchu. O wielu rzeczach nie mogłam pamiętać bądź wcisnęłam je za przewodzkowe kartony. Gdy mieszkaliśmy w regionach, gdzie obchodzono karnawał, zawsze prosiłam, by mnie przebrano za Cyganę, opowiadała Klara. Kochałam ten czas przebierania się w kostium. Był jedną z ucieczek od Wondraschkowego całorocznego karnawału.

W drobiazgach Bruno Menzel przypominał mi ojca. Na przykład w sposobie jedzenia, starannym, bez reklamacji, bez dającej się dostrzec przyjemności. Opróżniałam talerze dwa razy szybciej niż on. Kiedy piłam, to dużymi łykami, gdy tymczasem Bruno wycierał starannie usta serwetką, po czym popijał z kieliszka drobnymi łyчками. Miał nieskazitelne maniere i jeśli mnie uważał za łapczywą, składał to zapewne na karb latynoamerykańskiego temperamentu. Ostatecznie pochodziłam ze stajni, którą mógł uznać. Ojciec był ministrem w Wenezueli, póki rząd nie został obalony w wyniku puczu, my zaś opuściliśmy kraj, kierując się do Miami. Tylko Claire, wierna dusza, towarzyszyła nam na wygnaniu. Z trudem mi przyszło powstrzymać łzy w trakcie opowiadania. Z drugiej strony ptysie podane do kawy stanowiły pokusę nie do odparcia. Liczenie się z opinią innych oraz przyzwoitość to filary humanistycznego wychowania Brunona i tu kończyło się wszelkie podobieństwo do Wondraschka. Bruno wydawał się dumny ze swego stalowego kośćca moralnego i jednocześnie nieskończenie znudzony rolą dobrego człowieka, którego grał. Latem wędrował po górach Schwarzwald, a zimą jeździł na narty do Tyrolu. Brak znajomości języków stał na drodze jego tęsknoty za dalekimi krajami. Powiedział, że jest całkowicie nieciekawym mężczyzną, czemu sprzeciwiłam się w uprzejmych słowach. Był miły. Zrobiło mi się go żal. I było mi przykro z powodu tego, co mu wyrządzimy, jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem.

„Pisarza interesuje przede wszystkim pisarstwo” (Brecht), natomiast „hochsztaplera – pieniądze” (Klara Wondraschek). „Pragnę otrzymać świat całkowicie tradycyjny” (Brecht). „Życie ma cenę, której nie znamy” (Bruno Menzel). Teraz opłaci pieniędzmi z dawna wytęsknioną przygodę. Byle nie ulegać sentymentom. Bóle głowy Klary kierowały się bezlitośnie przeciwko wszystkim wolnym od bólu, nie wyłączając mojej osoby. Może istnieją ludzie, których cierpienie czyni pokornymi i łagodnymi, lecz Klara do takich nie należała. Nie lamentowała, ale dominowało w niej przekonanie, że świat nie tylko w ogólności, lecz i w szczegółach jest niesprawiedliwy. Młodość i zdrowie były dla Klary wrogimi obrazami, a w moim wypadku z despotyczną skłonnością oprawiała je nawet w ramy. Małżeństwo w podeszłym wieku, bez seksu, funkcjonowało na zasadzie fundamentalnego przywiązania i wzajemnej zależności. Jednakże spór, jaki wybuchł pewnej nocy po moim samowolnym

działaniu, przybrał gwałtowny charakter.

– Dla pięciu tysięcy marek narażasz projekt, który ma nam przynieść milionowy zysk! Chyba zwariowałaś! Przeklęta hazardzistka! – Klara krzyczała, a ja byłam wdzięczna za solidne ściany „Colombi”.

– Podkusiło mnie. I poszło dobrze. Mogłabyś już przestać? Masz swoją część.

Klara rzuciła mi pod nogi tysiąc marek setkami – tyle kosztowały dwa dni w hotelu.

– Jeśli chcesz pracować jako dziwka i szantażystka, to mi powiedz. Wtedy się rozstaniemy.

Podniosłam banknoty. Niewielkie pieniądze, być może, ale nie one mnie skusiły. Klara tego nie rozumiała. Nudny dzień w hotelu. Bruno pojechał z wizytą do swojej babki, która wegetowała w domu opieki. Spać, pływać, spacerować po fryburskim zabójczym bruku, czytać, jeść, pić, spać. Bolesna mina Klary. Bar „Colombi” ze szczerzącym zęby barmanem. Gra na fortepianie jako tło badeńskich barowych rozmów. Życie przepływa obok jak woda w starannie wymurowanych kanałach fryburskich ulic. I wówczas pojawia się w hotelowym barze mężczyzna o imieniu Oscar. Menedżer w podróży służbowej.

Mężczyzna z polotem, który wykupił u kwiaciarza wszystkie róże, jakie tamten miał. Człowiek z niewielką ilością wolnego czasu i dużym zapasem energii. Robił dobre wrażenie na ów zimny, wyrachowany sposób skutecznego pięćdziesięciolatka. Kobieta, którą w trybie doraźnym postanowił usidlić, była w zasadzie chętna, by wdać się w tę grę. Wymiana słów, wymiana spojrzeń, dłoni z obrączką na mojej dłoni. Dynamiczny, pikantny plan w cywilizowanym szybkim tempie. Po dwu godzinach otwarta została jeszcze tylko kwestia, z czyjego pokoju mamy skorzystać, i zdecydowaliśmy się na jego apartament. Przy drzwiach przełączył swoją komórkę na pocztę głosową. Gdy zaczął mnie rutynowo rozbierać, rozdrażniły mnie jego nieczułe gesty i zdecydowałam się na pieniądze zamiast seksu.

– Zacznę zaraz wrzeszczeć tak głośno, że zbiegnie się pół hotelu.

– Co proszę? – Przerwał swoją czynność i spojrzał na mnie bardzo zdziwiony.

– Nienawidzę cię. Nie dam się zmusić do seksu. Nienawidzę mężczyzn, Oscarze. I zaraz zacznę krzyczeć: gwałt! Wpakujesz się w olbrzymie kłopoty, to mogę ci obiecać.

Jego zapal rozsywał się w proch. Jak na menedżera wyższego szczebla myślał dosyć wolno.

– Oszalałaś, dziewczyno? Przecież wszystko między nami było jasne.

Nic nigdy nie jest całkowicie jasne między mężczyzną i kobietą, Oscarze. Ktoś taki jak ty nie powinien o tym rozmyślać, to wszystko.

– Policja usłyszy inną historię, mój kochany. Że oboje po miłej rozmowie w barze

szliśmy do siebie, a ty mnie nagle wciągnąłeś do swojego pokoju. – Ścisnęłam swoje ramię tak mocno, jak potrafiłam. – Gwałtem, Oscarze. Aby mnie seksualnie wykorzystać. Twoje słowo przeciwko mojemu. I dlaczego to ja miałabym kłamać?

Teraz zrozumiał; w końcu przez połowę życia odparowywał nieuczciwe ataki konkurencji i atakował dla rozwoju swojej firmy. To, że zagrożenie wyjdzie ze strony kobiety, nie pasowało do jego świata potulnych małżonek, sekretarek i kochanek.

Oscar dla czarodziejki za najlepszą rolę drugoplanową.

– Tylko raz musiałam przeprowadzić taką sprawę. I biedny człowiek czuł się naprawdę wielce nieprzyjemnie. Kosztowało go to karierę. Znasz maksymę: Możesz robić wszystko, ale nie daj się przyłapać. Próba gwałtu jest bardzo brzydkim przestępstwem, nie sądzisz? – Chętnie by mnie uderzył, czytałam to w jego spojrzeniu. – Jeśli uderzysz, sprawa stanie się jeszcze bardziej oczywista, Oscarze. Tylko dla kogo?

– Ty dziwko!

– Dziwki uprawiają miłość. Przynajmniej na pozór. To zresztą zawód stworzony przez mężczyzn. Mój przedstawia się nieco odmiennie.

– Dziwka i szantażystka. – Oscar podszedł do minibaru i nalał sobie koniaku. Mnie nie zaproponował. Zabrakło powodu, by udawać dobre maniery. Było inaczej niż w nocnym pociągu, wtedy się nie bałam. Ten mężczyzna miał więcej do stracenia niż opanowanie, a na swojej drodze w górę z pewnością się nauczył znosić porażki cierpliwie i księgować jako pouczające doświadczenia. Wzięłam jego portfel leżący na stole i przeliczyłam gotówkę. Prawie pięć tysięcy marek, to lepsze niż czek, a nie chciałam być nieskromna. Banknot dwudziestomarkowy zostawiłam, resztę wetknęłam do torebki, podczas gdy Oscar przyglądał mi się z bezsilną wściekłością

– Oddaj pieniądze, albo oskarżę cię o złodziejstwo, ty szmato!

Co się tyczy jego wyboru wyzwisk, to żadne nie wyróżniało się oryginalnością.

– Biorę tylko gotówkę, Oscarze, więcej nie jest ta sprawa warta. A gdybyś chciał zadzwonić na policję... tutaj jest telefon. Jeden jeden zero. Podczas gdy będziesz telefonował, spluczę pieniądze w toalecie. I upozuję się na jeszcze większą ofiarę...

Oskar spoglądał na telefon, wiedząc, że nie może z niego skorzystać. Zastanawiałam się, kto kogo przetrzyma, poszłam jednak za daleko, by teraz okazać słabość.

– Precz! Spieprzaj. Nie chcę cię więcej widzieć. – Palcem wskazał na drzwi.

– Och, na twoim miejscu stanowczo zmieniałabym hotel. – Zatrzymałam się. – Bo ja jeszcze jakiś czas tu zostanę i uznałabym za bardzo ryzykowne znaleźć się na drodze takiego seksualnego przestępcy. Żegnaj, Oscarze. Cieszę się, że cię poznałam.

Gdy wychodziłam, dobiegły mnie jego ostatnie słowa, też zresztą niezaskakujące.

– Dopadnę cię jeszcze. Zanim się wyprowadzę, wspomnę dyrektorowi hotelu, kogo tu gości.

Stojąc w półotwartych drzwiach, wyciągnęłam wizytówkę Oscara, którą również mu zabrałam.

– Nie robiłabym tego, Oscarze. W takim wypadku musiałabym napisać twojej żonie, jak obchodzisz się z kochanką. Żony potrafią być wyjątkowo przykre, nie sądzisz? Czasami mądrzej jest zrezygnować z zemsty.

Czułam się dobrze po tym wszystkim. Chciało mi się pić i jeść i po kobiecemu czułam potrzebę, aby podzielić się swoim triumfem. Z Klarą. Powinnam jednak wiedzieć, że to jej nie rozbawi. Klótnia była okropna, najpierw cicha w czasie kolacji, później głośno kontynuowana w pokoju Klary. Postanowiłyśmy po zrealizowaniu obecnego projektu rozstać się na pewien czas. Propozycja wyszła od Klary, a ja się zgodziłam. To wszystko nie powinno potrwać długo, gdyż Bruno dojrzał już do zamachu na własne konta. Trochę chyba zakochał się we mnie, ufał mi, jego poukładane życie nabrało rozpędu i zaczynał się upajać szybkością. Nie był też skąpy, o co go pomawiałam, tylko umiarkowany w wydatkach, ponieważ ojcowskiego dziedzictwa nie chciał roztrwonić, lecz pragnął je powiększyć. Szampan tylko na kieliszki i nigdy drogich win. Żył dobrze, ale oszczędnie i zważał na jakość oraz ekwiwalent. Bruno jako człowiek zasługiwał na szacunek, tylko że ja się do tego nie nadawałam.

Klara nazwała go filistrem. Adwokatów nie ceniła wysoko, odkąd obrońca Wondraschka zadziałał z tak zgubnym dla swego klienta skutkiem. Ktoś musiał ponosić winę, Klara w to święcie wierzyła. Winni byli: adwokaci, lekarze, urzędnicy, politycy, menedżerowie, dyktatorzy. Przeważnie mężczyźni. Jedynym niewinnym człowiekiem w życiu Klary był Wondraschek. Ponieważ całkowicie ją opanował. Ponieważ go kochała. Kobiety nade wszystko mają zdolność do życia kłamstwem.

Claire odwiedziła Brunona w jego kancelarii. Wielkie wejście guwernantki, którą cenił, choć trochę się jej bał. Bruno uważał, że Claire go nie lubi, i tu wyjątkowo miał rację. Siedziałam w holu hotelowym, paliłam i czekałam. Ludzie wchodzili i wychodzili, co zapobiegało monotonii, wokół panował ruch, tylko ja tkwiłam w miejscu. Od Claire zależało, czy plan się powiedzie, ja wykonałam jedynie pracę wstępną. Klara okazała się lepszą oszustką niż ja, pojętną uczennicą Wondraschka, niewątpliwym monstrem, które potrafiło wypluć wzniosłe słowa. Z pewnością Bruno został zaskoczony jej wizytą. Claire najpierw go zaciekawiła, potem zdumiała, na koniec wezwała, aby był dobrym, mężnym, pełnym rozmachu, lubiącym ryzyko i chciwym człowiekiem. Bruno musiał przejść samego siebie,

jeśli nasz plan miał się powieść. Wprowadziłam go na tę drogę, lecz resztę trasy musiał pokonać sam.

Sięgnęłam po gazetę, lecz nie przeczytałam ani słowa. Zamówiłam kawę, później koniak, w końcu piwo. Automatyczne szklane drzwi otwierały się i zamykały, a ludzie przechodzili obok, nie zwracając na mnie uwagi. Wondraschek utrzymywał, że nie należy być miłym bez powodu. „Gdy będziesz miła i uprzejma, uznają cię za słabą i wykorzystają”, mawiał mój ojciec. Oręża bliskości i zaufania używa się jedynie wówczas, gdy człowiek chce się wzbogacić. W cmokającym się bez ustanku monachijskim towarzystwie Geralda nauczyłam się, że serdeczność to tarcza, za którą można się chronić przed nieprzyjacielem. Bycie sobą okazywało się niemożliwością.

Klara nadeszła, gdy otwarto ciężkie drewniane drzwi restauracji. Wyglądała na zmęczoną i kiedy się do mnie zbliżyła, wiedziałam już, że boli ją głowa. Zamówiła potrójną wódkę z dużą ilością lodu i niewielką toniku. Usiadła obok mnie i milczała, póki nie przyniesiono drinka. Klara nigdy nie była miła. Odstawiła pustą szklankę.

– Bruno jest tchórzliwy jak wszyscy mężczyźni. Naturalnie oprócz twego ojca.

– Uważasz, że nic z tego nie będzie? – Głos mi trochę drżał i Klara dostrzegła to z okrutną satysfakcją.

– Nie, już prawie połknął haczyk. Ale chce z tobą porozmawiać, nim podejmie decyzję. Przyjdzie tu wieczorem o ósmej. Ja zjem w pokoju albo się może tylko napiję. Przytyłam trzy kilo od tej głupiej kuchni. Gdyby nie to, że nie chce mi się kupować wciąż nowych rzeczy, w ogóle by mnie to nie obchodziło.

Szary elegancki kostium, taki jakie noszą guwernantki, opinał jej brzuch i biodra. Klara weszła w stadium zanikającej próżności.

– Zawsze myślałam, że alkoholicy wyglądają na wyniszczonych – powiedziała.

– Jesteś nałogową pijaczką. I do tego jesz za dużo. Powinnyśmy sobie wymyślić jakąś akcję w ekskluzywnej farmie piękności. Nim się przebiorę do kolacji, chętnie bym się dowiedziała, jak Bruno zareagował na szczegóły...

Był punktualny jak zawsze. Człowiek bez wad, prócz tej, że doprowadzał kobiety do ziewania. Zarezerwował swój stały stolik w Salce Limbowej, gdzie starszy kelner powitał nas ze służalczą poufałością. Tylko jedno okazało się inne: Brunona poniosła fantazja. Po rozmowie z Claire Maria de Lorcias nie była już boginią jego niespełnionych marzeń, lecz

bardzo ziemską istotą zmierzającą ku zagładzie. Jesteśmy tym, co mamy lub czego nie mamy. Kolej wnieść technię pokory i wstydu do gry:

– Claire nie powinna była ci tego mówić. Jestem na nią bardzo zła.

Bruno ujął moją dłoń, która spoczywała na jadłospisie. Umierałam z głodu, czy tego nie zauważył?

– Przeciwnie, cieszę się, że do mnie przyszła. Czy weźmiemy wspólnie pieczeń z jagnięcia?

Dzięki Bogu był również praktycznie myślącym mężczyzną. Skinęłam głową i zamówiliśmy zupę rybną i pieczeń jagnięcą, a do tego białe wino z beczki i niedrogie bordeaux.

– Cztery miliony dolarów, do których nie masz dostępu. To obłąd. – Głos Brunona przeszedł teraz w konspiracyjny szept.

Wzruszyłam ramionami. Gdy ktoś dorasta pośród milionów, pieniądze nie mają dla niego znaczenia. O ile się je ma. Ale jak Bruno dowiedział się od Claire, skrytka w banku w Caracas była dla mnie nieosiągalna. Nie zezwolono mi na wjazd do Wenezueli. Rodowa odpowiedzialność rodziny eks-ministra de Lorcasa. Odcień smutku w moim głosie wzruszył Brunona.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, jak ojciec doszedł do pieniędzy. Może w wyniku przekupstwa? W tym rządzie powszechnie stosowano taką praktykę. To brudne pieniądze, Brunonie.

– Pieniądz to pieniądz, droga czarodziejko. Ostatecznie nie ma to nic wspólnego z tobą.

O nie, odziedziczyłam majątek po ojcu. Klucz do skrytki i odpowiednie papiery, zanim eks-minister pożegnał się z tym światem.

– Czy Claire ci opowiedziała, że zwerbowałyśmy w Miami prywatnego detektywa, który miał wyjąć pieniądze?

– Tak. – Bruno skinął głową. – Wasz detektyw okazał się jednak oszustem. Bogu dzięki, że na czas poznałyście się na nim.

I stąd nasz przyjazd do Fryburga. Ponieważ tutaj miał podobno przebywać niejaki John Mayor, dezertor z wojny wietnamskiej, który takie zlecenia przyjmował i uchodził za niezawodnego. Niestety nie odnalazłyśmy go. A tymczasem nieszczęśliwym trafem dotknęło nas bankructwo. Jeśli coś szybko się nie zmieni, stracę dom ojca w Miami.

– Boję się, że możemy mieć nawet kłopoty z opłaceniem rachunku hotelowego. Nie wyobrażasz sobie, jakie to poniżające.

Samotna łza spłynęła mi po policzku, wytarłam ją z zawstydzaniem. Oczy Brunona błyszczały. Podano zupę, doprawiłam ją przed spróbowaniem, bo lubiłam jeść słono i pieprznie. Po zupie Bruno skosztował czerwonego wina i ze znanstwem mlasnął językiem, co akurat przy tym sikaczu wydało mi się lekką przesadą. Potem wznosił toast za moje zdrowie, wypił w skupieniu i powiedział:

– Nie opuszczę was, czarodziejko, po wszystkim co wspólnie przeszłyście.

Z radością przyjął te słowa. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, kobiety powinny być wdzięczne za dobroć mężczyzn. Oni cię nie opuszczają pod warunkiem, że masz do zaoferowania coś w zamian.

– Nie mogę przyjąć twojej pomocy, Brunonie. Wiesz, rozważyłam wszystko i po prostu zaryzykuję wyjazd do ojczyzny. Jeśli mnie aresztują... O Boże, więzienia w Wenezueli są takie okropne... Czy spróbujesz mnie wyciągnąć, gdyby mi się coś takiego przytrafiło?

Pieczeń z jagnięcia była według mnie za różowa, ale nie grymasiłam i grzecznie jadłam. Trochę nieobecna i smutna, jak przystało w moim położeniu.

– Ach, czarodziejko... – powiedział Bruno. – Kochana czarodziejko, zrobię dla ciebie bardzo wiele.

Co, Bruno? Wypowiedz to wreszcie. Wypisz czek na dwa miliony. Przestań tak miarowo wsuwać kaski do ust. I powiedz teraz, natychmiast, że nie pozwolisz, abym zaryzykowała wolność dla marnych pieniędzy.

– Ty w żadnym wypadku nie możesz tam pojechać – powiedział. – Ja to zrobię dla ciebie.

Nie to chciałam od niego usłyszeć.

– Nie mogę przyjąć tej propozycji. To byłoby upokarzające. Wdzięczność jest okropnym uczuciem, Brunonie. Mogłaby zburzyć między nami wszystko. – Jagnię było naprawdę zbyt różowe, ale bardzo kruche i smaczne. Twarz Brunona wyrażała zmieszanie. Nie rozumiał kobiet, które się zjawiały po jego matce. W zamyśleniu pogłaskał się po policzku. Skóra mężczyzn jest szorstka. – Jeśli chcesz mi pomóc, znajdź kogoś, kto odkupi ode mnie depozyt za połowę wartości. Już z dwoma milionami czułabym się więcej niż szczęśliwa. Chcę ratować dom w Miami i spłacić długi. I mieć trochę środków do życia, przecież mam jeszcze Claire na głowie. Może mogłybyśmy za resztę pieniędzy kupić jakiś mały dom we Fryburgu. Bardzo mi się tutaj podoba.

Wiele mówiące spojrzenie, które Bruno zinterpretował po swojemu. Jednakże uznał mnie za kompletną idiotkę.

– Nie możesz rezygnować z tak dużych pieniędzy, czarodziejko. To nonsens.

– Ach, głupie pieniądze. Potrzebne mi są po prostu teraz i w tym problem. Proszę cię, Bruno, znajdź kogoś. Dwa miliony tutaj za cztery miliony w Caracas. Jesteś przecież adwokatem. Widziałeś papiery bankowe. Wszystko jest okay, trzeba to tylko odebrać...

– ...i ponieść ryzyko, by z czterema milionami w walizce jechać do Niemiec. Jesteś pewna, że nie są to pieniądze z handlu narkotykami? – Teraz przemawiał przez niego adwokat. Potrząsnęłam głową. – Nie, z tym ojciec nie miał nic wspólnego, tego jestem absolutnie pewna. Sądzę, że chodziło o jakieś koncesje na odwierty, ojciec je wówczas wydawał. Pieniądze są czyste.

Tak wiele czystych pieniędzy z łapówek przyprawiło Brunona o poty. Opróżnił duszkiem swój kieliszek. Za wysokim czołem kłębiły się myśli trudne do odgadnięcia. Zamówiłam deser dla siebie, Bruno nie był już głodny, i czekałam cierpliwie, aż wreszcie wydusi z siebie propozycję, której oczekiwałam.

– A jeśli ja to zrobię, czarodziejko? Mogę zdobyć dwa miliony. To potrwa tylko parę dni.

Klasnęłam w ręce.

– Że też na to nie wpadłam. Oczywiście. Dlaczego nie mamy sobie wzajemnie pomóc? Ach, Bruno, jakże chętnie bym ci towarzyszyła do Caracas! Może potem spotkalibyśmy się w Miami? W moim domu. Co o tym myślisz?

Bruno, Indiana Jones, człowiek, który jedną chłodną decyzją zarabiał niespodziewanie miliony, wzruszył się swoim męstwem. Wargi mu drżały, kiedy zamawiał butelkę dom pérignon. Dziękuję, Klaro, za twoją dalekowzroczność, która kazała ci zlecić temu niedorzecznemu malarzowi sfalszowanie dokumentów bankowych. Klara była genialna i nie mogłam się doczekać, by przekazać jej dobrą wiadomość. Klarze ból głowy ustępował czasem tak gwałtownie, jak się pojawiał. Piliśmy z Brunonem szampana i opowiadałam mu o Miami i o pięknych czasach, które tam spędziłyśmy. Słuchał olśniony, przemieniony w człowieka światowego, który w sposób naturalny i bez mała arogancki wybiera najdroższe cygara. Metamorfoza Brunona Menzla trochę mnie rozczarowała. Nie istnieją mili dyktatorzy i skromni światowcy. W Brunonie ich wredne wcielenia dotąd drzemały ze strachu. Jego młodzieńcze marzenie to jeździć ferrari, czerwonym z czarnymi siedzeniami. Dlaczego nie, Brunonie? Po pięknym śnie następuje przebudzenie, niekiedy złe i niesprawiedliwe. Ten adres w Miami chyba istnieje, lecz mnie tam nie znajdziesz. Może usłyszysz o mnie tutaj lub gdzie indziej; dźwięczne imię, które zbudzi w tobie znaną melodię. I żadnych pieniędzy, Brunonie, poza owymi, które mi dasz w nieuczciwej wymianie. W oddaniu i wierze, że tak pilnie ich potrzebuję. Twoje zdrowie, Brunonie. Szampan smakuje po czkawce, a zwycięstwo po

klęskach życia, ponieważ tylko o nich się pamięta. Tak, jesteśmy sobie warci, jesteśmy parą związaną pieniędzmi i żądzą. Nie, żadnego seksu dziś w nocy, Brunonie – interes ma pierwszeństwo, a miłość może poczekać.

– Bruno pójdzie na policję, jak wróci z Miami – powiedziała Klara. Była kompletnie pijana i nie dokuczał jej ból głowy.

– No to co? Wyjedziemy na pewien czas za granicę. Co myślisz o Hongkongu?

– Nic – odparła Klara i naciągnęła koc na głowę. – Poza tym umieram.

ROZDZIAŁ 15

W Honolulu królował różowy hotel, a w nim przeważały różowe ciała, otyłe, hamburgerowe cmentarzyska ze Stanów Zjednoczonych wlane w ludzkie formy, amerykańskie „skarby” i „serduszka” ze złotymi kartami kredytowymi, w białym sportowym obuwiu i jaskrawej plażowej odzieży, rzucające szerokie cienie na delikatne japońskie pary, które swój miesiąc miodowy zaplanowały jako fotograficzne safari. Klarę i mnie uważano za lesbijskie ziółka, ponieważ pozór określał egzystencję, a na urlopie, w basenie czy na plaży, materiał do rozmów wyczerpywał się szybko i potrzebował wciąż uzupełnienia. Pomagał w tym hotel, wylęgarnia plotek za różowymi kulisami. Przed nim było morze i biegający po piasku przystojni opaleni młodzi mężczyźni z deskami do surfowania obok dziewczyn w bikini z rozwianymi włosami i białymi zębami. Piękni i bogaci mierzyli się nawzajem spojrzeniami, które mówiły, że lepiej być młodym. Spoczywając na leżaku myślałam o sobie, że jestem bogata i stara. Prawie trzydzieści lat... Odnajdź mnie, proszę. Japońscy nowożeńcy nie wymieniali w miejscach publicznych żadnych czułości. Fotografowali z obsceniczną energią, z czego podśmiewali się amerykańscy turyści. Tu nie przegrano żadnej wojny oprócz tej z ciężarem własnego ciała. Usługujący wyspiarze roznosili różowe napoje i patery z orzechami, które znikwały w otłuszczonych ustach. Każdy był „skarbem”, a godziny jedna za drugą topniały w słońcu. Nie marzłam. Tutaj był mój dom na czas nieokreślony. Człowiek jest w domu tam, gdzie ma miękkie łóżko, grube ręczniki, obsługę, restauracje i bary. Nie raziała mnie nawet marmurowa posadzka i fontanna w holu. Personel usługiwał nadzwyczaj uprzejmie, ponieważ żył przeważnie z napiwków – amerykański sposób, aby branżę usługową utrzymywać w dobrej kondycji.

Klarze podobał się hotel, gdyż czuła się w nim szczupła i nieznana. Przyglądała się ze zdumieniem różowoczerwonemu kapitalizmowi na egzotycznym tle, tak jak dziecko bożonarodzeniowej choince. *I spotyka się wszędzie aniołów. Pachną oliwą i noszą złote pesaria.* Klara patrzyła na brechtowskie piekło z podniebnej wysokości i nie czuła palącego ognia, jedynie ciepło. Migreny towarzyszyły jej i tutaj, twierdziła jednak, że w tym klimacie znosi je lepiej. Bary otwierano o jedenastej przed południem i o tej porze Klara zaczynała pić. Miliona, twierdziła, nie da się przepić, ale wąpiłam w to wobec tutejszej ceny wódki z

tonikiem. Bruno postarał się o dwa miliony i poleciał do Caracas. Maria de Lorcas i jej guwernantka opuściły Fryburg tego samego dnia, kiedy zlikwidowały konto, na które wpłynęły pieniądze Brunona. Pojechałyśmy do Luksemburga i dalej do Frankfurtu, gdzie na lotnisku chciałyśmy się rozstać. Spojrzenie Klary zmieniło wszystko. Stała przed tablicą z rozkładem lotów, w panice studiując miejsca docelowe. Potem usiadła na walizce i popatrzyła na mnie. I to było właśnie to spojrzenie. Wtedy powiedziałam, że powinnyśmy polecieć do Honolulu, bo nazwa jest najładniejsza, a Klara przypomniała sobie stary film, którego akcja rozgrywała się na Hawajach, i zgodziła się.

Honolulu okazało się nowoczesne, handlowe i bez twarzy. Hotele, sklepy, restauracje, bary i długa żółta wąska plaża z tysiącem przeciwsłonecznych parasoli. W filmie, powiedziała Klara, wszystko wyglądało inaczej. Źródłem jej globalnej wiedzy była taśma celuloidowa. Amerykę знаła za pośrednictwem Brechta. Rzeczywistość rozczarowywała i oszałamiała, a przede wszystkim nie dawała się zrozumieć. Klara nie znała angielskiego i doprowadzała kelnerów do rozpacz, składając zamówienia po niemiecku lub po rosyjsku; ten ostatni język w różowym pałacu brzmiał wręcz perwersyjnie. „Wódka z tonikiem” to były magiczne słowa i podstawa porozumiewania się Klary z obsługą. Każde bez wyjątku miejsce tchnęło smutkiem, gdy Klara wpadała w melancholijne upojenie; często robiłam to wraz z nią, aby w takim samym jak ona stanie łatwiej ją znosić. Dwie damy na rauszu o zachodzie słońca w plażowym barze. Dobrze sytuowane. Bezdomne w ścisłym znaczeniu tego słowa. Kiedy słońce zanurzało się powoli w morzu, jadłyśmy na tarasie restauracji, gdzie pozwalano palić. Zagustowałam w rybie z rusztu, spieczonej na czarno, z zewnątrz ostrej i chrupiącej, natomiast w środku miękkiej i soczystej. Potem piłyśmy dalej aż do wygaszenia kolorowych świateł Honolulu. A na widoku żadnego mężczyzny, który by mnie uwolnił od Klary. Pomyślałam o Geraldzie: musi sporo zarobić, aby spłacić swój skrypt dłużny. I o Brunonie: stracił dużo pieniędzy i zapewne przeklina mnie za swoją głupotę. Przeklęty Gerald i biedny Bruno, życie odpłacało uczciwym nieuczciwością, mnie zaś los Geralda wydawał się lepszy niż Brunona. Moja nienawiść do Freisera pozostawała niezłomna, ponieważ ktoś musiał być winien temu, że leżałam sobie na wznak i pozwalałam się unosić z prądem. Ale gdyby trzeba płynąć ku nowym brzegom przeciw prądowi – nie, do takiego wysiłku nie dorosłam. Klara uważała, że powinnam poszukać bogatego mężczyzny i wyjść za niego.

– Dlaczego?

– Nie będę żyła wiecznie, a sama nie potrafisz być przyzwoitą hochsztaplerką – powiedziała. – To się źle skończy, czarodziejko.

– Nie umarłaś we Fryburgu. Skończ z tymi bzdurami.

Klara, białoskóra, pijana, przepelniona bólem, siedziała godna politowania na barowym stołku.

– Mam wrażenie, że już jestem w jakimś ekskluzywnym zakładzie pogrzebowym. W ogromnej różowoczerwonej trumnie. Wokół powieszono pachnące kwiaty, aby nikt nie zauważył zapachu zgnilizny. Nie czujesz nic?

Czułam woń alkoholu. Dym z cygara. Słony powiew morza.

– Nie boję się, Klaro.

– Właśnie. I to jest głupie. Powinnaś się bać, jak tylko zaczynasz myśleć. I ze strachu pozwolić sobie tak kierować, aby działać mądrze i unikać błędów. Byle wypadek może cię zgubić, czarodziejko. Ja na przykład mogłabym w tej chwili spaść ze stołka i skrócić kark.

– To dlaczego na nim siedzisz?

Klara roześmiała się, ale jej śmiech mi się nie podobał.

– Ponieważ jest mi wszystko jedno. Ponieważ już się nie boję. Ty jesteś moim ostatnim połączeniem ze światem zewnętrznym, rozumiesz? Siedzę w jakimś piekielnym raju i czekam na śmierć. Koniec wszystkich bólów głowy.

– Musisz iść tutaj do lekarza. Albo jedźmy gdzie indziej, do jakiejś naprawdę dobrej kliniki. Tylko nie w Niemczech, bo tam nie możemy teraz wrócić. Na pewno Bruno poszedł na policję. Jest tak przyzwoitym człowiekiem!...

Roześmiała się znowu, a mnie zrobiło się zimno. Nocami temperatury w Honolulu oscylowały wokół trzydziestu stopni.

– Bruno znalazł inne rozwiązanie – oznajmiła. – Wybrałam się dziś na lotnisko i kupiłam niemieckie gazety. Nienawidzę przebywania w miejscu, gdzie ludzie mówią inaczej niż ja. W „Süddeutsche Zeitung” jest nekrolog. Doktor Bruno Menzel zmarł nagle i nieoczekiwanie. Izba adwokacka wyraża żal. Przypuszczam, że popełnił samobójstwo. Co ty na to?

„O jasny gwint”, pomyślałam. Lawina żalu nad sobą przetoczyła się po mnie ze straszliwym impetem. Sięgnęłam po swój zestaw pierwszej pomocy: alkohol i papierosa. Klara popatrzyła na mnie z niejakim zadowoleniem, bezbłędnie odgadując moje myśli. Czas niewinności przeminął, mówiła jej twarz. I jeszcze to, że wszyscy urodziliśmy się jako mordercy, a w najlepszym razie zabójcy samych siebie.

– Nie chciałam tego, Klaro.

– Oczywiście, że nie. Ale ciągniesz za sobą ślad ofiar i wrogów. Pewnego dnia dostaną cię, czarodziejko. Chcę, żebyś się bała.

– O siebie?

Klara popatrzyła do szklanki, jakby roztopiające się kostki lodu miały w pogotowiu odpowiedź.

– Na przykład. Mogło się zdarzyć, że Bruno miał wypadek.

– Nie. Zabiłyśmy go. Ale do cholery, przecież chodziło tylko o pieniądze.

– Pieniądze i miłość: klasyczni zabójcy. Bruno jednak był również małym chciwym facetem. A śmierć to nie koniec wszystkiego. Nie rób się melodramatyczna, czarodziejko.

Klara piła długimi łąpczywymi haustami. Wydawała się nieporuszona, zajęta wyłącznie swoim bólem. Zrobiło mi się niedobrze, zeskoczyłam z barowego stołka i pobiegłam na plażę. Udało mi się dobiec do wody, a morze przyjęło to, co z siebie wyrzuciłam, i wszystko spłukało. Jakiś mężczyzna w smokingu podszedł i spytał, czy mógłby mi pomóc. Miła, niemłoda już twarz, wydobyta z ciemności światłem księżyca. Proszę, odnajdź mnie. Mam niemal trzydzieści lat. Boję się o siebie.

Poszliśmy wzdłuż plaży, nieznajomy i ja. Kobieta opowiedziała mężczyźnie, że porzuciła kochankę, a on zabił się z jej powodu. Prawda była luksusem. Nigdy nie mogłam sobie na nią pozwolić. Mężczyzna powiedział, że jest pisarzem, mało znaczącym, jednakże zamożnym. Że mieszka poza Honolulu, w dużym, prawie szklanym domu na skale wcinającej się w morze. Sam, bo żona odeszła od niego z jakimś surfującym facetem, który miał długi warkocz blond. I tak szliśmy sobie, dwoje żalobników, z butami w rękach, grzęznąc stopami w piasku. Robert i czarodziejka w drodze ku wspólnej nocy. Robert miał pięćdziesiąt lat i był zupełnie łysy, łysina jednak podkreślała pięknie uformowaną głowę. Co złego mogło mi się przydarzyć z mężczyzną, który mnie zagadnął, gdy wymiotowałam? Nigdy już nie okradnę przyzwoitego człowieka, tak przysięgałam, gdy tymczasem Robert mówił i mówił, jakby uznał, że musi opowiedzieć wszystko o sobie jakiejś nieznajomej na przypadkowym spacerze. Podobał mi się jego głos i wysiłki, by pozyskać moje zaufanie, nim pójdziemy razem do łóżka. Trochę miłości – tego potrzebowałam, aby się poczuć lepiej. Czy Klara jednak dotoczy się sama do łóżka, kompletnie odurzona alkoholem i pigułkami? Mogła przede mną przemilczeć ten nekrolog, lecz nie chciała pozostać sama w nieszczęściu. Czasem jej nienawidziłam, tak jak ona nienawidziła samotności.

Robert pisał właśnie książkę o perukarzu kochającym kobiety o długich bujnych włosach, które im po akcie płciowym obcinał, tak że traciły część swej piękności, nim inny mężczyzna na nie spojrzał. Praktyczny aspekt polegał na tym, że zdobyty w ten sposób materiał bohater wykorzystywał w swym perukarskim rzemiośle. Jak powiedział Robert, pisze z zemsty za niedoskonałość świata. W jego przypadku chodziło o łysinę. Urodził się i dorastał bez włosów, całe jego dzieciństwo było jedną koszmarną samotnością. Taki bogaty

potworek, powiedział, złośliwy, gdyż musiał się mścić za to, że był inny. Dopiero mając dwadzieścia lat, już jako student literaturoznawstwa, pogodził się ze swą ułomnością. Śmierć rodziców i pokaźne dziedzictwo ułatwiły mu wybór zawodu. A teraz wciąż spotyka się z cudem, że kobiety uznają łysego mężczyznę za niezwykle atrakcyjnego, dwie nawet go poślubiły: Sue i Karen. Najpierw zostały jego muzami, potem małżonkami, a w końcu rozwiedzionymi hienami.

Wyobraziłam sobie kogoś z głową utrefioną banknotami studolarowymi. Robert wydał mi się naiwny. Kobiety kochają bogatych mężczyzn niezależnie od ich wyglądu i charakteru. Mój nowy znajomy okazał się faktycznie mężczyzną od stóp do głów miękkim i gładkim, bez jednego jedyne włoska. Stare dziecko w szklanym pałacu z widokiem na morze i światła Honolulu. Ostatni odcinek drogi pokonaliśmy taksówką; na jej tylnym siedzeniu pozostały ślady piasku.

Dom Roberta był symfonią z kamienia i szkła, pieniędzy i dobrego smaku, dziełem utalentowanego architekta. W tego rodzaju domu chciałabym mieszkać, powiedziałam Robertowi. Powiedziałam też, że uważam go za bardzo interesującego człowieka. Nie skłamałam, nawet jeśli tego mężczyzny nie dało się oddzielić od jego konta. Dalszy ciąg mojej historii, snutej przy szampanie i świetle świec, zawierał niewiele prawdy. Wystąpiłam przed Robertem jako bogata spadkobierczyni i rzeźbiarka bez powodzenia, która uciekła od kryzysu twórczego i samobójstwa kochanka. Pomyślałam, że artystyczne paralele nie powinny zaszkodzić. Nie, nie chciałam od niego nic oprócz bliskości i zapomnienia. Podobał mi się. Był łagodny, lecz bez zbytej miękkości, nieco arogancki, lecz nie zarozumiały, a kiedy się śmiał, przypominał Buddę. Jeszcze nigdy nie widziałam tak nagiego mężczyzny.

Robert zbierał wszystko co ulotne, luźne odpady natury i konsumpcji. Jedną ogromną ścianę jego pokoju zastawiały poukładane jedno na drugim szklane skrzynki wypełnione różnymi przedmiotami. Znajdowały się tam wypalone zapalki, kartki, zardzewiałe gwoździe, szklane skorupy, zużyte kondomy, pesaria... Nazwał to dokumentacją wszystkich rzeczy, a ja uważałam, że zgromadził jedynie przestylizowaną hałdę śmieci. A jednak prawie każdy przedmiot miał tu swoją historię, której mi pisarz, dzięki Bogu, oszczędził. Powiedział, że jestem piękna i że mnie pożąda, gładził przy tym moje włosy, gładkie i czarne, spadające na ramiona. Odstawiłam kieliszek i nadszedł ten cudowny moment pierwszego dotknięcia warg, pragnienia, by tego drugiego człowieka zbadać rękami, obnażyć, podniecić, osiąść. Napięcie, które wspólnie budowaliśmy, rozładowało się w gorączkowych ruchach, w niezwykle cielesnej żądzy, w chęci, by sprawić rozkosz i ją otrzymać. Także intymne części ciała miał bezwłose, co uznałam za bardzo podniecające, on zaś pieścił moje uwłosienie; ten

mężczyzna kochał włosy. Wreszcie staliśmy się jednym ciałem i jedną myślą. Do diabła z facetami, poczuciem winy i nienawiścią. Tylko jego czułam, byłam całkowicie wypełniona i szczęśliwa przez kilka minut. W tym jednym miejscu kobiety i mężczyźni dopasowują się doskonale, temu się nie da zaprzeczyć.

Kocham cię. Ja ciebie kocham. To było takie piękne. Ty jesteś piękna. Kocham twoją gładkość, naprawdę. A ja każde miejsce twojego ciała. I tak dalej. Nieco miłości. Nieco kłamstwa. Ale rzeczywiście uważałam brak włosów u Roberta za erotycznie podniecający. Jego skóra miała barwę jasnej czekolady, oczy były niebieskie. Piękne dłonie, które chyba nigdy nie skalały się fizyczną pracą. Na biurku w ogromnym pokoju stał komputer, jedyna wskazówka, w jaki sposób zarabia na chleb. Leżeliśmy na kanapie, bo nie zdążyliśmy dotrzeć do sypialni. Rozmawialiśmy. Pieściliśmy się. Niekwestionowany czar pierwszej nocy. Pozwoliłam sobie zapalić papierosa, chociaż Robert określił się jako wojujący przeciwnik palenia. Ale nawet niepalący Robert potrafił naprawdę kochać. Opowiadał mi o matce, która jego łysą głowę przykrywała czepkami i czapeczkami, bo wstydziła się upośledzenia skóry swojego dziecka. O Sue, która kazała sobie drogo zapłacić za rozwód, aby sponsorować klasztor zen, gdzie teraz przebywała. O Karen, która go porzuciła po dziesięciu latach, aby uprawiać surfing. Karen nie chciała mieć dzieci, ponieważ bała się, że urodzi łysą dziewczynkę. Rozwódka za dwa miliony dolarów. Jaka była różnica między nią a mną?... Chyba tylko taka jak między biegaczką długodystansową i sprinterką.

Głaskałam łysinę Roberta, kiedy opowiadał. Niektóre historie były komiczne, na przykład jego przygody z perukami. Jak jedna podczas jazdy na motorze sfrunęła na twarz motocyklisty jadącego z tyłu, zasłoniła mu widok, co spowodowało karambol, w którym uczestniczyły cztery harleye.

– Nosilem ją cztery miesiące, a potem podarowałem małpie w zoo. Możesz sobie wyobrazić, jak patrzyły na mnie kobiety, gdy najpierw ściągałem marynarkę, a potem perukę? Niektóre gapily się na moje usta w oczekiwaniu, że wyjmę również szczękę. Okropne wspomnienia. Przez pewien czas wydawałem straszne sumy na rzekomo cudowne środki na porost włosów. Na studiach miałem przezwisko „Jajo”. Jedyne, co mnie powstrzymało przed samobójstwem, to kobiety, bo zawsze znalazła się jakaś, która kochała moją łysą głowę. Tak jak ty.

Tak jak ja. Felicitas Wondraschek, prawie trzydziestolatka, hochsztaplerka. Milionerka. Jeden trup w bagażu. I jedna osoba umierająca na mojej linie holowniczej. Klara ma rację: bez niej jestem zerem.

– Muszę wracać do hotelu. Ale chciałabym wiedzieć, czy z zasady zagadujesz tylko

kobiety, które stoją w morzu, rzygając?

Robert śmiał się bardzo ładnie.

– Nie. Wracalem z okropnego przyjęcia i czulem się samotny. Pomyślałem najpierw, że chcesz się utopić. Widziałem cię tylko od tyłu.

Polubiłam Roberta. Jego dom. Jaguara, którym mnie odwiózł do hotelu. Sposób, w jaki „Jajo” pocałował mnie w rękę na pożegnanie, wcale jej nie dotykając ustami. Mężczyźni całujący w rękę byli na wymarcu. Obejrzał się, gdy szedł przez ogród do bramy. Wszystko na tym mężczyźnie jakoś miło błyszczało. Tylko że chwilowo przestałam siebie lubić, co mogło się stać przeszkodą dla każdego rodzaju miłości. Zapukałam do Klary i uspokoiłam się, usłyszawszy jej chrapanie. Poszłam do swego pokoju i przyśnił mi się Bruno. Jeden z moich samolotowych snów, tylko że Bruno zamienił się w maszynę, która płonąć leciała ku mnie. Jeśli za wszystko trzeba zapłacić jakąś cenę, to był nią Bruno, który teraz wtargnął w moje noce.

Piękne dni z Robertem. On i Klara polubili się, to upraszczało sprawę; spędziliśmy dużo czasu w jego domu, w ogrodzie na skałach, z których stroma ścieżka prowadziła w dół ku plaży. Robert pisał rankami, stronę dziennie, historię perukarza podróżującego na dziki Wschód, aby zdobywać kobiety z mocnymi włosami. W czasie kiedy nie pisał, zabierał nas z hotelu i poznawaliśmy wyspę, a także ustronne zatoki, znane tylko surfującym, a nie głupim turystom. Po południu jeździł z Klarą na zakupy, potem razem gotowali coś na kolację. Klara piła mniej i wydawało się, że przeszły jej bóle głowy, ja natomiast siedziałam lub leżałam gdzieś wygodnie, przyglądałam się obojgu i służyłam im za tłumacza, jeśli to było konieczne. Robertowi podobało się milczenie Klary podczas przygotowywania posiłków, ponieważ gotowanie traktował jako swego rodzaju święty obrządek. Po pierwszej nocy, kiedy tak wiele opowiedział o sobie, uderzyła mnie jego małowówność. Swój czas dzielił pomiędzy pracę, gimnastykę, bezczynność, gotowanie, bieganie, pływanie, picie, rozmowy i seks wedle dość ścisłego harmonogramu, który rozpoczynał się o siódmej rano i kończył o pierwszej w nocy.

Przez cały dzień mówił niewiele, za to po zachodzie słońca stawał się gejzerem słów, z czego znów Klara nie miała żadnego pożytku, gdyż nic nie rozumiała i po kolacji wracała do hotelu, zostawiając nas naszej miłości. Była jednak prawie wesoła, tak jakby się zakochała, i czasami, gdy ich obserwowałam, jak patroszą ryby, mieszają przyprawy i uśmiechają się ponad grillem, myślałam, że tak jest rzeczywiście.

Klarę zafascynowała kolekcja skrzynek Roberta. Włosy łonowe Sue i Karen, puszek jakiejś dziewczynki i jasny kosmyk Marilyn Monroe; zbiór włosów przeważał, chociaż tysiące szklanych skrzynek opowiadały o całej przeszłości Roberta, jego pragnieniach i

tęsknotach. Żadnej rzeczy ze swego życia nie wyrzucił, chyba że uległa zbutwieniu. Mój złamany paznokieć natychmiast wylądował w szklanym minikontenerze, także lzy, które Klara wylała przy obieraniu cebuli. Kulinarne pasja Klary zaskoczyła mnie jako zupełna nowość i sprawiała obojętną frajdę, przysłuchując się ich kuchennym mądrościom. Czy można nazwać sztuką robienie czegoś, co tak szybko się zużywa i wydala? Każda przyzwoita kobieta powinna umieć gotować, oświadczył Robert. I tym zostałam załatwiona.

Część każdej nocy należała do Roberta, reszta do Brunona. Spadał na mnie płonąć. Żądał zwrotu pieniędzy. Wstawał z otwartej trumny. Siedział na jakiejś przeklętej chmurze i wyciągał do mnie rękę, a ja podnosiłam swoją. Klara twierdziła, że to minie. Żadna wina nie trwa wiecznie. A jeśli już, to zawsze mogę pieniądze Brunona przekazać dzieciom w Nikaragui. Albo na Kubie. W krajach, gdzie są ludzie równi i równiejsi. Robert nie wiedział, o czym rozmawiamy, lecz chętnie się nam przysłuchiwał. Był człowiekiem skromnym, oczywiście na swój ekscentryczny sposób, jednakże zbyt luksusowo ustawionym w życiu, by zrozumieć, czym jest bieda. Nazywaliśmy nasz związek miłością. Nie robiłam nic, aby na nią zasłużyć, poza dotykaniem łysych miejsc, kiedy on mnie obejmował. W owych dniach w ogóle nie robiłam nic, po prostu żyłam za dnia, kochałam się nocą, ze strachem czekałam na koszmarne sny. Klara gotowała; jedliśmy i piliśmy; wybraliśmy się na wycieczkę na wulkan; Robert nacierał Klarze głowę olejkami, które jego sprzątaczką sporządziła z ziół i zaklęła magicznymi formułami. Klara twierdziła, że to pomaga, ale czasem, kiedy sądziła, że nikt nie widzi, krzywiła się z bólu. Próbowaliśmy uczyć się angielskiego, w czym Robert jej pomagał. Tworzyliśmy małą szczęśliwą rodzinę. Po dwu tygodniach przeprowadziłyśmy się z różowego hotelu do domu na skale. Robert poprosił mnie, abym paliła tylko na dworze, i to mi uświadomiło, że wielka miłość przeminęła. Zaczęłam się nudzić, zazdroszcząc im, że stale są czymś zajęci. Dobrą czarodziejkę pytano dopiero wieczorem, gdy miało się celebrować i chwalić jedzenie i picie, czy na zakończenie napije się koniaku, wypali za drzwiami papierosa i pójdzie z Robertem do łóżka. Ile razy można powtarzać miłosną formułę, zanim się popadnie w rutynę?

– Powinnaś go poślubić – powiedziała Klara.

– Dlaczego ty tego nie zrobisz?

– Jestem za stara. I nie jest to starość pełna godności, muszę dodać. Niczego, co przyjmujesz jako oczywiste, absolutnie ci nie zazdroszczę: ani młodości, ani wyglądu, ani zdrowia, ani nawet sposobu, w jaki inkasujesz to, co uważasz, że ci się należy.

– Na przykład miłość Roberta.

Klara wyglądała przez olbrzymie okno, z którego widać było, jak „Jajo” biegnie do

domu.

– Powinnaś go poślubić – powtórzyła. – Mnie niestety nikt nie kochał tak, jak na to zasługuję.

– Myślisz, że ja na to zasługuję? – Wskazałam na ścianę szklanych skrzynek. – Na takie nagromadzenie obsesji Roberta? Nie skończyłoby się to dobrze, Klaro. „Póki śmierć nas nie rozłączy”. To najokrutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam.

Może nie należało tego mówić. Chociaż osobiście nie skłaniam się ku przesądom. Wierzę tylko w to, co widzę, słyszę i czuję. I na razie podoba mi się to, o czym informują mnie zmysły. Może jednak zbudzę się pewnego ranka i uznam łysość Roberta za wstrętą, a jego zacznie drażnić mój zgniły papierosowy oddech. Wszystkie pedantyczne przyzwyczajenia Roberta zaczną mnie odrzucać, natomiast on wpadnie na myśl, że moja niechęć do ruchu nie ma nic wspólnego z medytacją, lecz wynika z lenistwa i braku potrzeby, aby się oddać pożytecznym bądź wywołującym pot czynnościom.

Jednakże wszystkie „być może” stały się bez znaczenia w dniu, kiedy umarła Klara.

Najpierw było słabe niewinne trzęsienie ziemi, które nikomu nie wyrządziło szkody. Przez sekundę zadrżała ziemia. Dwa drzewa przewróciły się na ulicy prowadzącej do domu Roberta, gdzieśmy się obie schroniły, ponieważ na dworze było nie do wytrzymania. Honolulu prażyło się w południowym skwarze. Robert poszedł na obiad ze swym wydawcą do chłodnej, klimatyzowanej japońskiej restauracji. Leżałam na tapczanie i czytałam książkę o wulkanach, gdy ziemia zaczęła drzeć. Klara stała przed ścianą ze szklanych skrzynek i studiowała życie Roberta. Zatopiona w lekturze niczego początkowo nie zauważyłam. Nagle rozległ się brzęk i wtedy podniosłam wzrok: szklana ściana się poruszyła. Krzyknęłam: „Klaro, uważaj!” Na co ma uważać ktoś, kto wierzy w nieśmiertelność? Klara nawet nie drgnęła. Zleciały na nią pierwsze skrzynki, lekkie każda z osobna, ale spadło ich wiele, za wiele. Niektóre rozbijały się w locie, inne dopiero na ziemi. Nim zdążyłam usiąść, zobaczyłam, że Klara upadła na podłogę wśród tysiąca przedmiotów, które coraz szybciej ją atakowały. Życie Roberta przeciwko Klarze – jej szanse wyglądały marnie. Leżała pośród szkła i śmieci, potem pod nimi, a później zrobiło się zupełnie cicho. Zaczęłam krzyczeć. Z kuchni przybiegła gosposia, która mi zawtórowała.

Umilkłyśmy w końcu. Wazon z kwiatami był przewrócony. Prawie cała skrzynkowa ściana leżała potłuczona na podłodze. Takie cienkie, kruche szkło. Noemi i ja, grzęznąc w skorupach, dotarłyśmy do Klary i próbowały ją odgrzebać. Szkło kaleczyło dłonie, toteż Noemi przyniosła grube kuchenne rękawice. Nie słyszałyśmy żadnego odgłosu poza delikatnym brzękiem. Kiedy odgrzebałyśmy Klarę, trzymała w zranionej ręce połamany

grzebień o trzech zębach. Krwawiła z wielu powierzchownych ran. I była martwa. Patrzyła na mnie, lecz już nie oddychała. Wyglądała na przerażoną. Tak niewiele trzeba, by dostąpić nieśmiertelności? Potrząsałam nią wołając: „Nie zostawiaj mnie samej, idiotko”, póki Noemi mnie nie odciągnęła. Kolana miałam pokaleczone. Pobiegłam do telefonu i wezwałam pogotowie, a tymczasem służąca mruczała formuły zaklęć, które nie skutkowały.

Klara nie została zabita. Zawiodło serce. Tak orzekł lekarz z pogotowia, zamknął oczy zmarłej i kazał ją położyć na noszach. Potem opatrzył moje ręce i kolana; Noemi zajęto się na ostatku, tak to już jest w Honolulu, gdzie ciemnookie gosposie zaliczają się do inwentarza.

Zwłoki właśnie przenoszono do ambulansu, gdy nadszedł Robert. Miał na głowie jak zawsze czapkę bejsbolową. Klara nazywała ją ogrzewaczem do jajek. Nigdy już nie będzie Klary. Nigdy nie usłyszę jej brechtowskiego głosu, cytatów, marzeń o rewolucji, czkawki, nie zobaczę okularów przeciwsłonecznych, kapeluszy i szali. I wódki z tonikiem, która towarzyszyła jej nocom. Jeśli istnieje reinkarnacja, jakakolwiek i gdziekolwiek, mam nadzieję, że Klara będzie miała co pić.

– *Oh, my God* – westchnął Robert, gdy zobaczył potężny stos skorup. O Bogu całkowicie zapomniałam. „Jajo” zdjął czapkę, trochę za późno, jak uznałam; wyglądał na wstrząśniętego. Nie dlatego, że Klara nie żyła. Robert opłakiwał przedmioty ze swego życia, chociaż niektóre pewno ocalały wśród rozbitego szkła.

– To przez trzęsienie ziemi – odezwałam się za plecami Roberta. – Klara nic tu nie zawiniła, ona tylko stała na niewłaściwym miejscu. Uważam, że zawsze miała do tego szczególny talent. Właściwie byłam pewna, że się kiedyś poślizgnie i runie ze skały. Albo wpadnie pod auto. Zleci ze stołka barowego i skręci kark. Albo zbyt długo wstrzyma oddech. A zabiły ją twoje śmieci. – To nie była do końca prawda, jednakże wziął mi za złe te „śmieci”, widziałam to po jego twarzy.

Robert nie miał serca. I Klara, prawdę mówiąc, także nie. Pozostało moje, które bolało. Serce bądź to, co tam w sobie nosiłam, co kochało Klarę. Wstałam i nalałam sobie wódki do szklanki. *Sily były nieznaczące. Cel znajdował się bardzo daleko. Wyraźnie widoczny, jeśli nawet trudny dla mnie do osiągnięcia. Tak minął czas, który mi był dany na ziemi.*

Zegnaj, Klaro. Wspominaj mnie z pobłażaniem.

– Przykro mi – powiedział Robert.

Być może powinien był mnie objąć. Rozplakałam się, tak po prostu, bez szlochania. I opróżniłam szklankę.

– Minie wiele miesięcy, zanim wszystko odtworzę. – Robert grzebał w skorupach swego życia. Rozpadł się cały jego poukładany świat, on sam zaś okazał się obrzydliwym

kołtunem, czego nie dostrzegła nawet Klara. Pomogłam mu ostrożnie poprzemnieść ocalałe rupiecie w bezpieczne miejsce, a on wezwał brygadę sprzątaczy, którzy wynieśli skorupy. Osobiście nadzorował pracowników, żeby nic nie zginęło. Uśmiechali się szyderczo, wykonując swoją robotę. Uważali Roberta za beznadziejnego, jednakże bardzo bogatego idiotę, a tacy ludzie w Honolulu nikogo specjalnie nie dziwią.

W następnych dniach, kiedy prace porządkowe posuwały się naprzód, Robert pomógł mi przy załatwianiu formalności związanych z przewiezieniem zwłok cudzoziemki do ojczyzny. „Jajo” był miły, lecz odejście mojej Klary i ruina jego ściany wygasły wszelką namiętność. Wszystko było teraz wstrzemięźliwe: praca, jedzenie i picie, rozmowa i spanie. Nie mówiliśmy też nawzajem nic, co mogło sprawić przyjemność lub ból. Wieczorem, w przeddzień odlotu do kraju, poprosiłam Roberta o pożyczkę stu tysięcy marek. Powiedziałam mu, że spadkobierczyni skończyły się pieniądze i oddam dług, jak tylko coś zarobię.

Robert odmówił. Zaskoczyło mnie to i jednocześnie upokorzyło. Uważałam „Jajo” za człowieka szczodrego, pomyliłam się jednak. Podarował mi pięć tysięcy dolarów, a ja dałam mu za to kilka włosów. Ściana ze skrzynek stała już odbudowana, gdy po raz ostatni przechodziłam przez dom. Piękne tygodnie w Honolulu. Śmieszne trzęsienie ziemi. Koniec w szkole. Brakowało mi Klary.

Nie było już nikogo, z kim mogłabym być szczerą.

Robert odwiózł mnie na lotnisko. Wieńce z kwiatów zakłada się na szyję tylko przyjeżdżającym. Kto Honolulu opuszcza, nie zwraca już nikomu uwagi. Przez okna hali odlotów widziałam, jak ładowano trumnę Klary do samolotu.

– Przyślę ci moją książkę – powiedział Robert na pożegnanie, kiedy już pocałował mnie w oba policzki.

Zapomniał, że mu nie dałam swojego adresu.

– Bardzo się ucieszę, Robercie.

Potem przeszłam kontrolę paszportową, aby towarzyszyć Klarze do domu.

ROZDZIAŁ 16

Na cmentarzach pod koniec każdego dnia spotyka się wdowców. I zaginione matki. Pojawienie się Beatrix na pogrzebie było spodziewaną niespodzianką; na wieść o zgonie Klary matka wsiadła do najbliższego samolotu, uzyskawszy przedtem moją obietnicę, że zwrócę jej za bilet. W ten sposób nie zostałam przynajmniej sama. Obok mnie szła rudowłosa kobieta w czarnej powiewnej sukni. Dla patrzącego z góry byłyśmy dwoma czarnymi kapelusznymi posuwającymi się za kosztowną drewnianą skrzynią na kółkach.

Trumnę ozdabiały czerwone goździki, ulubione kwiaty Klary. Dziesięcioosobowa kapela grzmiała melodiami songów Brechta/Weilla. Tak zazwyczaj kończyły się niedoskonałe rewolucje – śmiercią i piękną muzyką. To, że trochę fałszowali, pasowało do tej okazji. Było mi zimno przy grobie ojca i Klary. Beatrix, trzymając mnie pod rękę, szlochła w kraciatą chustkę. Ta, która mnie naprawdę kochała, leżała zupełnie cicho. Pożegnalne słowa skierowałam do pogrobowców Brechta, potem trumnę opuszczono przy dźwiękach „Międzynarodówki”. Nie tak miał się zakończyć ostatni bój Klary, płakałam więc w obliczu smutku i piękna z domieszką kiczu, co by się zmarłej akurat podobało.

Beatrix przyleciała do Hamburga, bo potrzebowała pieniędzy. Podjęła temat, gdy jadłyśmy w „Arlekinie”: ci sami kelnerzy i sztywni goście, te same potrawy co ostatnim razem. Wszystko się powtarza i nic nie staje się ani trochę zabawniejsze. Kawior smakował gorzko, piłam za wiele wina, a matka mówiła o tym, że pieniądze nie są ważne. Liczy się tylko miłość. Miała na myśli naturalnie George’a, irlandzkiego dzierżawcę knajpy.

Byłam jej wdzięczna za to, że przyleciała, wołałabym jednak, aby oszczędziła mi fałszywych frazesów. Klara, która swój niewielki, uzyskany przez nas nieuczciwie majątek zostawiła jakiemuś podejrzanemu stowarzyszeniu dla wspierania kubańskich rodzin robotników rolnych, wyrażała ponad śmiercią swój konsekwentny, godny podziwu protest. Beatrix skamlała o pieniądze, które rzekomo się nie liczyły, zamiast powiedzieć odrobinę prawdy, tak mi teraz potrzebnej.

– W dokumentach Klary znalazłam przekazy pieniężne na twoje różne adresy. W czasie ostatnich dwudziestu lat wysyłała ci niemal regularnie pieniądze. I to niemało. Dlaczego?

Matka odstawiała kieliszek z czerwonym winem. Za dużo różu, za dużo niebieskiego cienia na powiekach, za mało uczucia dla pozostałej przy życiu córki. Sławny uśmiech tym razem się nie udał.

– Och, to wcale nie były tak wielkie pieniądze. Twój ojciec bywał przecież od czasu do czasu bardzo zamożny. Robiła to dla niego, jak sądzę. Chciał, żeby mi się dobrze wiodło.

– Chciał, żebyś wróciła. I gdyby zamierzał ci pomóc, zrobiłby to sam. Nie, to była sprawa między tobą i Klarą. I chcę o tym usłyszeć, ponieważ teraz, kiedy ona nie żyje, nie zniosę więcej tajemnic. Rozumiesz, Beatrix?

Nie miała ochoty o tym mówić, lecz stało się dla niej jasne, że nie dostanie ani grosza, nie dając nic w zamian. Cokolwiek mówiła, zawsze najpierw próbowała kłamstwa, nie mogła jednak wiedzieć, co Klara pozostawiła w dokumentach. Spróbowała odwrócić moją uwagę.

– My, kobiety Wondraschka, mamy wyraźne skłonności do autodestrukcji, nie uważasz?

– Nie. Ja próbuję żyć. Klara znalazła się w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu. I miała zbyt wielkie serce... Dlaczego przesyłała ci pieniądze?

– Żebym się trzymała z daleka. Od ciebie i od twego ojca. Raz do niego napisałam, prosząc o pomoc, gdy mi się źle wiodło. Ale odmówił. Chciał, żebym do niego wróciła na kolanach. Opowiedział Klarze o tym albo przeczytała mój list. W każdym razie to ona mi odpisała i przesała pieniądze. Od tego czasu byłyśmy w kontakcie, chociaż dość często się przeprowadzałam.

– I często plajtowałam.

Bea niechętnie mówiła o przeszłości. Żyła dniem dzisiejszym, co wykluczało każdą formę skruchy czy refleksji. Istniało podobieństwo między nią a mną, tylko że ja nie żywiłam się iluzjami.

– No cóż, kochankowie, którzy odchodzą, nie są z reguły zbyt hojni. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego to się zawsze tak okropnie kończy. Faceci wstają jak po obiedzie i mówią: „Smakowało wybornie, ale już się najadłem”. A ja wciąż czułam głód, czarodziejko. Oni mnie pożerali, trawili i porzucali.

– Ale z George’em jest inaczej.

Bea odsunęła talerz, ledwie coś skubnęła. Brakowało jej apetytu, podobnie jak zrozumienia sarkazmu.

– Tak, naturalnie. To cudowny człowiek.

Moja matka była osobą czarującą i zarazem beznadziejnym przypadkiem. Chorym na miłość dzieckiem. Tak więc Klara, na swój sposób, troszczyła się o troje Wondraschków. W

przypadku Beatrix niebezinteresownie, pomyślałam. Choć matka nie wróciłaby nigdy, raczej śpiewałaby na ulicy i zbierała rzucane jej pieniądze. Lub na koniec spróbowała odebrać sobie życie.

– Skoro Klara ci pomagała, to dlaczego istniała między wami taka wrogość?

Tym razem uśmiechnęła się zachwycająco.

– Ja nie lubię kobiet, czarodziejko. Wiem, że to brzmi strasznie, ale tak już jest. A Klara w przykrych słowach dawała mi do zrozumienia, że jest lepszą kobietą. Ostatecznie troszczyła się o moje dziecko, na które nie zasłużyłam, i o mojego męża, którego ona nie była godna. Powiedz, dlaczego nie zostawiła pieniędzy tobie?

Jakaż ta moja matka chciwa!

– Pieniądze nie mają przecież znaczenia. Poza tym mam ich dosyć.

Popatrzyła mi w oczy i uderzyła mnie myśl, że nie lubi również swojej córki. W najlepszym wypadku jestem jej obojętna. Kelner sprzątnął prawie nietknięty talerz, Bea zaś opróżniała teraz koszyk z chleba. Drogie bordeaux piła tak beznamyślnie jak sikacz, który serwował George w swoim pubie. Nie miała zrozumienia dla jakości trunków, a także dla wartości pieniędzy. Czy nie wiedziała, że po to, by je mieć, trzeba albo kłamać i oszukiwać, albo płaszczyć się i wiernie służyć? Ona pragnęła tylko jak najprościej zaspokajać swoje potrzeby, co zakrawało na wręcz absurdalne oszukiwanie samej siebie.

– No cóż, to dobrze, że masz. Ale mi cię żal, jeśli nikogo nie kochasz.

Czy nie wiedziała, że kochałam Klarę? Była to miłość niedoskonała, jak wszystkie, lecz wierzyłam, że kobiety bardziej na nią zasługują, gdyż lepiej rozumieją, jak należy obdarzać uczuciem. Chciałam, żeby matka skończyła mówić i wymieniła sumę. Żeby ten dzień się skończył. Nie potrzebowałyśmy się nawzajem, Bea i ja, tak wyglądała prawda. A kwestia, czy Klara była dobrym człowiekiem czy nie, nie wymagała rozstrzygnięcia. Mnie wystarczało to, co było w niej dobre.

– Skąd właściwie masz pieniądze? Od ojca?

Pytała rozdrażnionym tonem, ponieważ nie odpowiadała jej rola petentki. W dodatku nikt jej tu nie adorował. Kelnerów uważała za arogantów, gości za kołtunów, a mnie za uciążliwe wspomnienie przeszłości, która się nie liczyła. Ponadto jako kobieta stałam się potencjalną konkurentką w miłości.

– Nie – odpowiedziałam – ojciec zostawił długi. Zrobiliśmy z Klarą parę lukratywnych interesów. Ona miała metafizyczny stosunek do kapitału.

Roześmiałam się, a Bea niczego nie rozumiała. Rozgniewała się i oświadczyła, że moja nieczułość jest niesłychana i że w mojej obecności można zamarznąć. (Mówiąc to

wykazała się wielką odwagą, jeśli uwzględnić jej finansowe położenie.) Jakże musiała działać na nerwy wszystkim mężczyznom swego życia ciągłymi wobec nich żądaniem i obciążaniem ich winą za wszystko! Kocham cię, ale ty za to musisz mnie jeszcze bardziej kochać. Ubóstwiam cię, ale chcę, żebyś leżał u moich stóp. Umrę dla ciebie, ale przedtem musisz mi udowodnić, że ty byś to również uczynił. Źle przetrawieni i porzuceni – taki jest los wielkich kochanków. Ja zaś niezbyt miałam ochotę wkraczać na lodowaty teren, który matka przygotowała. Zaraz jednak uśmiechnęła się i oznajmiła, że nie to miała na myśli. Że pogrzeby ją deprymują, a także miejsca takie jak to, pełne ludzi, których w ogóle nie obchodzi, co się dzieje na świecie. Pieniądze zaś tracą na ulotne przyjemności. I że ja niestety też należę do tego konsumpcyjnego społeczeństwa bez skrupułów, na co naturalnie nic nie mogę poradzić. Przykład dał mi Wondraschek, Klara zaś była przypuszczalnie najosobliwszą bojowniczką klasową...

Mówiła i mówiła, tkwiło w tym trochę prawdy i wiele twierdzeń fałszywych, a mój niesprawiedliwy gniew na tę rodzinę, w której wciąż szło tylko o pieniądze, rósł z każdym jej słowem. Czasem trzeba krzyczeć, aby zostać usłyszczonym:

– Zostaw Klarę w spokoju. Miała lepsze argumenty niż ty. Powiedz lepiej, ile potrzebujesz.

– Pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Kelner przyniósł na talerzu dyskretnie złożony rachunek. Jak zawsze przejrzałam pozycje, żeby nie zostać oszukaną.

– Tyle nie jest warta cała wasza knajpa.

– Chcemy się przenieść do Dublina i otworzyć coś nowego. To wielkie marzenie George'a. – Bea miała łzy w oczach. – Naprawdę byś nas uszczęśliwiła.

Położyłam sześć banknotów stumarkowych na talerzu. Skoro w Honolulu spadł deszcz szklanych skrzynek, to było także możliwe, że George i Bea znajdą w Dublinie szczęście. Dzięki moim pieniądzom, o których nikt nie mógł powiedzieć, że zostały zarobione z trudem. Klara próbowała swoją ostatnią wolą usposobić łaskawie bóstwa, w które wierzyła. W moim życiu trudno nie dostrzec braku dobrych uczynków i jeśli przyjąć, że mamona można się wykupić od grzechów, powinnam to zrobić. Tutaj siedziała resztką mojej rodziny, wygłodniała stara kocica, która mruczała i pokazywała mi wilgotne oczy. Nigdy nie lubiłam kotów. Całkowicie bezużyteczne zwierzęta, jeśli nie łowią myszy czy szczurów. Z drugiej strony myśl o przydatności jednostki dla społeczeństwa wydawała się w moim wypadku absolutnie heretycka. Nie byłam przydatna nikomu. Tylko sobie.

– Czy mogę ci wypisać czek?

Odprowadziłam matkę do taksówki, by ją zawiozła na lotnisko. Beatrix spełniła swoją misję i znowu zachowywała wobec mnie ów pogodny, niefrasobliwy dystans, który jej miałam za złe. Cmok, cmok, potem na tylnym siedzeniu taksówki zatrzepotała swą niegustowną suknią, trzymając na kolanach plecak z przezroczystego plastiku, wyjątkowo szkaradny.

Mój czek wetknęła do zewnętrznej kieszeni. Bea nie miała marek, więc opłaciłam z góry przejazd na lotnisko, potargowawszy się z taksówkarzem. Matka zaplatała rozluźniony warkocz i wydawała się bardzo zadowolona. Branie bez końca było szczególnym Wondraschkowym talentem.

– Jeszcze jedno, Bea: to ostatni raz. Ja nie jestem Klarą. – Żadnej odpowiedzi.

Muzyka ucichła, gdy ziemia przykryła trumnę Klary. Poszłam pieszo na cmentarz; był piękny pogodny dzień w pełni lata. Klara uważała Rilkego za napuszonego poetę, lubiła śliwy, a nie delikatne kwiecie. Teraz leżała pod czerwonymi goździkami, rozmawiałam tylko z nią i wiedziałam, że to również minie. *Patrzyłem długo w górę i wydawało mi się, że niebo nade mną jest smutne. Spostrzegłem jednak, że byłem mu obojętny. Ono kochało tylko siebie.*

Nie lubię śmierci, Klaro, ponieważ jest zimna i skostniała. Lubię ciepło, życie, migający płomyk, co mógłby stać się pożarem. Lubię to, co jest i co mogłoby być. Nie to co przeminęło. Popiół naszych wspomnień. Życie w małych skrzyneczkach ze szkła. Trzeba je wyminąć, Klaro, i wybiec na wolną przestrzeń. Oddychać, śmiać się, dobrze jeść i pić, całować nieznanym mężczyzną i podziwiać zachody słońca. Podnosić pieniądze, które leżą na ulicy.

Na cmentarzach spotyka się wdowców. Ten smucił się trzy groby dalej, potknęłam się przechodząc obok niego, niezamierzenie, a on podtrzymał mnie i powiedział „hopla”.

Wdowcy i sieroty przyciągają się wzajemnie. Doktor Walter Helmer przed czterema miesiącami stracił żonę. Od wypadku samochodowego kulał, dlatego chodził o lasce. Podobały mi się jego siwe, bardzo krótko przystryżone włosy i rzucona mimochodem uwaga, że pieniądze nie zastąpią kochanej osoby. Szofer przeżył wypadek, lecz został zwolniony. Cóż to za czasy, że personel ma więcej szczęścia niż państwo? Spacerowaliśmy po cmentarzu starej hamburskiej arystokracji finansowej i poszukiwaczy szczęścia, połączeni smutkiem. Jakiś wałęsający się pies o niebieskich oczach biegł przez chwilę obok nas i wydało mi się, że mrugnął do mnie porozumiewawczo. Klara nie wierzyła w reinkarnację,

lecz w to, że na dobre opuszcza się przyjazny, a w gruncie rzeczy wrogi przecież świat.

Walter przepędził psa laską. Wszystko, co genetycznie nie mieściło się w pierwszej kategorii, budziło w nim wstręt. Miał przedsiębiorstwo żeglugowe i wciśnięty w prusko-konserwatywny gorset rozum człowieka władczego z prawicowo-radykalnymi tendencjami. Polityka mnie nie interesowała. Dopóki komuś takiemu jak ja nie przeszkadzano, dopóty uznawałam, że zwierzchność jest w porządku.

Walter przeciwnie, uważał Kohla za lewicowego radykała, Augsteina zaś za diabła w ludzkiej postaci. Nie miał nic przeciwko cudzoziemcom, jak długo pozostawali za granicą lub tanio dla niego pracowali. Chętnie słuchał swego tokowania. Nie przerywałam mu – tak łatwo zaspokoić próżność mężczyzn, gdy się połyka z uśmiechem pianę ich słów, a gdy trzeba, także ich spermę, którą uważają za coś szczególnego.

Podobała mi się posiadłość Waltera przy Elbchaussee, chrześzczący podjazd, topole, łukowate schody i wysokie białe pomieszczenia. Świętej pamięci małżonka gromadziła nowoczesne rzeźby, niknące wśród ciężkich antycznych mebli. Królował tu brąz, nigdy mi się ten kolor nie podobał. Pomyślałam, że Walter odpowiadał za umeblowanie, natomiast jego żona za sztukę. Pod względem gustu stanowczo nie pasowali do siebie.

Walter nazywał mnie „dobrą czarodziejką” lub „kochanym dzieckiem”, gdy mnie zapraszał na obiad albo do swojej willi, albo do „Dworku Scherrera”, jedynej restauracji w Hamburgu, gdzie czuł się traktowany z należyтым respektem. Bo Walter żądał od otoczenia respektu i pokory, a dzięki swym pieniądząm przeważnie otrzymywał to, co chciał. Z młodymi poniżej dwudziestki miał problemy. Jego obie córki studiowały za granicą i politycznie się wyrodziły, tak powiedział. Pomyślałam, że muszą być mądre, skoro trzymają się od niego z daleka.

Swój życiorys skroiłam dla Waltera według właściwej miary: byłam sierotą wychowaną u zakonnic i studiowałam teologię w Wiedniu. Straciłam swoją najlepszą przyjaciółkę Klarę. Opowiedziałam o jej politycznej transformacji, prosząc na wszelki wypadek niebieskookiego psa, aby mi wybaczył. Walter mówił o swej małżonce, o statkach i córkach. I naturalnie w kółko o polityce. Wiedział wszystko dokładniej i lepiej niż inni. Sprzeciwu nie znosił. Zachwyciło go więc, że jego wywodów słucham bez protestu, mój uśmiech zaś uznał za czarujący. Od czasu do czasu głaskał moją rękę. Ten mężczyzna nie robił wrażenia potwora, nosił odpowiednie buty i przestrzegał wszystkich reguł dobrego wychowania. Z okazji Bożego Narodzenia ofiarował znaczną sumę Towarzystwu Ratowania Rozbitków. Tworzył miejsca pracy i powiększał majątek narodowy. Lud mógł być tylko pożyteczny albo szkodliwy, dla Waltera nie istniała żadna pośrednia forma. Prawie wszystko,

co mówił, brzmiało obrzydliwie lub tylko śmiesznie, zależnie od tego, jak poważnie chciało się traktować kogoś takiego jak on. Prawo i porządek wydawały się niebezpiecznymi słowami, kiedy on je wypowiadał. Klara zmiażdżyłaby go swoimi argumentami lub poprzebijała opony jego rolls-royce'a.

Dałam się Walterowi namówić do założenia w Wiedniu Stowarzyszenia Konserwatywnych Teologów, które by miało służyć dobru powszechnemu. Walter zobowiązał się wesprzeć tę inicjatywę funduszem założycielskim w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy marek. Gdy otrzymałam czek, obiecałam sponsorowi, że zostanie naszym honorowym prezesem, pocałowałam jego wąskie usta i poczułam zimny oddech. Żegnaj, Walterze. Pozwoliłam się zawieźć na lotnisko i poleciałam przez Wiedeń do Zurychu, gdzie zrealizowałam czek, polecając przekazać całą sumę na swoje konto.

W banku niedaleko hotelu „Baur au Lac”, w skromnym pokoju konferencyjnym, przyjął mnie gościnnie kawą pan Pflümli, stróż moich pieniędzy. Nagromadzone odsetki wypłacił mi gotówką, musiałam tylko złożyć podpis. Pan Pflümli był błądliwy i kompetentny: ulokował moje dwa miliony częściowo w akcjach, częściowo w lokatach terminowych. Zapewnił mnie, że to „murowane pomnożenie pieniędzy”. Jako opiekun klientów pewnego szwajcarskiego banku był zobowiązany obchodzić się uprzejmie i bez zawiści z uciekinierami podatkowymi.

Gdy likwidowałam konto Klary, polecając przekazanie pieniędzy na Kubę, nawet nie mrugnął. Nie pytał też o Klarę, przedłożyłam bowiem pełnomocnictwo, a liczył się numer konta. Pan Pflümli życzył mi miłego dnia i na pożegnanie podał wilgotną rękę. Być może kubańscy odbiorcy pieniędzy trochę go jednak podniecili.

Dyskretny urok milionów ogrzewał pozbawiony ozdób budynek, gdzie ludzie z walizeczkami pełnymi pieniędzy przemierzali długie korytarze. Sprzysiężenie bogatych żyło w Szwajcarii w kołtuństwie, otulone stalową watą. Na Bahnhofstrasse czekał na bogatą klientelę błyszczący świat. A ja miałam w walizeczce trzydzieści tysięcy franków szwajcarskich, które czekały na to, aby je wydać. Gotówki pożądaną bardziej niż plastikowych kart, widziałam to po chciwych spojrzeniach sprzedawców, kiedy kładłam na ladzie banknoty. Sprawiało mi radość chodzenie wzdłuż tej ulicy ze świadomością, że prawie na wszystko mogłabym sobie pozwolić, również na wysadzane diamentami miniaturowe skrzypce. Kosztowały pięćdziesiąt tysięcy franków i ich zakup nie miał żadnego sensu poza tym, że cieszyły oczy. Luksus jest rzeczą zbędną, ale rozkosznie zaspokaja naszą

pożądliwość. Kupiłam sobie zegarek od Piageta, kolczyki od Bulgari i buty od Diora, co nie naruszało poprawności politycznej i życzenia Waltera, by jego pieniądze inwestować w odpowiednie towarzystwo. Robiąc sprawunki marzyłam o towarzystwie Klary, gdyż skłonność do marnotrawstwa sprawiała mi jedynie połowę przyjemności bez jej zgryźliwych komentarzy. O Boże, brakowało mi jej. Bóg był na Bahnhofstrasse w Zurychu przewodniczącym zarządu Stowarzyszenia Banków, niepozornym człowieczkiem, wytatuowanym numerami, za którymi kryły się miliardy z całego świata. Bóg ich strzegł i wedle potrzeby rozdzielał. A obrządek nakazywał zachować numer w głowie i nie wносить z banku nic na piśmie, aby diabelskim celnikom nie dawać do rąk atutów.

W „Baur au Lac” rezydowali Arabowie, afrykańscy potentaci i Rosjanie. I co najmniej jedna hochsztaplerka. Z pewnością zaglądali tu również goście, którzy zarobili pieniądze w przyzwoity sposób, ale przyzwoitość i luksus wydawały mi się niezwykle silnymi przeciwieństwami. Uchylanie się od płacenia podatków, sprzeniewierzenia, łapownictwo, korupcja, nielegalne interesy, kłamstwo i oszustwo tworzyły system mlekiem i miodem płynący, baśniowy kraj czarodziejek, świat opanowany kwadraturą pieniądza. W Zurychu rozglądałam się za nową ofiarą, jednakże miałam pecha i sama się nią stałam.

On mnie sobie nie upatrzył, całe szczęście w tym nieszczęściu, a coś takiego przydarza się także w moim fachu. Zagadnęłam tego faceta w barze restauracji „Kronenhalle”, wyglądał sympatycznie, nie za młody i nie za stary, ubrany bez zarzutu. Powiedział, że nazywa się Jörg Bauer i jest handlowcem, bo co miałby do roboty w Zurychu przedstawiciel niemieckiej klasy średniej, jeśli nie lokatę kapitału z ominięciem podatku?

Pewnie powinno mi się rzucić w oczy, że pije tylko piwo i bardzo uważnie obserwuje otoczenie. Ale możliwe, że wypłam za dużo wódki z tonikiem *in memoriam* Klary Wondraschek. Opowiedziałam mu wiedeńską historię o studiach teologicznych, ponieważ u Waltera dobrze się sprawdziła, lecz kiedy rozmawialiśmy i piliśmy, miałam wrażenie, że Jörg nie słucha tego, co mówię. Zaprosił mnie jednak na obiad, przy czym zależało mu, by usiąść przy określonym stoliku, i bardzo stanowczo zabiegał o to u kelnera. Podano dla mnie wino z beczki, wybrałam bardzo skromne menu, gdy tymczasem Jörg Bauer, cały w brązach, nie wyłączając koloru włosów, niezwykle lakonicznie odpowiadał na moje pytania o jego interesy. Przy sąsiednim stoliku siedziało męskie towarzystwo złożone ze Szwajcarów i Latynosów; rozmowę prowadzono po angielsku. Goście jedli ostrygi, pili szampana i zachowywali się dość głośno, co mojemu towarzyszywi najwyraźniej nie przeszkadzało. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co je, jakby go wątróbka i kartofle w mundurkach, pocięte na cieniusieńkie plasterki i przysmażone, w ogóle nie interesowały; nie używał też serwetki,

gdy w czasie jedzenia popijał wino. Należało zwrócić uwagę na te drobne sygnały ostrzegawcze, ale tego nie zrobiłam.

Gdy zamówiłam duży deser, zauważył, że jak na studentkę teologii jestem bardzo łakoma. Powiedziałam, że nie składałam ani ślubów ubóstwa, ani czystości, i spojrzałam mu głęboko w brązowe oczy. Zamrugał. Swoje spojrzenie już dawno temu wyćwiczyłam przed lustrem. Jörg sprawiał wrażenie poczciwca, po którym nie było widać, że udaje producenta sprzętu ginekologicznego.

Kiedy regulując rachunek, zostawił skromny napiwek, omal nie zrezygnowałam z planu. Nie miałam nic przeciwko biednym mężczyznom, ale skąpstwem zawsze się brzydziłam.

Latynos przy sąsiednim stoliku spojrzał na mnie zachęcająco, lecz jego fizjonomia mafiosa odstraszała. Nie należy się zadawać z łotrami. Gdy powiedziałam Bauerowi, że pójde pieczo do „Baur au Lac” i pięknie dziękuję za miły wieczór i dobry obiad, zaproponował, żebyśmy w barze hotelowym wypili jeszcze po kieliszku szampana. Po kieliszku, powiedział, nie butelkę. Byłam jednak już wstawiona, toteż butelka wydała mi się przesadą, więc się zgodziłam. Poszliśmy spacerkiem przez śródmieście i most Linnarta do hotelu nad jeziorem. W barze zamówiłam cygaro, aby Bauera przetestować, ale zdaje się nie miał pojęcia, ile co kosztuje. Drugi sygnał ostrzegawczy. Wkrótce potem przyszło do baru towarzystwo z sąsiedniego stolika, jeszcze głośniejsze i bardziej nadęte niż w „Kronenhalle”. Temu kto zamawia na butelki szampan z najdroższego rocznika, wiele się wybacz.

Cygaro mi nie smakowało, mimo to paliłam, bo na mężczyznach robi to wrażenie – na wszystkich oprócz Jörga Bauera, który nadal zachowywał się miło i nieuważnie, ale czoło mu się zmarszczyło, kiedy zamówiłam drugi kieliszek. Dlaczego piję szampana, którego nie lubię, to jedno z pytań mojego życia pozostających bez odpowiedzi. Nie dość istotnych, aby się nad nimi poważnie zastanawiać. Nudziłam się, podczas gdy mój brunet zwinnymi dłońmi opróżniał paterę z orzechami i ukradkiem obserwował Latynosa, który miał na szyi ciężki złoty łańcuch z krzyżem. Może to jakiś katolicki diler narkotyków albo handlarz bronią. W Zurychu spotyka się najbardziej interesujących przestępców.

Przy barze siedziała piękna młoda kobieta o długich zgrabnych nogach i głodnymi spojrzeniami polowała na klienta. Kiedy nasze oczy się spotkały, uśmiechnęła się. Wszyscy mężczyźni to idioci, zapewniał jej uśmiech, a my jesteśmy boginiami w domu wariatów.

– Nie wyglądasz na studentkę teologii – powiedział mój pożeracz orzeszków. Miał rację, posłużyłam się nieprzekonującą legendą. Zaserwowałam więc parę zdań o bogatej rodzinie i wspomniałam, że mieszkam w hotelu.

– Bóg jest wszędzie. – Jörg Bauer roześmiał się ze swego żartu, zakrztusił się orzechem i zaczął dusić. Klepnęłam go dłonią po szerokim karku, ponieważ moje zapotrzebowanie na śmiertelne wypadki zostało już zaspokojone. Garnitur nie pochodził od żadnego znanego projektanta mody. Brakowało mu arogancji pieniądza i niedbałego szyku.

Latynosi i ich szwajcarscy przyjaciele rozmawiali o tym, jaki jest najlepszy burdel w mieście. Mężczyzna ze złotym łańcuchem pertraktował z boginią miłości w sprawie ceny jednej nocy. Jörg zapytał mnie, czy mogłabym mu pokazać swój pokój, co uznałam za osobliwą próbę uwiedzenia. Jednakże zabrałam go z sobą, z chciwości, a może z przyzwyczajenia. W windzie zdecydowałam się, że w pokoju zrobię stary numer ze zgwałceniem. Jörg nosił szeroką obrączkę, a żonaci przedstawiciele klasy średniej reagowali zazwyczaj tchórzliwie na dramatyczne sceny.

Całował przyjemnie, ale materiał jego garnituru wydał mi się w dotyku ohydny. Cofnęłam się o krok i szarpnęłam zapięcie żakietu. Na dłuższą grę wstępną nie pozwalało mi już zmęczenie i alkohol.

– Chyba nie oczekujesz... – Wyszczrzył zęby i ruszył ku mnie.

– Ani kroku dalej, bo zacznę krzyczeć. – Znany prolog. Te słowa zawsze ich zatrzymywały, aż miękło im to, co zdążyło stwardnieć. Jörg popatrzył na mnie z lekkim zdziwieniem i usiadł na łóżku. Nie wydawało się, żeby moje zachowanie zrobiło na nim duże wrażenie.

– Dziesięć tysięcy franków. Przyjmuję także czek, jeśli nie masz przy sobie tyle gotówki. – Stałam przy drzwiach z ręką na klamce. – W przeciwnym razie wybiegnę na korytarz i zacznę wołać pomocy. Szwajcarska policja jest bardzo niemiła wobec przestępców seksualnych, możesz mi wierzyć.

– Akurat to wiem – powiedział mężczyzna, który nazywał się Jörg Bauer. Siedział wciąż na łóżku, nie okazując śladu strachu.

Mój plan zaczął się chwiać, ale scena nie dobiegła jeszcze końca.

– Liczę do dziesięciu, Jörg, potem możesz sobie zatkać uszy. I pomyśleć o skandalu i rodzinie.

Podniósł ręce i przytknął do uszu. Przeklęty bezczelny gnojek uśmiechnął się całą gębą.

Doliczyłam do dziesięciu i puściłam klamkę. Nie wpadło mi dotąd do głowy, że mam talent komiczny. Spróbowałam miłego uśmiechu:

– No dobrze, nic się nie stało. To tylko żart. Wiesz, w ten sposób można mężczyzn śmiertelnie przestraszyć.

– Czy to poczucie humoru studentki teologii? – Wziął banana z patery z owocami i obrał go artystycznie. Co jest za darmo, zdaje się szczególnie dobrze smakować. Usiadłam na krześle i zapaliłam papierosa. Trzeba wiedzieć, kiedy się przegrało.

– Możemy teraz iść do łóżka, jeśli chcesz.

– Szantaż. Kradzież przy stosunku. Tego szwajcarscy policjanci także bardzo nie lubią – powiedział.

– Moje słowo przeciwko twojemu. Zobaczmy, komu uwierzą. W przypadku wątpliwości temu, kto mieszka w „Baur au Lac”. Szwajcarzy wierzą w pieniądze, mój kochany. A ty nie wyglądasz na bogacza.

Opróżnił paterę z owocami, to można by właściwie potraktować jako drobną kradzież żywności.

– Zgadza się, moja droga – powiedział. – Tylko że ja jestem policjantem i moje słowo liczy się również w Szwajcarii. Co by to było, gdyby policjanci nawzajem sobie nie wierzyli?

Paskudna sprawa, pomyślałam. Jasne, on dokładnie tak wygląda. Jak tajniak. Byłam ślepa i głucha, i głupsza, niż ustawa przewiduje.

– Wyglądasz jak glina, to powinno mi się rzucić w oczy.

– No cóż. Pech artystki. – Jörg, lub jakkolwiek się nazywał, panował nad sytuacją, a mnie się zrobiło zimniej niż kiedykolwiek przedtem. Klara, niebieskooki pies, powiedziała: „Zawsze cię ostrzegałam”. Jakże nienawidziłam takich stwierdzeń!

– Żyjesz z tego?

– Skądże. Jestem aktorką, nic wielkiego, trochę reklamy, dubbing, drugorzędne angaże sceniczne. Chwilowo krucho u mnie z pieniędzmi. Drugi raz czegoś takiego spróbowałam, słowo honoru. Nie jestem w tym chyba szczególnie dobra.

Nie wierzył w ani jedno moje słowo, ten miły mały glina. Nóż do owoców lśnił kusząco, ale był zbyt okrągło zakończony, a ja tak czy inaczej nie znosiłam widoku krwi. Nigdy więcej nie zagadnę mężczyzny w brązowym garniturze.

Policjant z Karlsruhe w tajnej misji w Zurychu leżał na moim łóżku i śmiał się. Wreszcie usiadł.

– Jest mi to całkowicie obojętne, nie jestem tutaj po to, aby się rozprawiać z dziewczynami. Ale możesz mi oddać małą przysługę w ramach, że tak powiem, rekompensaty.

Następnego dnia w holu hotelowym zagadnęłam Latynosa, któremu próżność nie pozwoliła odrzucić ledwie skrywanej oferty spędzenia wspólnie nocy. Jedliśmy w „Rive Gauche”, wyjątkowo nie miałam apetytu i czułam się po raz pierwszy jak prostytutka. Rolę stręczyciela odegrał policjant, który mnie zaszantażował. Już dawno przestałam dostrzegać

klarowną linię między dobrem i złem.

Jose kopulował jak maszyna – obojętnie, grubiańsko i szybko. Gdy skończył i poszedł do łazienki, zrobiłam odcisk klucza do jego pokoju, drżąc ze strachu, że mnie na tym przyłapie. Zawsze podejrzewałam, że niełatwo stać po stronie prawa. Kiedy wrócił do sypialni, stałam przy drzwiach, klucz zaś tkwił już w zamku. „Nie, nie chcę jeszcze odejść.” Byłam po stronie dobra, a handlarz narkotyków – lub kimkolwiek był – stanął przede mną w rozkroku, przygiął mnie ku ziemi i podsunął mi przed twarz swój mocno owłosiony organ. Do tego służą kobiety, jeśli chcą być kochane. Zawstydzający podział ról, a sama czynność wstrętna; jeszcze przez wiele dni prześladowało mnie później uczucie, że mam w ustach włosy, których nie mogę wyplukać.

Człowiek, który nazywał się Jörg, otrzymał odcisk klucza jeszcze tej samej nocy, a ja wyjechałam następnego ranka. Stręczyciel szyderczo machał mi na pożegnanie, kiedy wsiadałam do hotelowej limuzyny. Za swój błąd płaci się zawsze, jeśli akurat nie jest się przestępcą w wielkim stylu, generałem, oprawcą lub dyktatorem.

I wyciąga się z tego naukę. Odtąd nie wdawałam się już w przypadkowe znajomości, lecz wybierałam mężczyzn starannie i zasięgałam szczegółowych informacji na temat ich zawodu, majątku i charakteru. Cechy takie, jak bieda, agresywność bądź nieustrasżoność traktowałam jako niepożądane, a osoba adwokata, dziennikarza czy artysty w ogóle nie wchodziła w rachubę. Natomiast polityków, bankierów, menedżerów, handlowców, wszystkich, którzy poza pieniędzmi mieli jeszcze do stracenia dobre imię, wprowadzałam do wąskiego grona wybrańców. W czasach kiedy gadulstwo zagłuszało wszystkie rozmowy, donosiciele stali się masowym towarem: portierzy, kierowcy, kelnerzy, sekretarki, fryzjerzy, instruktorzy golfa, właściciele siłowni. Okazjonalnie nawet małżonki ofiar. Praktyka uczyła, że dobrze znać ich imiona i włączyć je do szantażu. I tylko niewielu mężczyzn opierało się propozycji załatwienia sprawy po przyjacielsku. Mężczyzna jako logiczna i obyczajna niemożliwość oraz jako przekleństwo świata, jak go opisała Helene von Druskowitz, przyjaciółka, a później nieprzyjaciółka Nietzschego, sprowadzał się w moim świecie do nieobyčajnej możliwości zbijania kapitału na lubieżności i tchórzostwie. Wszyscy oni byli tak chętni, tak żądni tego, by ich zagadnąć, gdy siedzieli w barach drogich hoteli, w kasynach gry, w klubowych budynkach przy polach golfowych... Pieniądze nic nie znaczyły, jeśli nie dało się nimi chępić. Zabawa i seks były solą dobrego życia. Każdy miał wyrobione zdanie o sobie i świecie i potrzebował słuchacza. Każdy podbój był narkotykiem dla *ego*. Jesteś piękny, dobry i mądry, wielu mówiłam te słowa. Wierzyli.

Wdowcy i samotne serca, które między innymi spotykało się na cmentarzach,

ofiarowywali pomoc dobrowolnie po wysłuchaniu wstrząsających historii, takich jak chore na raka młodsze siostry czy niezawinione kłopoty finansowe. Bywały też przyczyny egzystencjalne, na przykład marzenie o odkupieniu ukochanego kawałka gruntu, odziedziczonego po najbliższych, ale utraconego... Fantazja nie miała granic. Ci ochotnicy zabierali więcej czasu niż klientela od gwałcenia, jednakże praca z nimi okazywała się przyjemniejsza. Kiedy następowało rozpoznanie i gniew, mnie już nie było. Liczyłam na uczucie wstydu oszukanych, którzy się powstrzymywali przed doniesieniem na policję, i zmieniałam miejsca występów po skutecznym zakończeniu akcji, aby uniknąć niepożądanych spotkań.

W ten sposób poznałam prawie wszystkie niemieckie miasta, część Austrii i Szwajcarii; na pewien czas zatrzymałam się w Hiszpanii, tam gdzie spotykało się szacownych tubylców i bogatych turystów, gdzie zachwycały piękne domy, dobre hotele i pola golfowe. Panowie po czterdziestce trafiali się wszędzie: żonaci, wdowcy, rozwiedzeni, mieli zbyt dużo pieniędzy i zbyt mało seksu, rozglądali się więc za odrobiną przyjemności, zanim umrą. Ofiarowywałam im swój czas i swoje kłamstwa, czasem tylko coś więcej. Można ich było wymieniać jak auta, torby golfowe czy markowe zegarki. Moje współczucie utrzymywało się w rozsądnych granicach. Większość zasługiwała na to, by zostać oszukana.

Czas mijał, mój majątek rósł, a twarz przypominała, że to nie jest zawód dożywotni. Miałam handicap siedem i wypoczywałam przy grze w golfa, na długich spacerach, przy lekturze, a wieczorami w hotelowym łóżku przed telewizorem. Po zachodzie słońca pragnienie i wilczy apetyt nie malały – czułam wdzięczność dla swojego ciała, że mnie wytrzyma.

Wygląd zmieniałam tylko nieznacznie. Ufałam po prostu temu, że wybrańców nigdy nie zapędzam poza finansową granicę bólu, takie szacowanie decydowało o powodzeniu lub niepowodzeniu. Kwoty były trafione prawie w dziewięćdziesięciu procentach. Koszty inwestycyjne utrzymywały się w normie: trochę łapówek tu i tam, przejazdy i hotele, do tego zysk wolny od podatku, tak że również fiskusa mogłam zaliczyć do swoich ofiar.

Tylko raz zwróciłam pieniądze. Może sprawił to wałęsający się pies; widziałam go jedynie z tyłu, więc nie potrafiłam stwierdzić, czy miał niebieskie oczy. A może wruszyła mnie zrozpaczona twarz bardzo miłego mężczyzny, który wcisnąwszy mi do ręki zwitek banknotów, wyznał, że to cały jego majątek, który mi do wiernych rąk przekazuje. Trzydzieści tysięcy marek, pieniądze odłożone na czarną godzinę, na starość. Jego chętnie się przede mną bogactwem było po prostu dziecinadą. Powiedziałam mu wtedy, że wierzyciele przedłużyli mi termin spłaty, a on rozplakał się prawie z wdzięczności. Naturalnie

spełniłam tylko nędzny dobry uczynek, lecz nie zaniechałam prób zjednywania sobie przychylności bogów.

Nagromadzenie powszednich grzechów wcale nie prowadziło do moralnej zguby. Co złego mogło być w tym, że komuś, kto wygrał w ruletkę, odbierałam pieniądze w pokoju hotelowym? Żądałam określonej stawki, a gdy szantaż gwałtem nie przstraszył wystarczająco, wzmagalam histerię i rozszerzałam scenę o rolę wariatki, która się nie cofnie przed żadnym skandalem.

Kierowałam się niezwykłym wyczuciem przy doborze mężczyzn. Kobieta jako nieobyčajna możliwość była fenomenem, do którego w gruncie rzeczy nie dorośli. Klara nie pochwaliby mojego postępowania. Podbrzuszem nie zwalczysz kapitału, powiedziałyby. Ale bez jej głowy nie miałam co myśleć o ambitniejszych projektach. Byłam zadowolona, zanurzona w luksusie i uwikłana w gry, które przebiegały według moich reguł, tak że rzadko przegrywałam. Podróżowałam przez świat mężczyzn o każdej porze roku, gustownie ubrana, z dobrym makijażem i zawsze gotowa ich oszukać.

Miłości przy tym nie było. Najwyżej przypadkowy seks z instruktorami golfa, sympatycznymi Włochami lub studentami prowadzącymi taksówki. Ten krąg się zmniejszał. Starzałam się. *Jeśli się nie pragnie, być może nie odczuwa się braku. Gdy ochota jest niewielka, także zmartwienie jest nieznaczne.* Zaczynałam zapominać Klarę. I wersy wielkiego Brechta.

ROZDZIAŁ 17

Miałam trzydzieści trzy lata i nie chciałam jeszcze umierać. Uśmiechałam się, gdyż stanowiło to moją jedyną broń przeciw Johannesowi Brennerowi, który stał nade mną z nożem w ręce. Leżałam na gumowym prześcieradle, jakich używa się w szpitalach dla obłożnie chorych. Ręce w kajdankach, oczy zamknięte. Nie krzyczeć, myślałam, chociaż byłam samym krzykiem.

Rozpiął pasek od spodni. Nie krzyczeć. Zamek błyskawiczny. Poczulałam koniec noża na sutku lewej piersi, to jeszcze nic, jednakże wyobrażenie tego, co nadejdzie, już sprawiało straszliwy ból. Zmusiłam się do otworzenia oczu i popatrzenia na oprawcę. Bez strachu. W twarzy Brennera zjednoczyli się wszyscy mężczyźni mojej wątpliwej kariery, złączyli się w jeden grymas żądy. Wszystko zależało od tego, kto ma przewagę i trzyma w ręce nóż.

– Szczęśliwego nowego roku, Fiono Lenzen. Szalenciec zachichotał.

Chętnie bym się roześmiała, ale jego poczucie humoru nie znało litości. Nie pokazał strachu, nawet jeśli z tego wysiłku przyjdzie umrzeć.

– Dziękuję ci. Ale muszę pilnie do toalety.

To było banalne. Nieapetyczne. Johannes Brenner cofnął nóż i kiedy się podniosłam, zobaczyłam, że ta zapowiedź odebrała mu część podniecenia. Krew jest szczególnym sokiem. Zyskałam jednak drobną zwłokę, szansę, musiałam z niej skorzystać. Ale ogarnął mnie tak wielki chłód, że moje myśli kompletnie zlodowaciały.

– Jesteś niezdolna – powiedział Brenner i podniósł mnie z łóżka za kajdanki. Wskazał głową drzwi wytapetowane bladożółtymi kwiatami. Wzór tapety nie miał znaczenia, lecz należało cieszyć się obrazami, jakie mi życie w tej chwili oferowało. Nogi poruszały się posłusznie, szłam powoli, ponieważ musiałam coś wymyślić. Jeszcze rok dla mnie, jeszcze parę lat, proszę.

– Pospiesz się.

Pierwszorzędna toaleta, ale drzwi nie zamykały się od wewnątrz. I nie było okna. Usiadłam na sedesie marząc, by strumień moczu nigdy się nie wyczerpał. Nie znoszę widoku krwi, czy on tego nie wie? Na spłuczce siedziała jedna z jego niebieskokookich lalek, której z trudem można by użyć jako broni. Mydło. Ręczniki. Próbowалаm rozbić o umywalkę butelkę

perfum. Puściłam wodę i wściekle tłukłam flaszką o porcelanę. Dlaczego on nie wchodzi i nie wyciąga mnie stąd? Przecież siedzę tu już całą wieczność. Ciepłe, bezpieczne, cudowne miejsce. Klara połowę swej młodości spędziła w toalecie, czytając Brechta, aby nie słuchać odgłosów dochodzących z sypialni matki. Klara by do tego nie dopuściła.

Spojrzałam w lustro: to ja. Jestem niczym. Numerem konta w Zurychu. Dzieckiem, które płacze. Mam dopiero trzydzieści trzy lata. Proszę, odnajdźcie mnie. Co on tam robi, do diabła? Dlaczego mnie nie wyciąga, aby to wreszcie zakończyć?

– Jesteś i pozostaniesz idiotą – dobiegł mnie głos kobiety. Cudowny, stary, gderliwy kobiecy głos. Podeszłam do drzwi, zatrzymałam się i słuchałam, jak postukując obcasami chodzi tam i z powrotem. – Gdzie ona jest? Nie posunął się chyba za daleko?

Usłyszałam, że westchnął, co zabrzmiało pocieszająco. Zaczął się nowy rok, zdarzył się cud i zaczęłam znowu oddychać. Otworzyłam drzwi, powoli, milimetr po milimetrze...

– No, dzięki Bogu – powiedziała stara, gdy mnie zobaczyła. Niska, gruba, z fioletowymi lokami i twarzą złośliwej małpy. Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam. Johannes Brenner zapiął już spodnie. Wyglądał prawie jak człowiek, ale wydawało mi się, że czuje się nieswojo. Życzyłam mu, żeby się poczuł jeszcze gorzej, i ledwie się powstrzymałam, by nie rzucić się na niego i nie wydrapać mu oczu.

– Mamo, pozwól, to Fiona Lenzen. – I do mnie: – A to moja matka, wróciła nieoczekiwanie z przejażdżki statkiem po morzu.

Ta prezentacja była szczytem absurdu, jednakże udało mi się przywołać na twarz coś w rodzaju uśmiechu.

– Ta przejażdżka to okropność. Sami starcy – uzaliła się matka. – Miło mi panią poznać.

Cóż za uroczy ludzie w noworoczny poranek! Nie wytrzymałam. Zaczęłam się śmiać. Histerycznie. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie śmiałam. Oboje przysłuchiwali się chwilę, potem kobieta wymierzyła mi policzek i przeprosiła mnie za to, gdy wreszcie umilkłam.

– Nie powinieneś swoich gości doprowadzać do takiego stanu, Johannesie.

Johannes milczał jak krnąbrny chłopiec. Nienawidziłam go z całego serca. Nienawidziłam go i kochałam siebie.

– Przykro mi, że nie mogę się z panią przywitać. – Wyciągnęłam do kobiety, która jeszcze nie zdjęła nurków, skute kajdankami ręce.

Potrząsnęła głową, jej wylakierowane na sztywno fioletowe loki wytrzymałyby z pewnością każdą burzę.

– Zdejmij to – powiedziała takim tonem, że Johannes wyraźnie zdrętwiał ze strachu.

Popatrzył nie na mnie, lecz na nią z przepaszającym uśmiechem i wyciągnął klucz z kieszeni spodni. Dłonie mu drżały, kiedy otwierał kajdanki. Nóż gdzieś znikł, nigdzie go nie widziałam. Chętnie bym udusiła Brennera uwolnionymi rękami, ale cofnął się szybko i stanął za matką.

– Proszę wybaczyć, chłopak ma poczucie humoru trochę odbiegające od normy. Ale w gruncie rzeczy jest nieszkodliwy. Potrzebuje pewnego rodzaju gry wstępnej, jeśli pani rozumie, co mam na myśli. Jego była żona, ta szmata, zdeprawowała go seksualnie.

– Zostaw ją w spokoju, mamó.

Skarciła syna spojrzeniem, pod którym się skurczył.

– Twoja eks-żona to przeklęta masochistka. Wiedenka naturalnie. Piękna jak anioł, ale na wskroś zepsuta baba. Czy pani jest niedobrze, dziecinko? Niechże pani usiądzie. Może przynieść coś do picia?

– Cordon bleu, potrójny. – Usiadłam na krześle. Co za wspaniałe uczucie móc poruszać rękami.

Johannes przyniósł koniak, potem ukląkł przede mną i zaczął masować mi przeguby rąk.

– Nie sprawiłem ci przecież bólu, prawda? To była tylko zabawa, jak już mama powiedziała.

Na tyle zabawy nawet ja nie zasłużyłam. Milczałam, bo nie znajdowałam słów dla swojej wściekłości. I żadnego powodu do wdzięczności wobec wroga.

– Szczęśliwego nowego roku, dzieci – powiedziała matka i odniosła kieliszek. Piła szampana.

Minęła szósta, noc przechodziła w szary dzień. Film, w którym graliśmy, zasłużył na Oscara. A może raczej wszystko dookoła na niszczący ogień. Johannes Brenner na śmierć albo na swoją matkę, ja na wspomnienie śmierci przed życiem. Seks jest bólem, który zadajemy innym. Władzą, której nie mamy. Słabością, do której się nie przyznajemy. Wszystko, naprawdę wszystko, od początku do końca, jest następstwem kadrów arbitralnie ustalonym przez szalonego, okrutnego, komicznego, łaknącego władzy, żadnego kariery reżysera, który manipuluje próżnością swoich aktorów. Brenner nie był człowiekiem, za jakiego uchodził; ja też nie byłam sobą i nie była sobą matka ze spiżu, stara samotna alkoholiczka poszukująca miłości na statkach wycieczkowych. Oboje obłąkani, choć każde inaczej i chronieni przez bogactwo. Tyle że ono nie chroniło ich przed nimi samymi ani przed sobą nawzajem.

Zaproponowała mi pięć tysięcy marek odszkodowania za ból. Podwyższyła kwotę do

piętnastu tysięcy, gdy oskarżycielsko rozcierałam przeguby rąk. Mogłam wyciągnąć jeszcze więcej, lecz zabrakło mi na to sił. Czułam się bardzo zmęczona i tęskniłam za hotelowym łóżkiem. Propozycję wspólnego śniadania z szampanem odrzuciłam, wyjaśniając, że przed południem nigdy niczego nie jadam. Szkoda, powiedziała matka i dodała, że uważa mnie za bardzo miłą osobę. Byłam przekonana, że orangutany reagują na ludzkie uczucia z większą wrażliwością niż ona. Może powodował to wiek albo też zawsze była taka i nie dostrzegała, jakie zło, a zarazem bojaźliwe monstrum wydała na świat. Pytania, jak daleko mógłby się posunąć jej syn, nie ośmieliłam się zadać. Nie miałam jednak wątpliwości, że w ostateczności pomogłaby mu usunąć zwłoki.

Bali się samotności, a ja za nią tęskniłam. Wyćwiczona w krótkim i długim czekaniu, wytrwałam cierpliwie do momentu, kiedy kobieta wyciągnęła wreszcie z torebki książeczkę czekową. Przez cały czas unikałam spoglądania na Johanna. Może znowu zaczęłabym krzyczeć lub zwymiotowałabym, albo bym go zaatakowała. Wyglądał blado i szpetnie o świcie – wyglądaliśmy tak wszyscy i tylko zachowywaliśmy pozory przyzwoitości i dobrego wychowania. Nie poradziłam matce, żeby wysłała syna do psychiatry bądź, jeszcze lepiej, kazała go wykastrować. A ona nie powiedziała, że uważa mnie za chciwą flądę, której by nie żałowała. Jej syn głaskał jedną ze swych lalek, ani myśląc wyjaśnić mi, co by się stało, gdyby matka niespodziewanie go nie odwiedziła. Nowy rok zaczął się od starych kłamstw. I tak będzie zawsze.

Johannes umykał wzrokiem, kiedy odprowadzał mnie do drzwi. Oprócz czeku zabrałam także misia z jego kolekcji. Miał brylancik w uchu i był bardzo ładny. Matka życzyła mi na pożegnanie „*Happy New Year*”, ponieważ na przejażdżce statkiem nauczyła się trochę po angielsku. W każdej innej sytuacji uznałabym to za wielce zabawne. Gdy Brenner chciał mnie pocałować w policzek, cofnęłam się o krok.

– Pieniężmi nie możesz zapłacić za wszystko.

Ucieszyło mnie jego przerażenie. Twarz Baala zeżarta już przez zgniliznę. *Bóg zawsze wygwizduje najpiękniejsze melodie na ostatnim otworze piszczalki.* Znałam tylko złe wiersze, piękne zbladły w mojej pamięci. Brenner zamknął za mną drzwi. Zatrzasnęły się cicho i dystygowanie, jak zawsze u bogatych.

Taksówkarz wyglądał na zmęczonego. Czuł obrzydzenie do wszystkich dróg, którymi jeździł dla innych. Podarowałam mu misia, ponieważ czasem potrafiłam zrezygnować również z brylantów. Tak jak z Geraldowego półtora miliona, który w postaci

bezwartościowego skryptu dłużnego wciąż jeszcze przechowywałam. Gerald i Hermann splajtowali przy realizacji swego ambitnego projektu, kazałam to sprawdzić jednej z lokalnych agencji detektywistycznych. Obaj zniknęli, zostawiając budowlane ruiny i długi. Ucieszyłam się, że Gerald powtórnie zbankrutował. Z drugiej strony jednak nie opuściło mnie przekonanie, że gdzieś kiedyś znowu zmartwychwstanie, starszy, bardziej nikczemny i wcale nie mądrzejszy. Wątpliwe, bym go miała jeszcze spotkać. Kto mnie nie kocha, jest moim wrogiem – świat jest pełen wrogów. A ponieważ świat był również pełen wrogów, którzy mnie uwierzyli, sytuacja wyglądała dość beznadziejnie. Miałam jednak trzy miliony dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy marek na koncie w Zurychu. Wszystkie te piękne pieniądze przepadłyby, gdyby Brenner urzeczywistnił swoją groźbę. Przeszłyby na własność banku po odpowiednim terminie oczekiwania. Straszliwa myśl, która na szczęście nie nawiedziła mnie w chwili śmiertelnego strachu. Najwyższy czas przestać. Szczęście jest współnikiem o wątpliwej lojalności, a ja spadałam w dół, zimna i lekka, ponieważ taka była moja droga.

Na ulicach panował spokój, ostatni pijacy zataczali się po Königsallee, cicho bełkocząc. Biel ulic, szarość domów i wiatr pędzący ostatnie liście ponad śniegiem. Kilka serpentyn i szczątki fajerwerków przypominały o starym roku. Śnieg w mieście nigdy nie jest dziewiczy, lecz zawsze brudny. W miastach wytapetowanych chłodnymi frazesami czułam się u siebie. Plastikowe karty przeciwko marznięciu i łaskawość ciepłych hotelowych łóżek nie opuszczą mnie w nowym roku. Poczułam się odrodzona i wypalona zarazem. Kierowca spytał mnie, czy atrakcyjnie spędziłam noc sylwestrową, a ja zaczęłam się śmiać, podczas gdy łyż zostawiały na policzkach ślady tuszu. *Piękna przegrywająca Cohena*. Wiedziałam, że nie odnajdzie mnie w moim trzydziestym czwartym roku życia.

ROZDZIAŁ 18

Kubańczycy zasadzili drzewo dla Klary. Przysłali jego zdjęcie, a także fotografię tablicy pamiątkowej, przed którą stały dzieci uśmiechające się do obiektywu, bardzo kolorowe i wzruszające. Świętowałam swoje trzydzieste czwarte urodziny z Karlem, specjalistą od tarcz międzykręgowych, który leczył mój kręgosłup złożony z dwudziestu czterech samodzielnych kręgów. Prywatnie profesor zajął się również z upodobaniem moimi mięśniami i białą skórą. Naturalnie był zony, jak przeważnie mężczyźni koło czterdziestki. Karl, który miał zmysłowy stosunek do honorariów od prywatnych pacjentów, obliczył, że seks z żoną dwa razy w miesiącu kosztuje go około siedmiu tysięcy marek. Była drogą, niestety oziębłą, małżonką, a do platonicznej miłości Karl się nie nadawał.

Cierpiałam na bóle pleców i brak celu, od kiedy zdecydowałam się zaprzestać nieuczciwego rzemiosła. „Psychosomatyczny” było słowem, które Karl dorywczo wplatał w swoje medyczne rozważania nad moim bólem. Okazałam się interesującym przypadkiem i niewymagającą kochanką, zadowoloną z jedzenia, picia oraz stosunków seksualnych uwzględniających terminy profesora i położenie moich kręgów lędźwiowych. Apartament w „Rafaelu” nie kosztował Karla nic, bo ja za to płaciłam. A dodatkową wygodą było to, że jego mieszkanie znajdowało się tuż za rogiem. Profesor kierował się względami praktycznymi. Kochał po pierwsze swoją karierę, po drugie honoraria i po trzecie przyjemności: jedzenie, picie i seks wedle własnego uznania. Był przystojnym, ale pospolitym mężczyzną, do którego zagnał mnie ból, mój samotny towarzysz. Karl potrafił ciekawie mówić o bólach kręgosłupa. I kochał mnie delikatnie, o ile ten atrybut można w ogóle odnosić do mężczyzn. Na urodziny podarował mi gorset z kosztownej koronki, który miał być nie tylko zmysłowy, lecz także zdrowotny, bo wymagał wyprostowania się przy chodzeniu. Zastanawiałam się, kto i kiedy to wymyślił i narzucił chorem?

Wydawałam pieniądze i nie żądałam niczego. Prowadziłam skromne życie w jednym z monachijskich luksusowych hoteli i podczas godzin i dni płynących w leniwej beczynności dochodziłam do wniosku, że praca jest absolutnie zbędnym zajęciem, które powstrzymuje ludzi przed oddawaniem się przyjemnościom i rozmyślaniami nad tym, kim są i kim chcieliby być. Przez myśl mi nie przeszło, aby żyć uczciwie. Chęć uwolnienia się od bólu była warta

zachodu, toteż walczyłam o to za pomocą natrysków, masaży i gimnastyki. Zwycięstwo nad bólem, który stopniowo ustępował, dało się wyjaśnić sztuką lekarską albo przypadkiem. Karl, jak się wydaje, także tego nie był pewien, ale na sposób profesorski sprawiał wrażenie wszytkowiedzącego cudownego uzdrowiciela. Lekarze to rzemieślnicy o uzdolnieniach aktorskich, a Karl był naprawdę dobrym aktorem.

Reinkarnację Klary uznałam za nieprawdopodobną, natomiast moje hotelowe życie wykluczało sprawienie sobie psa o niebieskich oczach. Nie miałam przyjaciół, tylko mężczyzn. Książki, filmy, orgie zakupów i obiady z Karlem wypełniały mi dni. Od czasu do czasu dzwoniłam do pana Pflümliego w Zurychu, aby porozmawiać o akcjach, ponieważ nie miałam żadnych dochodów i żyłam z odsetek z lokat i zysków z inwestycji. Monachium to miasto miłego luksusu oraz ze wszech miar zasobnego życia, jeśli oczywiście ktoś może sobie na nie pozwolić. Damy na Maximilianstrasse demonstrowały stroje o równowartości miesięcznego zarobku robotnika, nie wliczając w to naturalnie biżuterii. Renomowani restauratorzy serwowali potrawy po bezwstydnym cenach. Takie życie prowadziła wybrana grupa ludzi, gdyż w ten sposób nie każdy mógł jeść i pić. W butikach ubrane stylowo ekspedientki wyśpiewywały luksusowe arie za plastikowe karty. Kulturalne mieszczaństwo szumiło w operze i w teatrach kameralnych, a włoski ulubieniec Karla kładł mi poduszkę na niewygodne krzesło, aby musnąć moje plecy.

My, zaprzysiężona wspólnota dobrego życia, spotykaliśmy się z wdziękiem i beztróską. Od czasów Geralda nic się nie zmieniło. Kobiety wciąż zachwycaly pięknnością, a mężczyźni wciąż byli starzy. Co straciłam na niewinności, rekompensowałam swobodą. Swobodą, którą dają pieniądze, i która pozwalała nie traktować mężczyzn tak poważnie, jak na to zasługiwali.

Karl miał zdrowe bawarskie poczucie humoru i weekendowy dom nad jeziorem Starnberger, gdzie pani profesorowa wypoczywała po trudach małżeństwa. Nienawidziła męża za zdrady, ale nie okazywała skłonności do podziału luksusu na pół. Karl także jej nienawidził, ponieważ zmuszała go do udawania, nie miał jednak również ochoty, by dzielić majątek. Przy pieniądzech kończyła się zabawa w monachijskim towarzystwie. Najważniejsze jest zdrowie, mówił profesor i dzięki temu zarabiał pieniądze. Ustawicznie rosnący zastęp ludzi cierpiących na bóle krzyża i pokrzywionych przez wysiłki, by osiągnąć pełne sukcesów życie, pielgrzymował do jego prywatnego gabinetu, a jeśli w tym gronie trafiały się ładne pacjentki, Karl potrafił dokonywać cudów.

Paskudną myśl o zaszantażowaniu go tym, że zmuszał pacjentki do nierządu, zdecydowanie odrzuciłam. Nigdy więcej, to sobie przyrzekłam w Düsseldorfie, nie użyję

seksu jako broni. Johannes Brenner wyleczył mnie z tych praktyk, za co w podziękowaniu naprzykrzałam mu się obscenicznymi telefonami. Znałam numer jego komórki oraz służbowego telefonu. Układałam sadystyczne zdania dla człowieka, który tak chętnie przyprawia kobiety o śmiertelny strach. Szczegółowy opis, jak wykastrowuję go nożyczkami do paznokci. Niewinny gwałt sztucznym penisem wysadzonym gwoździami. Obcięcie języka brzytwą. Sprawiało mi przyjemność dręczenie go rosyjskim akcentem, już moje wstępne dyszenie do telefonu zdawało się wywoływać u niego panikę. Kto wie, może te seanse telefoniczne miały terapeutyczne działanie? Mnie pomogły zapomnieć o tamtej nocy i zredukować Brennera do takiego wymiaru, w jakim przestał być zmorą i urazem, a stał się tylko mężczyzną, przed którym mogłam się bronić. Bo do tego doszło, że bronić się należało przed każdym, kto zadawał ból, nieważne, czy to przyjaciel czy wróg, a spotkanie człowieka, którego nie trzeba było zwalczać, liczyło się za sukces, być może nawet większy, niż się na to zasłużyło. Nie chciałam zapomnieć Klary, a jednak to zrobiłam.

Zwyrodnienie kręgow łędźwiowych osiągnęło stan względnej bezbolesności, zamieniłam więc Karla na Bernharda, producenta filmowego. Wszystkim kobietom, z jakimi spał, obiecywał rolę w filmie. Także mnie, choć byłam za stara i zbyt niezależna, aby go wystarczająco ubóstwiać.

Czas Bernharda był cenny, dlatego każdą rozmowę prowadził z wielkim pośpiechem i naszpikowaną angielskimi zwrotami. Jakby tego nie wystarczyło, stale przerywała ją dzwoniąca komórka z wiadomościami o postsynchronach, castingach, kosztach. W tych warunkach nie dało się wymienić z Bernhardem więcej niż dwu powiązanych ze sobą zdań, a może i tyle nie. Jako gospodarz podejmował nadzwyczaj gościnnie wszystkich, którzy w jakiś sposób byli użyteczni, nazywając ich „przyjaciółmi”. Wszystkim gwiazdom mówił „ty” i uważał się za jedyne go geniusza w branży filmowej. Zadałam się z Bernhardem, bo obiecał mi rolę, a seks z nim nie groził obciążeniem kręgosłupa, gdyż po pierwsze, mój filmowiec chętniej leżał pod spodem, po drugie, na dojście do orgazmu potrzebował niewiele czasu. Odurzenie szybkością przeniosło się na wszystkie dziedziny jego życia: jadł i pił tak szybko, jak mówił, a wszelka forma powolności prowadziła go na skraj załamania nerwowego. Bernhard miał w Toskanii winnicę, dokąd zapraszał sponsorów i piersiaste starletki. Nie zostałam tam nigdy zaproszona, nie udało mi się również wystąpić w jego filmie, ponieważ zawiodłam na castingu. Czarodziejka Holle (tak nazywałam się w Monachium), wytrawna kłamczyni i utalentowana aktorka załamała się w obliczu kamery i zaczęła jąkać. To przypieczętowało koniec naszego związku, ponieważ Bernhard nie tolerował niczego niedoskonałego w swojej bezpośredniej bliskości. Zemściłam się w czasie ostatniej kolacji,

wrzucając mu komórkę do akwarium w jego ulubionej włoskiej restauracji.

Dojrzewiała we mnie świadomość, że nie nadaję się ani na aktorkę, ani na artystkę. Leopold, śpiewak operowy, uznał mnie za niemuzykalną i mało wrażliwą, a Max, profesor filozofii, ganił mój brak wykształcenia i umiejętności myślenia abstrakcyjnego. Gdy mnie ktoś pytał, co robię, odpowiadałam: „nic”. To była niewiarygodna prawda. Jako hochsztaplerka robiłam na swoim otoczeniu, przynajmniej z początku, wyraźnie duże wrażenie. „Nic” to słowo, które ludzi przerażało. Kojarzyli je z kapitulacją wobec wszelkich norm społecznych, z formą ekscentryzmu, jaki nawet w połączeniu z pieniędzmi wydawał się podejrzany. Istnienie musiały określać zadania i cele. Jaki sens miała egzystencja definiowana jako „nic”? Żadnego. Czy to mi przeszkadzało? Nie. Nikomu nie przynosiłam korzyści i nikomu nie szkodziłam w swoim trzydziestym czwartym roku życia. Trwałam w stanie wielkiej otępiełej równowagi. Być może tę sytuację nieco inaczej widziałby Johannes Brenner, gdyby rozpoznał anonimową telefoniczną rozmówczynię, a także Bernhard, który przysłał mi rachunek za nową komórkę. Ich małostkowe umysły nie dostrzegały, że nie wszystkie kobiety nadstawiają drugi policzek.

Bea napisała z Dublina, że George ma romans ze swoją kelnerką. Z tego powodu rozważała próbę samobójstwa, nie mogła się jednak zdecydować na żaden z dotychczas zastosowanych bez powodzenia wariantów. Gdy zadzwoniłam do niej kilka dni później, powiedziała mi, że poznała ślepego rosyjskiego poetę geniusza i chce mu służyć jako oko i muza. Bea to kobieta nadstawiająca drugi policzek, trudno było jednak przez telefon sprzeciwiać się jej wielkiemu szczęściu. Pomyślałam o pięćdziesięciu tysiącach funtów i wydało mi się niegodziwe, by stare pieniądze przeciwstawiać nowej miłości. Uspokoila mnie nieco wzmianka, że poeta jest sponsorowany przez pewną instytucję kulturalną opiekującą się zagrożonymi mniejszościami. Na koniec długiego monologu zapytała mnie o zdrowie i odłożyła słuchawkę, nim zdążyłam odpowiedzieć.

Jakże zazdrościłam matce jej wielkich uczuć i śmiesznych miłości! Jakże byłam pijana i samotna! Nawet barman w „Rafaelu” spoglądał na mnie ze współczuciem, a pianista grał ckliwą piosenkę z dodającym odwagi uśmiechem. Przypominał mi Fryburg i Brunona samobójcę. Wszyscy zabijamy ludzi. W nas samych. Gdy upijałyśmy się razem z Klarą, wszystko wyglądało pięknie. Natomiast samotnie wypity alkohol przyprawia o melancholię. Czułam się przyzwoita i samotna. Jednakże uczciwością i przyzwoitością nie pozyskuje się mężczyzn. Tego, czego zawsze szukali, ja nie uznawałam. Dałabym w tej chwili milion w

barze hotelowym komuś, kto by mnie pokochał, kto by mnie objął ramieniem, zaprowadził do łóżka i przy mnie pozostał. Dałabym milion za towarzystwo Klary, uśmiech i ciepło. Pragnęłam kogoś, komu mogłabym ufać, wiedząc, że pragnę iluzji. Nawet pan Pflümler mnie nie kochał, a przecież wiedział, że jestem bogata, niestara i niebrzydka. Jak to możliwe, że tę pomarszczoną Amerykankę mąż głaszcze po ręce? Dlaczego nie zatrzymał mnie nikt, kogo kochałam bądź oszukałam?

Miły dom, rodzina z dzieckiem, monotonia rutyny, kłótnia, pierwsze kłamstwo, a potem i tak zdrada. Tfu, do diabła! Tego przecież nie chciałam, nigdy nie chciałam małego szczęścia. Zawsze pragnęłam więcej – i ciągle za wiele. A wymagających karało życie, nie gdy szło o pieniądze, lecz o miłość.

Mąż starej kobiety spoglądał na mnie ukradkiem, pożądliwie, Bogu dzięki, również w tym związku nie było nic doskonałego, czego można by zazdrościć. Wszyscy w tym wspianym chłodnym holu „Rafaela” okazywali się samotni, a ja szczególnie. Wyprostowana na barowym stołku, z butelką dom pèrignona, który piły tylko idiotki, jeśli musiały same za niego płacić. Nie lubiłam szampana. Nie lubiłam siebie i nie było Klary, żeby mnie pocieszyć. Nie powie mi, jakie mam szczęście, że jeszcze żyję, zamożna i wolna od bólu, że nie prześladowuje mnie władza państwowa ani duch Brunona. Nikt mi tego nie powie. Wszyscy powlepiali oczy w swoje kieliszki i czekają, żeby ich ktoś pokochał. Zapomnijcie o Wenecji. Gondole kursują nieregularnie, a na końcu suną po wodzie te czarne, obite aksamitem. W moim przypadku w kierunku piekła, ponieważ dokonałam niewiele dobrego. O co zresztą nikt się nie troszczył. Oszukani milczeli, a Bruno się zabił. Żadnego oskarżyciela, żadnego sędziego. Tylko kilka męczących snów. Zdrowy stosunek rozpaczy do nicości.

Mimo że chciałam uczeiwie pokochać, nie trafił się nikt, kto by mnie uczeiwie pragnął. Cóż to za niedorzeczne słowo! Jakże głupie są kobiety, że wierzą w siłę uczucia. Ile rozwijano w nich pokory, zaślepienia i samooszukiwania się, aby tej wiary nie straciły! Pieniądze wielu mężczyzn napełniły moje konto. Kto wie? Może pokochałabym któregoś? Litości nad sobą nie mogłam nazwać czystym uczuciem, zrodziła się bowiem z alkoholu, wstydu i tęsknoty. Smakowała gorzko. Nie dała się splukać nawet szampanem. Po pijanemu postanowiłam pojechać na kraniec świata i dalej, a tymczasem podpisać rachunek, zejść z barowego stołka i równym krokiem dotrzeć przez hol do windy. Małe rzeczy są ważne, bo przy dużych można zrobić niewiele.

Nie wyjechałam. Spotkałam Jörga Bauera. Mężczyznę noszącego smutne ubrania w brązowych odcieniach. Zawołał mnie po imieniu, gdy szłam Maximilianstrasse w stronę opery, aby kupić jakieś ciuchy na podróż. Miałam kaca i zamierzałam go zwalczyć rauszem zakupów. Gdy usłyszałam swoje imię, moim pierwszym odruchem była chęć ucieczki, zanim wołanie skojarzyłam z twarzą. Nie odwróciłam się i przyspieszyłam kroku, ale poczułam dłoń na ramieniu. Jeden z oszukanych, pomyślałam, lecz zrównał się ze mną mężczyzna, drugi w moim życiu, który mnie wykorzystał. Policjant, a zarazem stręczyciel, uśmiechnął się miło i powiedział:

– Cóż za przypadek! Co robisz w Monachium? Angaż sceniczny czy coś gorszego?

Miał beżowo-zieloną marynarkę w kratkę i brązowe spodnie. Brązowe włosy, brązowe oczy, wszystko brązowe i zwyczajne. Zwymiotowałam już rano w hotelu.

– Zostaw mnie w spokoju. Wyrównałam swoje długi w Zurychu.

Szłam dalej, a on wciąż obok mnie.

– Nie zapomina urazy – powiedział.

Popatrzyłam w dół na czarne sportowe obuwie.

W czymś takim można się włóczyć, ale nie po Maximilianstrasse.

– Spieprzaj, gliniarzu – warknęłam.

– I jest nadal wulgarna – skomentował.

Nie spoglądając na niego szłam dalej.

– Nie jestem już policjantem. Wyrzucili mnie. Ta akcja w Zurychu niestety się nie powiodła. Żli zwykle wygrywają, nie wiesz o tym?

Zatrzymałam się.

– To mnie cieszy. Zawsze trzymałam ich stronę. Tak żyje się wygodniej.

Bauer roześmiał się. Zęby miał w porządku, przynajmniej tyle.

– Wiem, najdroższa, wiem. Skoro zostałem bez pracy, pozwoliłem sobie zajrzeć do twojego życiorysu. Nie było to łatwe. Zbyt często zmieniasz miejsce pobytu.

A więc to nie przypadek. Zerknęłam na południowe słońce i przemknęło mi przez myśl, żeby wepchnąć Jörga pod jedno z przejeżdżających aut. Samochód średniej klasy wydawał się odpowiedni. Zachwiałam się, taki alkoholiczny problem krążenia, lecz mężczyzna przy moim boku przytrzymał mnie mocno.

– Z tego powodu nie musisz mnie od razu zabijać, kochanie. Nie mam zamiaru niczego ci zarzucać. Nie należę już do dobrych, rozumiesz?

Zachować spokój. Oddychać równomiernie. A więc czasy nieograniczonego picia alkoholu bez konsekwencji minęły. Teraz Jörg Bauer stał się problemem. Bezrobotny

policjant potrzebował pieniędzy i najwyraźniej postanowił znaleźć ich źródło we mnie.

– Kawy? – Moja zachwiana równowaga chyba go zaniepokoiła.

– Nie. Piwa i białej kiełbasy.

W ogródku piwnym siedzieli już pierwsi alkoholicy. Bauer obrał starannie moją kiełbasę ze skórki. Do źródła idzie się pod prąd.

– Czego chcesz ode mnie? Pieniędzy nie mam, prawie wszystko wydałam. I też jestem bezrobotna. – Roześmiał się, pokazując białe zęby. Dłonie też miał ładne, drugi punkt na plus. Gdybym go zobaczyła nago, może by mi się spodobał. – Prawie zbankrutowałam, naprawdę. Od tej historii w Zurychu jestem czysta. To było obrzydliwe, więcej czegoś takiego nie zrobię.

– Przykro mi – powiedział. Brzmiało szczerze, ale to nic nie znaczy w naszym rzemiośle. – Wykorzystałem cię, a potem dałem mu się przyłapać. Wezwał policję i wybuchł piekielny skandal. Oprócz tego szlag trafił dwuletnią tajną akcją. Rzeczywiście wszystko schrzaniłem.

– Szkoda, że Jose cię nie zabił – oświadczyłam.

Roześmiał się znowu. W Zurychu był poważny i spięty, teraz jednak okazywał pewną niefrasobliwość, która nosiła cechy zwątpienia.

– Ten typ zaszedł zbyt wysoko i tam, w górze, czuje się całkiem bezpiecznie. Zwykłego policjanta można zupełnie legalnie zwolnić. Popełniłem błąd, czarodziejko, i zapłaciłem za niego. Podobnie jak ty. Zawsze się kiedyś natkniesz na kogoś, kto jest sprytniejszy. Sztuka polega na tym, żeby porażki przyjmować z wdziękiem.

To brzmiało słodko w jego ustach. Wspomnienie nocy z Josēm nie dało się jednak przykryć ładnymi słowami. Opróżniłam kufel i otarłam pianę z ust.

– A teraz chcesz mnie również z wdziękiem szantażować.

Zamówił jeszcze dwa piwa i poczułam się lepiej. Zdaje się, że nazywa się to pić do lustra.

– Twoje zdrowie, czarodziejko. Mylisz się. Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy. Chcę ci zaproponować interes.

Moja ręka już nie drżała.

– Nie pracuję z partnerami. I wycofałam się z wszystkich interesów.

– Dziesięć milionów.

W ogródku piwnym panował gwar, mnie natomiast wydało się, że wszyscy naraz umilkli i usłyszeli te dwa słowa. Dziesięć milionów. Pomyślałam, że wydałam już więcej pieniędzy, niż konto przynosiło odsetek. Żyłam bardzo rozrzutnie. Chciałam mieć naszyjnik

ze słońcem z diamentów i szafirów, który kosztował pół miliona. Z wyjątkiem paru uczciwych głupców wszyscy mieliśmy określoną cenę, a swoją zaliczałam do dość wysokich.

– Na głowę?

– Po pięć na głowę. I minimalne ryzyko.

– Przeszedłeś więc na drugą stronę. Niezbyt oryginalne.

Jörg Bauer wyrwał mi z ręki obwarzanek i podzielił prawie idealnie na połowę.

– Nie dramatyzuj, miła czarodziejko. Nie proponuję ci nic więcej niż dobry interes, trochę niemoralny i nielegalny. Taki, jakie bywają interesy tej wielkości. Można go zrobić tylko we dwoje, dlatego natychmiast pomyślałem o tobie. Jesteś dobra. Chciwa na pieniądze. I nie oszukasz mnie.

– Skąd ta pewność?

– Ufam ci. Znam ładną historię, którą mi opowiedział pewien starszy pan w Berlinie. O kobiecie, która mu zwróciła jego oszczędności, chociaż chciał ją wspomóc w potrzebie.

– To twoje szpiegowanie jest naprawdę wrzeszczące. – Ugryzłam obwarzanek, zanim go przełamałam. Miła, otoczona ciemnymi włosami twarz z nosem krzywym jak u boksera. Krawat jednak nadawał się na śmietnik.

– Co było właściwie z tym Brennerem? Wydawałaś się mocno wzburzona, jak wychodziłaś z jego domu. Zmarzłem tam tej nocy.

Mój cień patrzył mi w oczy. Ślepe. On oczy miał ciemnobrązowe, krowie. Wyglądał tak przeciętnie, że mogłam go nie zauważyć.

– Ja również zmarzłam. Brenner chciał mnie zabić. W każdym razie tak powiedział. Perwersyjny onanista z uroczą mamusią. Odtąd nie mam już nerwów do takich spraw. Wiesz, on zniszczył moją wiarę, że w każdej sytuacji mam przewagę nad mężczyznami. Odkąd ją utraciłam, nie jestem już przekonana o swojej sile.

Osobliwa szczerłość. Dlaczego zwierzałam się obcemu człowiekowi? Miał na nosie pianę, więc mu ją starłam. Dziesięć milionów jest lepsze niż pięć. Nie należy przeceniać dobrych uczynków.

– Nasz interes nie ma nic wspólnego z seksem, czarodziejko. Chociaż od tamtego czasu nic nie straciłaś ze swej atrakcyjności. Nie jesteś piękna, ale masz coś takiego...

– Szyk – odparłam. – A za twój wygląd nikt ci nie da dziesięciu milionów. Nigdy. Musisz wyglądać jak oni, mówić jak oni i naśladować ich skromną arogancję. W tym ubraniu możesz tylko zrobić napad na jakiś supermarket.

Poczuł się nieco urażony. W milczeniu obserwował młodą dziewczynę o cudownych długich nogach. Kobiety bez przeszłości sprawiają wrażenie niczym nie obciążonych i

optymistycznych. Dziewczyna uśmiechnęła się do Jörga i poszła dalej. Mój kac ulotnił się, wytrzeźwiałam. Chciałam zdobyć pięć milionów – co najmniej. Johannes Brenner był dniem wczorajszym, a Jörg Bauer przyszłością. Takie same inicjały, o tym z pewnością zdecydował tylko głupi przypadek.

– Jeśli mi się twój plan spodoba, zrealizujemy go wspólnie. A jeśli już wypiełeś, idziemy na zakupy. I tak zamierzałam je zrobić. Zaczniemy od twoich butów.

Kołysał nogą w sportowym bucie, a ja wołałam patrzeć w jego krowie oczy. Także rzęsy przypominały łagodnego byka.

– Jeśli ci się mój interes spodoba, płacisz ty.

– Zgoda. A rozliczymy się potem.

Roześmialiśmy się równocześnie. Przypominało to cud, który przelotnie wyzwolił uczucie szczęścia. Jednakże śmiech Bauera nie był wart pięciu milionów. Zamierzałam wziąć wszystko, jeśli tylko się da. Jörg zaczął opowiadać o wielkim przedsięwzięciu.

ROZDZIAŁ 19

Pewien przedsiębiorca produkował software do czołgów, samolotów i okrętów. Jego mały, świetnie prosperujący zakład znajdował się w Monachium, w rejonie Unterföhring, ale właściciel robił interesy z federalnym ministerstwem obrony w Bonn. W grę wchodził duży biznes o milionowych obrotach; po zapłaceniu podatku zostawało więcej, niż przedsiębiorca mógł w życiu wydać, o ile oczywiście nie podarował komuś swego majątku albo go nie przegrał. Ale Wolf Grindel nie był graczem, raczej maszyną do robienia pieniędzy, wołem roboczym; szczupły, prawie ascetyczny pięćdziesięciolatek ze skłonnościami homoseksualnymi, którym się oddawał wyłącznie za granicą, w Nowym Jorku, Hongkongu, Bangkoku czy Manili. W Monachium żył odseparowany od świata w willi w Bogenhausen, otoczonej wysokim murem i chronionej przez kamery. Gospodarstwo prowadziła mu siostra. Miał dwa duńskie dogi i bogatą kolekcję broni. Wolf Grindel zbierał pistolety z różnych epok i rozmaitego rodzaju, można to było nazwać pasją. W swojej bibliotece posiadał ponad sto eksponatów, do których dostęp miało zaledwie parę osób.

Jörg Bauer należał do tych wybrańców, ale byłoby przesadą nazwać go przyjacielem Grindla. Trafił na jego ślad kilka lat wcześniej, gdy jednego z urzędników ministerstwa obrony zaczęto podejrzewać o to, że łączy zlecenia z otrzymywaniem różnych upominków: podróży, podarków rzeczowych, a także gotówki. Trop prowadził do Monachium, do małego, doskonale prosperującego zakładu Wolfa Grindla, ale był zbyt słaby, aby właściciel zasiadł na ławie oskarżonych. Ministerstwo zablokowało sprawę, powołując się na zachowanie tajemnicy, Grindel uzbroił się w adwokatów, a kompetentny prokurator okazał szlachetną powściągliwość, tak że śledztwo ostatecznie umorzono. Funkcjonariusz policji kryminalnej Bauer podejrzewał, że również prokuratorzy nie mają czystych rąk, co być może dałoby się udowodnić. Ale dobrzy, do których się wówczas zaliczał, byli zarazem głupcami.

Wyciągnął z tej historii naukę i nieco później zaproponował Wolfowi Grindlowi, że za określoną prowizję może mu sprowadzać broń, przede wszystkim ze Szwajcarii i krajów wschodnich. Jörg miał przyjaciół w BND, czyli w federalnej służbie wywiadowczej, oraz w straży granicznej, do tego chronił go, jak wielu policjantów prowadzących tajne śledztwa, swego rodzaju immunitet, co niezwykle ułatwiało nielegalne interesy. Bauer dostarczał

przedsiębiorcy pistolety, o których tamten marzył, i w ten sposób stał się zaufanym człowiekiem Grindla, towarzyszem broni i jednym z niewielu ludzi, którzy znali numer jego komórki.

Na kolejne spotkanie w bibliotece Willi w Bogenhausen Jörg Bauer przyniósł czeski pistolet z pierwszej wojny światowej. Gość siedział przy kieliszku koniaku, a gospodarz tymczasem badał czule swój nowy nabytek. Jörg zostawił mu czas, by broń wypieścił, i dopiero wtedy zaczął mówić o sprawie, która być może zainteresowałaby Grindla. Jakby mimochodem opowiedział o pewnym projekcie intrygującym go od roku. Brał pod uwagę zarówno ryzyko, jak i zysk. Zaniepokoiła go obojętna mina Grindla, lecz ten jeden raz także Jörg Bauer chciał zagrać o duże pieniądze. Przed sobą miał szachownicę z kości słoniowej. Grindel był królem, on zaś pionkiem, który tamtego atakował. Wiedział, że król takiego przeciwnika jak on nie bierze poważnie, i na tym polegała strategiczna przewaga Bauera.

Chodziło, wyjaśnił to w szczegółach, o pewien rodzaj sankcjonowanego przez państwo prania pieniędzy, który przyniósłby zysk rządu dwu milionów marek. Fundusze niemieckiego wywiadu w wysokości dwunastu milionów marek, zdeponowane na koncie szylingowym w Wiedniu, powinny zostać przetransferowane z powrotem do Niemiec. Jednakże z przyczyn prawno-rachunkowych pieniędzy nie można przelać bezpośrednio. To tajne konta i zmiana rządu spowodowała niestety to, że BND musi się chronić przed państwowymi nadzorcami, ponieważ wrogie elementy w rządzie pozbawiłyby chętnie służbę wywiadowczą finansowego fundamentu. Albo mówiąc dobitniej: niektórzy ludzie w BND nie mają żadnego interesu w tym, aby ten fundusz ujawnić i ewentualnie go stracić. Dlatego mówi się o tym, żeby szylingi na koncie w austriackim banku wymienić na dziesięć milionów marek w gotówce.

Przy obecnym kursie wymiany zysk wynosi dokładnie dwa miliony marek, wyjaśnił Jörg Bauer. Oczywiście plan jest ściśle tajny, dlatego niewiele osób zostało w sprawę wtajemniczonych i nieoficjalnymi kanałami trwa poszukiwanie wypłacalnego i godnego zaufania partnera. Dyskrecja jest sprawą honoru.

Wolf Grindel słuchał, polerując ostrożnie broń. „To jak opowieści o zbójcach”, powiedział wreszcie i dolał koniaku. Bauer odparł, że jego źródła w BND gwarantują uczciwy interes, skoro pewien poważny monachijski bank przeprowadzi transakcję, a doręczycielowi dziesięciu milionów wystawi czek. Interes jest absolutnie pewny, stwierdził, w przeciwnym razie nie ośmieliliby się przedstawić go Grindlowi.

Król pozostał na swoim polu. Jaką korzyść będzie miał z tego interesu Bauer?

Dla pośrednika przewidziano prowizję w wysokości stu tysięcy marek, co także jest przyzwoitym pieniądzem, dlatego Bauer zgłosił gotowość wysondowania potencjalnych

zainteresowanych. Ale jeśli Grindla sprawa nie interesuje, prosiłby tylko o zachowanie dyskrecji. Wcześniej czy później ktoś się na to złakomi, nie ulega wątpliwości. W końcu tak łatwo nie zarabia się dwu milionów, chociaż Bauer zdaje sobie sprawę, że na gospodarzu ta suma nie robi specjalnego wrażenia.

Wolf Grindel nie należał do ludzi okazujących emocje, nie podejmował spontanicznych decyzji i generalnie nie ufał bliźnim. Był biznesmenem i znał wartość pieniędzy, konieczność dawania łapówek oraz zdrowe proporcje między ryzykiem a niezbędną ostrożnością. Zapytał o status Jörga Bauera i dowiedział się, że były policjant pracuje, można powiedzieć, nieformalnie dla BND. Poznał też nazwę wiedeńskiego i monachijskiego banku. Odpowiedziało mu jednak milczenie, gdy chciał poznać tożsamość zleceniodawcy z BND, co przyjął z pewnym zrozumieniem. Pił koniak małymi łykami, umieściwszy pistolet w jednej z oszklonych szaf. Jego maleństwa połyskiwały matowo i groźnie w oświetlonych witrynach. Kochał je, ale był człowiekiem, który uczucia trzymał pod kontrolą. Oznajmił, że zastanowi się nad propozycją Bauera i w krótkim czasie, w ciągu tygodnia, da mu wiążącą odpowiedź. Postarać się o dziesięć milionów w gotówce to żaden problem, trzeba w swoim fachu dysponować lewymi kontami, aby zaspokoić łapczywość zleceniodawców i źle traktowanych urzędników. Powiedział to, bo miał pewność, że Jörg Bauer nigdy nie zdoła mu tego udowodnić.

„Jeśli świat jest zły, należy go udoskonalić”, rzekł Bauer. Obaj parsknęli krótkim, lecz szczerym śmiechem i wypili swoje zdrowie.

Tak Jörg przedstawił mi swój udział w sprawie. Wierzył, że ryba się złapie, musieliśmy tylko poczekać, aż połknie haczyk. Ja miałam się zająć bankiem. Wystąpić jako dziennikarka, która przeprowadzi wywiad z zastępczynią dyrektora monachijskiego banku, będzie jej schlebiała i zaprosi ją na obiad do Käfera. Jörg tej roli nie mógłby odegrać, gdyż pani Maria Kühn nie skłaniała się ku płci męskiej. Bauer zdobył tę informację diabli wiedzą gdzie i okłamał mnie, bo seks wchodził jednak w rachubę. W tym układzie co prawda niezwykajny, ale mimo wszystko...

Zastępczyni dyrektora banku okazała się rudą, dobiegającą czterdziestki kobietą, nosiła złote okulary i miała grube nogi. Odkąd przestała palić, ssała karmelki i chodziła do klubu odnowy biologicznej, gdzie mężczyzn nie wpuszczano. Maria nie była zdeklarowaną lesbijką, nikt tego z całą pewnością nie mógł twierdzić. Jej subtelne drobne rysy pokrywała patyna męskiej twardości. Banki nie tolerowały żadnego odchylenia od normy, a chęć zrobienia

kariery była niczym kotwica zdolna utrzymać pancernik. Maria dążyła do sukcesu, skoro życie pozbawiło ją normalnej seksualności. Nie zwierzała się z tego, lecz niektóre słowa ją zdradzały, ja zaś umiałam uważnie słuchać. Niezależność płciowa wyzwalała u Marii pragnienie, by stać się podziwianą i pożądaną, a także uczucia wdzięczności i miłości. Nie stanowiła zatem wyjątku.

Przedstawiłam się jako dziennikarka żyjąca samotnie i nie mająca wysokiego mniemania o mężczyznach. Taka prosta rola nie nastroczała mi żadnych trudności. Niekiedy w czasie obiadu chwytałam dłoń Marii i wtedy Maria czerwieniła się. Była mądra i bynajmniej nie piękna. Polubiłam ją, toteż sprawiało mi nieco przykrości, że wykorzystuję jej delikatne uczucia. Taka mała forma kobiecej solidarności, jak siebie zapewniałam. Ale dziesięć milionów zdecydowanie przeważało lekkie skrupuły. Bo nie wątpiłam, że ten interes przyniesie mi dziesięć milionów.

W przypadku Marii chodziło o dostęp do jej biura, wykorzystanie bankowych formularzy i pewność, że w określonym dniu o określonej godzinie nie zjawi się w banku. Dotychczasowy rozwój wypadków nie nasuwał żadnych problemów. Głos Marii drżał, gdy dzwoniłam, aby zaproponować jej wspólny obiad lub kolację.

Bauer gorszył się moimi uczuciami, uczuciami Marii, uczuciami kobiet i w ogóle wszystkim, czego nie udawało się pojąć dzięki rozumowi i logice. Uważał się za mądrego i kompetentnego w tych sprawach. Zaczynaliśmy się kłócić, skoro tylko wymieniliśmy trzy zdania. Ja nazywałam go bezrobotnym szpiclem, a on mnie hochsztaplerską flądą. Nienawidził ubrań, które kupiliśmy, i twierdził, że skórzane buty są niewygodne. Zielono-niebieskie krawaty uważał za wstrętne. Dawałam mu codziennie jeden. Postępowałam rozrzutnie, a on był kramarską duszą z Lasu Bawarskiego. Ale co będzie, jeśli Grindel na to nie pójdzie? I co się stanie, jeśli zastępczyni dyrektora banku nie ulegnie wystarczająco mojemu czarowi? Czy można wykluczyć nieprzewidziany wypadek, który zakłóci akcję? I jaka jest najpewniejsza droga ucieczki?

Wszystkie „jeśli”, „ale” i „jak” tego świata gromadziły się w głowie Jörga Bauera. Ja stawiałam na spontaniczność, improwizację i zapewniałam o swoich stalowych nerwach. Jörg trochę przypominał mi Klarę, lecz to partnerstwo nie było zbudowane na mocnym fundamencie wzajemnej sympatii i zaufania. Ja myślałam o dziesięciu milionach, równocześnie zaś nie miałam najmniejszej wątpliwości, że on także igra z myślą, by mnie oszukać. Jeśli mnie uważa za szachistkę, która w każdej sytuacji potrafi wymyślić tylko jeden jedyny ruch do przodu, tym lepiej. Mężczyźni nie doceniający kobiet są najlepszymi przeciwnikami.

Nigdy nie mieć współczucia dla ofiar – to *credo* dobrego oszusta. Oszukani nie są lepszymi ludźmi, po prostu dostały im się gorsze role: z przypadku, głupoty, słabości. W to wierzyłam. Maria, wedle mojej praktycznej filozofii, nie pasowała do roli szulerki. Być może czuła, że działamy na wspólnej płaszczyźnie, jedynie różnymi metodami i w różnych celach. Ona również grała fałszywie, nawet jej sekretarka bała się autorytatywnej twardości zwierzchniczki. Samozaparcie było drugą skórą Marii, rozumiałam to lepiej, niż sądziła. Uważała mnie za szczęśliwą lesbijkę nie bojącą się dotyku, lecz brakowało jej odwagi, by zrobić pierwszy krok. Nasza przyjaźń miała tak delikatny charakter, że seks jak biała chmurka unosił się ledwie widoczny wysoko w górze. Podczas naszych spotkań uświadomiłam sobie jasno, czego mi od śmierci Klary brakuje: bliskości, zaufania, bezpieczeństwa.

Jörg nazwał mnie sentymentalną krową, kiedy w jakiejś wieczornej godzinie mówiłam o Marii. Czułam do niego wstręt. Był prostacki, nieczuły, sarkastyczny. Mężczyzna z bożej łaski, estetyczny i moralny potwór, który żłopał piwo jak woźnica i gapił się na młode dziewczęta jak rozbuchany ogier. Tyle tylko że w jego obecności nie trzeba się było zmieniać. Mówiliśmy sobie nawzajem nieprawdopodobne grubiaństwa, ale gdy chodziło o nasz plan, stawaliśmy się natychmiast rzeczowi.

Pozostawało jeszcze dwanaście godzin do wyznaczonego terminu, a Grindel się nie odzywał. Jörg wpatrywał się w swoją komórkę, jakby ją chciał zahipnotyzować. Robił wrażenie opanowanego, lecz wiedziałam, że jest niezwykle spięty. Siedzieliśmy u Boettnera, jedliśmy, pili i czekali, spierając się o właściwą formę rozstania.

Bo to, że powinniśmy się rozstać natychmiast po przeprowadzeniu akcji, nie ulegało wątpliwości. Jörg zamierzał ze swymi milionami wsiąść do pociągu i wyjechać do Włoch, aby tam zastanowić się, jakie miejsce leżące z dala od Monachium i Grindla będzie najodpowiedniejsze. Tak powiedział. Ja przebąkiwałam o bilecie lotniczym do Kanady, ale na razie zarezerwowałam Londyn, bo dalej moje podróżnicze plany jeszcze nie sięgały.

Jörg marzył o sycylijskiej wiosce, w której ludzie rozumieliby jego kiepską włoszczyznę. Męskie fantazje, z wyjątkiem tych natury erotycznej, raczej nie zadziwiają bogactwem. Ja myślałam o miejscu, gdzie bym nie marzła, i tutaj wybór miałam duży. I tak krążyliśmy wokół siebie z naszymi marzeniami i kłamstwami, dążąc ku nowemu życiu, większemu i piękniejszemu, poza zasięgiem zemsty Grindla.

– Grindel nie pójdzie na policję – zapewniał mnie Jörg – bo musiałby wyjaśnić pochodzenie dziesięciu milionów. A tego zrobić nie potrafi.

– A co według ciebie zrobi?

Położył swoją dłoń na mojej i zniżył głos:

– Każe nas zabić.

Cofnęłam się.

– Nie podoba mi się twoje poczucie humoru. W ogóle nic mi się w tobie nie podoba.

Dlaczego robię to wszystko?

– Dla pieniędzy – powiedział mój wspólnik – ponieważ tylko w nie wierzysz. Niezbyt skomplikowane, jeśli interesuje cię moja opinia.

– Ani trochę. Interesuje mnie tylko, co myślisz o reakcji Grindla.

Uśmiechnął się wszechwiedząco.

– Tacy jak on nie umieją przegrywać. Dziesięć milionów go nie zuboży, ale ich strata zaboli. Przypuszczam, że naśle na nas prywatnego szpicla, który powinien nas znaleźć i odebrać nam pieniądze.

Nie dam się odnaleźć. A Grindel niech sobie wpada na trop mojego partnera, ale to już nie moje zmartwienie.

Jedliśmy deser. Jörg poplamił zielono-niebieski krawat kremem pomarańczowym – umyślnie, jak przypuszczałam.

Gdy odezwała się komórka, drgnęliśmy oboje. Dzwonił Wolf Grindel.

Jörg wysłuchał go uważnie i powiedział:

– Wpadnę dziś wieczorem, to omówimy szczegóły. – Wyłączywszy komórkę popatrzył na mnie. – Przechodzimy do gorącej fazy. Teraz twoja kolej. Na kiedy wyznaczyć dostarczenie pieniędzy? Co zrobisz z Marią? I co będzie z jej sekretarką? Chcesz ją potraktować jak powietrze?

Pomarańczowa plama przeszkadzała mi, nie mogłam przestać się na nią gapić.

– Krawat – przypomniał Jörg – kosztował sto marek, o wiele zresztą za dużo. My natomiast mówimy o dziesięciu milionach, miła czarodziejko. Jeśli się wystraszyłaś, wysiadaj. Znajdę innego partnera.

Miał rację, trochę się bałam. Po raz pierwszy, a to dlatego, że nie było przy tym Klary i ten sadysta wyznaczał mi granice. Pamiętamy o swoich porażkach; zwycięstwa zapomina się szybko.

– Nie martw się. Nie puszczają mi nerwy, koniec końców w przeciwieństwie do ciebie jestem profesjonalistką. Powinniśmy to zaplanować na najbliższy piątek, na pół godziny przed zamknięciem banku. Sekretarka jest od środy na urlopie. W czasie piątkowego obiadu podam Marii w winie nokautujące krople, czym udowodni swoją niewinność.

– Jesteś dla niej bardzo łaskawa. Ona chyba naprawdę jest kimś szczególnym.

Ten głupi gnojkwaty uśmiech wyzwolił spontaniczną reakcję i kopnęłam Jörga pod

stołem w kolano. Celowałam wyżej, lecz i tak ucieszyłam się okrzykiem bólu. Kelner pospieszył, żeby zapytać o nasze samopoczucie, niedysponowani goście nie byli tu bowiem mile widziani. Nie, nie, wszystko w porządku. Poprosiłam o rachunek. Po moim współniku widać było, że cierpi i jest zły.

– Nie rób tego po raz drugi, czarodziejko, bo oddam.

– Jesteś wstrętny.

– Taki mężczyzna do ciebie pasuje.

– O nie. Ja zasługuję na przystojnego, mądrego, dowcipnego, dobrego, czulego faceta, który ma poczucie humoru, pieniądze i gust. Nie na takiego kretyna jak ty.

– Twoja skromność jest fascynująca. Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Że kim niby jesteś?

Rozzłościł się nie na żarty, to u niego lubiłam. Nie odpowiedziałam. Zostawiłam kretyna przy stoliku, by zapłacił, a sama spacerkiem poszłam do jubilera na Maximilianstrasse po naszyjnik ze słońcem. Traktowano mnie jak królową i tak się też czułam, gdy drżącą ręką podpisywałam rachunek płatny kartą kredytową. Zakup naszyjnika świadczył o optymizmie albo o głupocie. Poczułam chłód klejnotu na szyi i zdałam sobie sprawę z tego, że odtąd zawsze będę się bała, aby go nie zgubić lub aby mi go nie skradziono. Tak to jest z bogatymi: *Tracili w każdym przypadku, jednak coś z tego mieli.*

Naszyjnik ukryłam pod wysoko zapiętym żakietem.

W piątek o czternastej doszło do decydującej randki w japońskiej restauracji, w miejscu nieznacznie promieniującym erotyzmem. Maria powiedziała mi między jedną a drugą zakąską susi, że mnie bardzo lubi. Słowa o wielkim ciężarze, którym z trudem ośmieliłam się zaufać. Potem poczuła się zmęczona. Zaproponowałam, że odwiozę ją do domu. Z każdym krokiem coraz mocniej opierała się na mnie, znokautowana przez czarodziejkę *alias* Karin. Wstydziałam się, ale profesjonalne napięcie przeważyło. Ściągnęłam Marii buty i położyłam ją na łóżku. Mieszkanie wprowadziło mnie w zdumienie: plusz i rupiecie z pewnym tchnieniem Orientu, a nad łóżkiem czerwono-pomarańczowy baldachim. Samotne haremowe niebo Marii. Byłam przekonana, że nikt z banku nie przestąpił nigdy progu tych pomieszczeń.

– Kochana Karin... – wyszeptała jeszcze, po czym pochrapując zasnęła.

Spojrzałam na zegarek. Było jeszcze wcześniej, potrzebowałam pół godziny na dotarcie do banku. Nie musiałam się spieszyć. Nim wyszłam, ułożyłam Marię na boku na wypadek, gdyby wymiotowała. Powiedziałam jej, że to wszystko sprawia mi ogromną przykrość, ale ona tego naturalnie nie słyszała.

Włożyłam rudą perukę i okulary w złotej oprawie, po czym opuściłam mieszkanie.

Podobieństwo do zastępczyni dyrektora banku było powierzchowne, miałam jednak nadzieję, że tuż przed weekendem w ogólnym pośpiechu nikt nikomu się zbytnio nie przygląda. Wybraliśmy oddział banku, biorąc pod uwagę jego wielkość i anonimowość. Biuro Marii znajdowało się obok windy, nie miałam więc dalekiej drogi. Mogłam się posłużyć leżącą na biurku wywieszką z napisem „Proszę nie przeszkadzać”. Istniało tylne wyjście. Wszystko zostało perfekcyjnie zaplanowane. „Perfekcyjnie” było butnym słowem, które do mnie nie pasowało.

Zmarłam w taksówce. Można nawet powiedzieć, że zlodowaciałam. Myślałam o Marii i o tym, czy nie dałam jej za mało kropli. Wlałam ich do kieliszka mniej, niż Jörg zalecił. Nie chciałam jej zrobić krzywdy. Zraniłam ją. Później powie, że miałam bliznę na lewym policzku. Bliznę ze szminki. Małe oszustwo hochsztaplerki. Za pomocą blizny i historii kobiety prześladowanej przez gwałtownego męża wyłudzałam od litościwych dusz znaczne sumy. Życie bez wyrzutów, tak sobie postanowiłam. I poszukiwanie kogoś, kim ja nie jestem.

O 15.20 czasu środkowoeuropejskiego siedziałam przy biurku Marii, trzymając w ręce jej dyktafon. Usłyszawszy pukanie, poczułam w całym ciele uderzenia ognia i lodu. Wstałam i otworzyłam drzwi. Najpierw zobaczyłam walizeczkę zawierającą dziesięć milionów. Potem Wolfa Grindla, przedsiębiorcę, którego twarz wyrażała uprzejmą, obojętną twardość. Za nim wszedł Jörg, chyba trochę zdenerwowany, bo na brodzie błyszczały mu kropelki potu.

Po przywitaniu i przedstawieniu się napomknęłam, że moja sekretarka jest na urlopie, i poprosiłam panów, by usiedli. Grindel położył walizeczkę przed sobą. Była z brązowej skóry, zaopatrzona w zamek szyfrowy. Walizka pełna pieniędzy.

Jörg wyjrzał przez okno. Przedsiębiorca założył nogę na nogę i kiwał stopą. Miał buty z ufarbowanych na czarno jaszczurczych skórek.

Spojrzałam na zegarek.

– Panowie, nie mamy wiele czasu, dlatego proponuję, żebyśmy go nie tracili na kawę lub koniak, lecz od razu przystąpili do rzeczy. Czy ma pan pieniądze? – zwróciłam się do Grindla.

Skinął głową i otworzył walizeczkę. Widok był porażający, jednakże moja twarz ani drgnęła.

– Przeliczyliśmy – rzekł Jörg. – Jest dokładnie dziesięć milionów.

Grindel skinął głową po raz drugi. Nie tracił czasu na zbędne słowa. Wyjął cygaro z kieszeni marynarki i rozejrzał się za popielniczką. W biurze Marii nie było żadnej.

Wyciągnęłam z teczki sfałszowany formularz transferu i pokazałam go Grindlowi.

– Transfer z Wiednia. Proszę jednak wybaczyć, ale musimy przeliczyć pieniądze. Wezwę kasjera do pomocy, a panów poproszę, aby zechcieli poczekać w naszym pokoju przyjąć.

– Dlaczego? – Grindel kręcił cygaro między palcami.

Uśmiechnęłam się.

– Ponieważ tutaj nie wolno palić, proszę pana. I ponieważ panu nie zależy chyba na spotkaniu z kasjerem. Chodzi o delikatny interes, jak wszyscy wiemy. I chyba zgadzamy się co do tego, że krąg wtajemniczonych powinien pozostać możliwie najmniejszy.

Jörg wstał. Była 15.40.

– Ja też tak uważam. Jak długo potrwa liczenie?

Spojrzałam znowu na zegarek.

– Maksymalnie piętnaście minut.

Grindel podniósł się również.

– W moim przedsiębiorstwie wolno palić wszędzie oprócz laboratorium. – W jego głosie brzmiało rozdrażnienie. Zachowywał się nadzwyczaj chłodno jak na kogoś, kto wierzy, że dzięki transakcji zarobi dwa miliony. Pieniądze stają się czymś abstrakcyjnym, gdy się ich zbyt dużo posiada.

– Przykro mi – powiedziałam z wyrazem twarzy osoby niepalącej i brzydzącej się taką zdrożnością. – Dam panu odrębne pokwitowanie odbioru dziesięciu milionów. Po przeliczeniu wypiszę czek gotówkowy.

– Wszystko się zgadza – oświadczył Grindel. – Ale proszę spokojnie przeliczyć. Przyjmuję, że takie są przepisy.

– Właśnie tak. – Dałam mu pokwitowanie warte mniej niż kawałek papieru toaletowego. Uprzejmie otworzyłam drzwi. – Pokój przyjęć jest piętro niżej przy głównym wejściu. Znajdą tam panowie wygodne fotele, a także popielniczki.

Grindel skierował cygaro jak pistolet ku mojej twarzy.

– Nie znoszę niepalących. I proszę, żeby pani zechciała się pospieszyć. Mam do załatwienia jeszcze jedną niecierpiącą zwłoki sprawę.

– Szofer czeka przed drzwiami – powiedział Jörg. Z przesadną, jak mi się wydawało, unізonością.

– Najlepiej wróćmy do samochodu – powiedział Grindel. – Zadzwońię do paru osób i nie będę nikogo zatrzymywał swoim występnyim nałogiem. Proszę przysłać kogoś po mnie, kiedy pani skończy. Stoimy przed głównym wejściem przy zakazie zatrzymywania się.

To było odstępstwo od planu, ale całkiem niezłe. Jörg przesłał mi uspokajające

spojrzenie. Wszystko szło dobrze. Bąknęłam coś na pożegnanie i zamknęłam za nimi drzwi.

Grindel nie zadawał sobie trudu, by dostrzec innych, nie widział ich i nie czuł. W przeciwnym razie zauważyłby, że jestem palaczką. Poczekalam, aż drzwi windy zamkną się za nimi. Wtedy powycierałam chusteczką odciski palców, włożyłam sfalszowane papiery do walizeczki z pieniędzmi i z tą zdobyczą w ręku zamknęłam biuro Marii jej kluczem. Klucz również wytarłam, nim wrzuciłam go do pojemnika na śmieci na podwórzu. Opuściłam budynek banku tylnym wyjściem, gdy tymczasem Grindel i Bauer siedzieli w samochodzie.

Za pięć czwarta mój wspólnik powiedział Grindlowi, że pójdzie do biura i ponagli mnie nieco. Grindel siedział w samochodzie, póki nie zauważył, że zamykają główne wejście. Spojrzał na zegarek i ogarnęło go zniecierpliwienie. Zdecydował się wysiąść, aby zastukać do drzwi. Przypuszczalnie wybrał na komórce numer biura Marii i słuchał sygnału, długo, zbyt długo. Potem zaczął chyba łomotać do drzwi wejściowych, aż wyrzwał nocny strażnik. Człowiek, który o niczym nie wiedział. Tylko tyle że zamknął bank o czwartej. Możliwe, że jeszcze któryś z urzędników przebywał w budynku. Być może ktoś zaprowadził przedsiębiorcę do biura Marii, ale było zamknięte. I w tym momencie irytacja Grindla przeszła w olśnienie. Wyciągnął pokwitowanie bankowe. Widniała na nim liczba dziesięciu milionów i podpis. To wszystko, co mu zostało: kawałek papieru. Zawołał, a potem zadzwonił do Jörga Bauera, póki po raz kolejny go nie olśniło: został oszukany przez byłego gliniarza i najprawdopodobniej przez fikcyjną zastępczynię dyrektora banku. Pieniądze zniknęły. Dziesięć milionów marek.

Podczas gdy to wszystko tak czy podobnie przebiegało, byłam w drodze na lotnisko. Z walizeczką. Nie mogłam udać się na umówione spotkanie z Jörgiem na monachijskim dworcu, by po partnersku podzielić zdobyty łup. Z braku czasu i moralności. Bagaż zdeponowany przez nas w skrytkach na dworcu dawno już zabrałam. Czekał na lotnisku, cztery walizki ze wszystkim, co posiadałam, niezależnie od konta w Zurychu i napełnionej pieniędzmi walizeczki.

Jörg wedle planu pojechał z banku taksówką na dworzec. Jeszcze jeden, który będzie czekał, aż prawda zajrzy mu w oczy. Może też całe zdarzenie potraktować jako moją zemstę za Zurych.

Obiecałam taksówkarzowi sto marek napiwku, jeśli zdąży na samolot. Trudził się więc ze wszystkich sił, aby przejechać przez zakorkowane miasto. Nienawidziłam każdego auta blokującego nam drogę. Korki uliczne stały się plagą naszych czasów. Zrobię licencję pilota i kupię sobie mały prywatny samolot. Dom nad morzem. Gdzieś tam. Niebo nad Monachium było błękitne i dalekie. Żadnych brechtowskich chmur. Tylko stalowoszary asfalt.

A może Jörg Bauer nie będzie czekał w nieskończoność na dworcu, lecz pojedzie tam, gdzie jak słusznie założy, powinien mnie znaleźć: na lotnisko? Ale jeśli nawet tak zrobi, on także postoi w korkach, co mnie odrobinę pocieszało. W ogóle rozgrzewała mnie myśl o jego nieprzytomnej, straszliwej wściekłości. Miałam nadzieję, że Maria czuje się dobrze. Liczyłam na to, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Nigdy więcej, uroczyście sobie przysięgam, nie zejść ze ścieżki względnej cnoty, która oddziela przyzwoitych od nikczemnych.

Dotarliśmy do lotniska o takiej porze, że mogłam jeszcze zdążyć na samolot. Postarałam się o wózek bagażowy, odebrałam walizki z przechowalni i popędziłam do odprawy, do okienka pierwszej klasy. Przynajmniej tutaj kolejka podróżnych była krótka. Stało się na dywanie. Personel naziemny miło się uśmiechał. Wyjęłam bilet z torebki i podałam młodemu mężczyźnie. Mój bagaż przekraczał dopuszczalne czterdzieści kilogramów, ale także ten problem dało się rozwiązać pieniędzmi.

Gdy już pożyczono mi „dobrego lotu”, ktoś poklepał mnie po ramieniu. Wiedziałam kto, nim się odwróciłam.

– Halo, czarodziejko. Cóż za miły przypadek, że znów się spotykamy.

Uśmiechał się zwycięsko, szeroko i zwyczajnie. I jak wachlarzem pomachał mi przed twarzą biletem lotniczym.

– Ja też lecę do Londynu. Mam nadzieję, że się cieszysz.

Uśmiech czarodziejki był grymasem porażki.

Nie potrafię nawet wyrazić, jak wielkiej.

Wziął ode mnie walizeczkę, a ja w milczeniu poszłam za nim w stronę korytarzy prowadzących z budynku dworca lotniczego ku płycie lotniska. Zgasł dzień, który przez ostatnie minuty był tak promienny.

ROZDZIAŁ 20

„Vanuatu” znaczy tyle co „kraj, który zawsze do nas należał”. Składa się z osiemdziesięciu trzech wysp. Kiedy patrzy się na nie z góry, wyglądają na morzu jak ipsylon. Do mnie należy skrawek wyspy Efate, na samym brzegu, poza obrębem stolicy o nazwie Port Vila. Parcelę wraz z domem kupiłam niedrogo od Amerykanina, który uciekał przed urzędem podatkowym i nawet tutaj, na odległej wyspie, nie czuł się bezpiecznie. Janke kupiwszy łódź, teraz żeglował w kierunku Tongi w wiecznym poczuciu zagrożenia, stęskniony za Cincinnati. Byłam pewna, że ostatecznie weźmie kurs na kraj, aby się stawić w sądzie. Miał w bagażu Dostojewskiego.

Pieniądze znaczyły dużo na Efate, gdyż ani nie były kontrolowane w obrocie dewizowym, ani opodatkowane. Każdy kto przywozi na wyspę pieniądze, jest mile widziany. Porozumienie z władzami osiągnano, łożąc na służące dobru powszechnemu projekty. Ja sfinansowałam wzorcową farmę, którą dano mi ochrzcić. Rozwija się umiarkowanie, ponieważ praca jest nader mozolnym zajęciem w tropikalnych temperaturach. Tubylcy podśmiewają się ze spoconych *gringos*.

Jesteśmy wygnańcami zmuszonymi chronić białe twarze przed słońcem. Przeklinamy moskity i niewzruszoność miejscowych rzemieślników. Życie toczy się leniwym pospolitym rytmem i wszyscy nienawidzimy się nawzajem z całego serca, ponieważ w miasteczku na wysepce położonej na końcu świata nie da się unikać ludzi. Takie miejsce wyszukałam.

Mówi się tu mieszaniną angielskiego, francuskiego i tubylczych dialektów, podobną do angielskiego *pidgin*. Ten nieelegancki język służy do porozumiewania się Kanakom, Polinezyjczykom, Azjatom i wszystkim innym. Odrzuca wszelkie długie, trudne sformułowania i tak jak słońce wypala wszystko co zbędne. Skwar kazał mi zapomnieć, że kiedyś marzłam. Mam wielkie kapelusze, jakie lubiła Klara, ogromny wachlarz chłodzący upalne powietrze. Noszę białe luźne suknie i sandały plażowe. Mój klejnot leży w sejfie bankowym. Czasem go odwiedzam, gdyż podziemne pomieszczenia depozytowe są przyjemnie chłodne.

Urządzenia klimatyzacyjne w moim domu nie działają, a zanim chiński specjalista załatwi części zapasowe, miną jeszcze dni, może nawet tygodnie. Obiecałam mu tysiąc

dolarów premii za naprawę, tyle że człowiek, który w Port Vila kontroluje wszystko, co ma związek z chłodzeniem, ma wysoki iloraz łapownictwa.

Żyjemy w raju morza południowego. Turyści z Fidżi lub Papui-Nowej Gwinei odwiedzają nas, aby w Port Vila robić zakupy, na Tannie wspiąć się na wulkan albo w South Pentecost gapić się na „skoczków śmierci”. Dla nas turyści są jak moskity – wprawdzie nie kłują, lecz głośno, natrętnie bzyczą dookoła, opędzając się od sprzedawców pamiątek. Obrabianie turystów to narodowy sport tubylczych dzieci; młodociani straszą turystów, z szaloną prędkością pędząc po drogach wyspy zdezelowanymi autami, pokazując idyllę w prawdziwym świetle bądź po prostu dając wyraz nudzie. Starsi wyspiarze skłaniają się do seksu, alkoholu i muzyki. Azjaci powiększają majątki i oddają się grom hazardowym. Biali próbują wszystkiego po trochu lub w nadmiarze i tęsknią za tym, co nazywają cywilizacją.

Ja z przyjemnością żyję na wyspie. Regularnie latam na Fidżi, gdzie robię licencję pilota. Jeśli mi się uda, kupię dwupłatowiec i założę firmę lotniczą. Takie są moje górnolotne plany, ale się z nimi nie spieszę. Słowo „pośpiech” brzmi nieprzyzwoicie w tej części świata. Trzeba tu trochę pomieszkać, aby zrozumieć, że czas na Efate znaczy mniej niż gdzie indziej. On tutaj po prostu jest, sprowadza światło i ciemność, przyływy i odpływy. Mierzy się go według słońca, a także pierwszym drinkiem o zmierzchu i wieczornym wiatrem nadchodzącym od morza. Niekiedy ćwiczę boks na worku treningowym, aby nie wyjść z wprawy.

O minionych latach prawie zapomniałam. Tutaj luksusem są funkcjonujące urządzenia klimatyzacyjne, sprawne auta, wczorajsze gazety i względna punktualność samolotu na Fidżi. Luksusem jest dostać stolik u Joeya, gdzie serwują koniak z kostkami lodu, kelnerzy zaś zaczynają gwizdać, gdy ktoś skarży się na skwaśniałe bordeaux. U Joeya goście rzucają resztki homarów przez ramię do ogrodu, gdzie czekają już wałęsające się koty i psy. Luksusem jest napić się wina, które przetrwało bez szkody dla smaku długą podróż. Albo w ciemnościach nie wdepnąć w psie odchody.

Malcolm, mój nauczyciel pilotażu, zatrudni się u mnie, gdy założę firmę dla przewozu i ograbiania turystów. Tymczasem biorę udział w realizacji szeregu projektów: usuwania śmieci, zalesiania, planowania infrastruktury, budowy hoteli. Szanowni obywatele Efate wspierają te projekty różnorodnymi walutami, aby chronić środowisko. Nasze pieniądze, nieważne jak zarobione, nie cuchną tak jak śmieci wrzucane do morza. Nasze pieniądze zostają z pożytkiem wykorzystane, ponieważ bieda jest także nieestetycznym zjawiskiem, a piękno wyspy to czynnik ekonomiczny. Nasze działania nie są bynajmniej altruistyczne, po prostu mamy na uwadze dalekosiężne skutki gospodarcze. Kto tutaj osiada, musi pilnować

interesów, które obejmują zarówno jakość jego życia, jak i branżę turystyczną. Dlatego zawsze chętnie inwestujemy w szkoły i kształcenie tubylców. Wszelkie usługi potrzebują wykwalifikowanej siły roboczej. Jesteśmy dobrymi wyspowymi kapitalistami. Klara z szyderycznym uśmiechem przyklaskiwałaby temu i może otworzyłaby niewielki teatrzyk, scenę na wolnym powietrzu pod palmami, na której wystawiałaby nędzne inscenizacje Brechta. „Opera za trzy grosze” byłaby sukcesem. W tej części świata lubi się muzykę i czarny humor. Sztuka nie musi mieć happy endu, ponieważ samo życie jest happy endem.

Podoba mi się życie takie, jakie jest. John – takie imię nosi tutaj mój partner (to typowe z jego strony, by wybierać najpospolitsze imiona) – próbuje rozwinąć rybołówstwo i planuje uruchomić zakład przetworów rybnych na Tannie, gdzie chce wykorzystać gorące źródła dla pozyskiwania energii. Plany ma bardzo ambitne, a swój pierwszy kuter ochrzcił imieniem „Felicitas”. Wciąż sobie nie ufamy, to jednak dobra podstawa do wspólnego pożycia pełnego kłótni, pojednań, namiętności i ostrożnej sympatii. Możliwe, że potrzebujemy się wzajemnie, aby strzec przeszłości. Aby dzielić obawę, że Wolf Grindel może nas jeszcze odnaleźć. W Canberze dosłownie w ostatniej chwili umknęliśmy dwóm detektywom, którzy byli na naszym tropie. Uciekliśmy z hotelu schodami przeciwpożarowymi i spędziliśmy resztę nocy w parku, aby wypracować perfekcyjny plan zatarcia wszelkich śladów. Godziny w parku zbliżyły nas do siebie. Dodam, że był też seks na parkowej ławce. Próba pocieszenia się nadzieją, że kochankowie są niepokonani.

Swego prawdziwego nazwiska Jörg Bauer nigdy mi nie wyjawiał. To nie odgrywa zresztą żadnej roli, gdyż na Efate mamy fałszywe nazwiska i fałszywe paszporty. Dziesięć milionów ulokowaliśmy w różnych bankach, aby w tej części świata nie wzbudzać niebezpiecznej żądz. John nie wie nic o moim szwajcarskim koncie. Opowiedziałam mu natomiast wiele o sobie i Klarze w ciągu długich nocy przed naszym domem na wybrzeżu, gdy wiatr wieje od morza i studzi upał dnia. Ten facet nie jest kimś nadzwyczajnym, lecz pasuje do tej wyspy i do życia, jakie prowadzę. Do tego, kim byłam i kim nigdy nie będę. A kiedy mnie pyta o przeszłość, mówię, że wspominam ją z pobbżaniem.